

SNORRI KRISTJANSSON

ŚCIEŻKA
BOGÓW



ŚCIEŻKA
BOGÓW

SAGA O WALHALLI

MIECZE
DOBRYCH
LUDZI

I POPLYTIE
KREW

ŚCIEŻKA
BOGÓW

SNORRI KRISTJANSSON

ŚCIEŻKA BOGÓW

Przełożył Paweł Laskowicz



Dom Wydawniczy REBIS

*Dla Geraldine Cooke.
Mojej obrończyni, orędowniczki, rzeczniczki.*



Prolog

Chmury się rozstały i zimowe słońce na krótką chwilę oblało połacie gładkiego śniegu. To, co wcześniej mogło być pozostawionymi śladami, teraz było ledwie fałdami na sinobiałej powierzchni. Zagłębienie w zboczu pozwalało się domyślać, że kryje się tam grota, od dawna zasypana śniegiem. Potężne, niewzruszone wzgórza spoglądały z wysoka na domy, które niegdyś opierały się siłom natury, zapewniając ciepłe i bezpieczne schronienie na tej bezlitosnej ziemi.

Teraz stały opustoszałe.

Dołem doliny przetoczył się silny podmuch, podrywając białe płatki, unosząc je coraz wyżej i wyżej, formując z nich obłoki krystalicznych, połyskujących drobin.

Osiadały na dachach przykrytych cienką warstwą lodu.

Tańczyły wokół czarnych, obumarłych konarów.

Spowijały sine palce trupów leżących między domami, których zamrożone ręce sterczały sztywno, wygięte pod nienaturalnym kątem. Z zasp wystawały odrąbane kończyny, oblepione czarną, zakrzepłą krwią. Gdzieniedzie wзираła twarz poorana bruzdami mrozu i strachu.

Grobową ciszę przerwało przeciągłe skrzywienie. Drzwi długiego domu uchyliły się powoli, jęcząc na wykrzywionych zawiasach.

Na stopień przed domem wyszedł wysoki mężczyzna. Szare, luźne odzienie wirowało wokół niego na wietrze, ale najwyraźniej nie dokuczało mu zimno. Zsunęty nisko kapelusz z szerokim rondem zakrywał mu prawe oko. Ale lewe błyszczało żywo, gdy ogarniał wzrokiem okolicę. Naraz pod białą, rzadką brodą poruszyła się wysuszona i spękana skóra. Na kamiennej twarzy pojawił się uśmiech.

- Ach, więc chciałeś, żeby było właśnie tak - powiedział do wiatru.

Wysoko na niebie, od południowej strony, pojawiły się dwa czarne punkty. Rosły w oczach, szybując z rozpostartymi skrzydłami wprost na mężczyznę, i po chwili wylądowały u jego stóp z donośnym krakaniem. Mężczyzna spojrział na kruki i podniósł brew. Ptaki zbliżyły się do niego krótkimi podskokami, potem rozłożyły skrzydła, wzbiły się w górę i przysiadły mu na ramionach. Za jego plecami znów skrzypnęły drzwi. Z długiego domu wybiegły dwa psy.

- Niechaj więc tak będzie — mruknął stary człowiek i ruszył na południe tropem sześciu par śladów.



Rozdział 1

Południowa Szwecja, grudzień roku Pańskiego 996

Przez moment wszystko zdawało się tkwić w bezruchu, wyryte szarością na czarnym tle: sylwetki majaczyły w półmroku, balansując na granicy ciemności i księżycowej poświaty. Na czele tej wpółwidocznej armii stali nad trupem jelenia Sigurd Aegisson i Sven. Przyglądali się dwóm wędrowcom. Wódz Stenviku i jego nieodłączny towarzysz wydawali się wątlejsi i dużo starsi, ale było w nich zdecydowanie więcej życia.

Ulfar, wyciągnąwszy do połowy miecz, zastygł i patrzył tylko tępym wzrokiem. Gdy umysł mu się wreszcie rozjaśnił, z wolna zaczął rozpoznawać kolejne twarze pamiętane ze Stenviku. Widział co najmniej pół setki ludzi, a w mroku czaiło się ich z pewnością więcej. Stojący na czele Sven odwrócił się do Sigurda.

- Widzisz? Mówiłem, że chłopakowi nic nie będzie! Od wieków nie widziałem tak doskonałego oblicza idioty.

Sigurd uśmiechnął się do niego blado, a potem skinąwszy głową do Auduna, przeszedł do ogniska i usiadł. Wojownicy za jego plecami w milczeniu wrócili do krzątania. Niewielka grupa bez słowa zniknęła w lesie. Dwóch ludzi Sven skierował do jelenia. Błysnęły noże i w kierunku ogniska poniósł się zapach świeżej posoki.

Ulfar, z największą swobodą, na jaką potrafił się w tej chwili zdobyć, porzucił bojową postawę i wydusił wreszcie:

- Co słyhać... w Stenviku? - Wsunął miecz do pochwy i usiadł przy ognisku.
- Olaf zagarnął gród - odpowiedział Sven i również usiadł. - Darował nam życie, choć nie dzięki Haraldowi, ale zażądał, abyśmy ugięli karki i oddali cześć Białemu Chrystusowi. Nasi chłopcy mieli wystarczająco dużo rozumu, by skłonić przed nim głowy z uśmiechem.
- Nie chciał nas puścić, bo spodziewał się, że zaraz przysporzymy mu kłopotów - podjął Sigurd.

-Trzeba przyznać, że nie był w błędzie - rzucił Sven.

- Nie odważył się posłać nas do pracy, więc nas uwięził - powiedział Sigurd.

- Uciechy było co niemiara... - stwierdził Sven. - Jeżeli następnym razem dadzą mi do wyboru klatkę z wilkiem, to zdecyduję się na wilka, bez dwóch zdań.

Dał znak jednemu z milczących brodaczy. Mężczyzna wstąpił w krąg, rzucił więcej podpałki i dmuchał w żar, aż pojawił się nowy, mały, ale nieustępliwy płomień. Gdy brodacz odszedł, ognek nieco przygasł, ale niemal natychmiast się podniósł, powiększył dwukrotnie i rósł z każdą chwilą, w miarę jak wojownicy zaczęli znosić z lasu kolejne drwa.

- Zatem jak to się stało, że was tu widzę? — zapytał Audun.

- Valgard nas otruł — wyjaśnił spokojnie Sigurd.

Audun i Ulfar wymienili spojrzenia, a potem wbili w Svena pytający wzrok. Oczy starego wojownika mówiły wszystko, co powinni byli wiedzieć.

- Jak... ? — zapytał Audun.

Przy drugim ognisku na polanie zaskwierczało głośno i krótko, potem Ulfar poczuł w nozdrzach woń pieczonego mięsa.

- Przyniósł nam posiłek. Zjedliśmy jak co dzień. Valgard dodał wyciąg z korzonków gnijącej trawy. Znakomicie go zamaskował przyprawami. Kiedy wyczułem ich smak, było za późno. Ocknęliśmy się, gdy ktoś nas wykopywał.

Audun poczuł zimny dreszcz na plecach. Mimowolnie obejrzał się za siebie.

- Kto was wykopał? — zapytał.

-Jakiś przygodny wędrowiec - odparł Sigurd. Ulfar spijał każde słowo, które płynęło z ust starego wodza. - Wysoki, siwy, z brodą. Na głowie miał wielki kapelusz z rondem.

Zamilkł, gdy ktoś podsunął mu nadziany na sztylet kawałek pieczonego jelenia. Dalej opowiadał Sven:

- Powiedział, że akurat przechodził w pobliżu i usłyszał, jak dwóch ludzi rozprawia o pozbyciu się jakichś ciał. Nie znam szczegółów, ale nie wątpię, że ten człowiek ocalił nam życie.

-Jestem tego pewien - mruknął Ulfar i zerknął na Auduna, który spoglądał na dwóch wojowników równie podejrzliwie. - Co było dalej?

-Mieliśmy do spłacenia pewien dług... - ciągnął Sigurd, a po tych słowach cisza na polanie się spotęgowała. — Spłaciliśmy go, a potem wyruszyliśmy szukać Widłobrodego. Teraz jesteśmy tutaj.

- Widłobrodego? — spytał zdziwiony Audun. — Po co?

- Ponieważ król Olaf wyprawił się na północ — odparł Sven. — Jest w Trondheim. Jeżeli tam zostanie, to podwoi armię, a wówczas trudno będzie go ruszyć. Haakon siedział na karkach swoich chłopów i było mu z tym dobrze, ale wątpię, by królowi to wystarczało. Musimy przekonać Swena Widłobrodego, że lepiej będzie, jeśli już teraz stawi czoło królowi Olafowi, zanim wypłynie na zachód po kolejne łupy. Jeśli Widłobrody tego nie robi, za dwa lata, a może nawet wcześniej, będzie musiał bronić brzegów Danii przed niosącymi krzyż szaleńcami z Północy.

-Zatem wszystkie drogi prowadzą na północ - mruknął Ulfar, biorąc do ręki podsunięty kawałek pachnącej pieczeni.

- Zawsze na północ, mój synu - westchnął Sven. - Zawsze na północ.

*

Poranek przyniósł niskie, ołowiane chmury i porywisty wiatr. Ludzie Sigurda starali się jak najmniej rozmawiać. Już z pierwszym brzaskiem byli na nogach i w pełnej gotowości.

- Weźcie to - powiedział Sven, gdy Ulfar i Audun wstawali z legowisk.

W wyciągniętej ręce starca znajdowały się spodnie i tuniki z grubej wełny.

- Wyglądacie jak chuchra z lichego miotu.

Ulfar, zerknąwszy na siebie i Auduna, nie mógł się z tym nie zgodzić. Wędrowka wiele ich

kosztowała, ubrania wisały na nich podarte i zakrwawione, a oni wyglądali, jakby byli o kopę lat starsi od dwóch młodych osobników sprzed ledwie czterech miesięcy.

- Dziękuję — powiedział Ulfar.

- Nie wam mają się przysłużyć - powiedział Sven. - Gdy człowiek jest zziębnięty, trudno go podtuczyć, a trzeba będzie coś rzucić Widłobrodemu, jeśli okaże się głodny.

- Rozumiem, przecież twój stary, kościsty tyłek to za mało - odparł Ulfar, wciskając się w nowe rzeczy.

- Mój kościsty tyłek bardziej się przyda niż twój - odgryzł się Sven. - Za moim stoi setka zatwardziałych łajdaków, a za twoim snuje się przygnębiony kowal.

Ulfar uśmiechnął się.

- Prawda, ale nie bój się, dołączy do ciebie więcej ludzi, a wtedy siły będą wyrównane. Myślę, że trzeba ci jeszcze około siedemdziesięciu chłopów.

Sven zarechotał i wyszczerzył w uśmiechu zęby do Auduna, który wzruszył ramionami.

Parę chwil później byli gotowi do drogi.

- Gdzie zamierzacie szukać Widłobrodego? - zapytał Ulfar.

- Sądzę, że będziemy robić tak jak do tej pory: odnajdziemy najbliższą puszczonej z dymem zagrodę i stamtąd będziemy tropić duńskiego króla - powiedział Sven.

Nikt już nie miał nic do powiedzenia, więc ruszyli przed siebie, klucząc między smukłymi brzoźami.

Zasnute chmurami niebo zmieniało barwy, najpierw z ciemnej wełny w mleko, potem w brudny lód, ale słońce wciąż pozostawało w ukryciu. Gdy wyszli z lasu, zobaczyli przed sobą rozległą, zaproszoną białą równinę, to wznoszącą się lekko, to opadającą. Białawy pejzaż przecinała niczym blizna wąska, wydeptana droga.

Było południe.

- Ta cisza mi się nie podoba — odezwa! się Ulfar.

- Była zupełnie w porządku, dopóki jej nie zakłóciłeś - mruknął Audun.

- Gdzie są drogi, tam są ludzie. Tymczasem od świra nie widzieliśmy żywej duszy - powiedział Ulfar. - Można by pomyśleć, że jesteśmy sami na świecie.

- Bez obaw, synu. Kłopoty same nas odnajdą — powiedział Sven z czoła pochodu. - Najczęściej tak właśnie jest.

Szli dalej w milczeniu, a chmury zbiły się w gęstą, ciemnoszarą masę.

- Lada moment... — burknął posępnie stary wojownik i rzeczywiście chwilę potem spłynęły z góry pierwsze płatki śniegu. — Cholerny śnieg - sarknął. - Jest zupełnie jak ty, Ulfar. Śliczny i bezużyteczny.

- Mów, co chcesz, ale ja przynajmniej umiem... Nie. masz rację. Choć zapomniałeś dodać: irytujący — dokończył Ulfar.

- Sven — rzucił nagle Sigurd.

Ton jego głosu sprawił, że ludzie wokół niego natychmiast wyteżyli uwagę.

Dwieście kroków przed nimi wyszedł z gęstwiny lis. Zatrzymał się i zaczął węszyć. Nie zważając na ludzi, potoczył dookoła spokojnym wzrokiem. Można było odnieść wrażenie, że nasłuchuje jakiejś cichej melodii.

Orzeł uderzył tak błyskawicznie, że ledwo go można było zauważyć. Lis uskoczył i stawiał opór, ale nie miał szans. Potężne skrzydła biły go po głowie, mocny dziób rozrywał uszy. grube jak palce szpony wpijały się w grzbiet i zaciskały na kręgosłupie. Orzeł naprężył mięśnie i lisie łapy oderwały się wolno od ziemi. Przenikliwy pisk rozdarł powietrze, gdy nadleciał drugi orzeł i równiej wbił szpony w przerażonego lisa.

Wojownicy ze Stenviku, zdumieni widokiem, patrzyli bez słowa.

Potężne ptaki wzbijały się coraz wyżej, rozdzierając między sobą skamlące zwierzę. Na śnieg spadały z wysoka strużki krwi.

- Ruszać się! Jazda! - krzyknął Sigurd, a grupa stojących za nim wojowników drgnęła i powlokła się przed siebie.

Do uszu Ulfara dobiegały strzępy nerwowych szeptów.

— ...nigdy nie widziałem czegoś takiego...

— ...orły polują na lisy? Do tego dwa naraz... ?

— ..gwiazdy nie mówią prawdy, uwierz...

Po jakimś czasie rozmowy ucichły, ale Ulfar wyczuwał, że każdy z tych doświadczonych wojowników miał się odtąd na baczności.

Późnym popołudniem zobaczyli z daleka gospodarstwo rolne. Pola ciągnęły się w każdym kierunku, ale przed nimi, z boku przy niewielkim młodniaku, stał dom.

- Zachodzimy z wizytą? — zapytał Sven.

Sigurd wzruszył ramionami.

- Nie zaszkodzi. Może się czegoś dowiemy. - Uśmiechnął się lekko i zerknął na Ulfara. — Wyślemy naszego miejscowego.

- Mówiłem, że nam się przyda - stwierdził wesoło Sven.

Ulfar przewrócił o czarni i zaczął się już zastanawiać, jak wyjaśnić gospodarzowi, że staje u progu jego drzwi z setką zaprawionych w boju ludzi Północy. W połowie drogi do domu Sigurd dał znak, by się zatrzymali.

- Zaczekamy tutaj - oznajmił.

- Słusznie. Dalej idź sam, synu - powiedział Sven.

Ludzie zaczęli rzucać toboły i szukać miejsca do odpoczynku, czyszcząc ziemię ze śnieżnego puchu tam, gdzie tylko dawało się wygodnie spocząć.

- Weź wołu, jeśli chcesz - dodał Sven. - Byłeś starał się robić przyjazne wrażenie.

Ulfar zdjął miecz i spojrzał na Auduna, który stanął przy nim bez słowa. Zostawili za plecami ludzi Północy i ruszyli w dół wąską, mocno wydeptaną ścieżką, pokrytą dywanikiem świeżego śniegu.

Z daleka gospodarstwo wyglądało normalnie, ale z bliska widać było, że panuje tu niezmacony spokój. Gołe konary drzew rzucały na ziemię długie cienie, a blaknące światło nie czyniło otoczenia ani odrobinę przyjemniejszym.

- Niewiele się dzieje, co? - odezwał się Ulfar.

- Niewiele - odpowiedział Audun.

Rozejrzeli się w poszukiwaniu śladów bitwy, ale nie zauważyli żadnych zniszczeń. Brama pozostawała otwarta i wydawało się, że od dłuższego czasu nikt jej nie ruszał. Podwórze świeciło pustkami, w pogrążonych w półmroku stajniach po lewej stronie nie było znaku życia, a drzwi do stodoły pozostawały uchylone. Dom wyglądał nawet na dość zadbane, ale nigdzie nie dostrzegli choć cienia płomyka, który wskazywałby na ślad człowieka i ciepła.

- Jest tu kto?! — zawołał Ulfar tonem, w którym, miał nadzieję, brzmiał absolutny brak chęci zabijania kogokolwiek.

Nikt nie odpowiedział. Spróbował jeszcze raz, ale jego głos znów odbił się echem od ścian. Już chciał ruszyć przed siebie, kiedy ciężka dłoń Auduna wylądowała na jego ramieniu i powstrzymała go z łatwością.

- Czekaj i patrz, Thormodssone - mruknął.

Ulfar poczuł, jak włosy stają mu na karku.

W budynku coś się poruszyło, nastąpiła jakaś szamotanina, a potem na podwórzu dał się słyszeć odgłos upadku i stłumione przekleństwo. W ciemnym otworze drzwi pojawiła się jakaś sylwetka.

- Obcy ludzie - odezwał się czyjś tubalny głos. - Witajcie.

- Witaj! - odpowiedział Ulfar. - Przybywamy w pokoju, chcielibyśmy...

- Nieprawda! — przerwał mu głos z wnętrza domu.

Do postaci w drzwiach dołączyła teraz następna.

Zbity z tropu Ulfar na moment zapomniał języka w gębie.

- Jak to... O czym mówisz? Nie mamy złych zamiarów.

- To wiem — odparł drugi z mężczyzn, który wyszedł na podwórze, aby powitać przybyszów.

Wzrostem dorównywał Ulfarowi, a szerokością barków Audunowi, ale oblicze miał dziwnie szare, jakby już zapadł na zdrowiu.

Pierwszy z mężczyzn podążył wolno za kompanem: był młodszy, może nawet nastoletni, o piaskowych włosach, przyjaźnie nastawiony, choć odznaczał się taką samą potężną posturą i wyrazistymi rysami twarzy. Obaj mieli na sobie chłopskie odzienia i byli nieuzbrojeni, lecz wydawali się jacyś... wyblakli.

- Ale nie przychodźcie w pokoju.

Stojący z boku Audun naprężył mięśnie, ale Ulfar uśmiechnął się jak najszerzej, żeby rozluźnić atmosferę.

Oczy gospodarza błysnęły nagle.

- Bo to nie czas pokoju. To czas wojny.

Swojski teren. Ulfar uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

- Wiem. Słyszałem, że Widłobrody panoszy się po okolicy.

Na twarzach chłopów pojawiło się zaskoczenie.

- Widłobrody?

- Widłobrody. Duński król. Swen Widłobrody. Ma taką... długą brodę...

- ...którą zaplata w warkoczyki na kształt wideł — dorzucił Audun.

Potężny gospodarz uśmiechnął się pod nosem.

- Ach, ten... — Stojący obok niego chłopak roześmiał się głośno, a Ulfar i Audun też zaczęli się śmiać.

- On jest nieważny — powiedział lekceważąco gospodarz.

- Naturalnie... Widłobrody nie jest tak ważny, jak mu się wydaje...

- Tu się nie mylisz, wędrowcze! - wtrącił młodzieniec, a gospodarz potargał mu czuprynę, jak to nieraz ojciec robi synowi.

- O ile mi jednak wiadomo - ciągnął Ulfar - Widłobrody hula tu po okolicznych wioskach, pali i morduje.

Nie takiego przebiegu rozmowy się spodziewał.

Potężny gospodarz wzruszył ramionami.

- Taki jest świat. Właściwie to by się zgadzało.

- To by się zgadzało - zawtórował ojcu młodzieniec.

- Niby co? - zapytał Audun.

- Powstanie - powiedział chłopak, a ojciec przytaknął w milczeniu.

- Jakie powstanie? - zapytał Ulfar.

Potężny gospodarz spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby Ulfar prosił o wyjaśnienie, czym jest woda.

— On pyta, jakie powstanie. Słyszałeś, mój chłopcze?

— Słyszałem! — odparł młodzieniec.

— Powstanie! — Twarz mężczyzny zajaśniała w uniesieniu. — Powstanie jest wtedy, kiedy... kiedy on powstaje!

— On? Kim on jest?

- On jest... On. - Gospodarz skrzywił się i zamrugał, jakby chciał się pozbyć nieznośnego bólu głowy.

— On jest... On powstał. Powstał!

— W porządku, w porządku. Powstał. Rozumiem - powiedział Ulfar pojednawczym tonem, zerkając w stronę furki.

— Nie sądzę, abyś rozumiał, wędrowcze — odezwał się młodzieniec. — Myślę, że jesteś jednym z

jego wrogów i dokonasz jeszcze wiele złego.

Audun poruszył ramionami.

— Nie jesteśmy wrogami - powiedział pośpiesznie Ulfar. - Dobrze was rozumiemy. Najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdziemy.

— Możecie mu pomóc — rzucił gospodarz. — Chcecie mu pomóc, prawda?

Audun dał Ulfarowi znak, aby milczał.

— Nie — odpowiedział spokojnie. — Nie chcemy.

Gospodarz wbił w kowala płonący wzrok jak ktoś, kto nagle usłyszał znajomą melodię.

— Ty... - powiedział. - W tobie jest coś, czego on pożąda.

— Więc chodź i weź to sobie — rzucił Audun.

Wielki gospodarz bez ostrzeżenia ruszył na Auduna z groźnym pomrukiem. Wyciągnął przed siebie ramiona, jakby miał zamiar pochwycić przeciwnika i zgnieść go w niedźwiedzim uścisku.

Ułamek chwili później, tylko dzięki wrodzonemu refleksowi, Ulfar zdołał uchylić się w półobrocie przed potężnym sierpowym, wypuszczonym w jego kierunku przez zadziornego młodzieńca. Ale dwa kroki to było za mało. Chłopak już do niego doskoczył i wesoło młócił po nim pięściami.

- On powstaje! - krzyczał.

- Kim on jest? - zapytał Ulfar, cofając się i blokując ciosy.

Kątem oka widział, jak Audun i wielki gospodarz zwarli się w zapaśniczym klinczu, jeden drugiemu ani na jotę nie ustępując.

- On jest zimnem na Północy! Jest śmiercią w czasie zimy! Jest mocą wikingów! Jest drogą do Walhalli! — rzucił młodzieniec kopiąc, bijąc i drapiąc.

— Gdzie na Północy? — krzyknął Ulfar, trafiając wreszcie przeciwnika, choć zdawało się, że ten nie odczuł ciosu.

- Powstaje! - wrzasnął jeszcze raz młodzieniec, wskazując palcem niebo.

- Więc wiesz tylko tyle. W porządku - powiedział Ulfar.

Zrobił szybki krok naprzód, wszedł w zasięg ramion chłopaka i grzmotnął łokciem najmocniej, jak potrafił, czując, że miażdży mu nos. Chlusnęła krew, a chłopak padł na ziemię, wijąc się i jęcząc z bólu. Ulfar przeszedł szybko ponad nim i ruszył w stronę Auduna, który stał nad ciałem zwałistego gospodarza.

- Nie żyje? - zapytał Ulfar.

— Żyje — odparł Audun. — Ogłuszyłem go tylko.

— Hm... — mruknął Ulfar. — Co o tym wszystkim sądzisz?

— Nie wiem — stwierdził Audun. — Naprawdę nie wiem.

— Coraz więcej nie wiemy, przyjacielu - powiedział Ulfar, odwracając głowę i patrząc na leżących mężczyzn. — Ale po tym, co ostatnio widziałem, mogę być pewien, że nie czeka ich dobre życie, jeśli ich tak zostawimy.

Zaczął się rozglądać i jego wzrok spoczął na opartym o ścianę, grubym, drewnianym drągu.

- Co powiedzieli? - zapytał Sven, kiedy wrócili do obozowiska Sigurda. - Słyszeliśmy krzyki.

- Raczej się nie ucieszyli na nasz widok - powiedział Ulfar. - Dwóch mężczyzn, obaj zupełnie obłąkani. Wzięli nas za ludzi Widłobrodego i w pewnym momencie zaatakowali.

- Szkoda - mruknął Sven. Więc nawet nie zdążyli wskazać drogi?

- Nie - odpowiedział Audun. ~ Ale nie sądzę, aby coś wiedzieli.

- Cóż. - Sven westchnął. Nie zaszkodziło spróbować. Myślicie, że pójdą za nami?

Ulfar przegonił z pamięci obraz, nóg, które wierzgały, kiedy drewniany drąg rozłupywał czaszki chłopów, kończąc ich żywot. Miał poczucie, że jednak wyświadczył im przysługę.

- Nie pójdą - odpowiedział.

- Wędrowałeś z Widłobrodym - Sigurd odezwał się do Auduna. - Co nam powiesz?

- Niewiele - odparł Audun. - Wielki jak dąb, silny jak wół, ma trzy ramiona i tak dalej, i tak dalej...

- Jak organizuje swoje siły?

- Oddziały po około dwunastu ludzi krążą samodzielnie, tupią i palą, co napotkają na swojej drodze - wtrącił się Ulfar.

- Widzisz? Nie mówiłem? - odezwał się Sven z błyskiem w oku.

- Co? - Ulfar nic rozumiał.

- Och, nic takiego — powiedział Sven. — Nie ma o czym mówić. Tak tylko sobie myślę. — W kroku starca była niewiarygodna sprężystość, gdy jednym susem stanął naraz przy Sigurdzie. - Tylko sobie myślę - powtórzył do nikogo.

Daleko za ich plecami ogromny czarny lis wymknął się niezauważony z gospodarstwa i znikł w półmroku pobliskiego młodniaka.

*

Odczuwając podwójnie ciężar każdego ze swych lat długiego życia, Thormund owinął się szczelniej futrami i nie po raz pierwszy pomyślał z żalem, że chętnie powróciłby do radości narażania życia podczas kradzieży koni. Odkąd został osaczony przez armię Widłobrodego i musiał dołączyć do szaleńca z Północy, jego życie zmieniło się z marnego w jeszcze marniejsze. Po tym, jak w środku nocy berserk został ranny, a połowa jego ludzi po prostu zniknęła, oddział stopniał do niego, Piszczalki oraz sześciu innych ludzi. Wkrótce napotkali kolejny oddział Widłobrodego, dowodzony przez Oskarła, potężnego wojownika ze Wschodu. Najemnik, przerastający Thormunda o głowę, natychmiast wziął ich pod rozkazy. Kulał mocno, ale sękaty kij, którym się wspierał, gruby był jak pięść, a jego koniec znaczyły zaschłe plamy w różnych odcieniach brązu i czerwieni. Thormund aż nadto dobrze wiedział, że nie warto kwestionować władzy takiego człowieka.

Było ich teraz dwudziestu, wyziębionych, przemokniętych i głodnych.

- Pierdolić to — mruknął pod nosem. - Wszystko, co najmniej dwa razy, ostrym kawałkiem sosnowej kory...

Nie był dowódcą, ale tego akurat nie musiał teraz żałować.

Po zachodzie słońca rozbili obozowisko. Oskarł optymistycznie wysłał na polowanie dwu ludzi, którzy niespodziewanie, wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi, wrócili z parą bażantów. Rzecz jasna nie starczyły dla wszystkich i pierwsi dorwali się do mięsa najwięksi wojownicy. Thormundowi udało się przejąć kościste palce ptasich łap, którymi podzielił się z Piszczalką. Usiedli na skraju kręgu wokół ogniska, za plecami ludzi Oskarła.

- Wojna nie jest taka heroiczna, jak mi się wydawało - stwierdził Piszczalka.

Jego szczęka była już w porządku, ale zrosła się nierówno i usta młodego człowieka wyglądały tak, jakby krzywiły się w nieustającym grymasie gniewu.

- Większość rzeczy nie jest heroiczna - odparł Thormund. - Naprawdę. Ani trochę.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w rozmowy wojowników przy ognisku. Nagle z mroku dobiegł głęboki, ochryply głos:

- Dobry wieczór!

Oskarł zerwał się na nogi, zadziwiająco szybko jak na mężczyznę swojej postury, a do tego chromego.

- Kto tam?! - krzyknął, przeszywając wzrokiem ciemność, na wpół oślepiony blaskiem bijącym z ogniska.

- Spokojnie, synu — odezwał się drugi głos. — Nie ma powodu do obaw, dwóch strudzonych starców chciałoby się trochę ogrzać.

W krąg ogniska weszło dwóch siwobrodych mężczyzn i stanęło przy Oskarlu. Serce Thormunda zabiło gwałtownie.

Piszczalka był już prawie na nogach, gdy stary koniokrad złapał brzeg jego szaty i ściągnął go z powrotem na ziemię.

- Nie - syknął szeptem.

- Dlaczego nie? - zdziwił się chłopak, ale Thormund tylko pokręcił głową.
- Ty jesteś dowódcą? - zapytał pierwszy przybysz.
- Kto pyta? - rzucił Oskarł, robiąc mały krok wstecz.
- Jestem Sigurd Aegisson — powiedział mężczyzna. — Szukam króla Widłobrodego, a ty mi w tym pomożesz.

- Pierdol się, stary przyku — warknął Oskarł. - Zmusisz mnie?
- Ja nie - odpowiedział starzec. — Oni.

W ostatniej chwili Thormund dostrzegł ruch po swojej prawej stronie i podniósł oczy. Patrzył na znajomą twarz: berserk z Północy, który stał teraz spokojnie u boku wysokiego, młodego mężczyzny. Blask ogniska tańczył po ich obliczach. Ostrożnie, bardzo łagodnie berserk uniósł rozwartą dłoń: nie ruszać się, nie odzywać. Thormund rozejrzał się uważnie. Ognisko otaczały ciche, nieruchome postacie z różnymi, gotowymi do użycia narzędziami zbrodni w rękach.

Oskarł obrócił się do obu starców.

- Czego chcecie?
- Ci wszyscy są teraz moimi ludźmi. Ty również. Jasne? - powiedział mężczyzna, który przedstawił się jako Sigurd.

Człowiek Wschodu ruszył niewiarygodnie szybko. Chwycił swój sękaty kij i niemal w tej samej chwili zrobił zamach, mierząc w głowę starca. Drogę zamknęła mu twarda rękojeść długiego topora.

- Dość, synu - powiedział drugi siwobrody.

Koścista ręka z niezwykłą siłą przytrzymała pas Oskarła, a w skórę na jego gardle wpijało się zimne ostrze sztyletu. Ten niższy mężczyzna z brodą stał bardzo blisko Oskarła. Spojrzał mu prosto w oczy i powiedział:

- Kawał chłopca z ciebie, nic powiem, ale nic osłaniałeś swojej słabej strony i trochę urosłem.

Wystarczy, że kaszlnę, a ty zginiesz albo pięknie zaśpiewasz.

Potężny człowiek Wschodu spuścił wzrok.

- Nic mogłem nie próbować - powiedział z silnym akcentem. Rozumiesz.
- Rozumiem - odparł starzec o gęstej brodzie.

Audun ukląkł.

- To Sven - szepnął. - Ze Stenviku, mojego grodu. Wodzem jest Sigurd.

- Mam wrażenie, że gdzie już ich widziałem - powiedział szeptem Thormund. - Ten dzień jest coraz lepszy.

-Nie ruszajcie się! - warknął Oskarł do swoich ludzi. - Sigurd jest teraz dowódcą. Ktoś ma jakiś problem?

Nie wydawało się, by którykolwiek z jego ludzi miał ochotę zaprotestować. Thormund patrzył, jak po drugiej stronie ogniska wódz wydaje rozkazy, a potem wojownicy przyłączają się do niego i starca z gęstą brodą, gdy ci obchodzą ich szeregi, by w końcu usiąść spokojnie. Stojący z tyłu wojownicy zabrali się do wydzielania porcji mięsa.

- To ten twój Szwed, jak się domyślam - powiedział Thormund, wskazując Ulfara.
- To ten Szwed - potwierdził Audun.

Wysoki mężczyzna usiadł przy nich.

- Ulfar - powiedział na powitanie.
- Thormund. A to jest...

Piszczątka już chciał sam się odezwać, kiedy ponad strzelającymi iskrami ognia poniósł się donośny, silny głos Svena:

- Słuchajcie mnie, chłopcy! Razem z Sigurdem Aegissonem szukamy króla Swena Widłobrodego.

Kiedy go znajdziemy i wyjaśnimy, czego nam trzeba, ruszy z nami jeszcze dalej na północ i stoczy tam wielką bitwę. Czeka nas tam krew, nie ogrzeje cieplejszy wiatr, ale jedzenia będzie w bród i łupów nie

zabraknie. Jestem już starym człowiekiem, zawodzą mnie pamięć i wzrok. — Na te słowa Oskarł uśmiechnął się ironicznie pod nosem. - Nie policzyłem was jeszcze. Ale policzę niebawem. Jeśli wtedy nadal tu będziecie, to znaczy, że zostajecie z nami. Jasne?

Dwóch ludzi Thormunda bez słowa wyszło z kręgu i po chwili zniknęło w ciemności. Dwóch innych z grupy Oskarła odeszło w przeciwnym kierunku. Nikt nie zwracał na nich uwagi i nikt więcej nie ruszył się z miejsca.

- W porządku. Zatem szesnastu, jak widzę. Witajcie, chłopcy! Jak powiedziałem, moje imię brzmi Sven, a to Sigurd Aegisson. Pochodzimy z grodu, który się nazywa Stenvik. Obiło się wam o uszy? Nie? To posłuchajcie jego historii.

Szwed usiadł przy nich.

- Potem będziemy się przedstawiać - powiedział do Piszczalki. - Stary Sven wie, jak snuć długie opowieści.

Na niebie nad ich głowami błyszczały świetliste punkciki, a Thormund zaczął się zastanawiać, czy jego żywot może być jeszcze marniejszy.

*

W ciągu następnych czterech dni zagarnęli trzy dalsze grupy króla Widłobrodego. Z Sigurdem i Svenem ciągnęło teraz stu pięćdziesięciu ludzi, trzymany w ryzach przez wojowników Stenviku. Po zaledwie dwóch dniach Ulfar odkrył, że nie rozpoznaje w grupie nowych przybyszów. Ludzie Sigurda szybko ich nauczyli, że lepiej nie wychylać głowy, lecz robić to co wszyscy. Zimno i głód pomagały odnajdywać najprostsza drogę.

Zima zaciskała swoje kleszcze. Nad ranem sypał gęsty śnieg i choć po południu wiatr go rozwiewał, to zawsze pozostawało go trochę do następnego dnia. Krajobraz coraz bardziej białiał.

Czwartego dnia w samo południe Sven skinął na Sigurda, który zatrzymał kolumnę. Po bokach ciągnęła się równina, ale przed nimi, na tle bieli i szarości, zamajaczyła czarna smuga sosnowego lasu.

- Co się dzieje? - zapytał Thormund.

- Nie wiem... - Ulfar zamilkł, wyciągając szyję i próbując dojrzeć, co takiego zauważyli Sven i Sigurd. - Ale wydaje mi się... _ powiedział po chwili.

- Tam! - przerwał mu Piszczalka i wyciągnął gwałtownie rękę w stronę sosnowego lasu. — Żołnierze. Dużo żołnierzy.

- Masz rację - mruknął Thormund. - Dużo i jeszcze trochę.

Nad ich głowami formowały się gęste chmury w odcieniach szarości i bieli. Sosnowy las był oddalony o kilometr, a zbrojni żołnierze nadal się pojawiali.

- Jak na moje oko, będzie ich najmniej setka - dokończył Thormund.

- Formować szyki! - krzyknął Sven ochrypłym głosem. - Dziesięciu na czoło! Kto ma tarczę, na front!

Wojownicy ze Stenviku sprawnie ustawili nowych kompanów. Niebawem Sven i Sigurd stanęli na czele zwartego czworoboku tarcz.

- Audun! Ulfar! - ryknął Sven. - Do mnie, wy bezużyteczne cycki!

Audun westchnął, sięgnął po tobół, wyciągnął młoty i zawiesił je u pasa. Ciężar, który poczuł na biodrach, dodał mu pewności siebie. Ulfar stał już parę kroków przed nim i rozmawiał z Sigurdem.

- Nie wiem... — mówił. — Na mój rozum to mało prawdopodobne.

- Cóż - powiedział Sven — rozum cię jednak zawodzi. Alfgeira Bjornego potrafię wywachać z dużo większej odległości. Obaj nam się przydadcie. Audunie, postaraj się wyglądać strasznie.

Ulfar prychnął.

- O to nie musi się starać.

Naraz Audun uzmysłowił sobie ciężar dusz, które otaczający go wojownicy' wysłali do Walhalli, i zdał sobie sprawę, że w końcu jest jednym z nich. „Możesz biec, jak długo chcesz, kowalu, ale od siebie

nie uciekniesz nigdy - pomyślał. - Twoje miejsce jest tutaj”.

- Dostrzegli nas - ostrzegł Sigurd.

- Mam nadzieję - stwierdził Sven. - Nie wróżyłbym im dobrze na przyszłość, gdyby dali się podejść setce wojowników.

Audun usłyszał ciche śmiechy w szeregach. Stary szelma wiedział, jak podnieść ducha wśród żołnierzy.

Sigurd wskazał las i ruszył przed siebie.

-Naprzód! - huknął Sven. - Trzymać szyk. Chcemy rozmawiać, ale nie będziemy kłaść się na plecy i prosić o pieszczoty.

Wojownicy idealnie utrzymywali czworobok. Audun słyszał, jak Oskarł wywrzaskuje komendy, szybko wchodząc w rolę psa pasterskiego.

Grupa po przeciwnej stronie wyraźnie się rozrosła. Na jej czele można było rozpoznać dwóch ludzi: smukłego, wysokiego mężczyznę oraz postać niedźwiedziej postury.

- Miałeś rację - powiedział Ulfar. - To Jolawer Scot i Alfgeir.

Obok tej dwójki stał wysoki mężczyzna. W ogólnej szarości skór i wełny wyróżniał się bielą, w którą odziany był od stóp do głów.

Ulfitr przełknął ślinę i wziął głęboki oddech.

- To... Karle. Kuzyn króla. Utrzymuje, że takie pokrewieństwo czyni go księciem. Podczas mojej podróży na południe usiłował mnie zabić.

- Rozumiem - powiedział Sigurd. - Zachowaj to dla siebie i przez parę dni niech nie przychodzą ci do głowy żadne głupstwa.

-Ja...

- Bez żadnych zasranych dyskusji - uciął Sven. - Sigurd. Polem ja. Potem Oskarł. Nikt inny nie podejmuje decyzji w żadnej kwestii. Teraz zawieramy przymierze. Spory zostawiamy na później. Jasne?

- Jasne — powiedział Ulfar.

- Na moją komendę - rzekł głośno Sigurd. - Naprzód marsz!

Audun poczuł, że idący za nim ludzie zrównali krok, maszerując z pełną determinacją w jednym rytmie. Śnieg sypał i podnosił się puchem spod butów stu pięćdziesięciu żołnierzy, ośmielonych wspólnym celem i wspólnym dowództwem.

W odległości mniej więcej stu kroków Sigurd uniósł wysoko rękę i wszyscy wojownicy stanęli w miejscu.

*

Audun spojrzał na stojących przed nimi ludzi. Było ich w tej chwili siedmiuset, może ośmiuset. Wełniane płaszcze do kolan, włócznie, topory i miecze, okrągłe tarcze sporych rozmiarów, małe puklerze, tu i ówdzie błysk kolczugi. Część uzbrojenia nosiła ślady walk, a część wyglądała tak, jakby od dłuższego czasu rdzewiała w szopie.

Ludzie wyglądali rozmaicie.

Spojrzenie Auduna mimowolnie przyciągnęła wysoka postać w bieli. Mężczyzna miał pociągłą twarz, zamkniętą w ramie długich, prostych i jasnych włosów. Puch świeżego śniegu pokrywał jego całe odzienie: gruby, obsyty futrem płaszcz, który musiał być przywieziony z Rusi, a do tego wysokie buty, również białe, wyglądające na wyjątkowo kosztowne. W ręku trzymał odpowiadający swemu wzrostowi łuk z długim łęczyskiem, a wyglądał przy tym na człowieka, który doskonale wie, jak się z nim obchodzić.

Obok stał człowiek potężny jak niedźwiedź, niemal równie wysoki, za to dwukrotnie szerszy. Audun domyślał się, że to Altgeir Bjorne, ojciec Geiriego.

Stojący u boku Alfgeira chudy, ale umięśniony młodzieniec wyglądał ledwie jak gałąź obok drzewa. Odgarnięte z policzków długie jasne włosy otaczały niespokojnymi pasmami wąską, jakby ptasią twarz, kanciasty nos i bystre oczy, rzucające szybkie spojrzenia na boki. Na wąskich ramionach wisiła peleryna

z niedźwiedziej skóry, zapięta pod szyją srebrnym łańcuchem. Młody człowiek wyraźnie wolał zwykłe ubranie wędrowca w odcieniach brązu i szarości. Na głowie miał metalową, zdobioną opaskę i chociaż zdawał się robić wrażenie człowieka, którego zmiotłby silniejszy powiew wiatru, nosił się z królewską godnością.

- Król szwedzki Jolawer Scot chce wiedzieć, co robicie na jego ziemi! - zawołał Alfgeir.

Sigurd ukląkł bez słowa, a za jego plecami to samo uczyniło ponad stu wojowników. Spóźniony o pół kroku Audun pojął, że również oni powinni uklęknąć.

Spuściwszy głowę, wyszeptał do Ulfara.

- O co chodzi?

- Sigurd słusznie postępuje - odpowiedział Ulfar. - Idź za jego przykładem.

- Przybywamy z zachodu. Pragniemy prosić króla o posłuchanie - odpowiedział Sigurd, nie podnosząc wzroku.

Nastała długa cisza. Audun odważył się podnieść lekko głowę i zobaczył, jak trzech mężczyzn mówi coś do siebie nawzajem.

Parę chwil później nad równiną rozbrzmiał głos Alfgeira:

- Spotkajmy się w połowie odległości!

Sigurd i Sven wstali z kolan.

- Audun, Ulfar, Oskarl, idźcie z nami - oznajmił Sven. - Reszta wstać. Nie róbcie takich wystraszonych min. Przecież stąd czuć, jak fajdają w gacie ze strachu.

Ten i ów zarechotał, a po chwili znów dały się słyszeć pogawędki.

- Ulfar, powiesz nam o nim coś ciekawego? - zapytał Sven pod nosem, gdy szli na miejsce spotkania.

Ulfar zastanowił się nad odpowiedzią.

- Król jest młody, ale nie można go nie doceniać — mruknął wreszcie.

- Świetnie - sarknął Sven. — Nie będziemy wkładać ręki w paszczę Fenrira.

- Sądziłem, że jest starszy - powiedział Oskarl.

-To Eryk — odparł mimowolnie Ulfar. - Ojciec.

- Co racja, to racja, ojcowie często są starsi od synów - rzucił Oskarl.

- Dość już! — burknął Sven. - Odtąd niepytani się nie odzywają.

Sigurd się zatrzymał. Jego czterej towarzysze zrównali się z nim i wszyscy stanęli w jednym szeregu. Naprzeciw ustawili się Alfgeir, król Jolawer Scot i Karle.

Wielki mężczyzna dostrzegł Ulfara i Audun mógłby przysiąc, że się uśmiechnął.

- Witajcie, wędrowcy - odezwał się Jolawer. - Widzę wśród was naszego kuzyna Ulfara.

- Zaszczyca nas swym towarzystwem - powiedział Sigurd.

-To zabawne, skoro nie ma wśród was nikogo w kiece, wojowniku - rzucił Karle.

- Ha! A to wzięli go na języki! - odparł Sven z uśmiechem i skinął głową w stronę Sigurda. - Może ten stary kocmołuch włoży jaką kieckę, jeśli chcesz, wojowniku?

Jolawer Scot wyglądał na zirytowanego.

- Obejdzie się - odparł krótko.

- Czy aby na pewno? Taka propozycja zdarza się raz w życiu. Ma zgrabne i silne nogi - zarechotał Sven.

Karle zdawał się być rozdarty między czymś w rodzaju rozbawienia a zniesmaczenia. Alfgeir Björne uśmiechał się wesoło.

- Dosyć - powiedział Sigurd spokojnym, niemal kojącym głosem. - Jak mniemam, panie, doszły cię słuchy o wydarzeniach w Stenviku?

Audun nie poznawał swojego opryskliwego i gburowatego dowódcy. Ten człowiek zdecydowanie wiedział, jak przemawiać do króla.

- Doszły - potwierdził młody król.
- Zamierzamy zebrać siły lub dołączyć do większej armii, by ruszyć na króla Olafa - powiedział Sigurd. - Zgarnęliśmy już parę band Widłobrodego...

...i naturalnie zamierzamy je oddać — dokończył Sven ze źle skrywaną radością.

Jolawer Scot odwrócił głowę do Alfgeira i przez chwilę mówił mu coś do ucha, a ten wymruczał coś w odpowiedzi.

Po krótkiej chwili namysłu Jolawer spojrzął na Sigurda.

- Który waszym zdaniem stanowi dziś większe zagrożenie? Widłobrody czy Olaf?
- Olaf - odpowiedział bez wahania Sigurd. - Widłobrody bije głośno w tarcze, ale to pod krzyżem leje się więcej krwi.
- Myślicie, że Swen Widłobrody przystanie na propozycję?
- Cóż - powiedział Sigurd, a jego twarz spoważniała. - Mówiąc między nami, na ten temat można długo dyskutować.

Nastąpiła cisza. Przerwał ją Jolawer Scot, który zrobił trzy kroki naprzód i wyciągnął rękę do Sigurda. Audun spostrzegł, jak Alfgeir Björne napina mięśnie, ale tylko na ułamek chwali, by zaraz odetchnąć z ulgą.

- Sigurdzie Aegissonie ze Stenviku. Przyłącz się do nas, a ruszymy na północ, by odszukać króla Olafa.

Sigurd z rozmachem uderzył w dłoń Jolawera, a Audun zauważył ze zdumieniem, że młody król uściśnął rękę ze swobodą i nawet się nie zachwiał.

- Zatem zgoda - orzekł Sven. - Miło cię znów widzieć, stary niedźwiedziu — pozdrowił Alfgeira, który w odpowiedzi uniósł rękę.

Kiedy Audun przeniósł spojrzenie na człowieka o imieniu Karle, ten już zmierzał do swojej grupy.

- To naprawdę ktoś, ten tam - powiedział Oskarł.
- Nie będę się spierał - odparł Ulfar.

Sigurd i Sven nie odezwali się, dopóki nie wrócili do swoich ludzi. Gdy Sigurd stanął przed nimi, żeby przemówić, zapadła absolutna cisza.

- To władca szwedzkich ziem, Jolawer Scot - ogłosił. - Ma pod sobą ośmiuset ludzi i któregoś dnia zostanie wielkim królem. Radzę wam, aby każdy, kto chce w tym kraju mieć przyszłość, przystąpił dzisiaj do nas, ponieważ łączymy nasze siły z jego armią.

- Co z Widłobrodym? — zapytał Thormund.

- Widłobrodego znajdziemy — odpowiedział Sven. - Z nim również się połączymy. — To wywołało szmer podniesionych głosów i Sven znowu się odezwał: - Och, zamknijcie jadaczki, stare capy! Wszyscy walczymy o ten sam cel!

- Czyli o co? - krzyknął ktoś z daleka.

- Idziemy na północ.

Północna Dania, początek grudnia roku Pańskiego 996

Za górami i gęstymi borami, za taflą sinego morza z białymi grzywami, Smuga potrząsnęła łbem i prychnęła głośno. Helga z Ovregardu otuliła się mocniej grubym, podróżnym płaszczem i zacisnęła kaptur na głowie. Położyła się na szyi klaczy i szepnęła jej w ucho:

- Naprzód, dziewczynko, naprzód. Wszystko będzie dobrze. Wiem, że ci się nie podoba, ale tak trzeba.

Spięta konia ostrogami i ruszyła przed siebie ku zimnu, śmierci i niebezpieczeństwu.



Rozdział 2

Trondheim, północna Norwegia,
grudzień roku Pańskiego 996

W wielkiej komnacie jarla Haakona zajęty był każdy fragment wszystkich ław. Ogień huczał głośno, a obszyte futrami płaszcze dawno już zrzucono na ziemię. Najmężniejsi i najsilniejsi wojownicy świętej armii króla Olafa zajęci byli zachłannym uszczuplaniem zimowych zapasów niechętnego im gospodarza. Na końcu komnaty stary najeźdźca ze skąpą brodą wiódł prym w grupie kompanów entuzjastycznie zawodzących jakąś sprośną piosenkę. Delikatne pojękiwania skrzypiących futryn nie oddawały siły szalejącego na zewnątrz wichru.

Gdy uderzyła śnieżna burza, zabezpieczyli wszystkie otwory w ścianach. Następnego dnia zaryglowali drzwi wejściowe i długi dom był w tej chwili szczelnie, niemal całkowicie zamknięty. Do środka można było wejść tylko poprzez zasłonę z grubych skór, wiszących w bocznych, małych drzwiach od strony niewystawionej na wiatr.

Ludzie króla Olafa siedzieli wewnątrz niczym w pułapce, zasypani śniegiem jak wszyscy inni w Trondheim, ogrzewając przy ogniu ciała, a przy kuflach miodu duszę.

Król Olaf zmienił niewygodną pozycję na wysokim krześle i otarł pot ze skroni.

- Dosyć - mruknął.

Siedzący obok Hjalti pochylił się w jego stronę. Nowy przyboczny Olafa był chudym mężczyzną o rzadkim zaroście i miał w zwyczaju nerwowo mrugać, przez co przypominał niespokojnego jastrzębia.

- Czego, mój panie? Czego dosyć?

- Przestańcie dorzucać torf do ognia - powiedział Olaf. - Jest za gorąco.

Wstał ciężko i chwytając się dla równowagi poręczy, zaczął schodzić wolnym krokiem z podestu, a Hjalti już krzyczał do chłopca odpowiedzialnego za podtrzymywanie ognia.

- Za gorąco - wymamrotał król, przepychając się do wyjścia przez rozgrzane, mokre od potu ciała.

Wyciągnął rękę, ale wisząca w drzwiach skóra odchyliła się, zanim zdążył ją dotknąć. Król westchnął. Jeden z jego ludzi chciał być tak bardzo użyteczny w misji objawiania Chrystusa na tym zapomnianym przez Boga odludziu, że stał cierpliwie przy futrach i czekał, aż królowi zachce się sikać.

Zimny podmuch wiatru i śniegu uderzył go natychmiast w twarz i przegonił z głowy wszelkie problemy. To było coś więcej: świeże powietrze nie zalatywało brudnymi ludźmi i duszącym ogniem pod osmolonym sufitem. Wziął głęboki wdech, napełnił płuca powietrzem i wypuszczał je powoli, pragnąc,

by wraz z nim uszły wszystkie troski i kłopoty. Przed sobą miał Trondheim, rozciągnięte daleko mrowie chałup, które zdawały się przywierać do siebie, szukając ciepła pośród nieustającego zimna. Uderzyła go woń morskiej soli, a na policzkach czuł bolesne ukłucia drobnych igieł mrozu.

- ...mój królu? - Hjalti stanął w progu, ale wyraźnie nie chciał iść dalej na dwór. - Pamiętasz, królu, Gunnthora, jarla Dalarny?

Cisza.

- Przybędzie dziś wieczorem.

Olaf westchnął.

- Oczywiście. Wszyscy przybywają, wszyscy co do jednego.

Odwrócił się i powoli wrócił do długiego domu, czując na plecach smagnięcia wiatru.

* * *

- Potrzeba nam ludzi. Potrzeba kukurydzy. Nasze dzieci płaczą nocami - mówił Gunnthor, trzymając łokcie na stole.

Gęste, kasztanowe włosy opadały na zwieszony ramiona jarla, a jego błękitne oczy błyszcząły na zmęczonej, zoranej przez wiatr, ale otwartej i uczciwej twarzy. Olaf z trudem powstrzymał drwiący uśmiech. Co go to może obchodzić? Jeszcze rok wcześniej każdy z potężnych jarłów na Północy przeszyłby go włócznią za wyznawaną wiarę. Teraz kolejny już błaga o pomoc, siedząc w tylnym pokoju długiego domu Haakona, a niebawem zgromadzi się reszta, zejda się tu jak niedźwiedzie do ula, jak szczyry do mięsa. Jak muchy do trupa...

Przepędził z głowy złe myśli. „To nie czas na szukanie nowych wrogów” - pomyślał. Potrzebował przyjaciół.

- Zobaczymy, co da się zrobić. Nie mogę oddać ludzi, ale może znajdzie się trochę kukurydzy. Nie można dopuścić do tego, aby dzieci płakały.

Gunnthor się uśmiechnął.

- Niechaj będzie pozdrowiony król Olaf! Wiedziałem, że nie wolno dawać wiar)' krążącym opowieściom.

Siedzący po prawej stronie króla Hjalti zeszywniał i zmarszczył czoło.

- Jakim opowieściom? - zapytał.

Siwobrody jarl zdobył się przynajmniej na tyle łaskawości, aby przybrać zakłopotaną minę.

- Z pewnością dotarły także do twych uszu, panie. Pożogi, ofiary, królewski... apetyt?

-Jaki apetyt? O czym mówisz? Ja... - Hjalti splunął i sięgnął po miecz, ale król podniósł dłoń i powstrzymał go.

- Gunnthorze, masz rację. Nie powinieneś dawać wiary takim opowieściom. - Olaf uśmiechnął się do starego jarla. - Dziękuję ci za twoją mądrość.

-A ja dziękuję ci, panie, za hojność twego ducha, w imię Białego Chrystusa. - Słowa te zabrzmiały niezręcznie w ustach starego wodza. -Jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić, panie...

- Jest jedna rzecz... - powiedział po namyśle król. - Przemów do swojego ludu. Powiedz, co tutaj widziałeś. Mów do ludzi w chwili, gdy trzymają w rękach chleb, nie wcześniej, nie później. Wiem, że to, co czynię, nie przysporzy mi miłości ludu, ale nie mam zamiaru zdobywać ich serc. - Król pochylił się do przodu. - Chcę zdobywać ich nieśmiertelne dusze. - Nie bez pewnego zadowolenia zauważył, że Gunnthor nie odchylił się i nie cofnął ze strachu.

- Powiem to swojemu ludowi, panie.

Kiedy jarl wypowiedział słowa pożegnania i oddalił się pośpiesznie, Hjalti charknął głośno i splunął.

- Władca błot i cuchnących owiec — burknął szyderczo z uśmiechem. - Zdobędzie parę worów ziarna tylko dlatego, że jest wystarczająco szczywany, by zdążyć tu przed innymi. Ale daj mu do ręki miecz, a będzie próbował orać nim pole.

- Być może - powiedział król. — Ale czy kiedykolwiek przejechał ci ktoś pługiem po nodze? Hjalti milczał przez chwilę, czekając na znak, że to żart, ale nie otrzymał go i przełknął ślinę.

- Nie — odparł. — Nigdy.

-I niech tak zostanie. Pochodzisz z tych stron, Hjalti, prawda? -Wyjechałem stąd w młodości, żeby zaciągnąć się na łupieskie wyprawy, ale gospodarstwo mojego ojca stoi sześć dni drogi stąd na południe, w małej wiosce nad brzegiem morza.

- Rozumiem. No dobrze, kto następny?

-Jarl Haakon chce z tobą rozmawiać, panie.

Król Olaf nawet nie próbował ukryć grymasu niechęci.

- Niech wejdzie - powiedział. - Przyjmę go w jego własnej komnacie.

Kiedy Hjalti zniknął za drzwiami, król Olaf przeszedł do wielkiej komnaty. Pijackie zaśpiewy były dużo głośniejsze. Grupa wojowników z południa kraju, jak można było sądzić po wyglądzie, podjęła wyzwanie i wrykiwała starą, sprośną rymowaną o Lokim i kozie. Olaf był jedynym, który zauważył wejście Haakona. Odkąd jarl dobił ze swoją flotą do wrót jego miasta, wyraźnie przygasł. W drzwiach, które niegdyś musiał wypełniać swoją potężną posturą, bardziej przypominał zmęczonego życiem starca niż władcę rządzącego żelazną ręką. Szurając nogami, wszedł wolno do środka i usiadł przy stole naprzeciw króla. Zaraz też zjawił się Hjalti. Przeszedł na drugą stronę i zajął miejsce po prawej stronie Olafa.

-Wasza Wysokość... — zaczął Haakon ciężkim głosem, a Olaf powstrzymywał w sobie odruch, by doskoczyć do niego i wydobyć z niego słowa bolesnym policzkiem. — Ty nie... to znaczy twoi ludzie nie... Potrzeba mi więcej jadła, więcej torfu do paleniska, muszę ogrzać zziębnięte kości.

-Twoje kości są zziębnięte, bo jest zima, a ty jesteś stary Powiedz lepiej coś o Gunnthorze — polecił Olaf.

Twarz Haakona oblał rumieniec, a jego opuszczone dłonie zacisnęły się w pięści.

„Doskonale — pomyślał król. — To go na chwilę rozgrzeje”.

- Gunnthor to porządny człowiek - powiedział stary człowiek. -Dba o swój lud.

- Można mu zaufać? — zapytał Hjalti.

Haakon strzelił oczami w stronę króla. Olaf uśmiechnął się lekko, a wódz odwzajemnił uśmiech i przez krótką chwilę obu połączyła jakaś nić zrozumienia.

- Och, tak - odparł z przekąsem Haakon. - To porządny człowiek. Już powiedziałem. Możesz mu zaufać. Zdecydowanie.

Hjalti odchylił się, wyraźnie usatysfakcjonowany.

„Musi się jeszcze wiele nauczyć - pomyślał Olaf o swoim przybocznym. — Nie pytasz wroga o to, komu możesz zaufać”.

- Strawa dla jarla! - krzyknął król i parę chwil potem jeden z miejscowych chłopców przybiegł z suto wypełnioną misą.

Nie spuszczając wzroku z jedzącego łapczywie Haakona, król Olaf nachylił się do Hjaltiego.

- Sprawdź, czy nie zmieniła się pogoda. Czuję coś w kościach.

Hjalti wstał w milczeniu i odszedł w stronę zasłony ze skór. Król Olaf odprowadził go wzrokiem, a potem przywołał Einara. Wysoki chłopak stanął na czele myśliwych, pomimo młodego wieku. Ludzie opowiadali, że z odległości stu kroków trafiał w dziób kosa, a połowa kociołków z gulaszem to jego osobista zasługa. Był spokojny, skuteczny i lojalny, i nie po raz pierwszy król Olaf modlił się w duchu, aby Bóg zsyłał mu więcej takich ludzi.

- Jakież wieści od wędrowców? - zapytał król.

Einar zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Nie, Wasza Wysokość, wciąż nic. Moi chłopcy widzieli z daleka oddział jarla Storreka, ale sami pozostali niezauważeni. - Zamilkł na moment i dodał: - Jest zimno.

- Żadnego śladu Valgarda?
- Nic - odpowiedział myśliwy.

Król odesłał Einara gestem ręki, a w wejściu pojawił się znów Hjalti i oznajmił:

- Wiatr cichnie, mój panie.
- Haakonie! - powiedział król Olaf, gdy stary jarl przełknął ostatnią łyżkę stawy. - Powiedz coś o gościach, których się tutaj spodziewamy.

*

Niebo miało kolor rozkwitłych wiosną dzwoneczków, a promienie słońca migotały na krystalicznym śniegu, zamarzniętym w twardą, iskrzącą skorupę. Cała kolumna, zarówno ludzie, jak i konie, posuwała się naprzód bardzo powoli.

Na czele szedł barczysty młodzieniec prowadzący za uzdę konia o jabłkowitej maści. Z nadąsaną miną wbijał kij w kruchą pokrywę, wyszukując w zmrożonym dywanie dogodnej drogi.

- Nienawidzę go, nienawidzę go, nienawidzę go... - mruczał pod nosem.
- Zamknij się, Heimir — warknął siedzący na koniu jeździec.

Jarl Udal był silnym i postawnym mężczyzną z gęstą, rudą brodą, idealnie pasującą do rudego warkocza, w którym dostrzec można było tylko parę siwych pasm.

- Zamknij się i uważaj, co mówisz - rzucił ze złością.
- Ale ojcze, po co tam jedziemy? Sam mówiłeś, że on jest...
- Dobrze wiem, co mówiłem! — zagrzmiał Udal. — Jeśli znów to powtórzysz, jeszcze raz

rozkwaszę ci nos. Pamiętasz psa swojego wuja?

-Tego, który zaczął gryźć?

-Tak.

- Oczywiście. Dlaczego?

Daleko przed nimi na jasnoniebieskim niebie pojawiły się szare chmury. Jarl Udal charknął i splunął w śnieg długim łukiem.

- Nie możesz podchodzić do psa w taki sposób. Najpierw musisz rzucić mu karmę, może podrapać za uchem, aż w końcu ci zaufa. Dopiero wtedy...

Heimar Udalsen odwrócił głowę i spojrzał z uznaniem na ojca, który wynagrodził mu to szerokim uśmiechem, ukazując rząd nierównych, żółkniejących zębów.

- ...wtedy bierzesz się do rozwiązania problemu. Rozumiesz? Chłopak uśmiechnął się.
- Rozumiem — powiedział, a potem odwrócił się i ze wzmożoną energią zaczął brnąć przez śnieg.

Jarl Udal uśmiechnął się pod nosem. Zapowiadała się świetna wyprawa.

*

W tym samym czasie, dwie doliny dalej, jarl Storrek podrapał się po tyłku i głośno pierdnął.

- Mam tego dosyć! - wrzasnął wściekle. - Zastrany król! Wzywa nas do siebie jak, jak... Kogo?

Jakbyśmy byli ufajdanymi psami pasterskimi!

Pięciu wojowników w jego kolumnie wiedziało, że lepiej się nie odzywać. Szli dalej za opasłym wodzem, ostrożnie krocząc w pozostawionych przez niego śladach.

- Zjeżdża ze swoim wojskiem, pomiata biednym, starym Haakonem i co? Naprawdę myśli, że padniemy przed nim na kolana? Fenrir może mu naszczać w oko! — burczał pod gęstą brodą.

Idący za nim wojownik krzyknął i wyciągnął w górę wyprostowaną rękę, wskazując stado lecących na południe głuptaków.

- Nawet ptaszyska do niego lecą - rzucił Storrek. - Mam nadzieję, że go obsrają. Ruszać się!

Żwawiej!

Pomstując nieustannie na wszystkich i na nikogo, szedł dalej niezgrabnie przez śnieg.

*

Noc była zimna i bezgwiezdna. Nad wioską wisały ciężkie, czarne chmury. Siedzący na białym

rumaku król Olaf Tryggvason, prawowity władca Norwegii i orędownik Białego Chrystusa, odchylił się w siodle i odczekał chwilę, rozkoszując się zapachem palonej smoły z pochodni, które otaczały kręgiem osadę.

— Kto tutaj jest wodzem?! — zawołał Finn w ciemną noc.

„Ma świetny głos” — pomyślał król. Finn Szczere Serce. Siary, dobry, wierny Finn. Bystry jak obity młot kowalski. Ale zawsze użyteczny.

Wiatr przywiał podniesione głosy i tuż przed nim poruszyło się coś w ciemności.

- Są gotowi, mój panie - ktoś zameldował cicho przy jego kolanie.

Król Olaf nie odpowiedział. Poprawił na głowie zdobioną, metalową opaskę, która zastępowała koronę - cholersko nieznosnie uwierało - i trącił rumaka ostrogami. Koń ruszył stępa w stronę ognisk. Olaf nigdy nie szczędził czasu, aby dobrze wyćwiczyć zwierzę. Ludzie musieli widzieć, że król panuje nad swoim otoczeniem. Trudno oczekiwać, byś miał władać królestwem, jeżeli nie potrafisz, utrzymać na wodzy własnego konia.

Ludzie rozstępowali się przed nim niczym morze przed Mojżeszem, a spomiędzy ściśniętych postaci wylała się smuga światła.

Wioska wyglądała tak, jak się tego spodziewał. Podjechał w stronę środkowego placu, pod świątynię, gdzie Finn ustawił w szeregu starszyznę. Tam ściągnął cugle, zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię-Świadomy spojrzeń, obszedł świątynię wolnym krokiem. Wiszący jego piersi krzyż wydawał się ciężki i król cieszył się, że wciąż czuje w sercu płomień wiary. Osądzi ich wedle zachowania.

Odwrócił się do zgromadzonych chłopów i zmierzył przywódcę starszyny zimnym wzrokiem, najzimniejszym, na jaki potrafił się zdobyć.

- Kto jest twoim bogiem?

Mężczyzna spojrzał na niego zaskoczony i prychnął lekceważąco. -To ci dopiero... Ha! Podchwytliwe pytanie!

Olaf poczuł ukłucie zazdrości. Nie należał do ludzi zadufanych w sobie, ale musiał w duchu przyznać, że chciałby mieć wzrost przywódcy tej wioski, który swojego przyszłego króla przewyższał niemal o głowę. Był rośli i przystojny, o czarnych włosach opadających na barki, o zielonych, iskrzących oczach i lisim uśmiechu, który jednak promieniał z każdą chwilą.

- Bardzo podchwytliwe. Bardzo.

Finn uderzył go pięścią w usta.

- Szanuj króla! - warknął groźnie.

Mężczyzna nawet się nie zachwiał. Z rozciętej wargi pociekła mu strużka gęstego, błękitnego płynu, ale niemal natychmiast zaschła. Finn stał zdumiony.

-Ty robaku...

Zamierzył się jeszcze raz na człowieka, ale w tym samym momencie, w pół zamachu, zastygł nagle i zakasłał. Ręka chłopu błyskawicznie wróciła do boku, a w dłoni widać było ociekającą krwią, drewnianą szczapę. Finn padł na kolana, charcząc i chwytając się za gardło. Olaf sięgnął po miecz, ale nie znalazł go za pasem.

- Do ataku! - krzyknął, ale nikt się nie poruszył.

Przywódca starszyny otarł usta wierzchem dłoni.

- Przyznasz chyba, że nader to nietaktowna rzecz nachodzić czyjś dom, zwoływać domowników i nakazywać im, co mają robić, jak mają stać, jak chodzić, w co wierzyć... Zgodzisz się?

Olaf krzyknął na swe ciało, aby się ruszyło, ale ono ani drgnęło, nie mogło się ruszyć.

- Ja... Ja przynoszę słowo...

- ...słowo Białego Chrystusa. Tak, tak, wiem... Widzieliśmy cię wcześniej, inne imię, inna twarz, ale wszyscy cię widzieliśmy.

Nagle przywódca wioski zaczął ulegać jakiejś... metamorfozie. Jego odzienie nie przypominało już

chłopskich łachów. Jego postać zaczęła nabierać kolorów w blasku ogniska; peleryna przesiąkła purpurą, a koszula nasyciła się soczystą zielenią.

-Właśnie o tym musielibyśmy trochę porozmawiać... Mężczyzna trącił nogą trupa Finna, spuścił na niego oczy i uśmiechnął się szeroko.

- Biedny Finn. A tak się starał, prawda? - W końcu przeniósł znowu wzrok na króla Olafa. - Nic tu dla ciebie nie ma - powiedział, a jego twarz nagle stężała.

Postąpił krok naprzód.

Olaf wyczuł za plecami czyjąś obecność, ale było już za późno. Potężne dłonie opadły mu na ramiona i uniosły jego ręce, wystawiając pierś na uderzenia. Wierzgnął nogami i w coś trafił, ale było to coś grubego i twardego, coś, co w żaden sposób nie zareagowało. Poczuł jakby ból, gdy pociągnięto go raptownie w górę. Serce mu waliło, tuż za sobą słyszał niski dźwięk, jakby przeciągły zgrzyt. Próbował się odwrócić, ale kolejne dłonie spoczęły na jego głowie, dużo dłoni, silnych i szerokich, które trzymały go mocno dobry metr nad ziemią.

Za nim pojawił się cień i padł na jego ramię. Znajomy kształt krzyża bynajmniej nie wywołał w nim poczucia ulgi.

Zwrócił głowę w stronę przywódcy wioski, który trzymał w ręku drewniany młotek.

-Jak to ludzie powiadają... — odezwał się przywódca z uśmiechem na twarzy. — Jeżeli pozostaje ci tylko młotek w ręku, to każdy problem staje się gwoździem.

Wtedy ogarnął Olafa zapach śmierci, chłód sinych, sztywnych ciał. Zobaczył stojących w kręgu żołnierzy. Wszyscy byli potężni, spokojni i błękitni jak góry w oddali.

Stawiał opór, szamotał się, gdy ciągnęli go na krzyż, a potem krzyczał, gdy wysoki mężczyzna w purpurze dotknął wnętrza jego dłoni ostrzem drewnianego kołka i podniósł młotek...

Król Olaf zbudził się pod stosem futer cały mokry. W pomieszczeniu panował zaduch, śmierdziało potem i strachem. Półoszalały wyszukał po omacku krzyż na piersi, chwycił go kurczowo i zaczął szeptać: *Pater noster, qui es in caelis...*

Za oknem rozszalał się północny wiatr. W Trondheim przerażone zwierzęta chowały się po kątach i tuliły do siebie w poszukiwaniu ciepła i poczucia bezpieczeństwa.

*

Sześćdziesiąt kilometrów dalej na północ słońce wschodziło właśnie nad gospodarzem, który brnął do stodoły przez sięgającą mu bioder śnieżną zaspę. Gdy tylko otworzył drzwi, zwierzęta zabeczały żałośnie. Krępy mężczyzna o ciosanych rysach twarzy i gęstych, rudych włosach machnął na nie ręką.

- Spokojnie, spokojnie - mówił, przechodząc po ułożonych deskach do wypełnionej sianem zagrody. - Już dobrze, zaraz was nakarmię. Jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak zawsze...

Owce zabeczały w odpowiedzi, napierając na drewniane sztachety, by znaleźć się jak najbliżej koryta. Gospodarz otulił się ciaśniej płaszczem.

- Parę z was powinienem ostrzec—powiedział do najbliższych owiec, biorąc do ręki widły. - Następnym razem, dobrze? Ostra zima...

Temperatura spadała od kilku tygodni. Zimno było bardziej dojmujące niż zwykle o tej porze roku. Mężczyzna wkuł się mściwie widłami w siano i wrzucił pierwsze porcje do koryta.

- Smacznego — rzekł.

Nagle w stodole zapanowała cisza jak makiem zasiał.

Owce stały nieruchomo i patrzyły w jeden punkt: północny narożnik stodoły. Gospodarz uderzył widłami w koryto, ale żadna nie zareagowała. Zwierzęta po prostu zamarły ze wzrokiem wbitym w narożnik, pociągając nerwowo nozdrzami.

Po chwili jedna owca zabeczała przeciągle i zaczęła się cofać jak najdalej od narożnika.

Za nią postąpiła druga.

Rolnik odniósł wrażenie, jakby czas spowolnił biegu. Przebiegł myślami minione lata, które

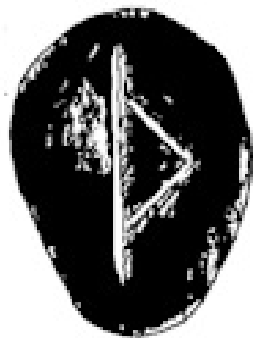
przepracował na gospodarstwie. Widział i hodował tu w tym czasie więcej owiec, niż byłby w stanie zliczyć. Przypomniawszy sobie kilka dramatycznych chwil, kiedy pod zagrodę podchodziła wataha, a wilki wchodziły między owce. Te jednak nigdy nie wydawały takich głosów. Nigdy nie zdjęło ich takie przerażenie.

Beczała już połowa stada, a z każdą chwilą dołączały kolejne owce, wypełniając wnętrze jazgotem trudnym do opisanego. Owce napierały na siebie nawzajem, próbując znaleźć się jak najdalej od północnego narożnika, jednocześnie nie waząc się dalej patrzeć w jego stronę. Kątem oka dostrzegł, jak gruba jarka odgryza drugiej połowę ucha tylko dlatego, że stanęła jej na drodze. Widok krwi wyrwał gospodarza ze stanu otępienia. Drewniany płotek ogradzający stado w stodole zatrzeszczał niemiłosiernie od cisnących się owiec. Teraz już wszystkie beczwały głośno i nieustannie, jakby jednym tchem.

Zaczęły puszczać jelita i pęcherze, w powietrzu podniósł się odór łajna, uryny i dusznego, gorącego powietrza. Po lewej stronie jedno ze zwierząt opuściło łeb i uderzyło w południową ścianę, jakby w zamiarze wyrwania się na wolność. Zapach krwi rozbudził w zwierzętach jeszcze większy szal.

Nie wiedział, co się dzieje, ale coś w tyle głowy mu podpowiadało: Rusz się, uciekaj, uciekaj, natychmiast. Wielkim susem doskoczył do drzwi. Za plecami usłyszał odgłosy łamanych sztachet i rumor racic na deskach, gdy sto dziesięć spanikowanych owiec podjęło równocześnie wysiłek, by podążyć za swoim panem - na trzaskający mróz, na pewną śmierć. Wyskoczył na zewnątrz, otwierając energicznym pchnięciem drzwi i zatraskując je za sobą niemal tym samym ruchem. Zasunął rygiel w chwili, gdy pierwsza z owiec gruchnęła w drzwi. Gospodarz oddalał się od stodoły jak najszybciej i słyszał narastające beczenie, któremu towarzyszył głuchy łoskot, gdy ściany trzęsły się pod wpływem napierających owiec, pragnących za wszelką cenę wydostać się z pułapki.

Po drugiej stronie stodoły, kilometr dalej, na pobliskie wzgórze wspinało się sześciu mężczyzn, którzy kierowali się teraz na południe.



Rozdział 3

Południowa Szwecja, grudzień roku Pańskiego 996

Słońce dość wcześnie schowało się za widnokrąg, ale armia maszerowała dalej, dopóki było można maszerować. Kiedy zaczęła gasnąć ostatnia smuga światła, Alfgeir obejrzał się na Jolawera i krzyknął:

- Stać!

Komenda potoczyła się wzdłuż szeregów i tysiąc żołnierzy powoli stanęło w miejscu.

- Rozbijamy obóz! — zawołał niedźwiedziowaty wojownik, a armia w jednej chwili rozproszyła się na drobne grupy, które zaczęły ustawiać namioty i wspierające się o siebie szałas.

Ulfar przypatrywał się, jak Sigurd i Sven grupują swoich ludzi i rozbijają nieduże, zwarte obozowisko, nieco z boku, z własnym obrzeżem, ścieżkami i miejscem pod ognisko na samym środku.

- Niedźwiedź nieco złagodniał, nie uważasz? — mruknął Sven.

- Nigdy nie kochał takiej dyscypliny - odparł Sigurd.

- Co prawda, to prawda — rzucił Sven. — Jednak człowiek myślałby, że młodemu królowi będzie próbował wpoić dobre nawyki.

- Nawyki same się wyrabiają tam, gdzie trzeba — odpowiedział wolno Sigurd. - Być może Alfgeir Björne wychowuje króla właśnie tak jak trzeba.

Ulfar podążył za spojrzeniem Sigurda w stronę miejsca, z którego król Jolawer Scot obserwował ich małe obozowisko.

Sven odwrócił się do Jolawera i pozdrowił go z daleka:

- Królu! Nie podejdziesz do nas?

Jolawer Scot ruszył wolno, rozglądając się z ciekawością, aby niczego nie pominąć. Kiedy znalazł się w obrębie obozu, przemówił spokojnym i mocnym głosem, czym znów zaskoczył Ulfara.

- Obóz robi wrażenie - powiedział.

- Cóż, robiło się takie rzeczy raz czy dwa - rzekł Sven z tak źle udawaną skromnością, że Ulfar z trudem powstrzymał uśmiech.

- Byłoby dobrze, gdybyście siedli przy naszym ognisku. Musimy spożytkować całą wiedzę, jaką macie na temat króla Olafa.

- Prowadź zatem - powiedział Sven.

Kiedy Jolawer odwrócił się i ruszył przed siebie, Sigurd podążył za nim, ale Sven pognał w drugą stronę i po krótkiej chwili pojawił się przy Ulfarze.

- Pod naszą nieobecność dowodzi Oskarl. Tym razem nie idziesz z nami. Jasne, synu?

- Jasne.

Sven zmierzył go surowym wzrokiem od góry do dołu.

- I niech nie strzeli ci do głowy żadna głupota, kiedy nie mam okazji pilnować twego kościstego tyłka.

- We wszystkim będę szedł za twoim świątłym przykładem - odparł Ulfar.

- Właśnie tego się obawiam - mruknął Sven, rzucił mu ostatnie, srogie spojrzenie i podążył za Sigurdem.

„Zupełnie niepotrzebnie” - pomyślał Ulfar. Na głowie miał dużo ważniejsze rzeczy. Wkrótce odszukał Auduna, który siedział przy ognisku z wiadrem śniegu oraz metalowym prętem w dłoni i ostrzył noże.

- Widzę, że już odkryli twój fach.

- Nie inaczej... — odparł Audun. — Jeden z chłopaków ze Sten-viku powiedział, że po moim zniknięciu zmarniały wszystkie ostrza w grodzie. Usłyszał to ktoś z ludzi Jolawera i zapytał, czy jestem kowalem. No to mam teraz ręce pełne roboty.

Skinął ręką pod nogi. Na rozłożonym kawałku sukna połyskiwały w blasku ognia dwa czyściutkie ostrza. Obok leżało w równej linii czternaście czekających na swoją kolej noży.

- Musimy porozmawiać - zaczął Ulfar.

- Musimy - odparł Audun.

- Nie mieliśmy kiedy.

- Nie mieliśmy.

- Wtedy w Uppsali umarłem.

Audun milczał, a po chwili odezwał się cichym głosem, niemal ginącym w szumie obozowego hałasu i jednostajnym zgrzycie metalu przeciąganego po stali:

-Więc... My obaj...

- Na to wygląda - odpowiedział Ulfar.

Prawda zawisła ciężko między nimi.

-Widziałem twoją twarz, kiedy starzy opowiadali, jak ktoś ich wykopał - mówił dalej Audun. — Spotkałeś się z... nim?

- Sądzę, że tak.

- Ja też. Przedstawił się jako Fjolnir...

- ...mnie jako Gestumblindi...

- ...i zostawił mi coś w darze. Pas.

Tym razem Ulfar milczał.

Audun podniósł wzrok znad błyszczącego ostrza.

- Tobie też?

Ulfar przytaknął.

- Jaki dar?

- Ocalił mi życie. Przepłoszył Karlego w lesie.

- Hm... Czego on może chcieć?

- Chyba wiem. Ale nie chcę o tym tutaj mówić - powiedział spokojnie Ulfar.

Naraz w ciemności rozbrzmiał głos Thormunda:

- Hej, o czym tak gruchacie, gołąbki?

Moment później po drugiej stronie ogniska zamajaczyła jego postać.

- O tym, że Audun rzuca mnie dla ciebie i twojej pięknej brody - rzucił Ulfar.

Stary koniokrad zarechotał, obszedł ognisko, szurając nogami, i stanął obok nich.

- Wesolutki jesteście, nieznamy Szwedzie.

- Ulfar - przedstawił się Ulfar. — Dziękuję za pochwałę.

Thormund powiódł wzrokiem po młodym, wysokim mężczyźnie, dobrze widocznym w blasku ognia.

- Poszło o kobietę?

Audun zdusił w sobie mimowolny uśmiech i nie przerywał ostrzenia.

- Co masz na myśli? - zapytał Ulfar.

- Zauważyłem, jak wkurzyłeś ich łucznicą, jak mu było...

- Karle.

- Właśnie. Musiałeś nadepnąć mu na odcisk: gdyby mógł zabijać wzrokiem, twoje członki leżałyby teraz za siedmioma górami. Kobieta?

- Można tak powiedzieć. Przydybałem go z młodą dziewczyną. Niemal już brał, na co miał ochotę, ale dziewczę się opierało. Ucieliśmy sobie pogawędkę.

- Złamał mu rękę - uzupełnił Audun.

Oblicze Thormunda złagodniało.

- Wiedziałem, że znajdziemy wspólny język - mruknął. - Podejrzewam jednak, że w tym obozie lepiej będzie ważyć słowa. Słyszałem jakieś szept.

Ulfar rozejrzał się dookoła, popatrzył na majaczące w ciemności szałas, namioty i nieprzebyte mrok między nimi.

- Och, tutaj nie podejda - ciągnął stary koniokrad. - Z punktu widzenia wyprawy na Widłobrodego mało ich interesujemy, za to chłopaków ze Stenviku nie odstępują na pięć kroków. Tamci dopiero cieszą się reputacją.

- Och, naprawdę? - zapytał Ulfar.

- Jakżeby inaczej! - zapewnił Thormund. - Sigurd Aegisson? Sven? Ech, młokosy, chyba nie wiecie, z kim idziecie ramię przy ramieniu.

- Powiedzmy, że nie - stwierdził Ulfar.

- Już w młodości najeżdżali razem brzegi Anglii. Aegir, ojciec Sigurda, twardy był jak stal i nie ma w tym krzty przesady. Dawno temu, będzie jakieś siedemdziesiąt wiosen, zamieszany był w wojny między królami. Obu chłopaków, Sigurda i Svena, nauczył o okrętach i żeglowaniu wszystkiego, czego można było nauczyć. Wyprawiali się na południe, najdalej jak było można, aż do ziem cesarza bizantyńskiego. Przez pierwszych czterdzieści lat życia na każdy dzień spędzony na lądzie przypadały im cztery na morzu. Powoli zdobywali sławę. W nadmorskich grodach, gdzie tylko doszedł o nich słuch, matki straszyły niesfornych malców Sigurdem Wilkiem Morskim. -W oczach Thormunda zamigotał blask ogniska. — Gdy wrócili na Północ, ludzie szykowali się do wielkiej wojny, zaczęto już zbierać daninę, a dla takich twardzieli widoki na bogactwa były olbrzymie. Zaokrętowali się więc na pokład z siejącą postrach załogą. - Stary koniokrad zapatrzył się w ciemność, jakby dostrzegł w niej żagle na horyzoncie. - Jeden okręt, tylko jeden, ale każdy z pływających na nim sukinsynów wart był dziesięciu, piętnastu zwykłych żeglarzy. Zresztą sam drakar również był łajbą jak się patrzy. *Łaska Njordura*, takie nadano mu imię. Ze wszystkich najbardziej hardy był kapitan, chłop wielki jak drzewo. Wieść niesła, że pochodził z dalekiej Północy, a jego matką była fińska wiedźma. Gdy zobaczyła noworodka, wycięła mu na szyi znamię.

- Po co? - zapytał Audun.

Stary koniokrad chrząknął.

- Była taka rymowanka... Nie pamiętam jej dokładnie, ale mówiła tyle, że jeśli nacięła go osoba darząca miłością, to nie uczyni mu krzywdy nikt, kto darzyłby go nienawiścią. Nie była to prawda, nie raz bywał ranny, wierzył jednak w tę wróżbę od dziecka, a kiedy dorósł, kiedy stał się wielki i silny, zdał sobie sprawę, że wierzą w nią również inni, i odtąd stała się jego znakiem. Gdy więc nadszedł czas, wyciął podobne znamię na szyi syna, a na własnej jeszcze jedno. To był wielki kapitan, nazywał się...

- ...Skargrim — przerwał mu Ulfar.

- A nasz dzielny flisak od początku nazywał się Thormund - odezwał się czyjś głos w ciemności, a chwilę później stanął przed nimi Sigurd. - No, może jeszcze nie wówczas. Wtedy nazywaliśmy go Krojczym, bo zawsze, gdy miało dojść do walki, tajemniczo zniknął, a potem liczyliśmy trupy i wiele miało... podejrzięte gardła. Czasami, gdy w obcych grodach nasi mężczyźni nazbyt nastawali na godność kobiet, były to gardła naszych ludzi.

- Ale ja... ja... - jękał się stary koniokrad.

- Niech zgadnę. Zaraz po pożegnaniu się z chłopakami miałeś ochotę czmychnąć? — powiedział Sigurd. - Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, prawda?

Thormund zwiesił ramiona.

- Nie. Nie zmieniają się.

- Mówiłeś przecież, że nie cierpisz morza - powiedział Audun.

- Nie zawsze tak było — odparł Thormund.

Sigurd podszedł bliżej.

- Dobrze cię widzieć, stary łotrze - powiedział z półuśmiechem na ustach. - Tak myślałem, że to ty, choć minęło tyle czasu.

- Trzydzieści lat.

- Wiem, że ciemność zawsze cię wzywa, i nie sądzę, o ile cię znam, aby nasz oddział przypadł ci do gustu. Obawiam się jednak, że tym razem nie ma dla ciebie drogi odwrotu.

Nagle Ulfar poczuł w powietrzu przenikliwy chłód.

- Dlaczego?

- Jolawer wyraził zgodę. Będziemy szukać Widłobrodego. Wszystko wskazuje na to, że król Olaf gromadzi na północy wodzów. Pociągniemy więc w jego stronę i zanim zdąży pisnąć, strzaskamy mu szczękę.

Nikt nic nie powiedział. Płatki śniegu spływały wolno na ziemię i wpadały z sykiem w płomienie ogniska.

*

W namiocie króla Alfgeir Bjorne przyglądał się Jolawerowi Scotowi. Młody król siedział w milczeniu, wpatrując się w kufel, który obejmował obiema dłońmi.

-Wciąż nie rozumiem, po co mamy wlec ze sobą tych starych pierdzieli - złościł się Karle. - Są tylko kulą u nogi. Nie okazują żadnego szacunku. Gadają, co ślina na język przyniesie. Robią mądre miny, których nie będą w stanie wesprzeć czynami. Nie widzicie, do licha, że połowa tego marnego oddziałku to dawni żołnierze Swena Widłobrodego?! Pytam, co ich powstrzyma przed obróceniem się przeciw nam, gdy przyjdzie nam stanąć do walki z duńskim królem. Co ich powstrzyma przed wzięciem nas w kleszcze, przed uderzeniem w plecy? Płacą im za to, żeby dostać cię w swoje ręce. Widło-brody to król Szwecji i ziem duńskich. Jeśli zwycięży, zginiesz.

-Stul głowę, Karle - powiedział spokojnie młody król, nie odrywając oczu od kufła.

Alfgeir Bjorne stłumił uśmiech, widząc, jak Karle czerwienieje na twarzy. Król tego nie zauważył.

-Jutro zaczniesz organizować obóz. Musimy się nauczyć robić to jak oni.

- Co? - wydusił z siebie zaskoczony Karle. - O co ci chodzi? Jolawer dopiero teraz spojrzał na kuzyna.

-Mamy tutaj dwa obozy — mówił wciąż spokojnym i mocnym głosem. — Jeden rozbity przez ludzi wojny, przywykłych do długich podróży, gotowych zebrać się na zawołanie. Rozbity przy minimalnym wysiłku, z mieczem w zasięgu ręki, i możesz być pewny... - Król zamilkł na moment, rozejrzał się i po chwili ciągnął dalej: - Ja mogę być pewny, że ze wschodem słońca będą spakowani i gotowi do wymarszu. I mamy drugi obóz... Kotłowaninę namiotów ustawionych byle jak przez gromadę chłopów, wędrowców i starców w przyrdzewiałych kolczugach, których trzymają razem więzi rodzinne i przysięgi

wierności... Koczowisko rozciągnięte na placu o połowę większym niż rzeczywiście trzeba. W razie ataku taki obóz byłby zgnieciony. Ludzie wybiegaliby z namiotów i wpadaliby na siebie w bezładzie. To świadczy o jednym, jasno i dobitnie, że kto dowodzi takim obozem, nie jest gotowy na ostrą wymianę zdań, a cóż dopiero mówić o wojnie.

Oślupiały Karle nie potrafił wydobyć z siebie słowa i patrzył tępo na Jolawera Scota.

Niewzruszony król tymczasem pociągnął łyk miodu.

- Który z tych obozów należy do nas? - zapytał po chwili.

Karle przełknął ślinę.

- Jednak moim zdaniem...

- Który?

- Nie możesz porównywać...

- Mogę i porównam. Przy Sigurdzie wyglądamy jak dzieci z patykami, a ja nie chcę stanąć przed Widłobrodym z dzieciarnią za plecami. Od jutra zacznij ich przekuwać w żołnierzy, Karle. - Jolawer Scot

podniósł głowę i odnalazł wzrokiem potężną postać Alfgeira Bjornego. - Ty mu pomożesz. - Potem odwrócił się i wbił w Karlego oczy. - A ty nie będziesz mówił, co mogę, a czego nie. Zrozumiałeś?

Karle gapił się wciąż na króla.

- Zrozumiałem... - wyjąkał w końcu. - W takim razie pójdę już spać.

- Tak będzie najlepiej — odpowiedział król Jolawer Scot.

Kiedy biały płaszcz zniknął z szelestem, Jolawer odwrócił się do Alfgeira.

- Nie posunąłem się... za daleko?

*

- Bynajmniej, Wasza Wysokość — zagrzemiał stary żołnierz, bezskutecznie próbując ukryć uśmiech. - Bynajmniej.

- Przecież to nie świt - burknął Audun, masując zdrętwiały kark. - Co najwyżej nie jest już tak ciemno.

Ulfar wymamrotał coś niezrozumiale. Sigurd i Sven uparli się, aby budzić ludzi przed pierwszym brzaskiem, a wobec tych, którym wydawało się, że mogą wstać, kiedy im się podoba, Oskarł posunął się krok dalej, sięgnąwszy po tyleż cichy, co mało komfortowy argument w postaci ostrego miecza wciskanego pod pachę.

Wokół nich ludzie ze Stenviku pracowali jak mrówki, szybko i cicho, składając namioty i szałas, zwijając obozowisko. Nowo przybyli żołnierze Widłobrodego, którzy bez komend trzymali rytm pracy, przypominali Audunowi watahę wilków. Nikt nie wył i nie warczał, ale było oczywiste, że jeśli ktokolwiek wysunie się z szeregu, zostanie pokąsany.

Podszedł do nich Sven.

- Dobra robota, chłopcy - powiedział. — Możecie ruszać.

Ulfar pochylił się do starego wojownika.

-I po co to? - mruknął. - Cała reszta śpi.

- Właśnie dlatego - odpowiedział Thormund dwa namioty dalej. - Chodzi o to, żeby młody król i jego wojownicy widzieli, jak czekamy na nich w gotowości. Przyda nam to powagi w ich oczach, a jeśli mają trochę rozsądku i wstydu, to zechcą nam dorównać.

Sven uśmiechnął się szeroko.

- Widzicie? Stary wyga wciąż zna się na rzeczy.

- W to nie wątpimy... — stwierdził Ulfar.

- Dołączajcie szybko - ponaglił Sven, a potem na niezauważalny sygnał odwrócił się i krzyknął: - Gotowi!

Z drugiego końca obozu dobiegł ich potwierdzający krzyk Oskarła.

Wówczas ryknął stojący między nimi Sigurd:

- Zaczynać!

W nagłym ferworze ruchów namioty i szalasy legły w jednej chwili, układając się w równe sterty części składowych.

Audun musiał aż trącić łokciem Ulfara, który patrzył na widowisko jak zaczarowany.

- Ruszajże! - syknął.

Ulfar potrząsnął głową z niedowierzaniem, a potem ukląkł i pomógł Audunowi zebrać kije, owinać je w materiał i ciasno związać.

- W życiu nie widziałem takiej biegłości - powiedział Ulfar, nie przerywając pracy.

- Poznałem ich dopiero w Stenviku — stwierdził Audun. — Mam wrażenie, że widziałem tylko cząstkę tego, czym naprawdę są.

- Tu się nie mylisz — wtrącił się Thormund, rzucając na ziemię obwiązany mocno toból z namiotem. — Gotowy do drogi?

Audun zacisnął zęby i zmusił zmarznięte dłonie do szybszej pracy. Proszę! Szarpnął koniec sznura i gładko zacisnął węzeł.

- Gotowy.

- Hm... Wobec tego usiądź i czekaj. Sigurd osiągnął już to, o co mu chodziło.

Thormund zerknął w stronę obozowiska Jolawera. Żołnierze, chłopci, niedorostki, wszyscy uwijali się jak w ukropie, byle nie rzucać się w oczy Alfgeirowi Bjornemu, który biegał między porozstawianymi w nieładzie namiotami, klnąc na czym świat stoi i wrzeszcząc na wszystko, co się rusza, a zwłaszcza na to, co się nie rusza. Gdzie szedł, podnosił za sobą tuman gorączkowej pracy.

- Spójrz - powiedział Thormund. - Twój przyjaciel.

Karle stał na skraju obozowiska, wodził wokół gniewnym wzrokiem, co chwilę wskazywał coś ręką i wykrzykiwał komendy.

- Widać, że komuś nie pozwolono się wyspać - powiedział Ulfar. - Dziękuję. Od razu lepiej się czuję.

Wkrótce kolumna zmęczonych, gderających ludzi brnęła przez świeżo spadły śnieg. Audun wyciszył myśli. Lewa, prawa, lewa, prawa. Marsz można dobrze znieść, jeśli złapie się rytm. Niech nogi same niosą, niech umysł sam wędruje.

- Słuchaj - powiedział Ulfar, podszedłszy do niego z boku. - Wieczorem musimy znaleźć spokojne miejsce i porozmawiać o...

- ...naszym przyjacielu - dokończył Audun.

- Właśnie.

Audun pokiwał głową.

- Nie masz mi jeszcze czegoś do powiedzenia?

Ulfar podniósł brwi.

- Dlaczego?

- Bo tamci dwoje - skinął głową w stronę środka kolumny - odwracają się raz po raz i łypią na ciebie okiem.

Ulfar zlustrował sznur idących ludzi. Kiedy dostrzegł parę, o której mówił Audun, puścił pod nosem wiązanek przekleństw. Po chwili się uspokoił.

- Będę musiał cię prosić o ubezpieczanie tyłów, gdy znów rozbijemy obóz...

Audun wzruszył ramionami.

- .Skoro trzeba... - powiedział z szerokim uśmiechem.

Szli spokojnie dalej.

*

Świat tonął w bieli, szarości i czerni. Ściana lasu, ciągnąca się na lewo od kolumny, górowała nad nimi ponuro niczym mury kamiennej fortecy. Po ołowianym niebie goniły stada chmur przypominających kształtem wilki. Drzewa z prawej zaczynały gęstnieć. Przed nimi coraz wyraźniej rysował się biały korytarz, wciśnięty między pasma ciemnych sosen.

- Kim oni są? - Audun zerknął ponad ramieniem Ulfara na kobietę i mężczyznę.

- On ma na imię Ivar, ona Greta — wyjaśnił Ulfar znużonym głosem. - Rodzeństwo. W czasie bójki w Uppsali zniecka wbił mi nóż w nogę. Jestem pewny, że Karle go podjudził. Zaraz potem zostałem otruty.

- Pewnie coś jej zrobiłeś? — zapytał Audun.

Ulfar wyrzucił w górę rękę.

- Skąd zawsze ta pewność, że to moja wina?! Dlaczego każdy myśli, że to ja? - W tej chwili zauważył spojrzenie Auduna. - No dobrze. Obiecałem jej, że się ożenię, przeleciałem ją i zostawiłem.

- Rozumiem. Nic dziwnego, że brat się zdenerwował.

- Trochę za bardzo jak na mój gust - burknął Ulfar.

Płatki śniegu opadały wolno, topiły się na ich twarzach i osiadały na ramionach. Przez dłuższy czas szli w milczeniu, wpadając w rytm wymagający jak najmniejszej energii.

- Hej!

Ulhir ocknął się z sennego marszu, wpadając na plecy idącego przed nim człowieka, który nagle się zatrzymał. Za nim wszyscy robili to samo. Kolumna stała w miejscu.

- Słuchajcie! — rozbrzmiał głos Alfgeira Bjornego. — Ludzie z Dalarny i północnych krain! Podejdźcie bliżej!

Z kolei stojący obok Karle zawołał:

- Mieszkańcy południa, ludzie znad jezior! Do mnie!

Po czym obaj skierowali się w dwie przeciwne strony.

Wojownicy ze Stenviku czekali na polecenie, do której grupy dołączyć, ale nie usłyszeli żadnej komendy. Kiedy ludzie Jolawera Scota rozeszli się na obie strony, burcząc pod nosem ze złości, na środku pozostał przeredzony szereg zziębniętych i zmęczonych wojowników.

- Teraz co? — zapytał Audun.

- Mam złe przeczucia - mruknął Thormund.

- Zaczynam mieć wrażenie, że w każdej sytuacji masz złe przeczucia - powiedział Ulfar.

- I wiesz, co z tego mam? - zapytał Thormund. — Jestem stary, a żyję! Co należy do rzadkości, więc lepiej się zamknij.

Stojący przed nimi Sven zaczął wydawać rozkazy:

- Uwaga, chłopcy, wybieramy się na małe spotkanie. Pójdziemy na czele z królem. Doszliśmy do wniosku, że jeśli najpierw pokażemy mu najszeptniejsze huncwoty, to ogarnie go taki śmiech, że zaraz zmięknie.

- Z kim, do diaska, mamy się spotkać? - zapytał zaniepokojony Piszczalka.

Ulfar podniósł brwi, a potem poczuł na sobie wzrok Thormunda.

- Nie mówiłem? — szepnął stary koniokrad.

Alfgeir i Karle prowadzili już na flanki swoje grupy, wchodząc między drzewa.

- Formować czworokąt! - rozległ się z czoła wrzask Oskarla.

Armia zamykała im drogę szerokim szykiem, ciągnącym się od lasu do lasu, głębokim na co najmniej dziesięciu wojowników. Ludzie odziani w skórzane zbroje i futra narzucone na kolczugi; długie szeregi włóczni, szeregi tarcz.

- Staruszek dobrze się prezentuje - powiedział Sven.

- Jak zwykle - odparł Sigurd. - Zawsze o to dbał. Najpierw wygrać bitwę...

- ...a dopiero potem walczyć - dokończył Sven.

Jolawer Scot stanął między nimi, mierząc wzrokiem armię Swena Widłobrodego.

- Ilu ich będzie? Co najmniej... ?

- Powiedziałbym tysiąc pięciuset — odparł Sven.

Sigurd przytaknął w milczeniu.

- Co robimy? - zapytał Jolawer Scot.

-To samo, co zrobiliśmy w twoim wypadku. Mam nadzieję, że taka niespodzianka się sprawdzi - powiedział Sven. - Dopilnuję, aby ludzie za nami trzymali linię.

Wówczas na twarzy króla zamajaczył lekki uśmiech.

- Naprzód - powiedział.

*

Wojownicy Stenviku uformowali za Jolawerem, Sigurdem i Svenem czworobok. W środku, o pół głowy wyższy od pozostałych, stanął Oskarł, wykrzykując rozkazy i słowa otuchy.

- Zauważyłeś, że nagle przestał kuśtykać?

- Moim zdaniem jego to bawi - stwierdził Thormund. - Cieszy się jak dziecko. Jak pies, który zwąchał kość. Rzuć mu co dzień ochłap mięsa, a pójdzie za Sigurdem w głąb samej Hel.

- Obawiam się, że przyjdzie nam tego zasmakować - powiedział ponuro Audun.

- Głowy do góry! - syknął stojący obok nich Piszczalka.

Idący na czele Sven podniósł rękę. Formacja stanęła w miejscu, a wszystkie dłonie zacisnęły się na rękojeściach i dzidach.

Naprzeciw nich stał nieruchomy mur Duńczyków i śmierci.

- Chcemy posłuchania u Swena Widłobrodęgo! - krzyknął Sigurd.

Żadnej odpowiedzi.

- Widłobrody! Wyjdź do nas!

Dalej nic.

Król Jolawer Scot postąpił naprzód. Jeden krok, potem trzy, potem pięć, aż w końcu wysunął się daleko przed czworobok. Mówił łagodnym głosem, ale wiatr niósł jego słowa.

- Król Jolawer Scot, pan Szwecji, władca Uppsali i jej krain, chce paktować z królem Swenem Widłobrodym, Postrachem Mórz i władcą Danii.

Potem tylko stał i czekał.

Ulfar dostrzegł, jak Sven i Sigurd wymieniają niespokojne spojrzenia, ale natychmiast przyjmują postawę bojową.

W środku pierwszej linii zafalowało i powstała w niej wąska szczelina. Zza pleców wojowników wyszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany jak inni, ale mający w sobie coś, co stojących za nim ludzi zdawało się pomniejszać. Nie posiadał broni, nie miał zbyt wielu ozdób. Jego gęsta, brązowa broda była zapleciona w dwa długie warkocze.

Za nim pokazała się kobieta. Wyższa od niego o pół głowy, ale widać było, że wzrost nie jest potrzebny do tego, aby z góry patrzeć na świat. Jej opadające na ramiona włosy blond wyglądały w półmroku jak śnieżnobiałe.

Tym razem Audun wiedział, co robić. Gdy klękał równocześnie z wszystkimi innymi, zastanawiał się, czy oznacza to, że wreszcie uczy się czegoś nowego o świecie.

- Mów! - zawołał Widłobrody.

Niezrażony znaczną przewagą najeźdźcy Jolawer Scot zmierzył duńskiego króla spokojnym wzrokiem.

- Wieść taką armię przez szwedzkie ziemie to wielkie wyzwanie - zaczął. - Ale też łatwo pojąć, że nawet najmocniejsi królowie niewiele poradzą, jeśli małe grupy wojowników odrywają się od głównej siły, aby w skrytości siać postrach i pożogę.

- O... Jest naprawdę dobry - mruknął Thormund.

Stojący obok Auduna Ulfar kiwnął głową.

Jolawer Scot przemawiał dalej:

- Nie przybywam jednak, by o tym rozprawiać. Niosę ci wieści o zagrożeniu, które jest nam wspólne, a jeśli pozostanie niepohamowane, zaleje ziemie twoje i moje niczym plaga robactwa.

Proponuję połączyć nasze siły.

Audun zerknął w stronę króla Widłobrodego, który zdawał się patrzeć na Jolawera bez najmniejszego zainteresowania.

- Dlaczegoż to miałbym „łączyć” swoją armię z garstką tak żalonych żołnierzy? — zapytał znużonym głosem.

Król Jolawer Scot nie poddał się prowokacji. Podniósł wysoko rękę. Audun nie musiał odwracać głowy, by wiedzieć, co się dzieje sto kroków za jego plecami.

Setki wojowników, dowodzonych z lewej strony przez Alfgeira Bjornego, a z prawej przez księcia Karlego, zaczęły wychodzić spomiędzy drzew, wypełniając przestrzeń. Fakt, że zostali rozstawieni w taki sposób, aby zrobić wrażenie dwukrotnie większej armii, nie liczył się tak bardzo jak sam efekt zaskoczenia.

Gdy Jolawer Scot opuścił rękę, wszyscy zaczęli bić w tarcze i wznosić z głębi płuc okrzyki: „Szwedzi!!! Szwedzi!!!”. Przerażliwa wrzawa wypłoszyła ukryte w koronach drzew stado czarnych ptaków.

W głosie Widłobrodego zdawała się zabrzmieć nuta rozbawienia.

- Och, dobrze więc - powiedział. — Porozmawiajmy.

Wojownicy ze Stenviku wstali z kolan jak jeden mąż. Na znak

Sven i Sigurd podeszli do Jolawera Scota.

- To moi doradcy. Pozostaną przy mnie,

- Nonsens! — Postawna kobieta splunęła pod nogi. — Swen, nie pójdziesz sam do trzech ludzi.

- Sygrydo... — zaczął Widłobrody.

- Nonsens - powtórzyła. - Sam wiesz.

Sigurd pochylił się i szepnął coś do króla Jolawera Scota, który pokiwał powoli głową.

- Mój doradca proponuje, abyśmy we dwóch odeszli na bok, a oni poczekają z twoją żoną - powiedział.

- Niech tak będzie - stwierdził Widłobrody

Kobieta skrzywiła się wściekle, ale po chwili odeszła w lewo szybkim krokiem.

- Rób, jak chcesz - syknęła.

Sven i Sigurd przeszli spokojnie w jej stronę.

Widłobrody przyjrzał się rywalowi i skinął lekko głową w prawą stronę.

- Chodźmy zatem. Opowiedz mi o swoim „zagrożeniu”...

Mężczyźni odeszli na bok.

- Jak to widzisz? - zapytał Audun Ulfara.

Wysoki Szwed przyglądał się przez dłuższą chwilę królom.

- Moim zdaniem może to się skończyć dwojako - powiedział w końcu Ulfar. - Albo będziemy walczyć teraz, albo... będziemy walczyć później.

- Oczywiście, zawsze mam takie szczęście w życiu - sarknął Thormund.

*

Karle i Alfgeir podeszli do nich, gdy Jolawer wrócił z rozmów. Krok za nim podążali Sigurd i Sven.

- I jak? - zapytał Sven.

- Zaakceptował rozejm - oznajmił młody król, który wyglądał tak, jakby raptem przybyło mu pięć lat. - Opowiedziałem mu o królu Olafie, o wodzach z Północy i zagrożeniu, jakie dla nas stanowią. Ku mojemu zaskoczeniu przystał niemal od razu. Nie musiałem go przekonywać.

- Nie wątpię - stwierdził Sven z przekąsem.

- Jak mam to rozumieć? — zapytał Jolawer Scot i spojrzał na Alfgeira Bjornego, który wydawał się nieco zakłopotany.

- Zanim jeszcze Swen został królem, a Sygryda zyskała swój przydomek, miała wyjść za Olafa

Tryggvasona - wyjaśnił Alfgeir. - On jednak czmychnął i został wikingiem.

- Jeśli wierzyć tym opowieściom - kontynuował Sven - to Sygryda Dumna nie ma do powiedzenia nic dobrego o królu Olafie.

Król Jolawer Scot podniósł brew.

- Czy nikomu nie przyszło do głowy, żeby uprzedzić mnie o tym, zanim zacząłem pertraktować z Widłobrodym?

Ogólna wesołość nagle się ulotniła i hardzi wojownicy popatrzyli po sobie mocno zawstydzeni.

- Ja... to znaczy... — zaczął Alfgeir, na próżno szukając słów.

- To stare czasy... — mruknął Sigurd w zasadzie do nikogo.

-Taka informacja w niczym by nie pomogła - stwierdził Sven. -Przeciwnie nawet, mogłaby zaciemnić obraz.

W końcu odezwał się Jolawer Scot:

- No dobrze, ale coś takiego nie może się powtórzyć. Następnym razem chcę mieć wszystkie informacje, jakimi dysponujecie.

Gorliwość, z jaką wszyscy zaczęli naraz potakiwać i pomrukiwać, wywołała na twarzy Ulfara mimowolny uśmiech. Gdyby człowiek mógł sobie wybierać króla przed wymarszem na wojnę, to wybrałby właśnie takiego, który potrafi tak oddziaływać na poddanych.

*

Nocą obie armie obozowały razem, zachowując jednak między sobą dystans.

-Ale kto tak naprawdę rządzi? Kto decyduje, dokąd mamy maszerować? — zapytał Ulfar Thormunda, przysuwając się do malutkiego ogniska, które jakimś cudem udało im się rozpaścić z mokrego, wyszukanego z trudem drewna.

- Cóż, będzie jak będzie, prawda? - odpowiedział Thormund, nie podnosząc oczu. - Wystarczy zebrać grupę zuchów, którzy sami wiedzą, co robić, i nikt nie musi wyrzaskiwać rozkazów.

Palce Thormunda pracowały nieprzerwanie, zakręcając końskie włosie w gruby sznur. Rozbrzmiewające obok rytmiczne zgrzytanie metalu o metalu nagle ustało.

- Jolawer Scot, potem Alfgeir i Sigurd, księżę Karle, Sven i Oskarł -wyrecytował Audun. - Oto, kto tutaj rządzi. -I znów rozległ się metaliczny zgrzyt, gdy kowal przyłożył do osetki kolejne ostrze.

- Hm... - mruknął Ulfar, marszcząc czoło. - Wynika z tego, że gdybym chciał wyprawić się i spojrzeć z bliska na duński obóz, najpierw musiałbym odnaleźć ich wszystkich w wymienionej kolejności.

-Tak jest - potwierdził Audun.

- Świetnie - powiedział Ulfar i wstał. - W takim razie idę ich szukać.

- Bardzo proszę - odparł Audun.

- Bardzo proszę.

Thormund odprowadził wzrokiem Ulfara, który wyszedł z jasnego kręgu ogniska, kierując się do swojego namiotu.

— Chyba tego nie robi, prawda?

— Nie, nie robi - odpowiedział Audun.

Po pewnym czasie Ulfar wyszedł z kawałkiem deski i skórzaną torbą, w której coś grzechotało.

— Idzie prosto do obozu Widłobrodego? - domyślił się Thormund.

— Tak - potwierdził Audun.

Thormund ukręcił długi sznur.

— Hm, mam nadzieję, że przeżyje. Zacząłem go nawet lubić.

Obaj w milczeniu wrócili do swoich zajęć.

*

Obóz Widłobrodego był rozbity na prostym planie; namioty i szałaszy stały w rzędach przedzielonych

szerokimi ścieżkami dla pieszych. Formowały czworokąt, zachowując minimalne odległości od narożników do środka. Paleniska pod strawę rozmieszczono w czterech różnych miejscach. Ludzie garnęli się do światła i ciepła.

Ulfar podszedł do najbliższego ogniska.

— Czyżbyście pichcili jakąś dobrą potrawkę? — zapytał.

— Sam sobie zrób potrawkę, Szwedzie — warknął kucharz. — Ta jest dla Duńczyków.

— O, jasne, zapomniałem, przecież Duńczyk nigdy nic nikomu nie da.

— Tego nie powiedziałem - burknął kucharz. - Powiedziałem, że ty nie dostaniesz.

Ulfar zamilkł na moment, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Umiesz grać w tafla? — zapytał.

Parę chwil później stał wokół nich rozbawiony tłumek.

— W następnym ruchu bierzesz moją koszulę — rzucił Ulfar, gdy kucharz wycofał swojego króla z zagrożonej pozycji. — Już po mnie.

— Nie da się zaprzeczyć, prawda? Wygram, to biorę twoją koszulę. Przyda mi się do mycia garów. Jeśli ty wygrasz, będziesz mógł się nażreć potrawki do syta.

Wśród ludzi Widłobrodego podniósł się wiwat.

- Na twoim miejscu nie szłabym na taki zakład — odezwał się nagle kobiecy głos.

- Dlaczego? — krzyknął kucharz.

Nastąpiło poruszenie i przed pierwszy szereg wyszła niska, jasnowłosa kobieta.

Serce Ulfara zabiło jak młotem, ale olbrzymim wysiłkiem zachował spokój i nie dał nic po sobie poznać.

- Ponieważ go znam - powiedziała Inga.

Kątem oka Ulfar rozpoznał za jej plecami znajomą sylwetkę Amara.

- Oj, wszystko się wali na twoją szwedzką głowę, biedaku! - sarknął kucharz. — A skądże go znasz, dziewczyno?

Inga spojrzała przenikliwie Ulfarowi w oczy, jakby czegoś się w nich doszukując. Kiedy niczego się w nich nie dopatrzyła, na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Nie twój interes, starcze — powiedziała do kucharza i tłumu. — Powiem tylko, że ten człowiek doskonale wie, jak rozegrać swoją partię.

Rozległo się buczenie i gwizdy, zagłuszając odgłos następnego ruchu Ulfara.

- Ha! - zawołał kucharz. - Wcale nie jest taki dobry, jak myśli! Jego położenie jest teraz... - Ruch Ulfara był szybki i prosty. - Cholera jasna...

Kucharz dał się wciągnąć w pułapkę jak dziecko.

Ulfar spojrzał mu w oczy.

- Zgodnie z zakładem mogę zabrać cały kocioł.

- Nie! Powiedziałem tylko, że możesz się najeść! - zawołał płaczliwie kucharz.

- Prawda - przyznał Ulfar. - Jednak nie sprecyzowałeś w jakim czasie, a jestem pewien, że z takim kociołkiem dam sobie dzisiaj radę. Obawiam się tylko, że twoi kompani nie obdarzą cię wielką miłością, gdy się dowiedzą, że przegrałeś ich potrawkę w tafla. Niech tam, ja mam dobre serce, wezmę po misce dla siebie i dwójki moich przyjaciół. Nic więcej.

Kucharz fuknął oburzony i zagarnął chochlą do trzech misek duże porcje potrawki z renifera.

— Bierz i jazda stąd, Szwedzie! — warknął.

— Dziękuję, bracie - odparł Ulfar. - Nie wiem, czy to ma dla ciebie znaczenie, ale początkowo dobrze ci szło. Miałeś mnie w garści, powiedzmy, do piątego ruchu... — Uchylił się przed niemrawym zamachem chochlą, nie ulewając ani kropli strawy, i zawołał przez ramię. — Do zobaczenia!

Tłumek zaczął się rozchodzić. Ulfar podszedł do Ingi i Arnara, którzy czekali na niego, wręczył im po misce i usiadł.

— Cóż, zatem jesteście tutaj... - powiedział Ulfar.

— Cóż, ty również tutaj jesteś — odparła Inga, a Arnar przysiadł z boku, marszcząc groźnie brwi.

— Co się wydarzyło na mokradłach?

Ulfar spojrział na nich.

— Nie wiem — odpowiedział. — Ale jeśli prawdą jest to, co mówił, to Loki wcielił się w Gorana, gdy ten był śmiertelnie ranny, a potem podszedł do mnie i zaczął przekonywać, żebym poprowadził armię przeciw Jolawerowi.

Tym razem oboje zmarszczyli brwi.

— Myślisz, że ci uwierzymy?! - zagrzmał Arnar.

— Sam nie wiem, czy w to wierzyć — odpowiedział z westchnieniem Ulfar. - Ale Audun, mój przyjaciel z Północy, jedzie na tym samym wózku. Jest teraz w obozie Jolawera.

— Ech... - sarknął Arnar, ale nie odszedł.

— Jak to się stało, że tutaj trafiliście? - zapytał Ulfar.

— Krótco po tym, jak cię zostawiliśmy, wpadliśmy na oddział Widłobrodęgo - wyjaśniła Inga. - Zabrali nas do siebie. Arnar walczy. Ja naprawiam różne rzeczy. — Inga wydrapała resztki potrawki, przełknęła je i odłożyła łyżkę. — Naprawdę nie wiem, co o tobie sądzić. Z jednej strony na własne oczy widziałam, jak mordujesz przyjaciela, z drugiej strony... Lilia kochała cię całym sercem. Myślę, że wkrótce się przekonamy, kim naprawdę jesteś. Do zobaczenia, Ulfarze.

Po tych słowach wstała i odeszła, a Arnar bez słowa podążył za nią. Ulfar patrzył, jak się oddalają.

— Nie poszło źle - mruknął do siebie.

Dokończył potrawkę i starannie oblizał łyżkę. Śnieg prószył na długie rzędy namiotów. Ulfar nie zauważył wysokiej postaci w kapturze, która mknęła przez obóz tak szybko, że niemal szybowiała w powietrzu. Nie zauważył też, że z jakiegoś powodu ludzie Widło-brodęgo zaczęli się przemieszczać w inne miejsce.

Naraz usłyszał za plecami łagodny głos:

- Kim jesteś?

Odwrócił się błyskawicznie, instynktownie chwytając za rękojeść miecza.

- Dobywanie żelaza w tym miejscu to zły, bardzo zły pomysł - powiedziała postać z wyczuwalnym uśmiechem.

Stała przed nim kobieta, wysoka, niemal wzrostu Ulfara, ubrana od stóp do głów w kolory jasnoniebieskie, w kapturze z futrzaną obwódką.

Wziął głęboki oddech i zmusił się, by odjąć rękę od miecza.

- Nie jesteś jednym z naszych - powiedziała kobieta.

Kiedy wreszcie rozpoznał głos, Ulfar poczuł, jak podnoszą się włosy na jego zimnych dłoniach.

- Nie, Wasza Królewska Mość — odpowiedział niemal szeptem.

Kobieta odsunęła kaptur jedną ręką. Na jej ramiona opadły długie, jasne włosy. Błada skóra zdawała się błyszczeć na mrozie. Uśmiechnęła się do niego, a Ulfar poczuł raptowną chęć ucieczki.

- Proszę, mów do mnie Sygryda.

Na dalekiej północy, grudzień roku Pańskiego 996

Szare niebo. Czarne pnie okrytych śniegiem drzew. W oddali postrzępiony łańcuch górskich grzbietów. Valgard lustrował widnokrąg, wypatrując choćby najmniejszego ruchu, ale w zasięgu wzroku nie widać było żywego ducha, jeśli nie liczyć jego samego i towarzyszy wyprawy. Gdy wyruszyli z doliny Egilla Jotuna, zobaczył uciekające przed ludźmi zwierzęta i był zaszokowany. Teraz byłby zaskoczony, gdyby w ogóle zobaczył jakieś zwierzęta.

Kiedy Loki zdradził mu, gdzie znaleźć znaki runiczne, do ich wypróbowania najlepiej się nadawał Botolf Arnarson — bo tak czy owak umierał. Rezultaty były, można powiedzieć, rewelacyjne. Wszyscy stali jak skamieniały, ze strachem w oczach, w absolutnej ciszy, która pozwoliła odczytywać na głos znaki

runiczne, a z każdą linijką słowa lepiej wpasowywały się w jego usta i rozbrzmiewały donośniej, gdy ulatywały z jego ust ku ludziom. Pomimo to kilku słów nie udało mu się dobrze wymówić, a kilka pominął; efekt może jeszcze nie był idealny.

Obserwował towarzyszy. Botolf zaczął już rosnąć. Przerastał go teraz o dobre półtora głowy. Ormslev jedynie nabierał krzepy, potężniał, jakby był chodzącym murem. Skóra Skeggiego zbieleła na kolor śniegu, a potem nabrała sinych odcieni niczym tafla zamrożonego jeziora. Skeggi, już wcześniej silny jak tur, teraz wyglądał na człowieka zdolnego wdać się w zapasy z niedźwiedziem. I zwyciężyć. Rośli również dwaj osiłkowie Skeggiego, Ormar i Jori, którzy ocaleli z wyprawy do jaskiń. Z każdym dniem byli coraz wyżsi i coraz szersi w barkach. Co najważniejsze, wszyscy bez szemrania robili to, co im kazał. Niepotrzebne były wybiegi, kłamstwa czy mikstura. Wystarczył rozkaz. Nie rozumiał tego, ale działało się tak, jak sobie życzył.

Valgard przymknął powieki, gdy plecy przypomniały mu raptem, że już bardzo długo maszeruje. Zastanawiał się, czy nie wypróbować znaków runicznych na sobie samym, ale coś go powstrzymywało. Gdzieś w tyle głowy słyszał echo cichego głosu. Tego samego, który słyszał od najwcześniejszych lat, który sączył się z pogardą na widok zwinnych, wielkich, popisujących się najeźdźców, szydzących z jego kalectwa. Głosu, który nie milkł nigdy i szeptał mu, że jest inny niż reszta. Lepszy

- Jestem wyjątkowy - stwierdził z uśmiechem.

Towarzysze usłyszeli te słowa, ale żaden nie odpowiedział. Właściwie od jakiegoś czasu nic nie mówili. Odzywali się tylko wtedy, kiedy on o coś pytał. Można było odnieść wrażenie, że mowa nie jest im do niczego potrzebna.

- Szybciej - powiedział Valgard.

Szli dalej na południe. Tam, skąd dawno temu wyruszyli. W kierunku Trondheim.



Rozdział 4

Obóz Jolawera, południowa Szwecja,
grudzień roku Pańskiego 996

Audun wykańczał długimi pociągnięciami ostatnie ostrze.

- Twój przyjaciel długo nie wraca - powiedział Thormund.

- Da sobie radę - odparł Audun. - Co mogłoby mu się stać?

Thormund nie odpowiedział, ale odchylił się i spojrzał dalej, na prawo od Auduna.

Kowal podniósł głowę. Przed nim stali wynędzniały młody mężczyzna, na którym było widać upływ lat, i dziewczyna o jasnych włosach, hardych oczach i ściągniętych ustach. W rysach ich twarzy widać było pewne podobieństwo. „Kuzynostwo - pomyślał Audun. - W każdym razie jacyś krewni”.

- Jest Ulfar? - zapytał mężczyzna.

- Dobry wieczór - rzekł dobitnie Audun, ale w odpowiedzi napotkał milczący wzrok obojga. - Nie. Nie ma Ulfara.

- W takim razie... - zaczął chłopak, ale kiedy dziewczyna trąciła go łokciem pod żebro, wcale nie subtelnie, dodał tylko: - Przekaż mu, że Greta i Ivar chcą się z nim zobaczyć. Żeby przeprosić.

- Przekażę - zapewnił Audun.

Para odwróciła się i odeszła bez słowa. Kiedy już nie mogła ich usłyszeć, Thormund odwrócił się do ciemności.

- Możesz wyjść - powiedział.

Ulfar wszedł w blask ogniska.

— Przeprosić. Nie wierzę ani jednemu ich słowu. Ale możemy uznać, że mi przekazaliście. W świetle dnia zobaczymy, co jest czym.

— Niezła parka — powiedział Thormund.

— Niezła - stwierdził Ulfar. - Niekiedy wydaje mi się, że ona jest bardziej niebezpieczna od niego.

Thormund pokiwał głową.

— Kobiety potrafią być bardzo niebezpieczne.

— Owszem potrafią — powiedział Ulfar. — Skoro o tym mowa...

— Co to? - przerwał mu Audun.

Gwiazdy migotały na czarnym niebie, gdy przy ognisku naprzeciwko nich usiadł tyczkowaty mężczyzna.

— Obawiam się, że kłopoty - odpowiedział cicho Ulfar.

*

Książę Karle wyszedł z namiotu w chwili, gdy nad horyzontem pojawiła się luna pierwszych promieni wschodzącego słońca. Przeciągnął się z grymasem na twarzy i poruszył ramionami.

— Do cholery z tym, do cholery ze wszystkim, z wami wszystkimi do cholery - burknął pod nosem nie wiadomo do kogo.

Potoczył wzrokiem po budzącym się do życia obozie. Alfgeir Bjorne chodził między namiotami, pokrzykując i rzucając groźby. Jeżeli zauważył, że księcia Karlego nie ma tam, gdzie poprzedniego wieczoru obiecał, że będzie, to nie dał tego po sobie poznać. „Cóż, sam może zrobić poranny obchód”. Owinął się szczelniej płaszczem, próbując się osłonić przed porannym chłodem.

— Galti! - krzyknął.

W ułamku chwili kanciasta postać Galtiego pojawiła się na tyle blisko, aby rozpocząć rozmowę.

— Słucham, książę?

— Przejdźmy się. Nudno mi. Opowiadaj, o czym gadają ludzie - rzekł Karle, wchodząc na ścieżkę między namiotami.

— Cóż, ludzie... — zaczął Galti. - Hm... Jak sądzę.... Myślę, że ludzie są zadowoleni. Mniej więcej.

- Galti. - W głosie Karlego zabrzmiała ostrzegawcza nuta. — Rozmawialiśmy już o tym. Ilu ludzi cię słucha?

- Nikt, mój panie.

- Co wtedy mówisz?

- Wszystko, panie.

- Co opowiadają?

- Ze są zmęczeni i zziębnięci - odparł Galti.

Karle wzruszył ramionami.

- Nieźle, ale taki jest, obawiam się, układ — odpowiedział. — Co jedzą?

- Potrawkę i korzenie - odparł Galti. - Wydaje mi się, że te stare łotry ze Stenviku zawsze mają więcej jedzenia. Ludzie uwielbiają ich za to.

Karle spojrział w niebo, wziął głęboki oddech i rozluźnił zaciśnięte pięści.

- Myślę - powiedział - że to dobrze.

- Tylko jeśli im na to pozwolisz, panie - powiedział Galti z błyskiem w oku.

- Co takiego? — zapytał Karle.

Galti się uśmiechnął.

- Mógłbyś zaproponować królowi Jolawerowi, aby żywność dzielono równo. Niech wyda dekret. Ludzie ze Stenviku nie będą mogli się wyklócać ani wykorzystywać swoich zapasów do kupowania sympatii innych. Poza tym wszyscy będą kochali Jolawera, a ty zyskasz w jego oczach.

Karle spojrział na Galtiego.

-To... znakomity pomysł - powiedział. - Skąd ci to przyszło do głowy?

-Obserwuję, jak dowodzisz, panie - odparł Galti. - To... inspirujące.

Karle nie umiał ukryć uśmiechu na twarzy.

-Jestem pod wrażeniem. Idź do niego, ja musiałbym wymyślić jakiś upokarzający pretekst, aby zbliżyć się do jego niemowlęcej wysokości.

— Jak sobie życzysz, panie - powiedział Galti.

Karle patrzył, jak odchodzi w kierunku obozowiska. W połowie drogi Galti stanął nagle, odwrócił się i podrapał po głowie. Karle ponaglił go gestem i młody mężczyzna o kanciastej posturze znów się odwrócił, ruszając w stronę namiotu Jolawera.

— Co za niedojda — rzucił Karle. — Jeden dobry pomysł i wydaje mu się, że może ze mną rozmawiać jak równy z równym.

Będzie musiał mieć oko na chłopaka i uważać, żeby nowo odkryta poufałość i chęć do figli nie pozostały przy nim na dłużej. Karle przeszedł dalej, a gdy był daleko od obozu, uśmiechnął się drwiąco i spróbował przybrać niewinną minę.

- Wasza Wysokość, przyszedł mi do głowy... Nie, tak niedobrze. Co sądzisz, panie, o tym, aby...

Wszedł do lasu, wypatrując zwierzyny i mrużąc pod nosem pod-dańcze słowa. Chciał przywyknąć do ich smaku.

Upłynęło sporo czasu od rozmowy z Galtim, gdy dostrzegł w lesie dużego, czarnego lisa. Przymierzył spokojnie, ale puszczone strzała chybiła celu i lis zniknął między drzewami.

- Och, skończony kutasie! — warknął Sven, zawiązując woreczek z ziołami, a potem uchwycił się najbliższej gałęzi i nie bez trudności podźwignął na nogi.

Ulfar przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

- Nie wiedziałem, jak się zachować - zaczął wyjaśniać. - Ona...

— Budzi strach? — podsunął Sven.

Z oddali dobiegały odgłosy obozowiska. W głębi lasu myśliwi dokonywali dzieła i raz po raz wybuchał między drzewami krzyk ginących zwierząt.

- Tak - przyznał Ulfar. - Ona jest...

-Jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi, jakich poznasz w całym życiu, nie ma co do tego wątpliwości — przerwał mu Sven. -Nasz chłopak, Jolawer Scot, zdał egzamin, pozyskując Widłobrodego, którego nikt dotychczas nie powstrzymał i nikt nie powstrzyma.

Jednak mimo całej swojej władzy ów człowiek ze splecioną brodą robi dokładnie to, co ona każe mu robić.

- Nic uległ jej, kiedy się spotkaliśmy w połowie drogi - zauważył Ulfar.

- Och, to nie jest jedyne miejsce, gdzie mąż i jego połowica toczą negocjacje, synu - powiedział Sven z błyskiem. — Gdyby tylko chciała, kazałaby mu biegać wokół drzewa, a on biegałby do utraty tchu. Jeżeli robi na kimś wrażenie, że sprawuje tu dowództwo, to tylko dlatego, że ona na to pozwala.

Ulfar podniósł brwi.

- Dlaczego on się na to zgadza?

- Ponieważ zawładnęła jego sercem - odparł po prostu Sven. — Jedwabieni i stałą. Teraz powiedz, co się przydarzyło.

- Sama podeszła - zaczął Ulfar. - Zaskoczyła mnie, niemal już wydobyłem miecz.

- Ha! - sarknął Sven. - Gdybyś to zrobił, leżałbyś już trupem. Wypatroszyłby cię mały Kanut, jeśli nie ktoś inny.

- Kanut? - zdziwił się Ulfar.

- Syn. Powiadają, że to ich syn, ale sądzę, że wydała go na świat sama, wprost z kręgosłupa. Zostawili go w domu, pilnuje go smoczysko. Na razie jest mały, ale kiedy dorośnie, stanie się groźny dla każdego, zapamiętaj moje słowa.

- Cóż, czułem się przy niej jak wieprzek na targowisku. Oglądała mnie od góry do dołu i jeszcze raz od dołu do góry. Musiałem sprawdzić, czy odzienie mam wciąż na sobie.

- Może szukała tylko chwili uciechy - stwierdził Sven, pochylił się i zaczął grzebać w ziemi kościstymi palcami przy korzeniach sosny. -I co? Miałeś?

-Co?

- Odzienie.

-Tak-odparł krótko Ulfar. - Staliśmy na zewnątrz. Było zimno. To chyba jasne? Nie hasam jak kiedyś. Ale ona patrzyła na mnie, jakby się zastanawiała, czy nie będę... użyteczny. Mam dziwne uczucie, że za parę dni mogę się stać jej nocną przekąską.

- Ha! - parsknął Sven i przykucnął. - Cała Sygryda!

- Skąd ją znasz? - zapytał Ulfar.

- Ech, z dawnych czasów. - Sven machnął ręką. - Wtedy wszyscy się znali. Młodzi władcy pragnęli chwały, więc jasne było, że zbierali na wyprawy najtwardszych i najbardziej wytrwałych... Czyli nas - dodał nie bez dumy w głosie.

- Ciebie, Sigurda, Skargrima...

- Również starego Thormunda, wtedy marudę, jakich mało -stwierdził Sven. - Było też wielu innych. Większość z nich nie żyje. Niestety hardość nie czyni człowieka nieśmiertelnym.

Ulfar przełknął głośno ślinę.

- Muszę... Muszę ci o czymś powiedzieć.

Sven przeszedł do następnego drzewa. Przykucnął przy nim, rozgarnął dłońmi śnieg i zaczął rozgrzebywać mokrą ziemię.

- Coś poza tym, że niemal wpadłeś w ramiona Sygrydy? Widzę, że twój poranek obfituje w ciekawe wydarzenia - rzucił przez ramię.

Ulfar szedł za nim w pewnym oddaleniu.

- Wydaje się nam... znaczy mnie i Audunowi... że nie król Olaf jest największym zagrożeniem na Północy.

Ręce Svena poruszały się coraz wolniej, a po chwili znieruchomiały. Przez dłuższy moment stał, jakby skamieniał.

- Co masz na myśli? - zapytał cicho.

Ulfar spocił się mimo przejmującego zimna. Teraz to powie.

- Naszym zdaniem Valgard coś knuje.

Cisza.

- Obawiamy się także, że pomagają mu bogowie. W każdym razie jeden z bogów.

- Który?

- Loki - szepnął Ulfar.

- Kurwa - wyrwało się Svenowi.

Jego ręce wróciły do pracy, bezwiednie ryjąc w ziemi, wrywając kiełkujące, zielone pędy.

Ulfar kręcił się wokół niego, czekając na dalsze słowa.

- Nic więcej nie masz do powiedzenia? - zapytał w końcu niepewnie.

-Czego chcesz więcej? Przekleństw?

-Nie. Ja...

Sven wciąż nie patrzył na Ulfara.

- Jeżeli jesteście w błędzie, nie ma problemu. Jeżeli macie rację i ten chuderlawy chłopiec, którego przygarnąłem i uchroniłem od śmierci, mój syn, przepoczwarzył się w coś potwornego, to trzeba będzie sobie z nim poradzić. Zresztą bez względu na to, czy macie rację, wszystko wskazuje na to, że będziemy potrzebować więcej ziela na opatrunki. Na twoim miejscu przestałbym gadać, a wziąłbym się do roboty.

Ulfarowi słowa uwięzły w gardle.

Sven odwrócił do niego głowę. Głos zdawał mu się łamać, ale brzmiał zdumiewająco łagodnie.

- Najlepiej od razu.

Po chwili Ulfar rozgrzebywał na czworakach ziemię w miejscach wskazanych przez Svena.

Kiedy długo później wrócili z lasu, obozowisko było zwinięte. Widać było tylko puste kociołki, otoczone przez zziębniętych i głodnych ludzi, wyczekujących niecierpliwie ich powrotu.

- Coś się zmieniło - mruknął pod nosem Sven.

-Co?

- Zaraz się dowiemy, jak sędzę.

Kiedy dotarli do namiotów Stenviku, zobaczyli kipiejącego ze złości Oskarla.

- Zabrali nam jedzenie! - huczał Oskarl.

- Kto?

-Alfgeir. Powiedział, że z rozkazu króla żywność będzie dzielona równo, a przecież dzieliliśmy się naszymi racjami! Może powinniśmy podzielić się czymś jeszcze? - Oskarl zacisnął mimowolnie pięści, aż dał się słyszeć trzask kłykci.

Na twarzy Svena pojawił się uśmiech, zimny i nieprzyjemny.

-To nie decyzja starego Alfgeira i nie ma potrzeby dzielenia się czymś więcej. Koniec końców dostaniemy to, co nam się należy.

Wokół rozbrzmiał szcęk kotłów i garnuszków, gdy armie Jolawera Scota i króla Widłobrodego rozpoczęły suty posiłek przed dalszym marszem.

Na dalekiej północy, grudzień roku Pańskiego 996

Zapadła noc. Smagający, mroźny wiatr był niczym ogień na twarzy, który palił, wysuszał oczy i powodował pęknięcie warg. Valgard wyczuwał językiem sól i wodę, krew i żelazo; smak mrozu. Oni oczywiście nic nie czuli. Jego armia. Jego ludzie — czy wolno mu jeszcze było nazywać ich ludźmi? Zerknął na Botolfa. Szedł przez śnieg niczym koń pociągowy. Była w nim niestrudzoność, nieugiętość, swoboda: wiosenna rzeka, jesienny wiatr. Maszeruje lekko w stronę Trondheim, a kiedy tam dotrze, zniszczy wszystko.

Valgard się uśmiechnął. Będzie wspaniale. Odwrócił się do Skeggiego.

- Jak to jest, tam w środku?
- Gdzie w środku? - zapytał potężny troll.
- W tobie - powiedział Valgard.

Przyszło mu do głowy, że jeden z jego największych osiłków może nieść go na ramionach, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że byłoby to pozbawione wszelkiej godności. Nie powinien być dla nikogo workiem ziemniaków.

Skeggi zmagął się z pytaniem.

- We mnie? - zapytał. - Nie rozumiem.
- Coś jednak musi się dziać - myślał głośno Valgard. - Co pamiętasz?
- Zimno - odpowiedział Skeggi. - Zimno, które króluje w komnatach Hel. Zimne objęcia, zimny ból, zimne cierpienie.

- Hm... - mruknął Valgard, a jego tępe, przewidywalne bóle w plecach wydały mu się nagle zupełnie znośne. - Coś jeszcze?

- Twój głos — odpowiedział troll, jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż przy słowach o zimnie.
- Prawda - przyznał Valgard. - Mój głos. A co wam rozkazałem?
- Mamy iść do Trondheim. Zabić króla Olafa! — rozbrzmiały zgodnym chórem głosy wszystkich maszerujących trolli, głosy tak głębokie, że niemal niesłyszalne.

- Dobra robota. Maszerujcie dalej! - powiedział Valgard. - Zaczynam się obawiać, że odstraszyście każdą możliwość zwykłej konwersacji.

Zatrzymał się i zlustrował otaczające ich pustkowia. Śnieg okrył wszystko tym samym sinobiałym całunem. Mające w dali linie drzew wyglądały jak ciemne rozdarcia na jasnej tkaninie. Daleko dostrzegł chmury. Wiedział, że wiszą nad morzem. Wkrótce zaciągną niebo nad Trondheim. Zgromadzą się nad głową Olafa, którego cieszył każdy płaski komplement, który pozwalał, by wszyscy lżyli i obrażali Valgarda, i który, z tą swoją świętą gorliwością w dzikich oczach, mógł zostać jedynie potwornym królem.

Valgard podniósł wzrok i zmrużył powieki. Podobały mu się te chmury.

*

Ormslev pierwszy zauważył jelenia. Właściwie „zauważył” to stwierdzenie na wyrost. Valgard skrzywił się na odgłos charakterystycznego chrzęstu, gdy troll, ważący teraz więcej niż połowa wołu, nastąpił na przykryte śniegiem poroże i połamał je w ułamku chwili. Od wielu dni nie widzieli zwierzęcia, więc jelen, jak domyślił się Valgard, musiał być starym osobnikiem, który nie nadążył za stadem. Może jego serce nie wytrzymało, kiedy uchodził przed ich szóstką. Położył się, a potem na poły zamarł.

Valgard spojrział na padlinę i cofnął się w czasie myślami. Kiedy po raz ostatni miał coś w ustach? Nie pamiętał. Czy jest głodny?

Właściwie nie.

- Idziemy dalej - zarządził krótko, a słowa niemal uwięzły mu w gardle.

Gdy sinoskóre olbrzymy podjęły marsz, Jori zaczeplił czubkiem nogi o wystający korzeń, stracił równowagę i poleciał na Skeggiego.

Ten warknął i odepchnął go wściekle. Rozdrażniony Jori zamachnął się, ale tak szeroko, że zachwiał się i nie trafił w cel, a jego pięść spadła na szczękę Ormsleva. Ten natychmiast oddał cios. Jego potężne, muskularne ramię uderzyło w pierś Joriego, który zatoczył się do tyłu i wpadł na Botolfa.

- Dość!

Słowo uleciało z ust Valgarda, zanim zdążył pomyśleć.

Pięć trolli stanęło w miejscu.

- Odsunąć się od siebie! - warknął Valgard, kipiąc z gniewu, a potem podszedł do Skeggiego i spojrzał mu w twarz. — Nie rób więcej takich rzeczy.

Wielki troll spoglądał na niego z nienawiścią, ale ani drgnął. Valgard przeszedł do Ormsleva. Miał świadomość, że odślania plecy, ale się nie przejmował. Gniew był teraz dla niego najlepszą tarczą.

-Ty! Nie podnoś ręki na drugiego trolla! Jasne?

Brzuchaty troll spojrzał na niego tępym wzrokiem i wzruszył ramionami.

- Świetnie. Teraz jazda dalej! Powiem wam, kiedy i kogo macie bić. A ty staraj się trzymać na nogach — rzucił na koniec do Joriego.

Wkrótce wpadli w rytm marszu i zapomnieli o scysji. „Są jak dzieci — pomyślał Valgard. - Duże, straszne dzieci”. Pomyślał o Haraldzie, o tym, jak idealnie pasowałyby do tej kompanii. „Tyle że ci robią dokładnie to, co im każe”. Gdzieś w głębi poczuł przyjemne mrowienie, jakby uderzyło mu do głowy letnie wino. Więc tak smakuje władza.

Śnieg już mu nie dokuczał.

Południowa Szwecja, grudzień roku Pańskiego 996

Biało i szaro, zimno i mokro.

Armia maszerowała na północ, potem nieco odbiła na północny zachód. Pejzaż zaśnieżonych sosen ustępował nieogarnionej bieli pól, jeszcze głębiej zatapiając się w okowy zimy. Po zmroku maszerowali najdalej, jak się dało, ale kiedy ogarnęła ich zupełna ciemność, rozległ się okrzyk, wszyscy stanęli i rozbili obozowisko na dużym polu w pobliżu jakiegoś lasu.

Wojownicy ze Stenviku stali przy swoim obozowisku i przyglądali się, jak ludzie króla Jolawera Scota sprawnie rozstawiają namioty.

- Popatrz tylko! - powiedział Sven.

- Mówiłem - odparł Sigurd.

- Szybko się uczą — stwierdził Oskarł i zamyślił się na chwilę. — Gdyby udało nam się wyzwąć króla Olafa do walki na szybkość w rozbijaniu obozu, to zwycięstwo mamy pewne.

- Kto to jest? - zapytał Ulfar.

Od strony obozowiska Widłobrodego w kierunku namiotu Jolawera szedł tyczkowaty mężczyzna. Sigurd i Sven wymienili spojrzenia.

- Ubijają jakiś interes, to pewne - powiedział Sven. - Prawdopodobnie nie mamy powodu do obaw.

Posłaniec króla Widłobrodego schylił się i wszedł do namiotu króla Jolawera Scota. Niedługo potem wyszedł z Alfgeirem Bjornem. Uscisnęli sobie dłonie i posłaniec wrócił do swojego obozowiska.

- Może jednak się mylę — powiedział wolno Sven. - Może bardzo się mylę.

Alfgeir odwrócił się w ich stronę i podszedł pewnym krokiem.

- Dobry wieczór, mieszkańcy Stenviku - powiedział. - Sigurdzie, potrzebuję do pomocy kilku twoich wojowników. Muszą być silni i dobrze władać toporem.

- Oczywiście - odpowiedział Sigurd. — Zrobię co w mojej mocy. Mogę zapytać, co zamierzamy zrobić?

- Będziemy rozpalać ogień — odpowiedział Alfgeir i odszedł.

Dwie ciemne pryzmy drewna otaczał łańcuch migoczących, biało-złoty płomieni, podrywanych do tańca przez podmuchy wiatru. stosy zostały wzniesione w odległości stu kroków od siebie w wyścigu między oboma obozowiskami. Zwyciężył obóz króla Jolawera Scota, choć ledwie o włos. Natomiast stos

Widłobrodego był równiejszy i solidniej ułożony. W efekcie rywalizacji przestrzeń między obozami rozświetlały teraz dwie potężne, płonące wieże. Ludzie Widłobrodego siedzieli z jednej strony, a Jolawera Scota z drugiej.

Alfgeir Bjorne wstąpił w krąg światła.

- Ludzie Północy! - zawołał.

Szmer rozmów ucichł powoli i po chwili zwróciły się ku Alfgeirowi wszystkie oczy i uszy mężczyzn i kobiet siedzących przy obu płonących stosach.

- Przyszło nam żyć w niebezpiecznych czasach. Żyjemy w epoce dla odważnych! - Rozległ się aplauz. - I zanim wyprawimy się na północ, aby pokazać królowi Olafowi, kto włada krainami Północy, wasi królowie, król Jolawer Scot i król Widłobrody — okrzyki radości przemieniły się w przeciągłe wycie i gwizdy, a między ludźmi zaczęły już krążyć skórzane bukłaki napełnione kwaśnym, mocnym miodem - uznali, że powinniśmy przeprowadzić turniej!

Ulfar, który siedział daleko z tyłu, by nie doskwierał mu bijący od ogniska żar, zerknął na Auduna i Thormunda, a potem skinął na pochłoniętych rozmową Svena i Sigurda.

Stojący między armiami Alfgeir Bjorne mówił dalej:

- Król Duńczyków, Postrach Mórz, Swen Widłobrody!

Połowa żołnierzy ryknęła na wiwat, gdy Widłobrody wszedł w krąg blasku ognia. Odziany w prosty ubiór wojownika emanował tak wielką siłą, że jednym skinieniem ręki uciszył tysiąc ludzi.

- Znają nas na całym świecie! - zaczął głosem, który niósłby się wyraźnie przez dwa pola bitwy. - Boją się nas, ponieważ przybywamy w środku nocy z ogniem i mieczem. Boją się nas, ponieważ przybywamy w środku dnia na potężnych okrętach, z toporami niosącymi śmierć. — Za jego plecami Alfgeir i tyczkowaty posłaniec stawiali dwie kłody drewna, ociosane naprędce w bryłę przypominającą kształtem człowieka. - Pierwszym sprawdzianem zatem niech będzie... mierzenie do celu!

Tłum znów zawył i zaczął skandować imiona zawodników. Nieporuszony Widłobrody wskazał człowieka po swojej lewej ręce. Mężczyzna miał gęstą, rudą brodę, szerokie ramiona drwala i trzy lekkie topory za pasem. Stał dobre dwadzieścia kroków przed drewnianymi figurami. Potem rozejrzał się po tłumie, rozłożył ramiona i zaczął nimi machać, zachęcając widzów do aplauzu. Ludziom Widłobrodego nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ryknęli ogłuszającym wrzaskiem, a mężczyzna z brodą zaczął się cofać. Dwadzieścia dwa kroki... dwadzieścia pięć... dwadzieścia osiem...

- Za daleko - mruknął Thormund. - Łajdak jest za bardzo pewny siebie.

Z krzykiem na ustach mężczyzna wyrwał zza pasa topór i cisnął go do celu. Ludzie ucichli w jednej chwili, topór poszybował w ciemność i uderzył w drewno z głuchym, dobrze słyszonym „bum!”. Ostrze utknęło w górnej części kłody, gdzie powinna się znajdować głowa.

Tłum wybuchł entuzjazmem.

Mężczyzna z brodą zrobił jeszcze dwa szybkie kroki w tył. Błysnął metal w poświacie ognia i moment później drugi topór zatopił się obok pierwszego, dosłownie w odległości równej grubości kciuka. Tłum znów uniósł się zachwytem, ale mężczyzna z brodą tym razem się nie ruszył. Stał w tym samym miejscu, zagłuszony jazgotem, przeciągając ramiona i rozgrzewając mięśnie. Gdy tłum wreszcie przycichł, potoczył wzrokiem po twarzach, patrząc na nie niczym król na swoje włości. Potem błyskawicznie sięgnął po trzeci toporek, zważył go w dłoni i rzucił w stronę drewnianej figury.

Iskry sypnęły na wszystkie strony, gdy ostrze wdarło się ze zgrzytem między rzucone wcześniej toporki.

Wobec takiego kunsztu nawet ludzie Jolawera Scota nie mogli pozostać obojętni.

-Widzieliście?! - syknął Piszczalka. — Widzieliście to, kurwa? Po jednym w każde oko, a trzeci w nos! Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Drań ma oko — mruknął Thormund. — Cieszę się, że są po naszej stronie.

- Sza - powiedział Ulfar. — Teraz nasza kolej.

Do kręgu wszedł król Jolawer Scot. Jego długi cień pląsał w rytm płomieni, niknąc w ciemnościach. W rękę trzymał kij z grubo owiniętym końcem.

- Brawa dla mocnej duńskiej ręki! - zawołał król.
- Brawa dla głosu króla - mruknął Audun. - Jak on przekrzykuje ten hałas?

Stojący obok Ulfar pokręcił głową.

- Nie możemy mieć złudzeń, że udałoby się nam wystawić do rywalizacji Szweda, który rzuciłby toporem równie znakomicie. Powiem więcej, nie jestem pewien, czy mój topór pokonałby połowę drogi do figury! - powiedział Jolawer i uśmiechnął się szeroko, słysząc wśród widowni wybuch śmiechu. - Nie. My, Szwedzi, powinniśmy raczej spuścić ze wstydem głowę!

Krzyki oburzenia ze strony jego żołnierzy mieszały się z okrzykami zachwytu i radości wśród żołnierzy Widłobrodego.

- Co on, do diaska, robi? - burknął Piszczalka. - Poddaje się!

Ulfar pierwszy zrozumiał.

- Nic z tych rzeczy.

Ogarnięty coraz większym żarem płonących stosów Jolawer Scot rozgrzewał się do odegrania swojej roli.

- O tak! Powinniśmy! Książę Karle, powstań!

Siedzący w przednim rzędzie Karle wstał i wyszedł na środek. Łuk przewieszony przez jego ramię przylegał mu do pleców tak mocno, że zdawał się stanowić część ciała. Za nim wyszedł chłopiec niemający więcej niż trzynaście wiosen. Jolawer Scot odwrócił się do wysokiego księcia w bieli.

- Karle, potrafiłbyś tego dokonać? Trafić z trzydziestu kroków w tak mały cel, rozmiaru ledwie ludzkiej głowy? Toporkiem? Trzy razy!?

Połowa ludzi Widłobrodego znów wzniosła wiwat, ale druga połowa już milczała.

- Nie, mój panie. Nie potrafiłbym tego dokonać.
- Cóż, więc jesteś dla mnie bezużyteczny! Zostajesz wygnany w ciemność!

Wśród ludzi Widłobrodego pojawiła się konsternacja, a po stronie wojowników Jolawera dało się słyszeć pojedyncze buczenie. Król bez słowa rzucił chłopcu kij. Karle odwrócił się i z małym towarzyszem odszedł w kierunku drugiego płonącego stosu. Kiedy go mijali, chłopiec włożył do ognia końcówkę kija, a ten rozgorzał płomieniem.

-To pochodnia? - zapytał Piszczalka.

- Tak - odparł Ulfar.

Parę chwil później książę i chłopiec zniknęli w ciemnościach i widać już było tylko niewyraźną, żółtawą kulę pochodni.

Jakieś pięćdziesiąt kroków za pierwszym płonącym stosem pochodnia się zatrzymała i ludzie mogli zobaczyć tylko, jak chłopiec unosi ją w górę, aby oświetlić Karlego.

Ruch, którym odwiązał z ramienia łuk, był niewidoczny, szybki i bezgłówny. Dopiero moment później ludzie dosłyszeli brzęknięcie, gdy puścił cięciwę.

Wszyscy widzieli, jak strzała tnie płomienie.

Gdy grot zatopił się w czole drewnianej figury, ludzie Jolawera Scota wzniesli radosne okrzyki i spojrzeli w ciemność, skąd padł strzał, ale pochodnia była już gdzie indziej. Kolejne dziesięć, kolejne dwadzieścia kroków. Nie dostrzegali w mroku twarzy łuczника, gdy Karle wypuszczał drugą strzałę, przesywając mroźne, wieczorne powietrze na pół.

Okrzyki radości przeszły w ogłuszający wiwat, kiedy druga strzała trafiła idealnie w cel, wbijając się z dygotem obok pierwszej, ale wiwat natychmiast zamienił się w szmer niepokoju, ponieważ pochodnia znowu się poruszyła jeszcze dalej.

- Co on robi? - szepnął Audun. - Strzał z takiej odległości jest niemożliwy.

Ulfar potrząsnął głową.

- Bawi się tylko. Nic więcej.

Pochodnia się zatrzymała i nagle z ciemności dobiegł ich krzyk: »Szwedzi! Szwedzi!«. To krzyczał książę Karle. Ludzie króla Jolawera podjęli okrzyk i potrzęsneli w powietrzu zaciśniętymi pięściami, co spotkało się z pojedynczymi okrzykami niedowierzania ze strony żołnierzy króla Widłobrodego.

- Książę Karle! Pozwolę ci powrócić do mego królestwa! - krzyknął ponad głosami innych Jolawer Scot

Pięć strzał, jedna za drugą, zatopiły się w czole figury, wszystkie na przestrzeni nie większej niż szerokość dwóch kciuków.

Mężczyzna z armii Widłobrodego, który rzucał toporami, wyszedł na środek i czekał. Kiedy książę Karle wyłonił się z ciemności, brodacz skłonił głowę. Obok niego pojawił się król Widłobrody, który podniósł dłoń i uciszył tłum.

- Musimy przyznać, Duńczycy, że Szwedzi okazali swą wyższość w tym szlachetnym starciu. Są świetni w strzelaniu do celu, który pozostaje... nieruchomy! Czas, aby pokazali nam Szwedzi swojego mistrza zapasów!

Na te słowa żołnierze Widłobrodego znów ryknęli jak jeden mąż.

Stojący w pierwszym rzędzie król Jolawer Scot odwrócił głowę do Alfgeira Bjornego, który spojrzał na Sigurda i Svena. Po szybkiej naradzie wystąpił król Jolawer.

- Chyba nie zamierzają... - Głos Ulfara zawisł w powietrzu.

- Czego? - zainteresował się Audun.

- Przez dziesięć lat był mistrzem, ale kiedy jednego z przeciwników pozbawił życia, obiecał sobie, że już nigdy więcej nie będzie...

Naraz rozległ się donośny głos Jolawera Scota:

- Wystawiamy Alfgeira Bjornego!

- Cholera... - mruknął Ulfar.

Alfgeir wystąpił między dwa płonące stosy. Od razu wyczuło się w nim coś więcej niż zwykle. Lata zdawały się opadać ze starego człowieka, odsłaniając coś zupełnie innego, coś budzącego respekt i strach. Sigurd i Sven uśmiechali się do siebie w pierwszym rzędzie niczym chłopcy cieszący się z dobrego żartu. Alfgeir odwrócił się do ludzi Jolawera Scota.

- Gorąco tutaj! - ryknął.

Zrzucił futra i zdjął koszulę. Wśród ludzi dał się słyszeć głęboki, długi wdech. Stojący w blasku ognia mężczyzna zbudowany był jak dorodny byk, z szerokimi barkami, długimi, silnymi ramionami i warstwą tłuszczu opinającą wydatne mięśnie.

- Oto nasz mistrz, królu Widłobrody — powiedział Jolawer Scot. — Alfgeir Björne, panujący mistrz zapasów w Uppsali, Gotlandii i krainach sąsiednich. Kogo zatem ty, królu, wystawiasz?

Widłobrody spojrzał na swoich ludzi, ale nikt się nie poruszył.

- Czy ktoś z Jutów podejmie wyzwanie!?! - zawołał król.

- Przeciwno temu czemuś?! — krzyknął ktoś i w tłumie rozległ się dziki rechot.

Król jednak zachował spokój.

- Czy stanie ktoś z Finów?

Z tyłu podniósł się stary, siwy wódz.

- Nie ma u mnie nikogo, kto stanąłby z Alfgeirem Bjornem, mój królu. Samo jego imię waży więcej aniżeli połowa moich ludzi.

- Cóż - powiedział Widłobrody. — Skoro tak się rzeczy mają, to podejrzewam, że będziemy musieli ustąpić bez walki.

Wśród buczenia i odgłosów niezadowolenia podszedł do króla tyczkowaty posłaniec i szepnął mu coś do ucha. Widłobrody podniósł rękę i nakazał ciszę.

- Mamy odwąznego! — zawołał.

Wśród Duńczyków podniósł się wiwat. Narastał powoli. Audun nachylił się do Ulfara.

- Co się dzieje?

- Nie wiem - odparł Ulfar i obaj spojrzeli na Thormunda, który w skupieniu marszczył brwi.

- Coś obilo mi się o uszy - mruknął stary koniokrad. - Ale nie sądzę, żeby...

Urwał nagle, gdy król Widłobrody wyszedł już z koła i wtopił się w tłum.

- Gdzież ta odważna dusza?! — zawołał Sven.

Wysoki, tyczkowaty posłaniec odwrócił się w stronę Szwedów i ukłonił lekko.

W jednej chwili nad jego głową przetoczył się nieopanowany rechot. Hardzi i groźni wojownicy zalewali się łzami ze śmiechu.

Rozbawiony Alfgeir Björne klasnął głośno w dłonie.

-To ty chcesz stanąć ze mną do walki, chłopcze?! - zawołał wesoło.

W odpowiedzi tyczkowaty posłaniec zrzucił koszulę. Skórę miał tak bladą, że niemal świeciła blaskiem płomieni.

- Spójrzcie tylko! Skóra i kości! Nawet opierzony nie jest! Kurczaczek! - W obozie Jolawera Scota rozległo się chóralne gdakanie.

Wówczas posłaniec zaczął się ruszać.

- O cholera... - mruknął Ulfar.

- Co? - zapytał Piszczalka.

-To nie wygląda dobrze. To wcale nie wygląda dobrze - powiedział Ulfar, nie spuszczając obu mężczyzn z oczu

Alfgeir Björne ugiął lekko kolana i przygarbił się w zasadniczej postawie zapaśnika, robiąc wrażenie, jakby zaraz miał się zderzyć z rozpędzonym wołem.

- To jazda, chłopcze! - ryknął.

Posłaniec Widłobrodego postąpił krok naprzód, jakby nieśmiało.

- Patrzcie na nich - powiedział Ulfar, kiwając głową w stronę ludzi Widłobrodego.

Oczy zbitych w masę Duńczyków płonęły dziko w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

- Nie boją się — stwierdził Audun. — Ani jeden się nie boi.

W tej samej chwili, bez ostrzeżenia, Alfgeir Björne skoczył na chudego posłańca z rozpostartymi ramionami niczym drapieżna bestia spadająca na bezradną, upatrzoną ofiarę. Nikt nie mógłby mieć szans na ucieczkę. Walka, jeśli można takie starcie nazwać walką, lada moment się zakończy, a Alfgeir zmiażdży posłańca, którego... Którego tam nie było! Jakimś cudem mężczyzna wymknął się uściskowi i stał tuż za swoim przeciwnikiem.

Wielki Szwed ryknął wściekle, odwrócił się ze zdumiewającą szybkością i znowu natarł. Tym razem, kiedy wszyscy już wiedzieli, na co warto patrzeć, każdy mógł zobaczyć, jak tyczkowaty posłaniec się porusza, jak zwinnie się okręca, uchodząc z linii ataku, a potem błyskawicznie chwyta wyciągniętą rękę, wykręca ją i oto Alfgeir zwala się nagle na ziemię, właściwie siłą własnego rozpędu.

Z piersi ludzi Jolawera Scota uszło powietrze.

Posłaniec zrobił trzy kroki w tył i skinął w stronę Jeżącego na brzuchu przeciwnika.

_ Poddajesz się? - zapytał głośno i wyraźnie.

-Jak siedem cycków Hel! - warknął Alfgeir, zbierając się na nogi. Stojący w pierwszym rzędzie Sven spojrzął na Sigurda z troską na twarzy. Z ruchu warg Ulfar zdołał odczytać słowa „skręci mu kark” oraz „chytra sztuka”.

Tym razem Alfgeir Björne nie rzucił się od razu na rywala, lecz okrążył go ostrożnie.

- Szybki jesteś, chłopcze - powiedział. - I bystry. Lubię takich. Raz coś innego. Lepsza zabawa. Ale zabijałem szybszych i bystrzejszych.

Posłaniec się uśmiechnął i wyciągnął rękę. Alfgeir odtrącił ją uderzeniem dłoni, ale w tym samym momencie druga dłoń posłańca z szybkością błyskawicy zamknęła się na jego nadgarstku jak kleszcze. Już

miał rękę Alfgeira na ramieniu i pociągnął ją, aż stary zapaśnik stracił równowagę. Wtedy posłaniec wsunął się pod upadającego przeciwnika i napał od dołu, aż ciężar ciała wyrzucił Alfgeira w powietrze i przerzucił na jego drugą stronę.

Kiedy tym razem Alfgeir wylądował na ziemi, nie skoczył od razu na nogi.

- Nawet uzbrojony po zęby nie mam zamiaru mierzyć się z tym chuderlakiem - stwierdził Ulfar, a stojący przy nim Audun, Thormund i Piszczątka przytaknęli zgodnie.

Król Widłobrody wstąpił do koła i pochylił się nad Alfgeirem Bjornem. Jednak stary wojownik podniósł ciężko rękę, a chwilę później, krzywiąc się z bólu, powstał. Kiedy się wyprostował, odwrócił głowę do Duńczyków.

- Nikt nie pokonał mnie nigdy w taki sposób, a tym bardziej chłopak chudy jak szczapa. Niech żyje mistrz!

Podszedł do tyczkowatego mężczyzny i uściśnął jego dłoń z głośnym klaśnięciem, jak czynią to wojownicy w geście pozdrowienia. Duńczycy zawyli z aprobatą, skandując imię zwycięzcy.

- Thorkell! Thorkell!

Widłobrody podniósł dłoń.

- Oznacza to remis - ogłosił duński król. - Teraz wasza kolej! - Skłonił się Jolawerowi Scotowi.

Młody król wstał i ruszył do Widłobrodego między płonące stopy.

- Szwedzi przewyższyli was w mierzeniu do celu. - Głośne wiwaty wśród jego ludzi. - Wy jednak przewyższyliście nas w zapasach. - Jeszcze głośniejsze wiwaty ze strony Duńczyków. - Były to heroiczne wyczyny, godne, sądzę, opiewania... pięknym rymem!

Ludzie obok Auduna i Ulfara zaczęli dzwonić i szczekać wszelkimi przedmiotami, jakie mieli pod ręką. Najpierw wolno, potem coraz szybciej i rytmiczniej.

To podobało się Widłobrodemu. Poczekał, aż rejwach osiągnie punkt kulminacyjny, a potem podniósł znowu rękę.

- Jeśli bronią w pojedynku ma być wiersz, jeden jest tylko sprawiedliwy sposób na dobranie oponentów. Na delikatnych dworach Południa i Zachodu otyły król siada na poduszkach — powiedział Widłobrody, podnosząc stopniowo głos — a malowane niedorostki wyśpiewują mu błogie pieśni. Za to na Północy nie słyszałem o królu, który sam nie byłby skaldem. Zatem wyzywam cię, Jolawerze Scocie, chłopięcy królu Szwedów!

Jeżeli młody król przejął się rzuconym mu niespodziewanie wyzwaniem lub rykiem tłumu, to nie dał tego po sobie poznać. Wystąpił na środek między płonące stopy i spojrzał Widłobrodemu w oczy.

Widłobrody duński król,

Straszny i nieustraszony,

Pan i władca lasów, pól,

Trzyma się spódnicy żony.

Wśród ludzi Jolawera Scota podniosły się gwizdy i szydercze śmiechy.

Widłobrody uśmiechnął się pod nosem i pokiwał głową z aprobatą, a potem przemówił.

Czas pokaże kiedyś,

Gołowsie królu,

Jaką rozkosz skrywa

Niewiasty spódnica.

Drwiny i śmiechy popłynęły od strony Duńczyków, ale Widłobrody uciszył je gestem ręki.

Król bez żony i bez brody,

Bez dziedzica i zagrody,

Może chłop to, chłopiec może,

Nocne dzieli z dłońią łóżce.

- Auu! - mruknął Audun do Ulfara, a tłum szalał z rozbawienia, drwiąc i pokazując obsceniczne

gesty.

Jolawer Scot śmiał się razem ze wszystkimi i czekał. Gdy wrzawa nieco przycichła, podniósł ręce i zapadła cisza. Po ostatnim ryku odczekał chwilę i chrząknął. Potem skłonił kurtuazyjnie głowę w stronę Widłobrodego i jednocześnie usłyszał krótką salwę śmiechu pod swoim adresem.

Władca równin płaskich,

Co jęzorem płasko miele

Jak...

- Królu Południa! Proszę o posłuchanie!

Głos dobiegł z ciemności, grzmiący i dostoyny, przerywając Jolawerowi w pół zdania. Setki wojowników zerwały się równocześnie na nogi, z całym asortymentem metalowej broni gotowej do użycia.

- Odłożyć broń! - ryknął Widłobrody.

- Natychmiast! — dodał król Jolawer Scot.

- Pokaż się, człowieku! - krzyknął Widłobrody w ciemność.

W jego głosie dzwięczała stal.

Minęła chwila. Potem następna. Ciemne sylwetki żołnierzy rozstąpiły się powoli. Na dalekim skraju migoczącego kręgu, w bladym półświecie, pojawił się jeździec. Zaraz za nim rząd wojowników na koniach, dobrze uzbrojonych, doświadczonych, zaprawionych w bojach. Dziesięciu w odzieniu i uzbrojeniu wyżej urodzonych.

Pierwszy z jeźdźców, potężny mężczyzna o szerokich barkach i krzywym, dwukrotnie złamanym nosie, zeskoczył z konia i trzymając dłonie daleko od miecza, przeszedł między ogniskami do obu królów.

Naraz dał się słyszeć świst. Puszczona z łuku strzała minęła goleń mężczyzny i wbiła się głucho w ziemię tuż za jego nogą.

— To był dobrze mierzony strzał, przybyszu - powiedział Widłobrody, a Karle za jego plecami znów naciągnął cięciwę. — Kim jesteś i co masz do powiedzenia?

Mężczyzna potoczył wzrokiem po zgromadzonych wojownikach, jakby oceniał ich wartość, a w końcu kiwnął głową z zadowoleniem.

- Nazywam się Eryk, jestem synem Haakona Wielkiego, jarla Trondheim. Przynoszę wieści z Północy. Złe wieści.



Rozdział 5

**Trondheim, północna Norwegia,
grudzień roku Pańskiego 996**

- Myślałem, że nigdy się nie dokopiemy - mruknął Hjalti, opatulając się szczelniej płaszczem.

Ludzie przekopywali przejścia między domami, próbując w porannym, słabym słońcu pokonać skutki wczorajszego przepicia. Powietrze było tak zimne, że nieprzyjemnie piekło w płucach.

- Miejscowi mówią, że nie pamiętają, kiedy tak sypało — odpowiedział Einar. - A widzieli niejedno - dodał.

Stali przed rozwartymi drzwiami komnaty jarla Haakona. Właśnie udało im się do nich dotrzeć. Śnieg był mokry, zbity i stwardniały, sięgał piersi dorosłego człowieka. Hjalti stosował prośby i groźby, klnąc przy tym na czym świat stoi, usiłując zmusić ludzi, by ruszyli tyłki i zabrali się do roboty. Ale dopiero król sobie poradził. Usiadł po prostu na wysokim krześle, poczekał, aż wszyscy ucichną, a potem poprosił spokojnie, aby uczynili to dla niego i dla Zbawiciela. Pierwsza zebrała się bodaj najdziwniejsza gromada ludzi - najtwardsze łotry, zawadiaki, podrzynacze gardeł o końskich twarzach, złodzieje i błazny. Byli gotowi wykonać każde polecenie króla.

- Wkrótce będziemy mieli gości - powiedział Hjalti.

-Tak powiadają - odparł Einar.

- Mogą być kłopoty — stwierdził Hjalti.

Einar wzruszył ramionami.

Przez moment stali w milczeniu, patrząc, jak ludzie rozrzucają i rozpychają zwały śniegu, drażąc między domami wąskie korytarze. Wszystkie dzieci, które mieszkały jeszcze w Trondheim, dokazywały na zewnątrz, biegając wokół, pokrzykując do siebie, obrzucając się nawzajem śnieżkami i spychając z powstających śniegowych pryzm,

- Einar! Hej, Einar! — krzyknęła może dziesięcioletnia dziewczynka, patrząc na nich z odległości pięćdziesięciu kroków. — Pokażesz?!

- Co pokazać?! - odkrzyknął Einar.

W odpowiedzi dziewczynka zaczęła lepić śnieżkę.

Wolnymi ruchami, nie odejmując od dziewczynki wzroku, Einar zebrał garść śniegu i uformował w dłoniach twardą, zbitą kulkę.

Hjalti zobaczył, że dzieci natychmiast przestały się bawić i patrzyły na to z przejęciem. Dziewczynka ze śnieżką spojrzała na Einara, czekając na znak. Młodzieniec skinął lekko głową.

Dziewczynka wyrzuciła w górę śnieżkę, najwyżej jak potrafiła.

Ramię Einara Tambarskelfa odchyliło się daleko. Po chwili z jego ręki wystrzelił mały pocisk, przesywając ze świstem powietrze. Bryła śniegu, wśród radosnych okrzyków dzieci, zderzyła się ze śnieżynką, rozbijając ją w biały pył. Niektórzy z pracujących mężczyzn wymienili rozbawione spojrzenia.

- Jeśli będą kłopoty, to będą - dokończył Einar.

Hjalti dopiero po jakimś czasie zamknął rozdziawione usta.

Jarla Storreka powitało w Trondheim szare niebo i ciężkie chmury. Zwiadowcy Olafa szybko uprzedzili króla o nadciągającym gościu. Kiedy jarl stanął przed długim domem, płonęły już ogniska, a strawa była gotowa do podania. Przy wejściu czekał Hjalti.

- Jarlu Storreku! - zakrzyknął. - Witaj w...

- Zamknij dziób, pisklaku! - przerwał mu wódz. - Przemoczony jestem i zziębnięty. Nie jesteś królem, z którym przyjechałem się spotkać.

Hjaltiemu dalsze słowa uwięzły w krtani.

- Ja... to jest... król...

- Srecie-pecie! - rzekł szyderczo wódz. - Stulże gębę! Zaprosisz mnie wreszcie do środka czy mam utorować sobie drogę mieczem?!

Hjalti usunął się w chwili, gdy Storrek zaczął się przepychać.

- Jarl Storrek! — zdążył krzyknąć Hjalti do wnętrza domu. — Przed oblicze króla...

- Zamknij się! - wrzasnął jeszcze Storrek przez ramię. — Na zębiska Hel! Miałbym ochotę walnąć cię w dziurkę w nosie, ale za bardzo mnie wkurzasz.

Czterej cierpliwi towarzysze jarla rozstawili się za nim szeroko i w takim pochodzie ruszyli w kierunku podwyższenia na końcu komnaty.

- Król Olaf? - ryknął z daleka Storrek.

Król podniósł się z wysokiego krzesła, ale nie odpowiedział. Otyły wódz spojrzał na niego spod przymrużonych powiek, a potem przeszedł do długiego stołu, który stał tuż przed podwyższeniem, i usiadł ciężko, świszcząc z wysiłku. Olaf zszedł wolno po schodach i zajął miejsce naprzeciwko jarla.

- Powiem krótko — zaczął Storrek. — Nie podobasz mi się. - Cekał na reakcję na twarzy Olafa, ale się nie doczekał. — Nie podoba mi się twój bóg. Nie podoba mi się twój sposób władania. - Król dalej nie odpowiadał, stojący za jarlem kompani przestąpili nerwowo z nogi na nogę. - Ale... — powiedział wódz, tym razem głośniej. — Ale... - powtórzył ciszej opanowanym głosem. - Potrafię liczyć.

Król Olaf spojrzał mu prosto w oczy i uśmiechnął się.

- Czego chcesz? - zapytał Storrek.

Król Olaf pochylił się do przodu.

- Doceniam twoją szczerość - powiedział.

Storrek wyprostował się gwałtownie, nieco zdezorientowany.

- Mówię prawdę - ciągnął król Olaf. - Jesteś człowiekiem, z którym mógłbym dokonać większych czynów. I jestem pewien... - król pochylił się bardziej i zniżył głos - absolutnie pewien, że przyjmiesz nowy ład i uszanujesz słowo Pana, gdy wrócisz do domu w Dalarnie. Chociaż nie będę miał możliwości, aby cię pilnować — dodał, wydymając wargi w porozumiewawczym uśmiechu.

Jarl! spojrzał podejrzliwie na króla.

- Ze mną... mógłbyś wiele dokonać - powiedział. - Czego więc ode mnie chcesz?

- Od ciebie? - odparł król, otwierając szeroko oczy. - Czegóż mógłbym od ciebie chcieć, jarlu Storreku? Jesteś tutaj. Samą swoją obecnością uczyniłeś mi zaszczyt i udzieliłeś bezcennego wsparcia. Twoje imię jest dla mnie darem. Ludzie darzą cię zaufaniem. Ufają ci, bo mówisz im to, co trzeba. Jeżeli teraz ufasz mnie, to ludzie też mi ufają. Nasz Pan weźmie do siebie tych, których będzie mógł osiągnąć, a pozostałych potraktuje wedle ich zachowania — mówił król Olaf. - Kłamię jednak, gdy mówię „becznego”. Twoje wsparcie oczywiście ma swoją cenę: co najmniej dwa razy więcej worków z

ziarnem, niż w trudnych czasach dałby ci Haakon. Jak sądzę, na początek nie będzie to wiele - dodał po namyśle.

- Kutwa zakichana - mruknął Storrek.

- I nie będzie warte człowieka o twoich... wpływach — powiedział król Olaf. - Przy drzwiach porozmawiaj z Hjaltim. Tylko proszę, nie ćwicz na nim pięści. — Król się uśmiechnął. - Jeśli to zrobisz, chłopak będzie bezużyteczny jako odźwierny.

Storrek dźwignął się z krzesła, mierząc króla podejrzliwym spojrzeniem.

- To wszystko? - zapytał.

- Wszystko - odpowiedział król Olaf. - Naturalnie będziemy gościć was tak długo, jak sobie tego życzyście. - Zapraszającym gestem rozłożył ramiona, podkreślając ogrom wnętrza. - Jest już z nami Gunthor, nadciąga jarl Udal. Z przyjemnością posłucham gawęd tej krainy. Jeśli tylko zechcecie mnie bawić.

- Pomyśli się — burknął jarl Storrek.

Odwrocił się naburmuszony, skinął na towarzyszy i odszedł, człapiąc nogami.

Król Olaf odprowadził ich wzrokiem. Sięgnął do kolana i ścisnął je dłonią z całej siły, miał wrażenie, że pękną mu kości palców. Wciągnął powietrze, raz, drugi, potem wypuścił je powoli.

- Wszystko w porządku, panie? — zapytał zaniepokojony Hjalti, stojąc nad Olafem.

- W porządku — odparł Olaf przez zaciśnięte zęby. - W porządku. - W drugim końcu sali trzasnęły drzwi za ostatnim wychodzącym kompanem Storreka. - Albo będzie w porządku... - dodał król.

- Spójrz! Jest! - krzyknął Heimir.

- Zafajdana dziura — sarknął Udal, spluwając siarczyście dla podkreślenia słów.

- Patrz na te wszystkie domy - powiedział Heimir. - Ależ muszą latem zalatywać?!

- Uwierz, synu — odparł jarl Udal. — Nie chciałbyś tego wachać. Pamiętasz, co masz mówić?

Z tyłu poderwał się znów wiatr, uderzając ich po uszach.

-Tak, ojciec - odparł Heimir, krzywiąc twarz w udawanej uniżoności. - Spotkanie z tobą, panie, to zaszczyt i powód do zaskarżenia sobie twej wdzięczności.

- Dobrze. Zatem jazda. Ruszajmy się. Może mają jakieś piwowarskie siki w kufiach przy królewskim stole.

Nagle koń Udała wierzgnął, stanął na tylnych nogach i wyrwał w prawo. Jarl ściągnął mocno cugle.

- Hola! Co z tobą, kolego? - Zwierzę odrzuciło łeb i parsknęło trwożliwie, a potem łypnęło wokół ślepiami i rozwarło szeroko nozdrza. - Czy dokuczył ci północny wiatr? - Koń parsknął znów, zarżał i potrząsnął łbem. - Spokojnie, chłopcze, spokojnie - jarl szeptał w ucho zwierzęcia. — Nie zrzucisz mnie z siodła. Nie mnie. Nie po tylu latach.

Jak nagle wichur zerwał, tak nagle ustał. Zrobiło się cicho. Koń Udała parsknął tylko w proteście przeciw ściągniętym cuglom.

- Musiał wyczuć pedalską dupę Olafa — rzucił ktoś żartem.

Udal wzruszył ramionami i pokierował konia w dół wzgórza. W kierunku Trondheim.

- Inaczej nie może być - odpowiedział.

Syn i pozostali ruszyli za nim z wiatrem wiejącym w plecy.

* * *

Hjalti podchodził wolno do podwyższenia z wysokim krzesłem i siedzącej na nim nieruchomej postaci króla Olafa.

- Jest już, panie - zakomunikował. - Jarl UdaL

- Wprowadź - powiedział król. - I niech chłopak dorzuci do ognia. Wiatr przybiera na sile. Jeszcze jedno, Hjalti. Będzie potrzebny miód. Szybko. Jak dam znak.

- Oczywiście, panie - odpowiedział Hjalti, a potem odwrócił się i odszedł w kierunku wyjścia.

Król Olaf zamrugał i rozejrzał się po komnacie. W żadnym razie nie mogła już być nazywana

„wielką”: próchniejące belki będą wymagały za parę lat wymiany, a w dachu należało pilnie uzupełnić słomę, i to co najmniej w trzech miejscach. W powietrzu unosiła się woń zgnilizny, której źródło trudno było umiejowić. Pomyślał o jarlu Haakonie. „Taki niedźwiedź, jakie legowisko” - mruknął do siebie.

Na drugim końcu komnaty otworzyły się drzwi i do środka wszedł śmiałym krokiem zwalisty, rudy mężczyzna o niewątpliwym poczuciu wyższości malującym się na ogorzałej twarzy. Olaf powstał wolno i spokojnie opuścił rękę wzdłuż boku, dotykając pasa.

- Król Olaf! - ryknął jarl UdaL

- Tenże sam! - krzyknął król w odpowiedzi. — Niech ludzie Udala z Wrzosowisk będą pozdrowieni w moim domu!

- Dziękuję ci, królu - powiedział Udał, podchodząc do podwyższenia. - Na spotkanie z tobą przybywamy z dalekich stron.

- Tak mniemam - powiedział króla, schodząc z podwyższenia, by uścisnąć dłoń jarla.

Udal był o pół głowy wyższy od Olafa i szerszy w barkach o dwie dłonie. Mimo warstw przemoczonej wełnianej odzieży i śniegu Olaf wyczuwał zapach zepsutych zębów. Potężny jarl spojrział na króla z góry i uśmiechnął się z przekąsem, jakby dobrze go sobie obejrzał i doszedł do przekonania, że nie spełnia jego oczekiwań.

- Ciekawa to rzecz w końcu cię... zobaczyć — powiedział jarl. -Opowieści o tobie mkną szybko.

- Niczym mucha w środku lata, ale zimą żadnej nie uświadczysz- odpowiedział król. — Opowieści to tylko opowieści. My stoimy ponad nimi.

- Hm... - mruknął jarl. — Pozwól, że przedstawię ci syna. Heimir!

Postawny młodzieniec o wyprostowanych plecach i rudawych włosach zrobił parę kroków naprzód, stanął obok jarla i skłonił się dworsko przed królem.

-Jestem Heimir, syn Udala, syna Thormara z Wrzosowisk. To wielki zaszczyt móc stanąć w twych komnatach, królu.

- Nie większy niż gościć tak silnych i dumnych ludzi z Północy jak wy - odparł Olaf, zauważając cień zakłopotania na młodej twarzy. - Siadajcie, proszę. Hjalti! Miodu!

Zaraz pojawiło się dwóch chłopców, którzy postawili na stole sześć pełnych kufli i oddalili się pośpiesznie, znikając za jednym z filarów. Trzej ludzie Udala stanęli za jarlem i jego synem.

- Zapraszam! - zawołał król.

- Dziękuję - odpowiedział jarl Udal. - Wyruszyliśmy w drogę, gdy tylko doszła nas wieść, że przybywasz w nasze strony.

- Nielichy to wyczyn przyjechać z tak daleka w środku zimy.

- Cóż, nielichy... Jednak marnym jest wodzem ten, kto nie pragnie ujrzeć swojego króla - powiedział Udal. - Naprawdę marnym.

Król się uśmiechnął i wzniosł trunek.

- Za Udala!

Heimir natychmiast chwycił jeden z kufli i uniósł go wysoko w górę.

- Za Północ! - zawołał, a Udal i jego ludzie poszli w jego ślady. Król dotknął wargami drewnianego kufła, przechylił go, opróżnił i postawił na stole z głośnym stukiem.

- Hjalti!

Na stole błyskawicznie stanęło sześć następnych kufli.

- Za podniosłe słowa i pochlebstwa.

- Ha! - krzyknął Udal. - Za bogatych królów i biednych jarłów! I znów wlano w gardła miód.

- Hjalti! - ryknął król, trzymając jedną rękę pod stołem, by zachować równowagę. - Za mroźne zimy i gorące kobiety!

Udal wypił duszkiem miód i trzasnął kuflem o stół.

— Za Thora...

Niczym błyskawica król Olaf spuścił ciężki myśliwski nóż w kufel Udała, ostrzem w dół, przybijając go do blatu stołu. Udał skulił się odruchowo, o mało co przewracając się na plecy.

— Nie! - powiedział Olaf mocnym głosem, ze spokojnym wzrokiem. - Nie w tym domu. Nigdy więcej. — Za jego plecami wyszli z mroku Hjalti, Einar i dziesięciu innych wybranych wcześniej wojowników, w wymownym geście trzymając dłonie przy biodrach. -Możemy pić. Ty i ja. Możemy śpiewać pieśni. Ale nie będziesz w moim domu czcił swoich bogów, a twój syn nie będzie dalej szedł starą ścieżką.

Udał wstał wolno z ławy.

— Rozumiem już, z jakiej gliny jest ulepiony mój król - powiedział. - Niechaj więc będzie, jak mówisz.

Król Olaf nie wstawał.

— Możecie pozostać w naszym domu, jak długo sobie tego życzycie - powiedział. — Są z nami Gunthor i Storrek. Wieczorem zjemy renifera, jak mi zapowiedziano. A — spojrzał na rękojeść tkwiącego w kuflu noża — miodu mamy więcej.

Chwilę później, gdy drzwi zatrzasnęły się za świątą rudowłosego jarla, Hjalti przysunął się do króla Olafa.

— Ośmieszylesz go w oczach jego własnych ludzi — powiedział. -Nigdy ci tego nie wybaczy. Będzie cię nienawidził. Będzie chciał cię zniszczyć.

— Świetnie - odparł król Olaf i dopiero wtedy wstał, z uśmiechem na twarzy. - O to mi chodziło. Hjalti i Einar patrzyli, jak król wchodzi na podwyższenie, siada na wysokim krześle i ogarnia wzrokiem przestronne wnętrze. Dźwięk był ledwie słyszalny, ale trudno było się mylić: król nucił pod nosem melodię.

Wyczuwając, że nie są już potrzebni, najeźdźca i młody łucznik oddalili się dyskretnie w stronę wyjścia.

— Nie powiemy mu o psach? - zapytał cicho Einar.

- Nie psujmy mu dobrego nastroju. To może poczekać - odparł Hjalti, machinalnie pociągając koniec swojej brody. - Prawdopodobnie może jeszcze poczekać.

*

-Żwawiej!!

- Ruszaj się, stara babo!

- Walczysz jak mamusia!

Krzyki odbijały się od ścian komnaty. Ludzie, podnieceni wizytą gości, uformowali zapaśniczy krąg. Zewsząd wykrzykiwano stawki zakładów, monety wędrowały z rąk do rąk. Obaj wojownicy Gunthora, żaden ani o dzień młodszy od swego wodza, godnie uchyliłi się od walk, ale ludzie Udała i Storreka siłowali się pełni entuzjazmu z każdym, kto miał ochotę.

Olaf z ciekawością przyglądał się zabawie.

- Radość sprawia im poszczekiwanie na siebie nawzajem, panie — mruknął Hjalti.

- Owszem - odparł król. - Ale jest ich dużo, mają mało roboty i mało miejsca.

Hjalti zawahał się na moment.

- Czy chcesz, panie... Chcesz, abym przerzedził ich trochę? Może przeniosę część do innych domów?

Król spojrzał na Hjaltiego i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jak kolekcjoner przygląda się rzadkiemu okazowi do swojego zbioru.

- Nie, Hjalti. Znam imię każdego w tej komnacie. Szli ze mną przez pół Norwegii, przez pół drogi pod zimowym niebem. Każdy jeden stanąłby między mną a grotem włóczni, a większość to nawet dobiła. Robią to, ponieważ ofiarowałem im cząstkę siebie. Dałem cel, dla którego żyją. Trzymam ich blisko. Mam ich teraz. Cóż więc się stanie, jeśli wypchnę ich na śnieg? W obcym miejscu?

- Panie... stracisz ich?

-Szybciej, niż myślisz. Na zachodzie widziałem wielu dowódców Popełniających ten błąd.

— Więc, eee... zostaną?

— Zostaną. Gdzie nasi przyjaciele?

-Jarl Udal jest tam. - Hjalti wyciągnął rękę w stronę rudobrodego wodza, który siedział i dopingował zapaśników. - Gunnthor tam. — Stary jarl znalazł z jednym ze swoich wojowników ką, w którym zajmował jakąś opowieścią grupę miejscowych mieszkańców. -A jarl Storrek siedzi tam. — Mniej więcej w połowie drogi między oboma jarłami siedział Storrek, tuląc w dłoniach kufel z miodem i rozmawiając z jakimś siwym mężczyzną.

— Uhm... Rozumiem.

— Panie... Muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć — szepnął Hjalti, zaciskając pięści.

— O czym? — zapytał król Olaf, nie spuszczać Storreka i siwego mężczyzny z oczu.

-Dzisiaj, krótko po przyjeździe Udała, stało się coś... eee... Dziwne rzeczy działy się z trzema psami...

— Słowa same zaczęły ulatywać z jego ust. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Zmienił się wiatr i psy jakby coś wyczuły. Rzuciły się na siebie nawzajem, ujadając i warcząc, bez żadnego powodu, bez prowokacji. Dobrze znam te psy. Wczoraj zachowywały się bez zarzutu, przedwczoraj również.

— Był ktoś przy nich? Ucierpiał ktoś?

— Nie. Kiedy zaczęły się kąsać, nikt nie miał odwagi do nich podejść.

— Co z psami?

— Pozagryzały się nawzajem! Najdłużej pozostał na placu największy, czarny dog, ale kiedy słabsze padły, dog zaczął szarpać samego siebie, wygryzał sobie kawałki mięsa, aż legł i wykrwawił się na śmierć. Nie wierzyliśmy własnym oczom.

— Hm... - Wzrok króla powędrował w kierunku krokwi w dachu. — Dziwne. Czy nie mogłeś...

Nagle w drugim końcu rozległy się okrzyki. Oczy Olafa błyskawicznie skierowały się tam, skąd dobiegała wrzawa.

— Co, do cholery... - powiedział Hjalti.

- Sigthor! - krzyknął król, ale na próżno.

W najdalszym końcu wielkiej komnaty stał potężny mężczyzna z bujną brodą i gęstymi, jasnymi włosami. Człowiek, którego przed momentem zwałił na ziemię uderzeniem kufła, wił się pod jego stopami w agonii. Brodacz wszedł na stół.

- On powstał!!! — zaryczał.

- No to chodź tu! - odkrzyknął z zapaśniczego koła jeden z ludzi Storreka.

Mężczyzna ten nie miał na sobie koszuli, a jego muskularny tors zdobiły niedołącznie wycięte znaki runiczne.

Sigthor ryknął wściekle i zeskoczył ze stołu. Mimo potwornego ścisku wokół niego natychmiast zrobiła się wolna przestrzeń.

- Nadchodzi! - wołał. — Idzie po ciebie!

- To niech się pośpieszy - odkrzyknął zapaśnik przy wtórze śmiechu.

Nogi Olafa ruszyły same przed siebie, zanim król podjął decyzję.

- Przyrowadź resztę - warknął do Hjaltiego.

Potem wziął ze stołu rękawice z kolczej plecionki i zaczął się przepychać przez tłum.

- No chodź! Chodź!!! - krzyczał zapaśnik.

Po zejściu z podwyższenia król stracił go z oczu.

- No chodź, ty stara pierdo...

Tłum cofnął się instynktownie na odgłos mokrego chrupnięcia, a zaraz potem rozległy się okrzyki oburzenia i gniewu.

- Do mieczy!

- Złamał zasady!

I nagle:

- Uwaga!

Zapadła cisza. Tłum się rozstał i król znalazł się naprzeciw Sigthora, zbryzganego krwią nieszczęsnego zapaśnika. Ciało mężczyzny z gołym torsem leżało nieruchomo na ziemi, odrzucone jak zepsuta zabawka. Jego głowa była rozłupana na dwie części, a twarz stanowiła krwawą miazgę.

Sigthor, trzymający jeszcze w rękach kawałek ciężkiego drwa, spojrzął z góry na króla Olafa.

- On nadchodzi... - powiedział tym razem łagodniej, a król poczuł zimne ciarki na plecach.

- Kto? - zapytał, wkładając rękawice, ale Sigthor tylko się uśmiechnął. - Pytam, kto nadchodzi! - ryknął król i dostrzegł kątem oka, jak na widok rękawic najstarsi jego żołnierze cofają się o pół kroku.

- Sami zobaczą! - oznajmił dalej wielki mężczyzna. - Zobaczą! Zapłacą za to, że go osądzili. Ale on będzie potrzebował mojej pomocy. Będzie potrzebował naszej pomocy.

Olaf wyczuł, jak za jego plecami zwierają się szeregi. Stękając z wysiłku, Sigthor zamachnął się potężnie na króla. Ten jednak uchylił się w okamgnieniu, okręcił i w tej samej chwili wyprowadził cios w pierś, którym wydusił z najeźdźcy mokre charknięcie.

Przez komnatę przetoczył się ryk. Sigthor odwrócił się gwałtownie, ale był za wolny; król zdążył już stanąć mocno na nogach i kiedy cym razem uderzył, trafił idealnie w szczękę przeciwnika. Olaf poczuł, jak metalowe pierścienie rękawicy zatapiają się w ciele i jak pęka skóra na kłykciach jego palców, gdy pięść gruchocze kości twarzy.

Sigthor zwałił się pod nogi Olafa.

Zaciskając zęby, aby powstrzymać drzenie piekącej z bólu ręki, król odwrócił się do zgromadzonych ludzi.

- Posprzątajcie - rozkazał, zmuszając się do spokojnego tonu, a potem odnalazł wzrokiem Hjaltiego i ruszył w jego stronę. - Poderżnij mu gardło i nakarm nim psy, które nam jeszcze zostały - powiedział na tyle głośno, aby wszyscy mogli go usłyszeć. Kiedy jednak był blisko Hjaltiego i nikt już go dobrze nie słyszał, szepnął: -Przynies mi lód i bandażę. Będę w pokoju za podwyższeniem.

W drodze powrotnej minął trzech jarlów trzymających się w bezpiecznej odległości od areny zapasów.

Spojrzał na nich i odezwał się, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć:

- Storrek, dostaniesz pełną zapłatę za śmierć swojego człowieka. Wszystkich was zapraszam do siebie, dobrze? Przez jakiś czas będzie teraz panował spokój.

Kiedy się odwrócił, czuł na plecach ich wzrok.

* * *

- Co było potem?

Mimo wczesnej pory Einar miał szeroko otwarte, zaciekawione oczy. Nie było go od świtu. Właśnie wrócił z upolowanym jeleniem i dwiema sarnami. Reszta myśliwych poszła od razu na posiłek, ale Hjalti pomagał im przyciągnąć truchła i stali teraz we dwóch, oparci o ścianę spiżarni, przyglądając się, jak tłusty rzeźnik rozkrawa mięso.

- Siedział po prostu, trzymał rękę na bryle lodu i słuchał jarlów — wyjaśnił Hjalti. — Czasem wtrącił słowo, żeby ubarwić ich opowieści i sprawić, by poczuli się ważniejsi - dodał. - Ręka musiała go straszliwie boleć. Spuchła w fioletowych i czarnych kolorach, a na palcach widać było sine odciski metalowych pierścieni.

Einar uczynił znak krzyża.

- Cieszę się, że jest po naszej stronie - powiedział.

Hjalti się roześmiał.

- Ha! Tak, mamy szczęście. Naprawdę wielkie szczęście.

Woń posoki stawała się trudna do zniesienia.

- Idę stąd - powiedział Einar. - Jeśli psy trzymają się z dala, to my też powinniśmy. Jedziemy dalej z królem?

- Co prawda, to prawda - przyznał Hjalti. - Owszem. Właśnie wyruszamy. Nie rób takiej miny. Będziesz jechał obok samego króla. To będzie udana podróż.

Patrzył, jak wysoki młodzieniec przewraca oczami i odchodzi w stronę długiego domu, by naraz przyspieszyć kroku, obejrzeć się na boki i skrócić w drugą stronę.

Heimir Udalson rozprostował z trzaskiem dłonie.

- Mała ta chata - powiedział. - Wcisnęli nas do zasranej trumny. Znów chrupnął palcami.

- Przestań! - powiedział ojciec.

Chłopak spojrział na niego zdziwiony, ale opuścił ręce i nakrył się futrami.

- Powiedz to jeszcze raz - polecił jarl Udal.

Stojący przy drzwiach siwy mężczyzna zrobił pół kroku bliżej środka.

- Mój wódcz...

- Gunnthor - wtrącił Udal.

- ...tak, mówi, że Storrek oznajmił, że są gotowi do działania. Gunnthor chciał, żebyś o tym wiedział, bo chociaż ufa jarlowi Storrekowi...

-A nie powinien, do jasnej cholery!

- ...ehem, ufa mu całkowicie, to jego zdaniem będzie najlepiej, jeśli staniesz ze swoimi ludźmi po naszej stronie. Król Olaf jest bardzo pewny siebie. Nie stawia wiele straży. Przy ośmiu, dziesięciu ludziach będzie łatwo, ale przy czterech czy pięciu już dużo trudniej.

- I twierdzisz, że macie taką przewagę?

- Nie spodziewa się nas - odparł siwy mężczyzna. - Poza tym możemy sprawić, aby był sam.

-Jak?

Stary doradca uśmiechnął się tajemniczo.

- Mamy swoje sposoby.

- Cholerni południowcy - mruknął Udal. — Nie znałbyś prostej odpowiedzi, choćby wbiła ci się w oko.

Siwy mężczyzna znów się uśmiechnął.

- Czy to oznacza, że jesteś gotów?

Udal splunął i wzruszył ramionami.

- Zastanowię się. Do południa dam odpowiedź.

- To nam wystarczy - powiedział siwy mężczyzna, odwracając się do wyjścia, a potem jeszcze raz ogarnął wzrokiem zgromadzonych mężczyzn. — To wystarczy - powtórzył. — Jeśli w to wchodzisz, przyjdź w południe pod tylne wejście, gotowy do roboty. Będziemy w środku.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, spod futer wysunął się nos Heimira.

- Będę mógł iść? - zapytał.

- Zamknij się — uciął Udal. — Nikt jeszcze nie powiedział, że idziemy.

Trzej jego krewniacy wymienili spojrzenia.

-Ale idziemy, tak? — zapytał Heimir.

Udal nie odpowiedział.

Ludzie wokół zaczęli przygotowywać broń.

Na dalekiej północy,

grudzień roku Pańskiego 996

Szept wpływał w ucho Valgardowi, rozsiewał się w jego głowie niczym dym z tajemnego ognia. Zapomniał o przemarzniętych stopach. Unosił się, szybował, polował.

Przywołaj go

Przywołaj do siebie, osiągnij go umysłem

Tak. Właśnie tak

Spełni twoje rozkazy

Pozostanie ci powolny, dopóki myślą swoją władać będziesz

Żółte ślepia. Gorący oddech. Kły.

Wilk.

Trondheim, północna Norwegia,

grudzień roku Pańskiego 996

- Nikogo nie ma - mruknął Heimir. - Wyszli na polowanie albo co...

Jarl Udal znów się rozejrzył. Już po raz szósty, odkąd wyszli z chaty. Przekopane w śniegu przejścia świeciły pustkami, a Trondheim wydawało się wymarłe. Słońce nad ich głowami zdawało się wypłóviała kulą światła, schowaną za warstwą mlecznobiałych chmur.

- Nie rozmawiać, kurwa — syknął Udal. - Mamy do wykonania robotę. Pamiętajcie? Tak samo wyglądało, kiedy tu przyjechaliśmy, a ten gad siedział w długim domu i spokojnie na nas czekał.

Wybrali przejście za ciągnącym się rzędem małych domów i nagle wyłoniła się przed nimi bryła wielkiej komnaty.

- Tutaj - powiedział Udal. - Tylne wejście.

Zobaczyli niepozorne drzwi, niemal wciśnięte w ścianę obok masywnej belki o grubości dorosłego człowieka. Udal spojrział na swoich ludzi.

- Wchodzimy - szepnął.

Drzwi otworzyły się bez najmniejszego dźwięku i pięciu uzbrojonych mężczyzn wkroczyło do komnaty.

- Patrzcie! - szepnął Heimir.

Na podwyższeniu leżało przewrócone wysokie krzesło. Ktoś przewrócił też trzy długie stoły przy ścianie, ławy i szereg krzeseł. Ciszę przerwał nagle krzyk z tylnego pokoju i gwałtowny szczęk stalowych ostrzy.

- Szybko - zawołał Udal i puścił się biegiem w kierunku odgłosów, a jego ludzie ruszyli za nim, dobywając mieczy.

- Należy do mnie, skurwiel jeden!

Udal wskoczył na podwyższenie, ruszył na drzwi tylnego pokoju, kopnął je wyprostowaną nogą i wpadł do środka.

Nie widział, jak z ciemności za jego plecami poszybowały w jego ludzi włócznie.

Nie widział, jak zza przewróconych stołów wychodzą wojownicy i nacierają na nich z obu boków.

Zobaczył natomiast jarla Storreka, który stał spokojnie na końcu pokoju i trzymał w rękach dwa miecze. Opasły wódz spojrział mu w oczy, dwukrotnie uderzył mieczami o siebie i krzyknął podniesionym głosem:

- Pomóż mi!

Do pokoju, wśród krzyków odbijających się echem w wielkiej komnacie, wtoczył się Heimir.

-Ojcze... — powiedział słabo. — Są za naszymi plecami, oni... czekali na nas, to jest...

Głos Heimira przygasł nagle. Młodzieniec zaczął kaszleć i pluć krwią. Po chwili padł na podłogę.

Udal wbił zdumiony wzrok w syna, a potem spojrział na Storreka.

-Ty...

Ostrze topora wbiło się w tylną część głowy Udała, rozplątało czaszkę i zakończyło jego żywot. Z ciemności wyłonił się Gunnthor.

- Nadszedł czas na niego - stwierdził sucho, schylając się po topór i uwalniając go z niemałym wysiłkiem.

- W rzeczy samej - rzucił Storrek.

W wielkiej komnacie cichły ostatnie odgłosy rzezi.

- Najlepsze jest to — ciągnął rozżalony Storrek — że ten pyszałko-waty gnój, ten mały król, będzie myślał, że za taką lojalność zapłacił mi paroma workami ziarna.

- Nieważne. Nam to pasuje — powiedział Gunnthor. - Jak uzgodniliśmy, ziemiami Udała dzielimy się po połowie, a teraz, gdy król nabierze przekonania, że jesteśmy mu posłuszni, zyskamy mnóstwo czasu, abyśmy sami mogli się nim zająć.

- Dobrze pracować ze starym, dobrym kompanem — powiedział Storrek, szczerząc zęby w uśmiechu. — Z tobą wszystko wydaje się proste.

Chwilę później opuścili tylny pokój króla Olafa.

Niedaleko Trondheim, północna Norwegia,

grudzień roku Pańskiego 996

Zmarznięty śnieg chrupał pod kopytami ośmiu koni. Król Olaf jechał na przedzie, po prawej miał Hjaltiego, a po lewej Einara. Za nim ciągnęło pięciu wojowników dobranych osobiście przez króla.

- To ostatni? - zapytał król Hjaltiego.

- Ostatni - odpowiedział Hjalti. - Dostarczyliśmy już wszystkie worki. Cały dzień pracy.

- Calutki - powiedział Einar. - Dobrze byłoby coś przegryźć i gdzieś się ogrzać. - Hjalti spojrział na niego wilczym wzrokiem, ale Einar wzruszył ramionami. - O co chodzi? Mogę siedzieć na zimnie dzień i noc, jeśli król każe, ale teraz nogi mam mokre i tyłek mi zdrętwiał, więc to chyba nic strasznego mieć ochotę na skrawek dachu nad głową.

Hjalti prychnął tylko i jechali dalej, nie mówiąc nic. Rytmiczne kruszenie zamarznętego śniegu kopytami ukołysało ich w zimny półsen. Nagle klacz króla Olafa odchyliła łeb i zarżała ostrzegawczo, rozszerzając nozdrza.

- Spokojnie, dziewczynko, spokojnie - szepnął jej król do ucha, ale bez skutku.

Klacz zaczęła tupać i rzucać się na boki, usiłując wyjść z głębokiego śniegu, z cugli, z własnej skóry. Nie minęła chwila, a pozostałe konie zaczęły zachowywać się podobnie, wyczuwając to samo, co odkryła klacz króla.

- Wilk!

Ryk Einara poniósł się czysto i głośno nad przestraszonymi końmi. Król Olaf podniósł wzrok, nie przestając się szarpać z cuglami, i od razu go spostrzegł. Nie było wątpliwości, sto kroków dalej stał szary wilk z białymi plamkami na sierści. Zwężające się żółte ślepie zdawały się skupiać wyłącznie na królu.

Dla króla Olafa czas jakby zwolnił, gdy oszalała ze strachu klacz wierzgnęła pod nim gwałtownie. Jeszcze mocniej usiadł w siodle, ścisnął uda, ściągnął cugle, ale koń nadal rzucał się i kopał powietrze. Kiedy spod chrap spadły na biały śnieg krople krwi, król zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić. Stał w strzemiączkach, zwinął cugle w pęk i rzucił je Hjaltiemu, a potem jednym zamachem przerzucił nogę nad szyję konia i zeskoczył w sięgający kolan śnieg. Stał tuż przed swoimi ludźmi i zdjętymi trwożą końmi.

Wilk zobaczył go i ruszył wolno, przepychając się przez biały puch. „To jest wszystko - pomyślał król. - Wilk jest światem, spada na mnie z kłami, dzikimi ślepiami i ciemnością ziejącą z pyska”.

Choć zajęty powstrzymywaniem dwóch wierzgających koni, Hjalti mimowolnie zaczął myśleć o królu, który po prostu... stał na drodze nacierającego wilka.

- Einar!

Król odwrócił się do młodzieńca, który z trudem utrzymywał się w siodle, próbując jednocześnie przygotować łuk do strzału.

Dziesięć kroków.

- Nie dam rady! - krzyknął Einar.

Konie zaczęły się cofać w panice, coraz intensywniej czując zapach wilka.

Pięć kroków.

Wilk skoczył. Król zamachnął się mieczem, ale ciężar zwierzęcia zbił go z nóg i miecz z furkotem

spadł na ziemię. Rozjuszony wilk wyciągnął szyję w stronę gardła Olafa i jedynie metalowa rękawica ocaliła króla, gdy zaślinione zębiska zacisnęły się na osłoniętej kolczą plecionką rękę. Bestia warknęła, ciągnąc za metalowe pierścienie. Król zawył z bólu, szukając miecza drugą ręką. Stwór o dzikich ślepiach puścił metalową rękawicę i skoczył w stronę twarzy króla...

...I nagle łeb odskoczył w bok gwałtownie, jakby ktoś pociągnął za smycz, a Olafowi trysnęła w oczy krew z wilczej krtani przebitej celną strzałą. Po dłuższej chwili usłyszał człapanie zmierzających ku niemu ludzi.

- Królu!

- Królu! Przemów! Wasza Wysokość! Możesz mówić?!

Jedno pchnięcie i uwolnił się od dzikiego zwierza.

- Wszystko w porządku - charknął. - Nic mi nie jest.

Einar Tambarskelf stał obok spłoszonych koni, głośno dysząc, z nową strzałą nałożoną na napiętą cięciwę.

- Największy wilk, jakiego widziałem w zaszranym życiu - wysapał.

Król Olaf sięgał po miecz, gdy jeden z jego ludzi krzyknął ostrzegawczo:

- Uwaga!!!

Król okrzykiem błyskawicznie i przyglądał się ze zdumieniem, jak wilk wstaje na cztery łapy, groźnie warcząc.

Tym razem król nie chybił.

Gorąca, ciemna krew bryzgnęła na śnieg, a wilczy łeb spadł nieopodal cielska.

- Patrzcie! - krzyknął Hjalti, pokazując uciętą szyję.

Wszyscy zbliżyli się wolno, wciąż bardzo ostrożnie, żeby zobaczyć, co wskazuje Hjalti.

Z wilczego cielska wypływała krew o dziwnym błękitnawym zabarwieniu.

- Jest martwy. Jedziemy dalej - powiedział króla Olaf.

Wojownicy zdumiewająco szybko wskoczyli z powrotem w siodła, a chwilę później byli już w drodze. Chłopca zobaczyli, kiedy w oddali pojawiły się domy Trondheim, mniej więcej wielkości kciuka.

- Wraca król! Wraca król! — wołał dzieciak, rzucając się biegiem w stronę miasta.

- Nareszcie w domu - powiedział Hjalti. - Miło wrócić do ogniska i kociołków, co?

- Nie rozumiem — odparł Einar. - Nie powinieneś wychwalać śniegu? Wyprawy w dziki świat natury? Głoszenia wśród ludu słowa Białego Chrystusa?

- Och, zamknij się - burknął Hjalti.

- Obaj się zamknijcie - uciszył ich Olaf. — Coś mi tu śmierdzi.

Na placu przed wielką komnatą jarla Haakona gromadziła się grapa ludzi. Był tam jarl Gunnthor, wyraźnie rozgorączkowany, z oboma siwymi wojownikami po bokach. Był też jarl Storrek. Grupa powiększała się, w miarę jak król i jego drużyna zbliżali się do miasta. Nawet Haakon wyszedł z domu.

Król Olaf zajechał na plac i ściągnął cugle.

- Co się stało? - zapytał.

- Mieliśmy kłopoty pod twoją nieobecność, panie — powiedział Gunnthor.

- Gdzie jest Udal?

Gunnthor wykręcił dłonie.

- Eee... bo... właśnie on...

- Ten bydlak chciał cię zamordować, Wasza Wysokość - oświadczył krótko Storrek. — On i jego synalek o szczurzym pysku i gównianym mózgu chcieli czekać na ciebie w tylnym pokoju i poderznąć ci gardło.

- Czy to prawda?

Król Olaf przyglądał się twarzom stojących ludzi. Były znajome, ale mało znane. Nagle odczuł brak

Finna, jego spokojnej, nieustannej, pewnej obecności. Wprawdzie od początku miał nadzieję, że Udal się przeliczy w ocenie, ale nie w taki sposób. Chciał przy tym być, chciał przyglądać się temu, chciał spektaklu.

-Twoi ludzie go podsłuchali i przyszli z tym do mnie - mówił Gunnthor, a garstka wojowników Hjaltego szybko przytaknęła. — Poszliśmy do Storreka, który wyraził więcej niż gotowość do działania.

- Nigdy gnoja nie lubiłem - warknął Storrek. — A taka zasadzka to żaden honor.

Stojący obok niego Gunnthor miał grobową minę.

Król Olaf zeskoczył lekko z siodła i wpadł do komnaty. Einar zerknął na Hjaltego, który potrząsnął głową. Nikt nie miał teraz ochoty podążyć za królem.



Rozdział 6

Na północ od Trondheim, północna Norwegia,
grudzień roku Pańskiego 996

Valgard zakaszłał i się potknął. Iskra przeszywającego bólu poszła w górę kręgosłupa, gdy próbował wyrzucić z głowy obraz zwierzęcia. Głód okazał się wybuchowy, przejmujący i przerażający, niesiony falami dźwięków i zapachów, a jego siła pierwotna w równej mierze ożywiała, co budziła strach.

-Zasrane piekło... - mruknął Valgard, plując skwaszoną śliną - to... było... — Spojrzał na trolle, ale w żadnym z nich nie dostrzegł cienia sympatii. — Tak, oczywiście... — dodał, kaszłąc znów i chrypiąc.

Gdzieś w tyle głowy czuł obecność bestii przedzierającej się przez śnieg, tropiącej ofiarę, utrzymującej na brzegach nozdrzy zapach króla Olafa. Miło było myśleć o tym tak zwanym królu jako ofierze polowania, a nie myśliwym. Zgarnął dłonią śnieg i wcisnął go sobie do ust, by pozbyć się smaku goryczy. Ruszył dalej. Poczuł, jak w jego ciało wnika chłód, uzupełniając to, co wyciągnął z niego wilk. Działo się to szybko. Z każdym dniem czuł się lepiej. Było ostatnio wiele powodów do radości.

Nie pozwolił sobie na rozmyślenia o głosie, który kiedyś słyszał, ani o jaskini, w której słyszał go po raz ostatni.

* * *

Trzydzieści kilometrów na północ od Trondheim, brnąc mozolnie przez śnieg na czele milczących kompanów, Valgard jeszcze raz zaczął rozważać, co może zrobić. Za nim leżały Pustkowia Północy, gdzie nie spotkali nikogo poza reniferem i fińskimi wiedźmami.

Na wschodzie rozciągała się kraina Szwedów - owszem, to pewna możliwość. Ale moment wydawał się nieodpowiedni.

Pozostawała jedna droga: do Trondheim.

Próba z wilkiem okazała się udana tylko częściowo — głównie przez to, że silny zwierz uwolnił się spod jego władzy. Ale Valgard nabierze siły. Będzie lepszy.

Uśmiechnął się.

Będzie dużo lepszy.

*

Dwadzieścia kilometrów na północ od Trondheim Valgard posmakował powietrze. Czuł własny język wysuwający się na zimno, wcinający się między kolce mrozu i przynoszący doznania - zapachu, dotyku, obecności. Wyczuwał ciała stworów za plecami, które stały nieruchomo, patrząc przed siebie. Nie

kwestionowali jego przywództwa, podążali za nim bez emocji, powoli jak ściana lodowca. Czuł, jak w nim samym rośnie siła. Niczym napierający lodowiec mógłby zgnieść wszystko po drodze. Mógłby być posuwającym się mrozem. Mógłby okryć całunem zimna całą krainę, by mogła na powrót powstać.

Jedyną ciepłą rzeczą pod niebem była sakiewka na jego piersi, ukryta pod warstwami odzienia i futer. Mieszczące się w niej znaki runiczne zdawały się ciążyć mu jak cały świat. Nie pamiętał wiele ze spotkań z Lokim ani samej jaskini, ale pamiętał całkiem sporo z tego, co stało się potem: umierający na schodach Botolf, ciężar tronu Egilla Jotuna i głuche dudnienie, gdy tron się przewracał, a także ozdobne pudełko, które znajdowało się pod spodem, ciche i niewinne. Kiedy je otworzył, czas wokół niego spowolnił, jakby ledwo skapywał, opływał jego nogi niczym leniwa rzeka. Czworokątne kawałki owczej skóry przemówiły do niego natychmiast, starożytny znaki runiczne skoczyły wprost do jego głowy, wyszeptując nieznanymi dźwiękami, gdy otwierał usta. Obraz ciała Botolfa pojawił się nieproszony w jego myślach, kiedy niepoprawnie wymówił pierwsze słowa. To, jak się określiły, jak zawirowały i zwróciły przeciw sobie samym, przyprawiło go o mdłości, ale wytrzymał to dzięki słowom, które wypowiedział Loki.

„Nigdy cię nie szanowali, ponieważ nigdy się ciebie nie bali”.

Na twarzy Valgarda pojawił się słaby uśmiech. Jego nos i jego język odnalazły, czego szukał.

Cóż. Zobaczymy więc, co teraz sobie myśla.

Jego wargi drgnęły. Stare słowa, niesione szeptem, na powrót wybiegły w świat.

**Port w Trondheim, północna Norwegia,
grudzień roku Pańskiego 996**

-Tutaj? - zapytał Hjaltiego wojownik.

- Nieważne gdzie. Rzućcie już wreszcie! — odparł ostro Hjalti. — Zimno jak cholera, jeśli nie zauważyłeś.

Nad nimi migotały gwiazdy.

-Wal się, capie. Ty nic nie dźwigasz - odparł wojownik. - Rzucamy!

Stojących w linii jedenastu mężczyzn zamachnęło się w równoczesnym ruchu. Sześć owiniętych w płótna ciała poleciało z pomostu, uderzyło w wodę z głośnym pluskiem i niemal natychmiast poszło na dno. Ludzie w porcie stali i patrzyli w milczeniu, jak ludzie Udała nikną w morzu.

- Niech Njordur ma ich w opiece - mruknął ktoś.

Hjalti odwrócił się.

- Zamknąć ryje! - syknął. - Niech się zamknie, kto to powiedział! Ja nie widziałem kto, ale jeśli on ciebie usłyszy, będziesz następny w tej wodzie.

- Człowieku, uspok...

- Dokończ zdanie - Hjalti odwrócił się i spojrzał na twarze wojowników, kładąc dłoń na rękojeści miecza — a osobiście skończę twój żywot, tu i teraz!

Wojownicy wymienili spojrzenia i wycofali się bez słowa. Hjalti spoglądał za nimi, a kiedy ostatni zniknął mu z oczu, wypuścił z płuc powietrze, odwrócił głowę i spojrzał w toń.

W czarnych jak sadza falach połyskiwały odbicia gwiazd. Po ciałach nie było śladu.

- Njordur bierze, co chce - mruknął pod nosem.

Zszedł z przystani i skierował się na północ. Kiedy w oddali zobaczył wielką komnatę, skręcił na wschód, na peryferie Trondheim. Miał zaledwie kilka chwil na to, żeby pomyśleć, żeby wyobrazić sobie pytania i przygotować odpowiedzi.

Dom wyglądał jak każdy inny w mieście, ot, zwykłe pielesze wojownika z Północy, a mimo to przeniknął go czymś w rodzaju niepewności.

- Honor tego wymaga - mruknął.

Jeszcze cztery kroki i stanął przed drzwiami. Pukanie wydawało się bardzo słabe.

Moment później z wnętrza wylało się światło, a w progu stanął jeden z siwych wojowników

Gunnthora. Zmierzył Hjaltiego spojrzeniem od stóp do głów i gestem zaprosił do środka.

Po wejściu Hjalti doznał zaraz wrażenia, jakby ściany zamykały się na nim. Wnętrze oświetlały dwie duże łojowe świece w metalowych uchwytach, które rzucały światło wokół siebie, ale narożniki pozostawiały w ciemnościach. Ledwie rozpoznał sylwetkę Storreka, który siedział pod ścianą z poważną miną na twarzy. Obok niego stało dwóch ludzi, którzy w półmroku wyglądali na zwykłych, popychanych i chłostanych sługusów. Wszyscy milczeli i patrzyli na niego.

Jego wzrok napotkał oczy Gunnthora.

- Kuzynie! Witaj na naszej naradzie.

Czując zimne krople potu spływające po plecach pod futrami, Hjalti wszedł drobnym krokiem do środka i zamknął za sobą drzwi.

Gunnthor złożył ręce na piersi i odchylił się na krześle z uśmiechem na ustach.

- Powtórz, co mi powiedziałeś: „Można go zastać samego, kiedy..

- ...kiedy się modli - dokończył Hjalti. - Codziennie o północy. - Wtedy go dopadniemy - wycharczał z ciemnego narożnika

Storrek. - Myślisz, że sześciu wystarczy?

- Z Hjaltim siedmiu - powiedział Gunnthor, wciąż się uśmiechając.

Hjalti z niechęcią uświadomił sobie obecność siwych wojowników za plecami, którzy stali poza jego polem widzenia.

- Tak - powiedział. — Ze mną siedmiu.

- Bardzo dobrze. Gdzie jest teraz księżyc? — zapytał Gunnthor.

- Wysoko nad nami - odpowiedział Hjalti. - Ale jeśli zaraz wyruszymy, powinniśmy zdążyć.

- Tak też zrobimy. Idziemy! — Gunnthor wstał z szybkością, która zadawała kłam jego wiekowi. -

Od razu załatwimy sprawę.

- Och, do kurwy nędzy! — rzucił głośno Storrek, zbierając się ciężko na nogi. - Daj nam trochę czasu, dziadku, dobra?

Siwi wojownicy Gunnthora wyprowadzili Hjaltiego z domu. Ziąb uderzył go w twarz.

- Na owłosioną dupę Thora, ależ zimna noc - burknął za nim Storrek.

- Za to lato będziemy mieli cudowne - odparł Gunnthor. - Jak to mówią, zawsze jest gorzej, zanim będzie lepiej.

- Chyba że zdechniesz - stwierdził Storrek.

- Chyba że zdechniesz — zgodził się Gunnthor.

Szli razem, siedmiu wojowników, jednostajnym, równym marszem, który w jakiejś mierze zdawał się umniejszać poczucie winy. Nad nimi migotały wciąż gwiazdy.

Z wierzchołka górnej belki długiego domu zakrakał w ich stronę czarny kruk, któremu chwilę później odpowiedział drugi. Z wnętrza dobiegała zwykła wrzawa.

- Wygląda na to, że wszystko wróciło do normy — powiedział jarl Storrek. - Niezbyt długo opłakiwali zmarłych.

- Wiedzą, że Udal považał ich tyle, co jagnięcy gnój. Oddali mu więc cześć, na jaką sobie zasłużył - powiedział Gunnthor. - Poza tym to działa na naszą korzyść. Nikt nie usłyszy krzyku. Gdzie jest ta jego ponura boża chata?

Hjalti wskazał osłonięty od wiatru bok domu.

- Tam.

Już pierwszego dnia Olaf zajął mały budynek za wielką komnatą, służący wcześniej za kwaterę dla wyżej urodzonych, i przemienił go w miejsce modlitw wznoszonych do swojego Jedynego Boga.

- Musi tam się czuć samotny — powiedział jeden z siwych wojowników.

- Tak lubi - wyjaśnił Hjalti.

- Co za półgłówek - rzucił Storrek. - Dalej, załatwmy to.

Gunthor wskazał Hjaltemu chropowate, drewniane drzwi.

Hjalti wyciągnął rękę i pchnął. Na śnieg padła smuga świecy.

W głębi rozległ się głos króla Olafa.

- Kto to?

Hjalti wszedł wolno do kaplicy. Za nim Gunthor, Storrek i pozostali. Hjalti po raz pierwszy znalazł się w najświętszym dla króla miejscu i przez chwilę nie umiał zebrać myśli.

Każda płaszczyzna w tym małym, przenieconym pomieszczeniu była pusta. Między dwiema belkami stropowymi był krzyż wielkości człowieka, wisiał niczym ludzkie ciało, chybotał się i drżał. Odbijało się w nim światło czterech migoczących świec ustawionych na połyskliwych tarczach, które rzucały złowróźbny blask na ścieśnionych w wejściu ludzi.

Na drugim końcu pomieszczenia leżała na stole wielka książka, bez wątpienia największa, jaką Hjalti widział w całym życiu.

Przed książką klęczał król Olaf ze spuszczoną głową, odwrócony do nich tyłem.

- Wiesz, że nie życzę sobie, aby mi o tej porze przeszkadzano - powiedział król.

- Wiem, mój panie - odpowiedział Hjalti i przeklął się w duchu. Stare nawyki szybko nie giną. -

Chodzi o to...

- Przyszliśmy negocjować - powiedział Gunthor.

Nastała dłuższa chwila ciszy, zanim król przemówił. Głos miał chłodny.

- Już negocjowaliśmy — oznajmił. — Pozwólcie mi się modlić.

- Odwróć się, mała gnido — warknął Storrek, ale król milczał, więc jarl powtórzył wezwanie: —

Powiedziałem: odwróć się do nas!

-Jak wojownik? - powiedział król.

Westchnął ciężko i się podniósł, wciąż odwrócony plecami. Nabożnie, niemal z czułością, zamknął książkę.

- Czego się spodziewasz, Storrek? Strachu w moich oczach?

Król odwrócił się, uczynił znak krzyża i przyjrzał się wszystkim uważnie.

Storrek ani drgnął.

- Słuchaj, ty nadęty, południowy kozi bobku! Nie chcemy cię tutaj, nie chcemy twojego głupiego boga i nie chcemy twojej nowej władzy!

Król Olaf spojrział na Gunthora, a potem na Hjaltego.

- Dlaczego jesteś z nimi? - zapytał.

- Gunthor jest moim kuzynem ze strony ojca - odpowiedział Hjalti.

- Ta sama krew — rzucił Gunthor.

- Dostyc tej czczej paplaniny! - przerwał Storrek, zanim król się odezwał. Potężny mężczyzna sięgnął po miecz. — Niechaj...

Dalsza wypowiedź utonęła w przeraźliwym, piskliwym wrzasku, jaki rozległ się na zewnątrz.

Zaraz za nim poniósł się głuchy, gardłowy ryk.

-Co to...?

Słowa uwięzły Hjaltemu w gardle, gdy raptem coś z zewnątrz grzmotnęło o ścianę. Wiszący krzyż się zachybotał i wzrok wszystkich instynktownie tam powędrował, a kiedy wrócił na króla, było już za późno. Król Olaf, mocno pochylony, z wysuniętymi do przodu barkami i rozstawionymi łokciami, zwałił się całym ciałem na Storreka, odtrącił go, przedarł się przez grupę zaskoczonych mężczyzn i wybiegł przez niezamknięte drzwi.

- Za nim!!! - ryknął Gunthor.

Najbliżej był jeden z tępawych sługusów Storreka. Hjalti widział, jak wytoczył się z domu za uciekającym królem i zniknął nagle, zmieciony przez coś wielkiego, ciemniejszego niż noc.

— Co tam się dzieje? - zawołał Storrek, przepychając się do drzwi.

Z zewnątrz dobiegały ich krzyki.

— To atak! - krzyknął wściekle Gunnthor, powstrzymując otyłego jarla i patrząc w wejście. -

Pomyśl, baranie.

Nagle usłyszeli głos króla Olafa, silny i donośny, wyćwiczony przez lata spędzone na morzu.

— Do mnie! — krzyczał. - Do broni! Ludu Północy do mnie!

— Kurwa - syknął Storrek.

Gunnthor okręcił się dookoła z pałającymi oczami.

— Nie, jeszcze jesteśmy w grze. Jeśli ruszymy teraz, w tej chwili, skrzyknjemy ludzi i będziemy walczyć u jego boku z napastnikiem, cokolwiek to jest, to nie będzie mógł nas wybić na oczach swoich wojowników. Musiałby zabić także Hjaltiego, a wtedy jego ludzie już nie będą mu ufać. Naprzód!

Zobaczmy, z czym mamy się zmierzyć!

Z tymi słowami podszedł do drzwi, pchnął je i znalazł się twarzą w twarz ze stojącym wysoko na tylnych łapach brunatnym niedźwiedziem. Trup sługusa Storreka leżał odrzucony na bok, rozszarpany na strzępy, niczym pulpa mięsa w zgruchotanych kościach.

Coś trzasnęło za plecami Hjaltiego, poczuł, jak ktoś go odpycha, i po chwili obok niego przeszedł Storrek, rzucając pod nosem stek przekleństw.

— Poszedł! — ryknął dziko na niedźwiedzia, stając obok Gunnthora i wymachując belką oderwaną od dwumetrowego krzyża. - Idź stąd, gnoju!

Niedźwiedź zaryczał w odpowiedzi i pacnął wielką łapą. Jednak nie trafił w belkę. Jarl wykorzystał moment i z całej siły wpakował belkę w odsłoniętą pierś zwierza. Niedźwiedź spadł na cztery łapy i rycząc z bólu, zaczął uciekać przez śnieg.

— Wszyscy wychodzić! — krzyknął Gunnthor.

Ludzie wysypali się z budynku i stanęli za nim w rzędzie z wyciągniętymi mieczami. Króla Olafa nie było nigdzie widać.

- Czuję w powietrzu krew - powiedział Hjalti.

- Och, co ty, kurwa, powiesz? - warknął na niego Storrek. - Owszem, stał przed nami wielki pierdolony niedźwiedź!

Potężny wódz dyszał ciężko, gotów zaatakować kolejną stojącą najbliżej niego istotę, a był nią Hjalti.

- Mamy wspólnego wroga! - Gunnthor uciał wymianę. - Musimy się ruszyć. Oni są za rogiem.

Storrek odwrócił się od Hjaltiego, ale zdążył mu tylko rzucić mordercze spojrzenie. Siedmiu mężczyzn zaczęło się oddalać od kaplicy Olafa, idąc wzdłuż bocznej ściany wielkiej komnaty. Wokół nich rozbrzmiewały echem odgłosy walki.

-Patrzcie tutaj - powiedział jeden z ludzi Gunnthora. - Ślady. -To niedźwiedź — stwierdził Storrek.

Minęli narożnik długiego domu i przystanęli.

- Nie tylko niedźwiedź - stwierdził sucho Gunnthor.

Na placu przed długim domem tłoczyli się ludzie i zwierzęta, zwarci w walce na śmierć i życie. Garstka wojowników uzbrojona we włócznie uformowała szereg, żeby się bronić przed rozjuszonym jeleniem, który nacierał na nich, nie bacząc na wkluwające się w jego ciało metalowe groty. Dwa dzikie koty leśne, wielkości dobrze wykarmionego psa, darły pazurami gardło jakiegoś trupa w śniegu, a już po chwili podniosły łby, szukając kolejnego celu. Wojownicy wysypywali się wciąż z długiego domu, ale zatrzymywała ich grupa próbująca uderzać w stado wielkich szczurów, przemykających po nich i między nimi, a zmierzających do wielkiej komnaty.

Na dalszym końcu placu król Olaf z czterema wojownikami zamknął niedźwiedzia w narożniku i nacierał na niego z furją. Ludzie Gunnthora przyglądali się tej walce, a gdy jeden z nich podszedł za blisko, uzbrojona w pazury niedźwiedzia łapa w okamgnieniu rozerwała mu czaszkę.

-Tu sobie odbijemy — syknął Gunnthor.

Wciągnął powietrze w płuca, wydał bitewny okrzyk, podjęty natychmiast echem przez stojących za

nim ludzi, i ruszył do walki.

* * *

Dopóty król Olaf okazywał niedźwiedziowi miłosierdzie, dopóki bestia nie zabiła mu czterech ludzi. Wtedy dopiero ryknął, na plac wypadli wojownicy, odziani i uzbrojeni w to, co mieli akurat pod ręką, i rzucili się na zwierza. Kiedy opadł ferwor walki, policzyli ośmiu zabitych, pięciu ciężko rannych, a trzech pokrytych ranami po szarpnięciach, ugryzieniach i jęczących się zadrapaniach szczurów.

Starzy wodzowie stali nad truchłem wielkiego kota leśnego, łapiąc powoli oddech. Z dużej, otwartej rany w nodze Gunnthora ciekła krew.

- W życiu nie widziałem czegoś takiego - syknął.

Storrek nie odpowiedział, charknął tylko głośno, raz, drugi, i splunął.

W ciemności rozbrzmiały kolejne ryki zwierząt.

- Do mnie! — zawołał król Olaf, który ruszył z placu w stronę głosów, a zaraz za nim pobięła setka wojowników.

- Widzieliście? — zapytał Gunnthor.

- Trzeba coś wymyślić, żeby został sam, bez swoich ludzi — powiedział Storrek.

- Tu się nie uda - odparł Hjalti. - Musimy być w środku burzy.

Po tych słowach puścił się biegiem w stronę głównej drogi, skąd dobiegały syczenia i ryki, i dołączył do wojowników ciągnących za królem.

Gunnthor spojrział na Storreka.

- Ten mały smród ma rację. Naprzód!

Wodzowie podążyli za Hjaltim w nocny koszmar.

Wszędzie błyskały kły, pazury i mocne, pochylone poroża, wrogowie w różnej maści, zjednoczeni tym samym, dzikim ze strachu spojrzeniem w przekrwionych oczach. Ranni krzyczeli z bólu. Nocne powietrze przenikał ostry zapach krwi. Hjalti zamachnął się mieczem i trafił w bark wilka. Gdy podniósł nogę, by odepchnąć zwierzę i uwolnić ciężkie ostrze, w ostatniej chwili uniknął kłapiącej szczęki. Nieco dalej przez tłum przedzierał się jeleni, szarżując ze spuszczonego łbem, biorąc na rogi i wyrzucając w górę wszystko, co stało mu na drodze.

Król Olaf znajdował się w samym środku jatki, ciął i pchał, uderzał i parował, pokrzykiwał na wojowników, by nie ustępowali pola.

Otyły Storrek, w walce jakby nowo narodzony, zadawał razy z dzikim uśmiechem radości. Tu decydowały się życie i śmierć, w każdej chwili, w każdej kolejnej, niekończącej się chwili.

Hjalti pozbył się w sobie wszystkiego, co czyniło go człowiekiem, i rzucił się w najgorętszy wir walki.

*

Król Olaf wypuścił z płuc powietrze i patrzył w białą mgłę przed oczami. Wśród walczących zapanowała cisza. Uszedł z nich strach, a odór padłych zwierząt wyczuwało się wszędzie — w powietrzu, w odzieniu, w śniegu. Rzeźnicy oglądali już truchła, ale nie nadawały się do jedzenia, krew wszystkich zwierząt była sina jak u wilka.

Setki twarzy zwróciły się teraz w stronę Gunnthora i zdrajców, jego dłoń mimowolnie sięgnęła do miecza. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Król Olaf poczuł na barkach każdy kolejny rok ze swoich trzydziestu ośmiu lat.

- Walczyłeś mężnie — powiedział Olaf.

- Dziękuję, mój królu — odpowiedział Gunnthor.

- Ty również, Hjalti — dodał Olaf.

Odwrócił się do czekających wojowników, może trzystu, może więcej.

- Chwała Hjaltiemu! — zawołał. — Ujrzałem w nim dzisiaj człowieka, o którym nie sądziłem, że istnieje. Był odważny, można powiedzieć nawet, że głupio odważny!

Rozległy się brawa, okrzyki na wiwat, i przez moment wszystko wydawało się w porządku. O ułamek chwili za późno król dostrzegł błysk w oku Gunnthora.

-Ale dlaczego zwierzęta uciekały, mój panie? — zapytał stary wojownik. — Przed czym?

Storrek natychmiast pochwycił otwierającą się możliwość.

- Czy jesteśmy bezpieczni? — krzyknął.

Ta obawa lotem błyskawicy przemknęła wśród zziębniętych, wyczerpanych ludzi, niczym trucizna w tętnicach, i Olaf od razu spostrzegł, że traci panowanie nad sytuacją. Odczekał chwilę, wziął oddech. Było tylko jedno wyjście.

- Oczywiście, że jesteśmy bezpieczni! - oświadczył z całą mocą. -Ale odpowiadamy za wszystkich mieszkańców Trondheim, a także za siebie nawzajem. Dlatego wezmę ze sobą ochotników, ilu tylko zdołam zebrać, i pójdę sprawdzić, jak mają się rzeczy.

Kątem oka dostrzegł u Gunnthora ironiczny uśmiech i wezbrał w nim gniew. Może była jeszcze szansa, by obrócić wszystko na swoją korzyść.

- Wymagam jedynie obecności Hjaltiego Pogromcy Jeleni. Myślę, że poradzimy sobie z tym, co spłoszyło zwierzęta. Tylko nas dwóch!

Znowu podniosły się wiwaty. Król Olaf spojrział na Gunnthora i Storreka, podczas gdy wojownicy otoczyli Hjaltiego, gotowi zrobić dla niego wszystko. Król chrząknął po chwili i podszedł do obu wodzów. Z satysfakcją zauważył, że Storrek musiał walczyć ze sobą, by nie sięgnąć po miecz.

- Jeżeli coś tam jest - powiedział - dostanie to, na co sobie zasłużyło. — Wytrzymał spojrzenia jarla przez dłuższy moment. — Tak zawsze kończą moi wrogowie — dodał król i ruszył w stronę długiego domu.

Kiedy Olaf ponownie się pokazał, już uzbrojony, czekało na niego osiemdziesięciu jeźdźców, na których czele stał Hjalti. Król przebiegł oczami twarze i zobaczył, że mniej więcej trzy na cztery są mu znane. To powinno wystarczyć.

- Na polowanie! - krzyknął, wskakując wśród wiwatów na konia.

„Strach szybko ustąpił wobec gniewu”, pomyślał. To niezwykle, jak szybko zmienia się ich nastrój wobec zapowiedzi przemocy.

Kolumna ruszyła w drogę. Hjalti jechał po prawej stronie króla. Wyglądał tak, jakby starał się zajmować jak najmniej miejsca. „Dobrze” — pomyślał Olaf. To znaczy, że drań ma jeszcze jakiś instynkt przetrwania. Za nim jechali ochotnicy, po trzech w jednym rzędzie.

Po opuszczeniu Trondheim skierowali się na północ.

Na szlaku, którym przeszły spłoszone stada, widzieli połamane gałęzie i zdeptany śnieg: czerwone, brązowe i żółtawe pasma wciskały się szeroko w biel, znacząc drogę, którą strach przepędzał zwierzęta. Klacz Olafa poderwała łeb. Król usłyszał za plecami, że również inni jeźdźcy uspokajają swoje konie.

Odwrócił się do Hjaltiego.

- Konie nie znoszą zapachu śmierci, prawda, Hjalti? Kiedy jest tak bardzo blisko, nie czują się z tym dobrze.

-Tak, mój królu - mruknął Hjalti w odpowiedzi, patrząc na łeb swojego konia.

Król odwrócił głowę i spojrział na północ. Księżyc pojawił się już na niebie, barwiąc je matową szarością. W jego blasku ślady stały się wyraźniejsze. Jechali traktem spłoszonych zwierząt, wyczuwając woń śmierci. To przychodziła, to odpływała, stępiona nieco zimnem, uwięziona w koronach drzew, ale nie mogło być wątpliwości: od przodu ciągnął na nich kwaśny odór krwi i trzewi.

Olaf podniósł dłoń i dał znak, aby się zatrzymać.

- Hjalti..- powiedział, przywołując go gestem.

Chudy wojownik podjechał do niego ze spuszczoną głową. Śnieżne zasy zakreślały w ich stronę, a potem w przeciwną. Minawszy najwyższy punkt zasy, spojrział w dół i stanął. Zeskoczył z siodła z zamachem nogi i od razu przyklęknął. Po chwili przeniósł wzrok na Olafa.

- Musisz to zobaczyć, królu.

Olaf spał konia i podjechał kilka kroków, ostrożnie i powoli, nie spuszczać oka z Hjaltiego i jego miecza, który jednak wciąż tkwił głęboko w pochwie.

- Co jest? - zapytał.

- Spójrz, panie - odpowiedział Hjalti.

Jakby czytając w myślach króla, powstał i cofnął się trzy kroki. Jeleń leżał na boku. Wnętrzaści ciągnęły się za nim przez dobrych trzydzieści kroków, wzdłuż nieregularnych śladów kopyt i linii, która pozostała w śniegu po ciągniętej, złamanej tylnej nodze.

Hjalti w milczeniu wskazał brzuch zwierzęcia, a raczej to, co z niego pozostało.

- Co mogło zrobić coś takiego? - zapytał sztywno Olaf, gdy odzyskał zdolność mówienia.

Ponad połowa skóry jelenia po prostu zniknęła, obnażając ogołoczone wnętrze trupa.

- Niedźwiedź?

- Nie ma śladów pazurów.

- Miecz?

- Przyjrzyj się krawędziom, panie.

Król Olaf pochylił się mocniej, oddychając przez przysuniętą do twarzy dłoń i ciągle obserwując pozycję Hjaltiego.

-To jest...

- ...poszarpane, tak.

Król się wyprostował.

- Przykryj to śniegiem, szybko. Zamaskuj jakoś zapach. - Kiedy zdziwiony Hjalti podniósł brwi, dodał: - Ze względu na konie.

Nie czekając na odpowiedź, wskoczył na siodło, po czym wjechał w las, próbując nie myśleć o tym, co go tam może czekać.

Ślady bieging równolegle do traktu zniszczenia, którym pędziło stado, i niedługo potem zaczęły się pojawiać kolejne truchła: stratowany lis, owce z odkształconymi łbami, niektóre pozbawione głów, i niedźwiedź ze zmiądzoną nogą.

Jadący za nim wojownicy, którzy niejedno widzieli podczas wypraw, milkli z wolna. Jedywym odgłosem, który można było usłyszeć, było równomierne skrzypienie śniegu pod kopytami i pojedyncze parsknięcie niespokojnego konia, a zaraz za nim kojące słowa jego jeźdźca. Zapach sosnowych igieł mieszał się z wonią przesiąkającej śnieg krwi.

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie - szepnął do siebie król Olaf. - Świece się imię Twoje. Spójrz w dół na sługę swego pokornego i obroń go przed złem.

Droga pięła się teraz łagodnie ku górze. Truchła, którymi była usiana ziemia, były właściwie nierozpoznawalne.

- Musiały biec tędy - powiedział Hjaliti. — Tratowały się nawzajem. — Król Olaf nie odpowiadał, więc mówił dalej: — Zdarły korę z drzew. - Król nadal milczał. — Nie mogłem nic zrobić, królu. Grozili, że mnie zabiją.

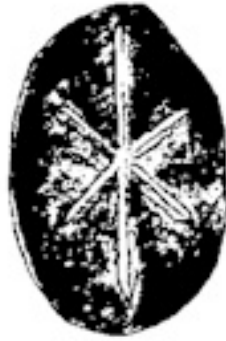
Zmienił się wiatr. Coś przstraszyło klacz króla Olafa, a po chwili również pozostałe zwierzęta zaczęły parskać i wierzgać, co spotkało się z gniewnymi okrzykami jeźdźców. Nagle Hjalti wyleciał z siodła, a gdy wstał i podniósł głowę, zobaczył, że jego koń mknie galopem w dół zbocza, na złamanie karku, z powrotem do Trondheim.

- Uwaga! Atak! — wrzasnął król Olaf.

- Jeszcze nie - rozległ się nagle spokojny, znajomy głos ze wzniesienia.

Owinąwszy cugle wokół dłoni tak mocno, że był pewny, iż czuje, jak pękają mu kości, król utrzymywał jeszcze konia, ale resztkami sił. Wysoka postać w blasku księżyca stała na grzbiecie wzniesienia pięćdziesiąt kroków dalej, nieosłonięta drzewami.

Król nie odważył się spojrzeć za siebie, ale słyszał, jak konie rzucają się do ucieczki, słyszał wściekłe krzyki ludzi. Coś nie dawało mu spokoju. Coś w tym głosie...



Rozdział 7

Południowa Norwegia, grudzień roku Pańskiego 996

Helga z Ovregardu pochyliła się nad końską grzywą i poklepała Smugę po szyi.

- Co się dzieje, dziewczynko?

Koń zarzucił łbem i parsknął.

- Jesteś już po prostu starą zrzedą, czy...?

Pociągnęła za cugle i Smuga stanęła. Helga zeskoczyła na ziemię i posmakowała ustami powietrze.

Śnieg zaczął sypać jeszcze, gdy żeglowali przez kanał, ale nie było wystarczająco zimno, by mógł się utrzymać. Jeszcze nie. Biały całun pojawi się nocą, w ciągu dnia zniknie i powróci znów, kiedy temperatura spadnie. Helga doszła do przekonania, że śnieg przestanie topnieć za tydzień, nie prędzej, a z tego, co czuła w kościach, mogła założyć z dużą dozą pewności, że tym razem utrzyma się bardzo długo.

-Bardzo długo - mruknęła do siebie, przerywając na moment otaczającą ją ciszę.

W powietrzu unosił się dziwny zapach... zły zapach. Las osłaniał ją przed różnymi intruzami, ale z drugiej strony skrywał w sobie różnego rodzaju niebezpieczeństwa. Helga wymacała palcami nóż, choć gdyby do czegoś doszło, byłby dla niej równie bezużyteczny jak groźne spojrzenie. Mimo to przypomniała sobie, jak kiedyś uratował jej życie, i poczuła się pewniej. Owszem, to, co kryło się między drzewami, mogło ją łatwo zaskoczyć, lecz nie dostanie jej łatwo.

Smuga znowu parsknęła i potrząsnęła łbem.

- Tak, wiem - powiedziała Helga. - Mój nos też to czuje.

To coś było przed nimi, więc nie miała wyboru.

- Idziemy, dziewczynko - powiedziała, robiąc krok naprzód.

Stawało jej na drodze wielu mężczyzn i wszyscy próbowali dowieść, że jest słaba i bardziej niewieścia od innych kobiet. Wszyscy oni mieli ze sobą wiele wspólnego: byli odważni, silni i martwi.

Helga z Ovregardu miała jeszcze dużo czasu.

Cugle zdawały się szorstkie jak nigdy, ale Smuga szła naprzód. Czasami Helga miała wrażenie, że słyszy myśli klaczy, wypowiedane głosem podobnym do jej własnego. Teraz jej myśli mimowolnie pobiegły do rąk Auduna, złożonych na kolanach, a potem gdzieś zupełnie indziej i musiała mocno potrząsnąć głową, aby się ich wyzbyć.

— Ach... — mruknęła do siebie, trochę poirytowana, że straciła koncentrację, ale wciąż nie mogąc

pozbyć się pożądliwego uśmiechu.

Robiło się coraz zimniej i trudno się dziwić, że chciała czymś się ogrzać, nawet jeśli było to jedynie wspomnienie tego, co mogłoby się wydarzyć.

Przenikliwy chłód na dobre zagościł w plecach i trząśł nią delikatnie od środka. To było naturalne zimno, przyprawione zapachem sosnowych igieł, kory i ziemi przykrytej gnijącą ściółką. Poczula znajome dreszcze, metaliczny posmak u nasady języka, mówiący o iskrach i zmianach na świecie.

Kiedy zobaczyła drzewo, powietrze uwięzło jej w krtani na ułamek chwili i wyrwało się raptem z niskim świstem. Owinęła cugle Smugi wokół gałęzi, szepnęła jej polecenie do ucha i podeszła bliżej, wpółoczarowana.

Kora była zdarta, pień skręcony i ściśnięty ku dołowi, zniekształcone gałęzie oplatały się wokół siebie w nienaturalnych kłębach, od których aż bolały oczy. Z daleka drzewo wydawało się spalone, ale gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że powierzchnia drzewa jest gładka niczym kruczony kamień. W głowie załomotało jej nieprawdopodobieństwo tego, co widzi, zaciskające się boleśnie niczym żelazna obręcz. Cofnęła się kilka niepewnych kroków, patrząc pod nogi, żeby przypadkiem nie spojrzeć na tę czarną rzecz, która wśród strzelistych, prostych jak włócznie sosen tak strasznie wyróżniała się swoją bezkształtnością. Ale również ziemia wydawała się niepewna. Czuła, jak w krtani podnosi się i dławi żółć, i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, na co patrzy, i podniosła ciężko głowę, aby oczy to potwierdziły.

Krąg wokół czarnego drzewa, o promieniu może dziesięciu kroków, był całkowicie wymarły. Spod leśnego poszycia wystawały poskręcane, suche korzenie innych drzew, a ziemia przypominała jakby popiół. Spojrzenie Helgi zatrzymało się na czarnym pniu, potem podążyło ku górze, wzdłuż zakrzywień i załamania, które wydawały się tak obce i tak potworne. Jednak ich nieodparta swojskość uderzyła ją niczym kamień i instynktownie Helga zaczęła mamrotać pod nosem: „Nie, nie, nie, nie.. Widziała je wcześniej. Oczywiście, że widziała - tyle tylko, że te były zbyt wielkie, zbyt nieprawdopodobne. Niemożliwe. Jej palce zaczęły się zaplatać, ręce ruszać we własnym, niespokojnym rytmie, robiąc znaki i gubiąc je, usiłując odegnać zły obraz, tak jak dziecko stara się odegnać złe sny.

Smuga zarzała głośno, wrywając Helgę z letargu. Zalał ją gniew, zacisnęła pięści tak mocno, że czuła, jak paznokcie wpijają się w skórę. Ból był na tyle silny, że pchnął ją w stronę konia. Odwinęła jednym ruchem cugle, odwróciła się od czarnej rzeczy w lesie i zaczęła prowadzić Smugę jak najdalej od tego miejsca.

Z każdym kolejnym krokiem ucisk w piersi ustawał, a złość ustępowała, lecz naraz z jej oczu popłynęły łzy.

- Och, pozbieraj się, kobieto! — warknęła do siebie, zaciskając zęby i próbując przełknąć zgęstniałą ślinę. — Beczysz jak niemowlę. Dość!

Nagle cugle wypadły jej z ręki. Tuż obok poczuła łeb Smugi. Oblała ją woń ciepłej sierści, a potężna głowa łagodnie muskała jej twarz.

Na ustach Helgi pojawił się uśmiech. Wyciągnęła rękę i pogłaskała klacz po pysku.

— Nie litujesz się za bardzo nade mną, dziewczynko? Bo jeśli też się załamiesz, to nic tu po nas, będziemy jak dwie stare baby w środku głuchej puszczy. A przecież jeśli to prawda, to czeka nas zadanie do wykonania.

Nawet gdy przejechały już spory kawałek drogi, Helga wciąż czuła pulsowanie za plecami, mroczne serce kochanka: drzewo splecione w znak runiczny, który układał się w słowa: „zima”, „wieczność” i „wojna”.

Ragnarók.

*

Helga nie bała się nocy. Za dużo w życiu widziała, a poza tym mrok niejednokrotnie ratował jej życie. Jednak coś w tym ognisku budziło w niej najgłębszy niepokój. Każdy, kto w takich czasach ważył się

rozpalać tak ogromny ogień, najwyraźniej nie dbał nawet o pozory ostrożności. Nie uczyniono nic, aby w jakiś sposób zamaskować ogień. Płomienie widoczne były z odległości setek kroków, ich blask odbijał się w drzewach i rzucał wokół płaszące cienie. Helga znajdowała się zbyt daleko, aby także ją mógł oświetlić, a Smuga, zawsze dostrojona do jej zachowania, wiedziała, że musi się zachowywać jak najspokojniej.

Woń opiekanego mięsa, którą zaczęła wyczuwać, natychmiast wywołała w niej burczenie żołądka. Helga powoli posuwała się naprzód, uważając na każdy krok. Jeżeli to, co przekazał jej znak runiczny, miało być prawdą, to potrzebowała informacji i zamierzała ją uzyskać od wędrowców. Po krótkim namyśle zatrzymała się i zaczęła przeszukiwać ściółkę. Chwilę później miała to, czego szukała. Kilka machnięć nożykiem do rycia znaków zostawiło na drewnie to, o czym pomyślała, i już kawałek drewna zniknął w fałdach jej sukni. Naraz usłyszała szelest, gdzieś z boku. Zamarła w jednej chwili, a Smuga stanęła obok nieruchomo. Znowu szelest, potem nagły skrzek i do lotu wzbil się spłoszony grzywacz. Przysiadł na gałęzi, a w tym samym momencie uszło w ciemność jakieś czworonożne stworzenie. Helga zrobiła powolny wydech i powąchała powietrze. Spalone gałęzie, żywica sosny... ziemia... nic z nieprawdopodobieństwa znaków runicznych. To dobry omen. Dotarła tak daleko na północ, a to oznaczało, że boskie zamiary, jakiegokolwiek one są, nie spełniają się tak szybko, jak się tego obawiała. To mogło tyłko...

Zimne ostrze przyłgnęło do jej gardła niemal niezauważalnie. Dopiero potem poczuła ciepło człowieka.

- Spokojnie i powoli - usłyszała za plecami. - Rusz się, a poderżnę gardło.

Smuga zarżała zaskoczona, gdy inny człowiek pojawił się nagle u jej boku i zaczął szeptać do ucha uspokajające słowa. „No, na niewieleś się zdała” - pomyślała Helga z goryczą.

- Ilu was jest? — zapytał spokojnym głosem stojący za nią mężczyzna.

Zauważyła, że ręka trzymająca nóż ani drgnęła.

- Jestem sama - odpowiedziała, próbując opanować drżenie głosu. - Jadę na północ. Zobaczyłam z daleka ogień. Noce są zimne.

- Ha, tutaj zimne? - W głosie słyhać było autentyczną wesołość. - To musisz zjadać więcej foczego tłuszczu.

Człowiek delikatnie pociągnął cugle i Smuga ruszyła w stronę ogniska. Kątem oka Helga dostrzegła jedynie parę nóg obok klaczy, ale zorientowała się zaraz, że człowiek ten doskonale wiedział, co robi.

- Ruszaj — powiedział mężczyzna za jej plecami i pchnął ją lekko w plecy.

Mając z tyłu mężczyznę, a przed sobą jego silne ramię i nóż na gardle, Helga stłumiła odruchy i posłusznie poszła przed siebie. Przed podjęciem dalszych decyzji musiała zobaczyć, co to za ludzie. Kiedy byli bliżej, dostrzegła małe strzelające iskrami pochodnie: to rozstawieni w ciemnościach wartownicy, niemal nieodróżniający się od konarów drzew, zastygli jak grób, a wszyscy nie odrywali od niej wzroku.

Zapach palącego się drewna był teraz bardziej intensywny. Weszła w krąg bladego światła. Odwróciła głowę, by odszukać Smugę, i zobaczyła kątem oka, jak mężczyzna prowadzi ją do drzewa i owija cugle wokół pnia. Jej porywacz pozostał przy klaczy, gładząc ją po szyi dłonią z góry do dołu. Dobry znak.

Poczuła silne dźgnięcie ręką w kark.

- Naprzód - usłyszała z tyłu.

Obóz, jeśli można go tak nazwać, stanowił luźną gromadę ludzi.

Wyczuwało się w nich znanstwo kunsztu i Helga od razu zauważyła panującego tu ducha walki. Ci mężczyźni przeżyli niejedno, i to wspólnie. Przy starszych żołnierzach o twarzach zniszczonych wiatrem i słońcem siedzieli młodszy. Jednak wszystkich łączyło jedno: byli zahartowani.

Jeden z młodszych podszedł i stanął przed nimi. Umieśniony, wysoki jak na swój wiek, zapewne nie

więcej niż dwanaście wiosen, poruszał się z olbrzymią, ledwo tłumioną energią. Wzdłuż jego kości szkieletowej, od ucha po grdykę, ciągnęła się paskudna, gruba blizna, a w blasku strzelały ku niej czarne oczy.

- Co to, Ygval? - zapytał stojącego za nią człowieka.

Kierowana nagłym instynktem Helga spojrzała mu prosto w oczy.

- Helga Finnsdottir z Ovregardu - powiedziała. — Jestem kobietą. Jeżeli zachowasz maniery, może kiedyś uda ci się kogoś takiego w życiu poznać. — Za plecami usłyszała stłumiony śmiech i wyczuła zainteresowanie stojących bliżej mężczyzn.

Albo ocali to jej życie, albo skończy się źle. Naprawdę źle.

Chłopak zmierzył ją lekceważącym wzrokiem.

- Ładnie, ładnie, babciu, ale kobiety to lubię najwyżej dwa razy starsze ode mnie.

Wywołało to chór pohukiwań wśród mężczyzn.

- Takie, co to mają osiemnaście wiosen?

Wymiana zdań przyciągała coraz więcej zaciekawionych mężczyzn. „Bardzo dobrze — pomyślała Helga. — To da mi...”

- Ognvald! - Szorstki, niski głos zadziałał jak kopniak w kość ogonową.

Chłopak mrugnął do Helgi i cofnął się dwa kroki. Helga podążyła wzrokiem za spojrzeniami mężczyzn, którzy wpatrywali się w ciemność pod starą, wysoką sosną, gdzie coś się poruszyło. Wyłonił się stamtąd ogromny mężczyzna, który przewyższał innych o dobre pół głowy. Zrobił parę kroków i wszedł w krąg światła. Przeciągnął się ospale i rozprostował ramiona.

- Co to za hałasy? - zapytał.

- Ygval znalazł w lesie zbłąkaną kotkę - odpowiedział chłopak.

Kiedy mężczyzna stanął w pełnym blasku, Helga poczuła, że zamiera w niej serce. Ogorzałą twarz okalały czarne włosy zaplecione z tyłu w gruby warkocz i gęsta broda, na której wojownik zawiesił teraz obie dłonie. Mężczyzna zmrużył w świetle oczy. Nie widać w nim cienia wątpliwości czy ustępliwości, stwierdziła Helga - żadnej dwuznaczności, żadnej finezji, tylko brutalna siła i wola.

Odwrocił głowę przez ramię.

- Mamy gościa - powiedział głośno.

- O, do starej kurwy nędzy! Czy do tego jedyne go zasranego przypadku, kiedy nie wybebeszacie kogoś na dzień dobry, musiało dojść akurat wtedy, gdy próbuję pospać, wy owcojeby z zakręconymi bródkami! - rozległ się w ciemności ostry kobiecy głos. - Zarżnijcie ją i już!

Potężny mężczyzna zmarszczył brwi.

- Nie - stwierdził w końcu. — Jest tutaj sama. Najpierw chcę posłuchać, co ma do powiedzenia.

Helga rozejrzała się po kręgu ludzi, który się wokół niej uformował: cały obóz był już nią zainteresowany. Nabrała powietrza w płuca, odwróciła się i spojrzała prosto w oczy wielkiemu mężczyźnie.

- Zmierzam na północ — powiedziała.

Chłopak przysunął się niezauważalnie i nie mogła już się mylić: to ojciec i syn. Szyję mężczyzny znaczyły dwie grube blizny, choć bardziej wyglądały jak znamiona niż bitewne rany. W jej głowie pojawiły się na wpół pamiętane opowieści o bardzo złych ludziach, ale szybko uleciały. Nie wyglądało to tak dobrze, jak mogłaby mieć nadzieję. Serce waliło jej jak młotem, ale nie pokazywała tego po sobie: nie teraz i nie tym ludziom. Sięgnęła pamięcią wstecz i przypominała sobie parę gorszych sytuacji w życiu, niewiele, ale... - w końcu je przeżyła.

- Dlaczego wędrujesz samotnie? — zapytał mężczyzna. - Nie brakuje tutaj różnego rodzaju plugastwa, a najwięcej jest tego... w naszym obozie.

Słowa te wywołały wesołe śmiechy wśród mężczyzn zebranych wokół ogniska.

- Muszę dotrzeć na Północ - powiedziała.

Nagle wszystko przestało wydawać się rzeczywiste. Poczowała, jak po plecach spływa jej zimna kropla potu.

- Trzymasz z królem? - W głosie potężnego mężczyzny zabrzmiała zła nuta.

- Nie - odparła Helga. - Są gorsze rzeczy od króla Olafa Tryggvasona.

Atmosfera w obozie nagle stężała.

- Dosyć tego, sama ją zarżnę, jeśli nie skończysz zaraz tego memłania!

Zza mężczyzny wyszła kobieta, niemal połowę niższa od niego. Jej krótkie, przycięte włosy wyglądały jak trzaskające pioruny. Skierowała wzrok na Helgę.

- No, siostrzyczko, daję ci — z namysłem policzyła na palcach -trzy słowa, zanim cię wypatroszę i rzucę krukowi na pożarcie, żebym wreszcie mogła — obrzuciła morderczym spojrzeniem mężczyznę, który jakby stracił rezon - się wyspać.

Spojrzała znów na Helgę i ukazała długi rząd zębów, co zapewne miało być miłym uśmiechem.

- Zwykle kiedy nie mogę się wyspać, szybko tracę nerwy. - Zatoczyła ręką krąg. - Ci dzielni wojownicy mieli okazję tego doświadczyć. Dlatego zrobili właśnie parę kroków w tył. Zatem panienko, twoje ostatnie trzy słowa. Słucham.

- Loki krąży - wyrzuciła z siebie Helga.

Żądło zakłuło tak mocno, że dosięgło jej zmysłów szybciej niż sam dźwięk plaśnięcia. Niemile uczucie ciepła rozlało się jej po policzku i lewa strona jej twarzy zaczęła pulsować. Wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła bolącego miejsca. Na palcach zostały trzy krople krwi. Stojąca przed nią kobieta cofnęła się o krok.

- Pilnuj języka - warknęła.

Na twarzach mężczyzn nie widać już było śladu wesołości. Helga bardziej wyczuła, niż dostrzegła, jak narasta w nich wszystkie napięcie i jak wyostrajają się ich zmysły. Jednak stojąca przed nią kobieta nie trzymała w rękach noży, które wciąż tkwiły za pasem. Jeszcze nie.

-Na Północy — ciągnęła Helga, skubiąc nerwowo fałdy sukni i zmuszając się do patrzenia kobiecie w oczy. - Loki działa, podburza bestie podziemnego świata, chce zebrać armię i zabić jak najwięcej ludzi. Nigdzie nie jest bezpiecznie.

Kobieta odwróciła się do potężnego mężczyzny.

- Widzisz? Trzeba było ją wypatroszyć. Dziewczynie pomieszało się we łbie.

-Jeśli tak, to czego szukali ci ludzie na drodze Egilla? — ryknął mężczyzna.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. - Kobieta odwróciła się znowu do Helgi i uśmiechnęła szyderczo. — Na pewno już nie żyją. Może po prostu ona mi się nie podoba. Nieraz był to wystarczający powód. - Jej dłoń powędrowała w kierunku rękojęści noża.

Helga gwałtownie wyrzuciła w górę rękę.

- Świetnie! Skażcie wszystkich z Północy na śmierć! Dlaczego nie? Zyskacie trochę czasu dla siebie, wy złamane kut...

Przerwały jej krzyki.

- Ogień!

- Do broni!

Ognisko paliło się silniej i jaśniej. Bił z niego taki żar, że z daleka palił skórę. Stojący przy nim ludzie się rozpierzchli, a pod płomieniami, w wąskiej szczelinie wypełnionej jedynie przez ciepło i dym, coś się poruszyło.

- Cofnąć się! — ryknął potężny mężczyzna. — Ognvald, topór! Wokół Helgi rozległ się szcęk dobywanej broni - włócznie, topory i miecze. Wojownicy zaczęli się poruszać jak w boju, uformowali zwarte linie i trzymali się jak najdalej od ognia.

Płomienie tańczyły coraz szybciej, owijając się wokół siebie, zasysając złociste powietrze i rzeźbiąc w nim rozmaite kształty, a leżące pod nimi drwa strzelały, trzaskały i jęczały w ogniu.

- Zwiadowcy, pilnować tyłów! — rozkazał wódz i część ludzi natychmiast oderwała się od szeregów stojących przed ogniem i zniknęła w ciemności.

- Ani się waż, kurwa, ruszyć! — wycodziła kobieta do Helgi.

Płomienie wierzgały, rzucały się na boki, strzelały w górę deszczem iskrzących węgielków. Najbliższe drzewa oblał blask jasnego światła, a twarze stały się nagle wyraziste i dobrze widoczne. Gdzieś niedaleko, w ciemności, rozległo się rzenie wystraszonej Smugi.

Coś powoli wyłaniało się z ognia. Coś wyższego od człowieka o połowę długości i grubego jak pień starego drzewa. Przybierało kształt ludzkiej postaci: dwie wysokie nogi, a w miejscu ramion długie i grube, bijące na boki języki ognia. Głowy nie było, ale nikogo nie opuszczało niesamowite, upiorne wrażenie, że ten ognisty korpus patrzy im prosto w oczy.

Jeden z młodzieńców krzyknął i natarł gwałtownie, ale zanim się dostatecznie zbliżył, wyskoczyła ku niemu cienka smuga ognia, z łatwością wyrwała mu z ręki uniesioną włócznię i przełamała ją z trzaskiem na pół. Płomienie wciąż rosły. Helga spojrzała na twarze mężczyzn, złane potem, napięte i nieustraszone, choć niepewne, jakby nikt nie wiedział, jak walczyć z nowym wrogiem. Pod ognistymi stopami usychała ziemia, paląc się i topiąc, sycząc w miejscach, gdzie woda uchodziła parą w powietrze. Zjawa wyszła z ogniska, prosto na ich niewielką grupę. Młody Ognwald wrzasnął w bezsilnej złości; wyrwał dwóm ludziom miecz i ruszył na ognistego demona.

- Stój! - ryknął za nim ojciec, ale młodzieniec pochylił nisko głowę i wpadał już w nadciągający na niego żar.

Teraz.

To jest odpowiedni moment.

Helga wyciągnęła rękę i chwyciła kobietę za ramię.

- Daj mi nóż - powiedziała.

W ułamku chwili, szybciej niż, jak sądziła, było to w ogóle możliwe, wystrzeliła ku niej koścista dłoń i zacisnęła się na jej nadgarstku. Ale Helga dwadzieścia lat przepracowała na roli i wytrzymała uścisk. W dzikich oczach kobiety błysnęły na moment płomienie i Helga poczuła na gardle zimne ostrze.

Jednak ani drgnęła.

- Daj... mi... nóż - wysylabizowała.

Ku jej zaskoczeniu w oku kobiety pojawił się przebłysk rozbawienia.

- Proszę.

Odwróciła nóż i podała go rękojeścią w jej stronę, robiąc szybki krok w tył, gdy tylko Helga uwolniła nadgarstek. Chwyciwszy nóż, Helga obróciła się powoli i napotkała wzrok Ygvala. Mężczyzna miał ponad trzydzieści lat, był bardzo przystojny, niczym młody wilk, jeśli tak można powiedzieć, z równą brodą zaproszoną siwizną i gęstymi brązowymi włosami. Wzięła oddech i włożyła w te dwa słowa całą swoją wewnętrzną siłę.

- Zaufaj mi - powiedziała.

Ygval spojrzał na kobietę, potem na jej nóż. Nawet w rosnącej temperaturze wydawał się mocno zbity z tropu.

- Dobrze - odpowiedział w końcu.

- Obnaż ramię — poleciała Helga.

Ogień huczał obok, ktoś wrzasnął z bólu. Kątem oka zobaczyła, jak Ognwald cofa się nieporadnie, strząsając z nóg i rąk pląsające po nim płomienie.

Ygval zrobił, jak mu kazała. Podwinął rękaw, obnażając twarde, gruby mięsień.

- Potnę ci skórę — uprzedziła mężczyznę, patrząc mu w oczy.

Nie odwracając wzroku, uśmiechnął się i powiedział:

- Nie będzie to pierwszy raz.

Odzwajemniła uśmiech. Dobrze chociaż to, że miała szczęście przy doborze człowieka. Spojrzała na

jego biodra. Miecz. Dobrze. Biodra niezłe, swoją drogą. Wsunęła rękę w fałdy sukni i niezauważalnie zamieniła nóż kobiety na własny nożyk do znaków runicznych. „ Ta dzika zgraja skróciłaby mnie o głowę, gdybym wcześniej pokazała nożyk” - pomyślała, dokonując na skórze wojownika czterech mocnych nacięć.

Mężczyzna spojrział na ramię i przyglądał się przez chwilę, jak w cienkich ranach zbiera się krew.

- Ładny znak runiczny — powiedział w końcu. — Co ozna... ?

Nagle jego oczy rozwarły się szeroko i mężczyzna zadrżał na całym ciele.

- Dobądź miecza i przeszyj jego serce.

Ygval przytaknął niemo, jakby był w stanie transu. Odwrócił się w stronę szalejącego ognia. Krąg ludzi poszerzył się najdalej, jak było można. W bliskości ognia jaśniało wszystko, co tylko mogło zapłonąć. Wojownik wyjął za pasa miecz i wszedł, krokiem wolnym, ale pewnym, w gorejący krąg.

Helga obserwowała, jak potężny wódz, jego syn i kobieta przyglądają się w napięciu Ygvalowi. Wszyscy wstrzymali oddech.

Grzywa ognia wystrzeliła ku wojownikowi i smagnęła go po piersi. Rozległ się przeciągły syk, a wokół głowy Ygvala podniosły się obłoki pary. Bez jednego słowa, nawet bez krzyku bólu, Ygval podszedł jeszcze bliżej i zatopił miecz w sam środek ognistego słupa.

Ogień zasyczał, a potem się rozlał. Tańczące płomienie odchyłały się od rozpalonego na czerwono ostrza, ale nie mogły uciec. Ygval przesunął się w lewo i ciął z boku poprzez ogniste nogi. Potem jeszcze wbił ostrze w zjawę i znów rąbał płasające płomienie. Wszędzie, gdzie dotykał monstrum, ogień przygasał, a temperatura wyczuwalnie spadała. Ciszę zaczęły przerywać okrzyki zachęty, a potem triumfu, gdy zjawa malała z każdą chwilą, by w końcu, przy ostatnim cięciu, zwinąć się w sobie i po prostu zniknąć.

Rozjaśniony krąg zalała nagle ciemność.

- Uwaga na oczy — ryknął wódz. — Rozpalcie nowe ognisko, pomioty! Tylko małe! Niech ktoś opatrzy Ygvala.

Wiatr, który silnymi podmuchami znów wypełniał pozostawioną przez ogień próżnię, rozwiewał woń przypieczonego mięsa, niegodziwie drażniącą podniebienia.

Zaiskrzyła przy ziemi podpałka i chwilę później błysnął płomyk, który lada moment miał przywrócić obozowe ognisko.

Wśród tej krzątaniny Helga czuła na sobie w ciemnościach gorące spojrzenie niskiej kobiety. Czuła się tak, jakby nieustannie pilnował jej groźny pies. Jej twarz wyłaniała się z mroku raz po raz, czasem przesłonięta cieniem wielkiego wodza, który obchodził obozowisko, pilnując, aby wszystko zrobiono według jego życzenia.

Dopiero wtedy Helga przyjrzała się kobiecie. Twarz miała surową, ogorzałą i pokrytą bliznami, co wskazywało, że nie spędziła wiele czasu w przytulnym domu przy buzującym ogniu. Jej ciało było smukłe, niemal chłopięce. Krótko przyszyty włosy pochylały się w różnych kierunkach — właściwie cała jej postać wydawała się kolczasta. Nie było na niej widać ani jednego gładkiego zaokrąglenia. Przez cały czas wbijała wzrok w Helgę. W żaden sposób nie zdradzała, co sobie myśli.

- Przyrowadź ją - ryknął z daleka wódz.

Kobieta chwyciła Helgę żelaznym chwytem i bezceremonialnie pociągnęła w stronę stojących przy Ygvalu wielkiego mężczyzny i jego syna.

- Coś ty, kurwa, za jedna i co zrobiłaś? - zapytał mężczyzna.

- To tylko osłona — odpowiedziała Helga. - Prymitywna. Nie będzie długo działać.

- Jesteś wiedźmą? - zapytał chłopak.

Helga spojrziała na niego. Zastanowiła się przez chwilę nad jego pytaniem i dopiero po chwili odpowiedziała:

- Jeśli masz się z tym lepiej poczuć, to tak. Niejedno wiem, niejedno widziałam. To był ognisty

troll. Słaby i mały, ale następne będą większe i silniejsze, a ponieważ Loki krąży, będą szukać sposobów, aby się przedostać do świata ludzi i do niego dołączyć.

- Ty możesz nas osłonić przed siłami Lokiego? - zahuczał potężny mężczyzna.

- Tak — odpowiedziała Helga.

- Świetnie. Lepiej więc ruszajmy na północ. Zobaczymy, czy potrafimy zatrzymać skurwiela, żeby za dużo nie krążył po lasach.

Tym razem nie rozległy się wiwaty, nie było płomiennych przemów. Jeśli wojownicy potężnego wodza zrozumieli, że właśnie usłyszeli zapowiedź wojny, to zdawali się tym nie przejmować za bardzo.

Helga zobaczyła przed sobą silną, ogromną dłoń.

- Skadvald — przedstawił się wódz.

Ujęła dłoń, obawiając się, że ten człowiek zmiażdży jej kości, ale ku jej zaskoczeniu Skadvald był świadom swej nadzwyczajnej siły.

- To mój chłopak, Ognvald.

- Witam — powiedział młodzieniec.

— Witam - odparła jak echo Helga.

— A to... - zaczął Skadvald.

— ...Thora - przerwała mu niska kobieta. - Od razu mówię, że nie mam czasu na żadne znaki i magię. Ostrzegam więc, że kiedy zobaczę, że nie jesteś tą, za którą się podajesz, albo że zadajesz się z którymś z moich chłopaków... - Posłała Heldze spojrzenie zimne jak lód. - Zabiję cię. Nożem. W twarz. Jasne?

— Jasne - odparła Helga.

— Masz być pożyteczna, a jeśli skłócisz mężczyzn...

— Do tego nie dojdzie — powiedziała Helga

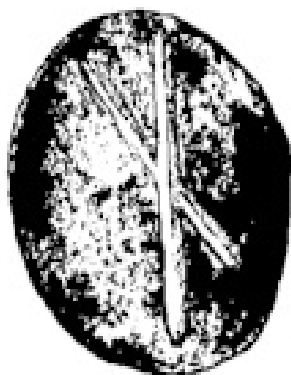
Moc, z jaką te słowa wypowiedziała, zdawała się Thorze wystarczać. Odwróciła się i odeszła do namiotu. Skadvald i Ognvald ruszyli za nią.

Helga została sama wśród mężczyzn. Patrzyła, jak obozowisko wraca do życia, do ciepła ogniska, do odpoczynku i jedzenia.

Spojrzała na leżących na ziemi trzech poparzonych mężczyzn. Jeden nie przeżyje nocy. Pozostali dwaj przez długi czas będą musieli znosić potworny ból, a blizn nie pozbędą się nigdy.

Znak runiczny, którym wezwała trolla, był prymitywny. Wrzucenie go do ogniska wymagało dużo sprytu i odrobiny szczęścia, ale się udało. Szkoda, że ci mężczyźni musieli cierpieć, ale nie było innego wyjścia. Lokiemu trzeba pokrzyżować plany.

Helga upewniła się, że nikt nie patrzy, pozwoliła sobie na lekki uśmiech i poszła zająć się Smugą.



Rozdział 8

Na północ od Trondheim, grudzień roku Pańskiego 996

Czarna, zimowa noc, upstrzona białymi punkcikami, rozpościerała się nad jego głową. Valgard upajał się zmysłami, czując wysokość nieba nad sobą i dotyk zimnej ziemi pod stopami, bardzo zimnej ziemi. Już z daleka słyszał, jak nadchodzą. Byli u podnóża wzgórza, przedzierali się przez młody las. Słyszał stukającą broń i brzęczące zbroje.

Dwa kroki doprowadziły go na szczyt, a stamtąd łatwo ich wypatrzył; poruszające się między drzewami cienie. Ich zapach niósł się daleko przed nimi.

„Dobrze”.

Na przedzie jechał król Olaf, szukając śladów tego, co spłoszyło zwierzęta, brnąc ze złością przez oporny śnieg, jakby czynił on afront jego królewskiej władzy. Jak potwornie łatwo przyszło mu dotrzeć do ich myśli i natchnąć je strasznym impulsem ucieczki. Efekt za to był piorunujący. Wspaniały.

Valgard puścił w powietrze myśl.

„Zobaczcie mnie”.

Król Olaf uniósł bezwiednie głowę, niczym ktoś, kto próbuje przypomnieć sobie sen. Zlustrował grzbiet wzniesienia. W świetle księżyca jego twarz wydawała się szara, ściągnięta i wychudzona.

- Uwaga! Atak! — zakrzyknął Olaf.

- Jeszcze nie - odparł Valgard, zdumiony spokojem i władczością własnego głosu.

- Valgard?

- Tak - odparł Valgard. - To ja.

Na twarzy króla pokazał się zmęczony uśmiech.

— Stary druhu - powiedział. - Myśleliśmy już, że cię straciliśmy!

- Straciłeś mnie - odparł Valgard. - Swoje królestwo również.

Obok króla Olafa zobaczył tego usłużnego fagasa o imieniu Hjalti, który z trudem szedł przez śnieg. Za nimi wyczuł jakiś większy ruch: żołnierze. Wyglądało na to, że król postanowił zabrać ze sobą setkę przyjaciół.

„Pan widzi”. Uśmiechnął się.

— Nie rozumiem — powiedział zbity z tropu król.

— To teraz moja kraina — odpowiedział Valgard.

Przez moment król wydawał się zagubiony, jakby usiłował sobie przypomnieć coś, o czym nie mógł pamiętać. Valgard spróbował wejrzeć w jego myśli... Wyczuł swąd pochodni, żelazo i dotyk Lokiego — niczym kropla miodu na podniebieniu.

Król wpatrywał się w niego uporczywie.

— Musisz jechać z nami do Trondheim, Valgardzie! Coś tam czeka. .. coś bardzo niebezpiecznego.

— Wiem — odparł Valgard.

Wtedy król nareszcie pojawił. Valgard to dostrzegł. Niemal odczuł, jak nad Olafem przejmują władzę lata bojów. Jakże prosto i łatwo opadła na jego twarz maska wojownika.

— Do mieczy! — ryknął król.

Valgard usłyszał w ciemności ogłuszający koncert wyciąganych z pochew stalowych ostrzy. Nie ruszył się. Uśmiechnął się tylko.

- To ci w niczym nie pomoże - powiedział swobodnym tonem.

- To się okaże - warknął Olaf i ruszył w jego stronę, skracając szybko odległość między nimi do czterdziestu kroków.

Valgard skinął ręką.

Wyszli z mroku i stanęli obok niego: pięciu, jakby wyciosanych z lodu, wysokich na dwa metry. Nie wyglądali jak ludzie. Był w nich kamienny spokój, przywodzący na myśl górę, drzewo albo zimowego drapieźnika, który czeka cierpliwie, aż strawa podejdzie bliżej.

Król Olaf brnął przez śnieg sięgający do kolan, a Valgard patrzył, jak się zbliża, i czuł zadziwiający brak strachu.

Idący za królem Hjalti odezwał się nagle drżącym głosem:

- Botolf?

Król podniósł głowę i zerknął na najwyższą ze zsiniałych postaci. Była w niej kropla podobieństwa, ale nieprzekonująca. Król wyciągnął miecz i szybko skracał dystans.

Valgard uśmiechnął się mimowolnie - to wszystko było jednak zabawne. Spojrzał królowi w oczy i cofnął się o krok, za plecy swoich wojowników, co ostatecznie rozjuszyło Olafa.

Ogarnięty furią natarł z dzikim okrzykiem i zatopił miecz w ramieniu Ormsleva.

„Naprzód... złamać ich..

Valgard puścił myśl i patrzył, jak Ormslev wierzchem dłoni uderza króla w klatkę piersiową, zatykając mu dech w płucach i wyrzucając w górę w obrotach, jakby to dziecko rzuciło w złości szmacianą lalkę. Ten, który niegdyś był Valgardem Zielarzem, drgnął tylko, gdy władca ludzi Północy trzasnął plecami o najbliższe drzewo, a potem spadł w śnieg twarzą do dołu. Botolf i Skeggi również szli już naprzód, a tuż za nimi Jori i Ormar. Wystąpił przeciw nim jakiś dzielny wojownik, męczyzna potężnej postury, bojowo wymachując masywnym toporem. Botolf jednym ruchem wytrącił mu z rąk straszną broń i chwycił go za ramiona, a Skeggi, nie tracąc rytmu w krokach, złapał go za kolana i powalił na ziemię. Przy wtórze potwornych wrzasków Skeggi i Botolf pociągnęli wojownika, każdy w swoją stronę. W nieludzki krzyk wplotły się odgłosy pęknięcia i darcia.

Valgard szedł za nimi, patrząc beznamietnie, jak tryskająca z rozerwanego wojownika krew czerwieni śnieg. Ludzie króla Olafa wydawali się mniej zainteresowani walką, a bardziej ucieczką. Wycofywali się tyłem, małymi krokami, szukając twardego gruntu pod nogami. Po lewej stronie jakiś młody wojownik upuścił topór, odwrócił się szybko i rzucił do panicznej ucieczki.

„Zatrzymać go...”

Ledwie Valgard to pomyślał, a Jori skoczył za uciekającym niczym pies myśliwski i dopadł go po dziesięciu susach. Moment później odwrócił się i posłusznie wrócił, zostawiając za sobą skręcone ciało bez tchnienia życia.

To wystarczyło pozostałym żołnierzom. Wycofali się ostrożnie kilka kroków do lasu, aby zyskać osłonę drzew i ciemności, a potem zbili się w gromadę i drżąc nieustannie, sformowali coś w rodzaju ściany tarcz zwróconej w stronę Valgarda i jego pięciu trollów.

Valgard wynalazł najzimniejsze, najsurowsze myśli w trollach, co okazało się zaskakująco łatwe, jakby łowił srebrzystą rybę w jeziorze.

„Zabić... wszystkich...”

Najpierw ruszył Botolf. Mijając pierwsze drzewa, odłamał z trzaskiem gałąź grubą jak własne ramię. Za nim Skeggi, potem Ormslev, Ormar i Jori. Patrząc na nich, Valgard poczuł dziwny przypływ ojcowskiej niemal dumy: wydawali się jeszcze bardziej pewni siebie, jeszcze bardziej przekonani do swojej racji, nie tak sztywni i nie tak ociężali, a za to bardziej płynni. Mniej było w nich niedźwiedzia, więcej wilka.

Następny z ludzi króla Olafa zginął potwornie, gdy odłamana gałąź Botolfa wbiła się w jego twarz. Trzeci upadł, łapiąc się za zgruchotane kolana, i krzyczał z bólu, aż Ormslev nastąpił mu stopą na krtań.

Coś zaszumiało Valgardowi w tyle głowy, jakby jakaś skaza we wzorcu, ziarno piasku w oku jego umysłu. Rozległ się szmer w ciemności, coś błysnęło. Potem pojawił się płomień.

„Osłoń oczy, głupcze!” — syknął mu w ucho głos ochrypły z gniewu.

Valgard szybko odwrócił wzrok, szukając najpierw pogruchotanych ciał wojowników króla, a potem ledwie kątem oka zerkając na światło.

— Odyn — wyrzucił z siebie.

Znaki runiczne w sakiewce zaczęły się jarzyć rozżarzoną bielą, piekąc mu skórę, a w głowie zaczęły bulgotać słowa, i kiedy żar stał się nie do zniesienia, z jego palców popłynął chłód niosący ulgę, a z ust wleciały starodawne rymy. Wyczuwał ciała stojących przed nim trolli i siłę mrozu wypływającego z palców, wnikałego w ich kręgosłupy, rozplwającego się w nich z każdym oddechem. Wzmocnieni w ten sposób Botolf i Ormslev natarli na fizyczną siłę żaru.

„Możecie go pokonać... To już stary człowiek... Zasłużyliście na to...”

Głos syczał mu w ucho, nieustępliwy, ponagląjący, niemal jak kochanka, aż Valgard, ogarnięty falą ciemnej żądzy, przestał istnieć w świecie i stał się jedynie świadomością wolną od jakichkolwiek fizycznych okowów. ..Iw końcu w jego głowie bestia wynurzyła się z ciemnej toni jeziora.

Była piękna i straszna zarazem: mocne, kanciaste szczęki, niskie czoło, brązowe, grube łuski odchodzące od rozwartej paszczy, wypełnionej ostrymi, zakręconymi zębiskami. Szmaragdowe ślepia osadzone głęboko w płaskiej czaszce spoczywającej na setkach włókien mięśni, które pociągały resztę cielska, płynącego i tańczącego, niczym żmija, tnącego dziurę rzeczywistości. Gdzieś daleko wyczuwał świadomość Odyna, trzymającą się mocno, ale słabnącą na widok niezachwianej wiary Valgarda.

Zasłużył sobie na to.

Nareszcie osiągnął punkt, w którym długie życie na krawędzi świata, długie życie w cierpieniu, szyderstwie i pogardzie dało mu wreszcie moc, aby się odpłacić - i zrobi to z całą stanowczością. Wyczuł miejsce, w którym kostur siwego człowieka wbijał się w ciało trolli, w jego ciało, ale był strachem, był zimnem, był śmiercią, więc nic go to nie obchodziło.

Wówczas niespodziewanie poczuł znów rzeczywistość. Pociągnęła go, a on zamłócił rękami, miotając się jak schwytna ryba w sieci, ale nie mógł nic zrobić. Wspólnarodzony Valgard został na powrót wciągnięty do świata.

Głos Odyna brzmiał władczo i donośnie. Przemawiał:

- Dołącz do mnie, królu Olafie. Daj rozkaz do ataku! Możemy ich pokonać!

„Król”.

Valgard zamrugał. Próbował przywrócić poczucie realnego świata. To zupełnie nieprawdopodobne, ale król Olaf jakimś sposobem znalazł się przy Odynie i stał tam, blady jak duch, wyraźnie faworyzując prawą stronę. Jego wojownicy schowali się tchórzliwie za ognistą tarczą Odyna.

— Kim jesteś? — krzyknął król.

— Mam niejedno imię - odparł Odyn. - O tym jednak możemy porozmawiać później.

Twarz króla Olafa spurpurowiała, a z jego ust eksplodowały słowa.

— Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną! - krzyknął. -Przepadnij!

Świat wstrzymał oddech.

„Uważaj” — syknął znowu głos w uchu.

Jedno mrugnięcie i...

Valgard odwrócił się w ostatniej chwili, gdy fala potężnej mocy uderzyła w jego pierś, zmuszając go do cofnięcia się parę kroków. Oszołomiony zaczął szukać słów, ale nigdzie ich nie znalazł. Nie potrafił przemówić. Głowa mu pływała.

Odyn zwrócił się do króla ze smutkiem w oczach.

— Był czas, kiedy w bitwie mogłem być pewny wiary człowieka -powiedział niemal niedosłyszalnie. — Jeżeli jednak, Olafie Tryggvasonie, nie pozwolisz uwierzyć we mnie sobie lub swoim ludziom, nic nie będę mógł dla ciebie zrobić.

W chwilach między mrugnięciami świata Odyn Wszechmogący wcisnął pochodnię w ziemię i zszedł z pola bitwy.

Świadomość napłynęła z powrotem do głowy Valgarda niczym zimna woda w upalny dzień. Potrząsnął głową, by uwolnić się od ostatniego zaklęcia Wszechojca, i zaczął szukać myślami trolli.

Są półprzytomni, ale dochodzą do siebie.

„Zniszczyć..

Myśl zawisła w jego głowie, a potem pojawiła się raptem inna. „Większość z nich..

Botolf sięgnął do wbitej ziemi pochodni i przewrócił ją trzepnięciem ręki. Pozostali szli już w kierunku wystraszonych wojowników.

Valgard dojrzał w oddali dwa cienie zbiegające po zboczach, pędzące tak, jakby zależało od tego ich życie, ale potem rozległy się krzyki i wiedział już, co ma teraz zrobić.

*

Król Olaf słyszał jedynie własny oddech i pulsowanie krwi, zawsze ta krew, gdy nogi same zdecydowały, co będzie najlepsze i niosły go w dół zbocza, jak najdalej od rzezi, nie zważając na połamane żebra. Znowu brnął przez śnieg, potykał się, upadał, turlał po wzgórzach, krzyczał z bólu, podnosił się i biegł dalej.

Sto kroków z lewej strony biegł Hjalti. Młodszy mężczyzna był szybszy i kiedy król dotarł do podnóża, Hjalti zdążył już złapać dwa konie. Słyszeli nieludzkie krzyki tych, których zostawili na wzgórzach, słyszeli wycie tych... stworów...

-Tędy, królu! Wrócimy do Trondheim, ostrzeżemy ludzi, rozpalimy ogniska.

Za tymi słowami popłynęła z ust czarna krew, gdy nóż myśliwski Olafa zatopił się w brzuchu Hjaltiego, a potem poszedł w górę, w stronę serca, aż dłoń, która go trzymała, niemal cała zniknęła w ciele.

Ostatnią rzeczą, jaką widział Hjalti, była twarz króla Olafa i jego gniewne oczy.

- Nie udawaj, że się tego nie spodziewałeś — wycharczał król. - To ty wprowadziłeś ich do mojego kościoła. Ty ściągnąłeś na nas nieszczęście. Może wybaczy ci nasz Zbawiciel, ale nie ja.

Wyciągnął nóż z odgłosem mokrego siorbnięcia i Hjalti osunął się na ziemię, plując krwią i trzymając się za brzuch.

- Proszę... — wydyszał.

Król Olaf chwycił cugle najbliższego konia, spojrzął na leżącego u stóp człowieka i nie znalazł w sobie nic oprócz pogardy. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale w tym samym momencie ze wzniesienia poniósł się potworny krzyk.

Koń podrzucił głowę i zarżał przestraszony.

- Chcesz już stąd zmykać - mruknął mu w ucho król. — Rozumiem.

Wdrapał się na koński grzbiet i odjechał w stronę Trondheim, zostawiając za plecami wzgórza i trupy swoich wojowników.

*

Valgard mimo mrozu czuł smród. Spojrzał z obojętnym zainteresowaniem w dół, na bezkształtną postać, która jeszcze niedawno była człowiekiem, a teraz wyglądała jak worek upuszczony z wielkiej wysokości. Trolle rozbiły wojowników króla Olafa w miejscu, gdzie wszyscy zbili się w gromadę, jednych bijąc do nieprzytomności, drugich łamiąc: szybki, brutalny atak. Ludzie króla walczyli do ostatniego człowieka i bez wątpienia trafiają do Walhalli, ale jeszcze nie teraz.

Chciał ich jeszcze wykorzystać.

Jeden z nich leżał półprzytomny u jego nóg. Patrzył na niego, miał zakrwawioną twarz, a lewą nogę wykręconą pod nienaturalnym kątem.

- Proszę... - szepnął z oczami otwartymi szeroko ze strachu.

- Czego chcesz? Litości? — szydził Valgard. — Powiem ci, co zrobię. Postąpię z tobą wedle twego zachowania, a osądzę wedle twoich własnych zwyczajów. Co ty na to?

Silny kopniak przemienił słowa nieszczęśnika w skomlenie.

Wargi Valgarda zapiekły prastarymi słowami.

Powstań, woju dzielny,

Z mroku zrodzony,

Krwi i strachu.

Druhowie twoi wierni

W srogą idą zimę,

Towarzysze w boju.

Unieś razem z nimi ostrze,

By Lokiego się spełniło słowo.

Ciało mężczyzny poruszyło się i obróciło w śniegu, gdy wnikała w nie ciemność. Mięśnie się obkurczyły, skręciły, splątały i rozdarły na włókna, by niebawem uformować się na nowo. Usta rozwarły się szeroko, a twarz poczerwieniała w niemym okrzyku. Valgard widział go, widział poprzez odzienie i ciało, patrzył na jego wnętrze, samą istotę, i wyobraził sobie, jak mróz ciągnie przez palce jego stóp, przez golenie, kolana, wielkie mięśnie ud, powiększając je, barwiąc odcieniem zimnej siności, gdy ciało obumierało, by znów ożyć. Rodził się po raz wtóry, przeradzał się w coś silniejszego. Coś większego. Coś lepszego.

Przemiana się dokonała.

Wojownik leżał wciąż w śniegu jak wyżęta ścierka, ale inaczej wyglądał. Był tęższy, dużo szerszy w barkach, choć sztywniejszy, mniej ludzki. Zdawał się być tylko wyobrażeniem wojownika. Skórę miał lekko błękitną.

Podszedł Jori i spojrzał z góry na żołnierza.

- Zabrać? — zapytał.

- Tak - odpowiedział Valgard.

Patykowaty troll bez trudu zarzucił sobie wojownika na ramię i zaniósł go do grupy innych leżących bez ducha. Obok nich usiadł wyraźnie znudzony Ormar.

Valgard policzył. Dwudziestu czterech.

Trondheim, północna Norwegia,

grudzień roku Pańskiego 996

Biały śnieg zwisał zakręconymi jęzorami z okapu wielkiej komnaty. Wewnątrz huczał ogień, a od ścian odbijały się echem stare pieśni, wyśpiewywane chóralnie przez tych, którzy mogli jeszcze śpiewać, i wrykiwane przez tych, którzy mogli już tylko ryczeć. Gunnthor, siedzący na krześle po prawej stronie

od tronu, nachylił się do Storreka.

- Posłuchaj ich tylko. Przy nich czuję się trzydzieści lat młodszy - powiedział siwy mężczyzna.

- Czujesz się siedemdziesięcioletkiem? - rzucił Storrek, rechocząc wesoło. Rysy jego twarzy złagodniały za sprawą niezliczonych kufli miodu; po szóstym przestał liczyć. — Dobrze robisz, staruszkule - stwierdził. — Dzięki tobie czują się jak u siebie w domu. Bez tych bogobojnych bzdetów.

- Mów ciszej - warknął Gunnthor. - Nigdy nie wiesz, kto słucha.

- Racja, racja - powiedział Storrek, trzeźwiejąc nagle. - Mówić ciszej.

Z drugiej strony komnaty Einar Tambarskelf długo patrzył, jak mężczyźni rozmawiają nad pustym tronem króla Olafa, ale ponieważ panujący w środku zaduch stał się dla niego nie do wytrzymania, przepchnął się do wyjścia.

Chmury się rozpięzły, odsłaniając czarne, udekorowane mrugającymi punktami niebo. Nocne powietrze było zimne i rześkie, a wiatr rozwiał zapach krwi. Rdzawe plamy widniały wciąż przed wejściem do długiego domu, choć poczucie koszmaru już minęło.

- Einar.

Szept zdawał się płynąć z wiatrem niczym myśl.

- Einar!

Einar Tambarskelf odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Coś poruszyło się przy narożniku domu. W jego ręce błyskawicznie pojawił się nóż. Już gotów był rzucić, gdy z mroku wyłonił się król Olaf z uniesionymi wysoko dłońmi.

- Zawierzam życie Bogu — powiedział słabym, ledwie słyszalnym głosem. — Mam nadzieję, że nie jesteś jednym ze spiskowców.

- Słucham?

- Gunnthor, Storrek i Hjalti są w zmowie. To ich ludzie musieli napuścić na nas spłoszone zwierzęta, bo polowanie okazało się zasadzką. Chcieli mnie zabić. Cudem uciekłem. Ale jestem ranny i niezdolny do walki.

Twarz Einara ściał gniew.

- Kanalie - syknął. - Przeszyję im oczy strzałą - mówił dalej, sięgając odruchowo do kołczanu, którego jednak nie miał na plecach.

- Nic z tych rzeczy - odparł król Olaf. - Jest ich za dużo. Zgromadź sześćdziesięciu najlepszych naszych ludzi. Kiedy zdrajcy się zorientują, że wciąż żyję, żaden z nas nie będzie bezpieczny. Jeszcze dzisiaj w nocy odpływamy. Do Stenviku. Wrócimy wiosną silniejsi. Zostawimy dużo głów do wyżywienia; będą skakać sobie do oczu, będą wybijać się nawzajem. Spotkajmy się na przystani. Weźmiemy Łaskę Njordura.

Einar rozważał przez chwilę słowa króla, ale zaraz obrócił się na pięcie i wmaszerował do długiego domu.

Król powstrzymał odruch kaszlu i trzymając się za żebra, zniknął w mroku. Nie mógł powiedzieć Einarowi, co naprawdę widział. Sam nawet nie był pewien, co widział. Jediną rzeczą świadczącą o tym, że rzeczywiście kogoś spotkał, był pulsujący ból w boku.

*

Księżyc na niebie pokonał połowę długości domu i skrył się za gęstymi chmurami, kiedy wojownicy zebrali się na przystani. Było ich około sześćdziesięciu, mężczyźni spokojni i wyważeni, którzy wiedzieli, gdzie jest ich miejsce.

Król czekał na pomoście przy burcie Łaski Njordura. Zaraz zaczął rozdzielać zadania. Sześciu ludzi poszło do miasta po racje żywnościowe. Gdy Olaf wybierał dwudziestu, by przygotowali żagle i okręt do wyjścia w morze, w oddali zauważył słabe światło pochodni pomiędzy zabudowaniami, które zdawało się zbliżać do przystani. Strażnik wkrótce dostrzegł krzątanie przy okręcie i zaraz krzyknął w stronę ludzi uwijających się w porcie. Potem już tylko zacharczał i spazmatycznie zacisnął palce wokół strzały,

która przeszła mu krtań. Einar jeszcze raz naciągnął cięciwę, tym razem celując w pierś. Pochodnia spadła w śnieg i wygasła z cichym syknięciem.

Krótko później wróciło z miasta sześciu mężczyzn. Każdy niósł w rękach dwie torby wypakowane jedzeniem. *Łaska Njordura* była gotowa do rejsu. Wioślarze pociągnęli z całych sił za wiosła. Ogromny statek szarpnął z pluskiem naprzód, potem jeszcze raz, ale z każdym pociągnięciem kołysał coraz łagodniej, aż w końcu sunął po wodzie równo i cicho.

Król Olaf obejrzał się na niknące Trondheim, a potem przeszedł na dziób i wpatrzył się w ciemność przed sobą.

- Patrz - szepnął jeden z ludzi, pokazując niebo.

Ostatnia z chmur odpłynęła znad Trondheim, odsłaniając krwistoczerwony księżyc, o barwie intensywnej niczym świeża rana. Król Olaf spostrzegł nie bez satysfakcji, że każdy, którego widział ze swojego miejsca, przeżegnał się trwożliwie.

*

Valgard wszedł na szczyt wzniesienia i spojrzał z góry na Trondheim.

W powietrzu unosił się zapach królewskiego strachu, przywiewany mu w twarz przez bryzę znad morza. Obliznął wargi. Pełny, słony smak wzbudził w nim dreszcz. Było coś szczególnie smakowitego w upadku Olafa, w tym, że przyszło mu uświadomić sobie własną, zwyczajną śmiertelność. A za chwilę on, Valgard, z powrotem wejdzie do Trondheim.

Będzie zabawa.

- Skeggi, Botolf, Ormslev - rzucił krótko, a trzy trolle, niczym tresowane zwierzęta, stanęły przed nim natychmiast.

W porównaniu z innymi wydawali się potężniejsi: Botolf mierzył teraz grubo ponad dwa metry, a Valgard nie był pewien, czy razem ze Skeggim dźwignąby Ormsleva. Dadzą radę. Dadzą sobie świetnie radę.

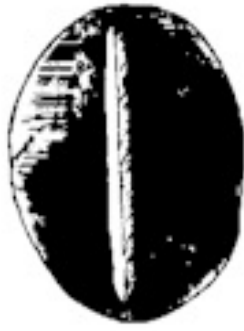
- Weźcie, czego wam trzeba, i przejdźcie w najdalsze zakątki miasta. Poruszajcie się szybko i cicho. Zglądźcie tyłu tylko, ilu musicie. Będą nam potrzebni.

Gdy skończył mówić, trzy trolle się oddaliły.

- Ormar i Jori, pójdziecie ze mną. Również ty. — Wskazał postać po lewej stronie. — Zwłaszcza ty.

Wokół niego zaczął się ruch, postacie ustawiały się w ciemności.

„Zostawimy mnóstwo śladów na śniegu — pomyślał Valgard. - Ale cóż, jeszcze trochę i nie będzie to stanowiło dla nas żadnego problemu”.



Rozdział 9

Południowa Szwecja,
późny grudzień roku Pańskiego 996

Mężczyzna, który twierdził, że ma na imię Eryk i jest synem jarla Haakona, wodza Trondheim, chrząknął znacząco. Był o pół głowy wyższy od Widłobrodego, a z wyglądu i sposobu poruszania się przypominał kogoś, kto niejedno przeszedł w życiu. Smukła, harda sylwetka, szerokie barki, wyprostowane plecy i ostre rysy twarzy, którą dopełniały czarne włosy z siwymi pasmami, zaplecione w gruby, typowy dla najeźdźcy warkocz. Za nim rozlegały się ciche syknięcia wpadających w ogień płatków śniegu.

- Król Olaf opuścił północną krainę! - krzyczał. - Zmierza na południe. I mierza w bardzo szybkim tempie!

Od stojącego na skraju światła Eryka poniósł się gwar niczym fala po jeziorze. Jednak natychmiast przerwał go król Widłobrody, który wyrwał najbliższemu wojownikowi tarczę i zaczął walić o nią toporem, tocząc wzrokiem po zebranych ludziach.

Usta z wolna nieruchomiały.

Król Widłobrody uśmiechnął się i odczekał, aż zapadnie absolutna cisza. Wreszcie przemówił głosem spokojnym, ale dobitnym:

- Mojego przyjaciela ze wschodu - skinął w stronę Jolawera Scota - ucieszy ta przerwa w grze, bo wyraźnie przegrywał.

Z obu stron podniosły się krzyki, a Ulfar z trudem powstrzymał uśmiech.

— Oto jak się panuje nad tłumem — szepnął do Auduna, ale król Widłobrody jeszcze nie skończył.

— Niemniej wszystko ma swój koniec. Powróćcie do swoich obozowisk. Wyruszamy skoro świt.

Z ociąganiem ludzie zaczęli rozchodzić się do namiotów. Widłobrody, Jolawer Scot i grupka wybranych wojowników nie ruszyła się z miejsca.

— Zostajemy? — zapytał Piszczalka.

Ulfar chciał już odpowiedzieć, gdy odezwał się Sven:

— Ulfar i Audun, podejdźcie. Reszta może odejść.

— Masz odpowiedź — stęknął Thormund, zbierając się na nogi. - Jak można sądzić po imionach wezwanych, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Stary koniokrad zniknął w mroku, a Piszczalka ruszył zaraz za nim. Z ciemności wyłoniła się grupa

ludzi, którzy stanęli w równej linii za Widłobrodym i Jolawerem, naprzeciw wodzów Eryka. Był tam Oskarł, spokojny i pewny, tuż obok Auduna i Ulfara, wzrostem dorównujący Alfgeirowi Bjornemu, natomiast do Sigurda, Karlego i Svena dołączył Thorkell Tyczkowy. Sygryda stanęła u boku Widłobrodego.

— Witaj — powiedział król Widłobrody.

— Witajcie — odpowiedział Eryk.

— Kiedy król Olaf wyruszył w drogę? — zapytał Jolawer Scot.

— Zimą wieści krążą powoli — mówił Eryk. — Może dziesięć dni temu. Jolawer spojrzał na Alfgeira. Widłobrody nie ruszył się z miejsca, ale widać było, jak napiął ramiona. Królowie nie umieli znaleźć słów, siedzieli w milczeniu nad planszą do gry.

Ciszę przerwał ostry głos.

— Ilu ludzi? — zapytała Sygryda.

— Sześćdziesięciu — odpowiedział Eryk.

— To ledwie jeden okręt! — krzyknęła Sygryda. — Do Trondheim wypłynął na czele czterdziestu statków. Myślisz, że ci uwierzymy?

— Dlaczego wyjechał z Trondheim? — zapytał Widłobrody. - Kto tam teraz rządzi?

- Nie wiem. Od dłuższego czasu nie było wędrowców z Północy- odpowiedział Eryk, a Ulfar poczuł naraz, jak skręca go coś w żołądku.

Źle. To bardzo, bardzo źle.

Eryk mówił dalej:

- Ci ludzie - gestem wskazał milczącą grupę za plecami - pochodzą z gór, niektórzy z dolin w głębi łądu. Zgodzili się dołączyć do mnie i dać początek armii, która ma odbić Trondheim.

- Ale nie wiecie, co tam się dzieje — zauważył Sigurd.

- Nie - odpowiedział Eryk. — Nie wiemy.

Widłobrody spojrzał na Jolawera. Potem na Sigurda. W końcu na Sygrydę.

- Jeśli dla króla Olafa Trondheim jest nieważne — stwierdził wreszcie i to dla mnie tym bardziej nie jest ważne. — Odwrócił się do króla Szwecji. — Jolawerze?

- Potrzeba nam więcej informacji — stwierdził Jolawer Scot. — Spotkamy się jutro o świcie.

- Zgoda — przytaknął Widłobrody.

Audun zerknął na Ulfara i mruknął pod nosem:

- Czy to może być...

- Nie teraz... — przerwał mu cicho Ulfar.

Widłobrody, Jolawer Scot i Eryk odeszli ze swoimi ludźmi do namiotów, ale Sven i Sigurd zwlekali trochę i wdali się w cichą wymianę zdań z Oskarlem.

Dwaj przyjaciele stali w udeptanym przez ludzi śniegu, w bladym blasku ogniska. Cały plac znaczyły ślady niedawnej obecności blisko tysiąca ludzi.

Audun westchnął.

- Nigdy nie jest łatwo, prawda?

Ulfar uśmiechnął się.

- Łatwo? — Spojrzał na barczystego kowala. — Gdzie tu miejsce na zabawę?

O świcie następnego dnia napadało jeszcze więcej śniegu.

— Patrząc na pogodę, można by odnieść wrażenie, że jesteśmy sakramencko dalej na Północ i mamy późniejszą porę roku — burknął Thormund, pakując namiot.

— Po prostu brakuje ci tłuszczu — stwierdził Audun, klepiąc w plecy chudego jak szczapa towarzysza.

— Mamy chude czasy — odparł Thormund. — Chude dla człowieka i zwierzyny. Choć twojej matce jakoś to nie przeszkadzało.

Audun napiął mięśnie, ale do rozmowy już włączył się Ulfar, który stał rozkraczony nad zwijanym namiotem.

— Spokojnie! Starczy wiek płacze myśli, Thormundzie. Znów mylisz pojęcia. Nigdy nie miałem okazji poznać matki naszego przyjaciela z Północy, ale jestem pewny, że w przeciwieństwie do twoich kochanek nie ma ona kopyt.

Piszczalka zarechotał za ich plecami dziwnym zachrypłym głosem, ale ze szczerego serca.

— Zasmarkany srajdek — rzucił Thormund.

— Sparciała pierdoła — odparował Ulfar.

— Na nogi! — krzyknął Oskarł, przemierzając obóz wielkimi krokami. — Wstawać i w drogę!

Natychmiast!

Wezwania były niepotrzebne. Ludzie ze Stenviku, dobrze wyćwiczeni i zdyscyplinowani, od pierwszego brzasku stali gotowi do wymarszu.

W tym samym czasie, w innym miejscu obozowiska, Ivar odwrócił się do siostry.

— Wolałbym, żeby ten grubas ze Wschodu przestał mieć jęzorem — mruknął.

— Kiedyś przestanie — burknęła Greta.

Rodzeństwo siedziało przygarbione pod ciężarem sterty zwiniętych starych koców.

— Złapie topór w locie. Twarzą. Miejmy nadzieję — dodała, a jej brat parsknął śmiechem. —

Czego rechoczesz, ośle?

— Och, nic — odpowiedział Ivar, uśmiechając się do siostry. - Widać, że bierze cię złość na niego.

— Zamknij się — fuknęła Greta i uderzyła brata w ramię.

- Auu! Idź bić Ulfara, jeśli wciąż się na niego boczysz.

- Żadne z was nie będzie nikogo bić — rozległ się nagle z tyłu głos Karlego.

Ivar i Greta odwrócili się gwałtownie, zderzyli się głowami, zamłócili ramionami, by złapać równowagę, a zwinięte koce spadły na ziemię, rozsypując rozmaite rzeczy poupychane w spodnie i rękawy.

- Przepraszamy, księżę - powiedziała szybko Greta, klęcząc i starając się wygładzić suknię.

- Tak, tak — powiedział Ivar. — Przepraszamy. My nigdy więcej... Karle patrzył z góry, jak zawstydzone rodzeństwo drobi na kolanach. - Nigdy więcej. Ale będziecie mieli oko na Ulfara i jego kolegę z grubym karkiem. Rozumiemy się?

- Rozumiemy, rozumiemy — wyrzuciła z siebie Greta bez zastanowienia. — Oko na Ulfara. Z daleka. Nie bić się.

- Doskonale — powiedział Karle. — Będziecie mi składać codziennie raport. — Pochylił się i spojrział obojgu w oczy. — Tylko mi — dodał.

Odziany w biel księżę wyprostował się i odszedł.

Kiedy był dostatecznie daleko, Ivar znowu odwrócił się do siostry.

- To wszystko twoja wina! To ty się uparłaś, żeby iść za armią! Koniecznie chciałaś spojrzeć jeszcze raz na tego chudego idiotę o gębie wykrzywionej w półksiężyc...

Greta znowu go uderzyła, ale Ivar mówił z niepomowaną złością w głosie:

- Gdyby nie ty, byliśmy w domu! Przy palenisku, z miską gorącego rosółu w dłoni!

- Niedługo będziemy w domu — odparła Greta. — Co więcej, znajdziemy się tam przy życzliwości Karlego, a to oznacza, że ubijemy w Uppsali dobre interesy.

- Jak? - jęknął Ivar. - Nie wiesz, o czym mówisz! Jest zimno i mokro! Jeśli nadal będę musiał jeść pomyje, to prędzej zdechnę. Powiedz, jaki masz plan.

Greta nie odpowiedziała. Nie odrywała wzroku od ciemnych postaci krzątających się po obozie Svena i Sigurda.

* * *

Czarne pnie drzew i biały śnieg przeobrażały świat w szary krajobraz, zimny i mokry w dotyku.

Armie Widłobrodego i Jolawera Scota brnęły przez niekończące się pola i doliny, przez lasy gęste od strzelistych sosen, obok jezior barwionych stalowoszarą przez wiszące nad nimi skłębione chmury.

— Czy ja się mylę? — powiedział Piszczalka. - Wracamy tą samą drogą, którą szliśmy już wcześniej? Do Duńczyków?

— Bardziej go lubiłem, jak miał przestawioną szczękę - mruknął za jego plecami Thormund.

— Mam wrażenie, jakbym od stu dni nie widział słońca - powiedział Audun.

— Zimno - stwierdził Ulfar. - I coraz zimniej. O, zobaczcie, jest — dodał, nie starając się nawet ukryć niechęci. — Nasz wybawiciel.

Jasnobiała postać mężczyzny była świetnie widoczna. Wyłoniła się z zagajnika sto kroków na lewo od nich, z łukiem przewieszonym przez ramię. Za Karlem szło czterech mężczyzn, którzy dźwigali cielsko dorodnego jelenia.

— Nie interesuje mnie, co zrobił — powiedział Piszczalka. — Dzisiaj będę miał potrawkę.

— Lepiej uważaj — przestrzegł z tyłu Thormund. — Albo będziesz musiał liczyć tylko na te kawałki, do których nie będą potrzebne zęby.

Piszczalka splunął.

— Nie ma rady, stary człowieku — stwierdził. — Jestem po prostu głodny.

— Wszyscy jesteśmy głodni — powiedział Audun. — Ale to nie czyni Karlego mniej podłym.

— Można tak to ująć — sarknął Thormund.

Szli w milczeniu, wsłuchując się w pokrzykiwania myśliwych, którzy przekazali już zdobycz kucharzom i znów odeszli w dal. Mijał dzień, a oni zadawali się przechodzić tylko z jednego lasu do drugiego.

— Stare drzewo — powiedział Audun, gładząc korę mijanej sosny.

— Zupełnie jak Thormund...

- Zamknij dziób, srajdo. Zaraz dzielę cię starym kijem - przerwał mu Thormund ku uciesze rozbawionych kompanów.

- Nie widać tu wiele życia - powiedział Ulfar, rozglądając się dookoła.

- Zupełnie jak w Thormunda spodniach! - zaczął znów Piszczalka, uchylając się przed rzuconą śnieżką.

Poszycie lasu okrył cienki całun śniegu, ale baldachim zieleni i bieli nad ich głowami tłumił wpadające światło.

- Uważajcie, jak idziecie, chłopcy — ostrzegł Thormund. — Nie wleźcie na drzewo i nie potknijcie się o wystające korzenie. Drobny pech i karki połamane.

Niepewnie szli przez las i odetchnęli głośno z ulgą, gdy zobaczyli znów nad sobą czyste niebo. Po horyzont ciągnęły się niewysokie wzgórza i pokryte śniegiem pola.

Audun nachylił się do Ulfara.

- Co zrobimy? Idą na południe. Dla nas to zły kierunek.

Ulfar zastanowił się dłuższą chwilę.

- Będziemy musieli pójść własną drogą — odpowiedział w końcu. Audun spojrzał na niego.

- Dzisiaj w nocy?

Ulfar przytaknął.

Niedługo potem, przy zapadającym już zmroku, gdy linia lasu stała się cienka na pół kciuka, a pola nikły gdzieś w nieskończoności, myśliwi po raz trzeci wyszli z lasu.

- Co to jest? - zapytał Audun, patrząc na nich uważnie.

- Co...? - Ulfarowi nie chciało się nawet odwracać głowy.

- Paru brakuje — powiedział Audun.

Myśliwska grupa Karlego skurczyła się do trzech ludzi, z których jeden mocno kulał. Tym razem wrócili z pustymi rękami. Ulfar zerknął wzdłuż kolumny. W pewnym oddaleniu dojrzał pograżonych w

rozmowie Sigurda, Jolawera i Widłobrodego.

Wkrótce potem zabrzmiał donośny głos Alfgeira Bjornego.

- Stać! Tutaj nocujemy. Namioty!

Mężczyźni, człapiąc niczym zmęczone woły, skupili się w swoich grupach i rozeszli po nowym obozowisku. Niebawem rozległy się wykrzykiwane komendy, a zespoły drwali weszły do pobliskiego lasu, by narąbać drwa na opał.

Grupa Karlego wróciła, gdy zrobiło się zupełnie ciemno. Audun patrzył z daleka, jak wysoki, odziany na biało myśliwy odsyła ludzi i wpada do namiotu dowódców.

- Wyglądał żałośnie - stwierdził stojący obok Ulfar. - Zawsze to ciepłej na duszy.

Audun się zaśmiał.

— Kiedyś spuszczę mu młot na nogi, żebyś się lepiej poczuł.

— Nie rób tego - odpowiedział Thormund. — Chłopak spłonie z radości.

Ulfar i jego ludzie, uśmiechając się do siebie, spokojnie stawiali dalej namioty.

* * *

Armie obu królów rzuciły wyzwanie ciemności, rozpalając mnóstwo drobnych ognisk. Sprawnie przygotowano i rozdano żywność. Powoli zaczęła zapadać cisza. Po całodziennym marszu mało kto miał ochotę na cokolwiek innego niż głęboki sen.

Ledwie Ulfar, Audun, Thormund i Piszczątka usiedli przy małym ognisku po rozbiciu namiotów, podszedł do nich Sven.

— Witaj, stary człowieku — powitał go Thormund. — Co się dzieje?

— Karle mówi, że zaatakował ich rozwścieczony wilk — zaczął Sven. — Zwróciłem uwagę, że wilki zamieszkują tereny dobre trzydzieści dni ciężkiej jazdy na północ stąd, ale nie chciał mnie słuchać. Wilk i koniec, mówi. Zanim puścili celną strzałę, jednemu zdążył rozerwać gardło, a drugiemu przegryźć nogę. Dopiero szósta strzała go osłabiła, a zabiły trzy następne.

Nikt się nie odzywał przez długi czas. Dopiero Piszczątka przerwał milczenie:

— I Karle nie zabrał go sobie na odchowanie?

Słowa wywołały gromki śmiech, ale w oczach Svena nie było widać zwykłej dla niego iskry.

- Coś jest nie tak na tym świecie — mruknął. — Wiem, że kości mam stare, ale czuję to dobrze.

Ulfar i Audun wymienili spojrzenia, ale żaden nic nie powiedział. Sven nie został z nimi długo. Kiedy odszedł, zmęczony Thormund wczołgał się pod futra, a Piszczątka wkrótce poszedł za jego przykładem.

Audun i Ulfar siedzieli w milczeniu i spoglądali w niebo. Kiedy pojedyncze szare obłoki przesłoniły księżyc, Ulfar wstał, wszedł do namiotu i wziął do ręki wędrowny toból. Po chwili dołączył do niego Audun. Bez słowa wyciągnął rękę w stronę wzgórz i majaczącej w dali linii drzew. Złożyli swoje namioty i ruszyli. Niczym duchy przemykali między rozstawionymi na ziemi trójkątnymi kształtami.

Naraz ręka Ulfara wystrzeliła w górę. Przykucnęli natychmiast, próbując stać się jak najmniejsi w ciemnościach. W ich stronę zbliżał się postawny człowiek.

Oskarł.

Potężny wojownik ze Wschodu zatrzymał się i wciągnął przez nos powietrze w płuca. Potem nagle beknął, schylił głowę i wszedł na czworakach do namiotu. Nie minęło parę chwil, a z wnętrza dobiegło głośnie, tnące mrok chrapanie. Audun pociągnął Ulfara za koszulę i dał głową znak, by szedł dalej. Ulfar wstał i wolno, bardzo ostrożnie, ruszył przed siebie. Straże zostały wystawione, ale zmęczeni wartownicy drzemali, więc bez trudu prześlizgnęli się przez ich marne zasieki.

Za morzem namiotów z wyprawionej skóry białeły rozległe, nieprzyjemne zasy. Prowadził Ulfar, stawiając w wysokim, lekkim śniegu ogromne kroki. Audun deptał mu po piętach.

Nie uszli piętnastu kroków od obozu, gdy nagle rozjaśniała przed nimi pochodnia, kropla słońca w nieprzeniknionej ciemności. Potem drgnął wał śniegu i z ziemi podniosła się niezdarnie jakaś postać.

- Stać! - wrzasnęła.

Blask płomienia oślepił przyzwyczajone do ciemności oczy. Ulfar zmrużył powieki, próbując rozpoznać rysy twarzy.

- Ivar? — powiedział jak najciszej.

- Tak, to ja! — wrzasnął triumfalnie Ivar.

— Zamknij się, kurwa - syknął Ulfar. — Opuszczamy obóz. Idziemy na północ. Już na zawsze znikniemy z twojego życia.

Dwieście kroków dalej po lewej stronie drgnął naraz inny wał śniegu, a w ich stronę ruszyła wolno druga postać.

— Nigdzie nie idziecie!

Głos Karlego uderzył za ich plecami jak piorun.

Ulfar i Audun odwrócili się gwałtownie. Karle stał na skraju obozowiska z uśmiechem na twarzy, pięcioma roslymi włócznikami u boku i przewieszonym przez ramię łukiem.

— Nie możemy pozwolić na to, aby żołnierze uciekali, gdy sprawy przybierają gorszy obrót. Cóż to byłaby za armia?

Włócznicy ruszyli w ich stronę przez śnieg, wymachując sznurami do pętania.

— Pryskamy? — mruknął Audun.

— Nie — odparł Ulfar. — O to mu właśnie chodzi. Pięć kroków i jesteśmy trupami. Poszukamy szczęścia u królów.

— Coś mi się zdaje, że cholernie dużo serca włożyłeś w tamte obietnice — stwierdził Audun, zerkając na Gretę, która stanęła obok Ivara.

Rodzeństwo robiło wrażenie skutych dziwnym splotem pyszałkowatego triumfalizmu i potwornego zimna.

— Już ich nawet nie pamiętam — odparł Ulfar, gdy włócznicy krępowali mu ręce sznurem. — Ale mam nadzieję, że to raz na zawsze wyrówna rachunki. — Ulfar odwrócił głowę i napotkał wściekłe spojrzenie Greta. — Do diaska, chyba jednak nie...

Karle szedł przodem, szybko pokonując głęboki śnieg. Ulfar i Audun, na poły popychani, na poły wleczeni przez włóczników, podążali za nim ku namiotom na skraju obozowiska. Ivar i Greta chcieli iść z nimi, ale Karle kazał im zostać na miejscu. Ulfar mógłby przysiąc, że słyszał, jak Greta syczy pod nosem na księcia jakieś przekleństwo.

— Nie widzę tego dobrze — powiedział cicho Audun.

Ulfar spojrzał przed siebie ponad ramieniem Karlego.

— Nie mylisz się — przyznał.

Parę chwil później drogę zastąpił im zwalisty strażnik.

- Dokąd? — zapytał krótko.

- Do Widłobrodego - rzucił Karle. — Musi się o czymś dowiedzieć.

Strażnik zmierzył ich podejrzliwym wzrokiem, ale Karle nie zamierzał ustępować. Przeszedł obok strażnika sztywnym krokiem, kierując się prosto do dużego namiotu na środku polany. Moment później pojawił się król Widłobrody.

- Czego chcecie? — zapytał sennie.

- Tych dwóch złapaliśmy podczas ucieczki — zameldował Karle.

- Hm... — Widłobrody podniósł lekko brwi, przyglądając się Ulfarowi i Audunowi. — Jesteście ze Stenviku, prawda?

- Tak - odpowiedział Audun. — Audun Arngrimsson i Ulfar Thormodsson.

Widłobrody zdawał się głęboko nad czymś zastanawiać.

- Sprowadź Jolawera Scota — rozkazał król. — Nie zapomnijcie podać mu obu imion. Audun i Ulfar.

Strażnik popędził do obozu Szwedów, a Ulfar zaczął się przyglądać człowiekowi, w którego rękach

spoczywał ich los. Człowiek ten wydawał się potwornie znudzony.

Jolawer pojawił się w towarzystwie Alfgeira Bjornego.

- A, Jolawer — powitał go krótko Widłobrody.

- O kurwa — mruknął Ulfar, czując, jak strach przenika go do szpiku kości.

Audun zerknął na niego. Również wiedział, że nie czeka ich nic dobrego.

Jolawer Scot popatrzył na Ulfara i po raz pierwszy odniósł wrażenie, że w tej młodej twarzy widzi cienie starego króla.

- Tak? - odparł król, patrząc na Widłobrodego.

- Ci ludzie są pod twoją komendą. Próbowali uciec.

- Rozumiem — powiedział Jolawer Scot.

Ulfar rzucił ukradkowe spojrzenie na Karlego, który z trudem skrywał wesołość. Udało mu się postawić ich na samym środku planszy do gry, a Widłobrody wykonał posunięcie, na które bardzo liczył.

Teraz, w przejmującym zimnie mroźnej nocy, pod gwiazdzistym niebem, Jolawer Scot zmuszony był decydować o ich przyszłości.

— Nie ma wątpliwości, że mogą służyć królowi Olafowi - powiedział młody król. - To dość, aby im nie ufać. Zabijcie ich.

Stojący obok niego Alfgeir Björne zachnął się ze złością i chciał coś powiedzieć, ale Jolawer powstrzymał go podniesieniem dłoni.

— Jeżeli ujdą z życiem, wieść rozejdzie się lotem błyskawicy, a to będzie nas kosztowało wielu ludzi.

— Będzie kosztowało jeszcze więcej, jeśli ich zabijesz, synu. -W ciemności rozległ się głos Svena, spokojny, niemal swobodny. -Sęk w tym, że bardzo polubiliśmy tych dwóch chłopaków.

Widłobrody, Jolawer i Alfgeir odwrócili się gwałtownie. Za ich plecami stał Sigurd ze Svenem na czele wojowników ze Stenviku, co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Stali w milczeniu i bezruchu, promieniując tego rodzaju zatrzważającą siłą, którą można osiąść tylko w wyniku wielu lat spędzonych z mieczem u pasa, podczas walki o życie i przetrwanie.

— Więc jeśli to dla was bez różnicy — odezwał się znów Sven - to weźmiemy nasze zbłąkane owieczki i znikniemy. W czasie marszu na południe zbierzecie z wiosek pięć razy więcej ludzi. Tym bardziej że przynętą będzie król Olaf.

— Dziękujemy za gościnę — odezwał się Sigurd. — Wysoce cenimy waszą przyjaźń, ale niestety czas już na nas.

Cisza, jaka zapadła, zdawała się mówić więcej niż najmocniejsze słowa. Strażnicy wokół króla Widłobrodego sięgnęli do broni, ale król powstrzymał ich gestem ręki.

— Dokąd się wybieracie? — zapytał z ledwie wyczuwalną nutą irytacji w głosie.

— Na Północ - odpowiedział Sigurd.

— Dlaczego? - zdziwił się Jolawer Scot. - Król Olaf zmierza na południe.

-Wiemy - odparł Sven. - Po prostu chcemy złożyć wizytę -przyjacielowi.

* * *

Wojownicy ze Stenviku opuścili obóz jeszcze przed wschodem słońca. Nie było żadnego hałasu, żadnej rozmowy, a wkrótce żadnego namiotu. Świat wokół zmieniał szatę z czarnej w szarą, a potem białą. Przez cały ten czas Sigurd niezmordowanie prowadził przez śnieg ludzi, a Sven przesuwiał się wzdłuż kolumny, przechodząc to na jej przód, to na jej tyły, rozmawiając z wojownikami i wyjaśniając decyzję. W końcu zrównał się z Ulfarem i Audunem. Oskarł szedł na czele zaraz za Sigurdem, niczym brytan za swoim panem. Thormund i Piszczalka zostali z królami, twierdząc, że w dużej armii będą mieli większe szanse przetrwania. Ulfarowi jednak nie dawała spokoju myśl, że dokonali złego wyboru. Po wędrówkach niekończących się kolumn Widłobrodego i Jolawera marsz w stuosobowym oddziale zdawał się przynosić wytchnienie.

- W niezłą kabałę nas wplątaliście, chłopcy — powiedział Sven z uśmiechem.

- Nie musieliśmy się specjalnie starać — stwierdził Audun.

- Prawda, prawda. Wciąż nie wszystko wiem, ale od jakiegoś czasu czuliśmy to obaj ze starym niedźwiedziem. — Gestem ręki wskazał czoło pochodu. — Na Północy dzieje się coś złego, coś innego niż zwykle, i jeśli wasze opowieści o Valgardzie zaczynają się zbiegać z wieścią o tym, że król Olaf pośpiesznie stamtąd uchodzi, zostawiając większość wojowników, czyli o tym, że świat się wali, to pozostaje nam tylko jedno.

- Co? - zapytał Ulfar.

Twarz Svena stężała.

- Wyprawić się na Północ i przywrócić zwykły stan rzeczy.

Po tych słowach niewiele już mówili, skupiając się na rytmicznym stawianiu kroków. Sigurd był zaskakująco wytrawnym mistrzem długiej marszruty. Dbał o to, aby zatrzymywali się odpowiednio wcześnie i rozbijali obóz w jak najlepszym miejscu, a potem wysyłał kolejne grupy na poszukiwanie jedzenia lub, jeśli mieli trochę szczęścia, na polowanie. Myśliwi ze Stenviku pozostawali milczący i niemal nieruchomi, jakby wykuci z kamienia, i ci, którzy przyłączyli się do nich z innych oddziałów, musieli przyznać, że dzika zwierzyna, jaką znali dotychczas, zachowuje się inaczej: jest dużo bardziej płochliwa.

Choć różnili się wzrostem, wiekiem czy posturą, to ludzi Sigurda łączyły dwie rzeczy: potrafili przetrwać długi czas i nie był im obcy trud. Konsekwentnie zmierzali na północ, szybko docierając do kolejnych obozowisk kroczących na południe armii. W końcu weszli na pole, gdzie wcześniej naprzeciw siebie stanęli Widłobrody i Jolawer. Przechodząc między dwoma wypalonymi, zaśnieżonymi już stosami po wielkich ogniskach, Ulfar się zatrzymał i odwrócił do Auduna.

— A jeśli ten Eryk kłamie? — zapytał.

— Również o tym myślałem — odpowiedział Audun, rozglądając się dookoła.

Duch tamtej nocy wciąż stał mu przed oczami: Strzelający z ciemności Karle, mocujący się Alfgeir, coraz wyższe płomienie płonących stosów. Teraz jednak pole świeciło pustkami, nie było tu widać najmniejszego śladu życia, tylko śnieg, z wierzchu brudnoszary, w głębi biały.

— Ale sądzę, że mówi prawdę — dokończył Audun.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo tak sądzę.

— Z takimi słowami trudno się spierać — stwierdził Ulfar, odwracając się, by dołączyć do reszty grupy. - Ale jesteś pewny?

- Tak.

— Wiesz coś więcej?

— Wiem, że jeśli cokolwiek ma nadejść, to wiosna — odpowiedział Audun.

— Mam taką nadzieję - westchnął Ulfar. - Naprawdę mam taką nadzieję.

Krajobraz ulegał stopniowej przemianie. Pola przybierały odmienne kształty, nie były już wielkimi czworokątami, lecz wąskimi, wijącymi się pasami, dopychanymi i dociskanymi przez wdzierające się z boków linie grubych sosen. O ile tylko było to możliwe, Sigurd trzymał się z dala od lasu, ale w końcu nie dało się go uniknąć. Ciemne pasma drzew ciągnęły się z obu stron i łączyły się w dali przed nimi i nie sposób było przewidzieć, którądy wiedzie krótsza droga.

- Tutaj się zatrzymamy - oznajmił stary wódz.

Nie musiał krzyczeć. Kiedy zaczął mówić, ludzie milkli i słuchali.

- Skorzystamy z ostatniego światła dnia, by zebrać drwa na ognisko. Ruszamy o świcie.

Ludzie rzucili na ziemię rzeczy i zajęli się rozbijaniem obozowiska. Jedni zaczęli od razu przesypywać zasy, budując śnieżną osłonę dla namiotów. Inni przygotowali sobie łuki i dzidy, a potem uformowali dwie niewielkie drużyny łowieckie i ruszyli w przeciwne strony.

- Co robimy? - zapytał Ulfar.
- Namioty, jak przypuszczam, a potem ognisko - odparł Audun.
- Niegłupi plan — stwierdził Ulfar. — Masz jakieś narzędzie do rąbania drewna?

Audun odwrócił się i odszedł, ale szybko wrócił z dwoma małymi toporkami.

- Szybko ci poszło — stwierdził z uznaniem Ulfar.
- Pracowałem nad każdym zakichanym ostrzem w tym obozie — stwierdził Audun z wyższością w głosie. — Wiem, kto co ma. Po powrocie oba naostrzę. Właściciele będą tylko szczęśliwi.
- Świetnie — stwierdził Ulfar. — Zatem postawmy namiot i jazda.

Podczas gdy za ich plecami wyrastały kolejne namioty, sprawdzili, w które strony poszły drużyny myśliwych, i wybrali drogę pomiędzy nimi, prosto w las. Gdy gęstwina drzew połączyła gwar i światło obozu, ogarnął ich dziwny spokój, jakby zapadła jakaś kurtyna ciszy. Wyścielona sosnowymi igłami ziemia wydawała się pod stopami miękka jak rozmokły mech. Jedyłą jasność dawał pył śnieżnej bieli. Korony drzew nad głowami dźwigały grube warstwy śniegu, tłumiące blade światło wieczoru. Mieli wrażenie, jakby wchodzili do czyjegoś domu.

Audun wskazał drzewo przed nimi.

- To - powiedział. — Może być.

W ciszy jego głos zabrzmiał szorstko. Audun, jakby chciał rozszłościć las, podszedł do drzewa, potężnym ciosem zatopił toporek w pniu i uskoczył trzy kroki na bok. Z drzewa runął blok śniegu, dokładnie w miejsce, w którym przed chwilą stał.

Ulfar przeszedł z uśmiechem na drugą stronę i oba toporki zaczęły wkrótce podnosić się i opadać w jednym rytmie. Niedługo potem Audun podniósł rękę.

- Stop! - powiedział.

Ulfar wyrwał toporek z pnia i cofnął się parę kroków. Kowal wymierzył trzy szybkie, silne uderzenia w wybity w drzewie klin i również się cofnął.

Obaj usłyszeli. Obaj to niemal czuli.

Drzewo zatrzeszczało, a jego pień zaczął się chylić powoli, nie znajdując oparcia dla swego ciężaru. Trzeszczenie przemieniło się w ogłuszający jęk i pień zwałił się z hukiem na ziemię, łamiąc gałęzie i posyłając w niebo obłok śniegu.

- Nie było źle — powiedział Ulfar. — Teraz musimy...

Audun znowu podniósł rękę. Patrzył ponad ramieniem wysokiego przyjaciela.

- Czekał — szepnął spokojnym tonem. — Odwróć się.

Gdy Ulfar się odwrócił, pierwszą rzeczą, którą dostrzegł, był opadający jeszcze wolno na ziemię śnieg. Dopiero potem, nieco dalej...

- Popatrz tylko, jaki jest wielki — szepnął Ulfar.

Poroże jelenia wychylało się na długość ramienia z każdej strony.

- Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy przynieśli go do obozu...

- Jak? — zapytał Audun.

Ulfar wciągnął przez nos powietrze.

- Zostań tutaj, a ja postaram się go okrążyć...

- Chcesz zdjąć taką bestię małym toporkiem? — zapytał Audun, podnosząc brwi.

- Hm... - zastanowił się Ulfar. — Może...?

Audun spojrzał na leżące kawałki zwałonego drzewa.

- Byłby na niego sposób, ale musimy mieć nieprawdopodobne szczęście.

Ulfar podążył za jego wzrokiem i uśmiechnął się szeroko.

* * *

Jeleń stał mniej więcej trzysta kroków od nich. Przez długi czas nieruchomo, jakby był przymarznięty do swojego miejsca między drzewami. Ulfar patrzył na niego uważnie, gdy szedł przez sypki śnieg,

powoli niczym nadciągająca zima, sukcesywnie obchodząc zwierzę.

Kiedy wreszcie dokonał męczącego i długiego okrążenia i znalazł sobie dogodne miejsce, zatrzymał się, przełknął ślinę i wciągnął głęboko powietrze. Poczekał chwilę i naraz puścił się biegiem na jelenia, wrzeszcząc ile sił w płucach, wymachując rękami, starając się wydać większym, aniżeli był w rzeczywistości.

Zwierzę drgnęło i skoczyło przed siebie, łatwo przebijając się potężnymi mięśniami przez głęboki śnieg. Choć bezpośrednie starcie między nimi w żadnym razie nie wchodziło w rachubę, Ulfar zyskał element zaskoczenia i pędził teraz na jelenia jak najszybciej, płosząc go prosto na...

Audun w odpowiednim momencie wyszedł zza grubego pnia, z odłamanym konarem w rękach, długim jak dorosły mężczyzna i grubym jak kość udowa. Osadził go pod kątem w ziemi, a potem ukląkł, by stać się dla szarżującego zwierzęcia jak najmniejszym celem. Krew trysnęła wprost na niego, gdy konar wbił się w pierś na-skakującego jelenia, a moment później złamał się pod jego ciężarem, gdy oszołomione zwierzę padło na przednie kolana. Jeleń zaryczał z bólu, szarpnął się, aby powstać, ale Ulfar już skoczył mu na kark, oplótł szyję i zawisł całym ciałem na porożu.

Walka nie trwała długo. Ciemnoczerwona posoka zaczęła różowieć w śniegu i zwierzę wkrótce znieruchomiało.

- Widzisz? — spytał uradowany Ulfar. — Mówiłem. Mały toporek.

Audun uśmiechnął się słabo. Potrafił się opanować i nie reagować na zapach ciepłej krwi, ale we wnętrzu nadal odczuwał palący ogień.

Ulfar, na kolanach, skończył upuszczanie krwi i zabrał się do wnętrzości.

- Pomożesz czy nie?

Audun również ukląkł i zgarnął dłonią garść śniegu.

- Daj toporek - powiedział.

Gdy Ulfar podał mu toporek, Audun chwycił ostrze i nagarnął na nie śnieg. Ogrzał je ciepłymi dłońmi i zdrapał z metalu krzepnącą krew. Wytarł brzeg ostrza o koszulę, a potem wziął własny toporek i po chwili zaczął ostrzyć o siebie obie krawędzie. Cichą oazę lasu wypełnił szcęk rytmicznego uderzania metalu o metal.

Toporek, który wręczył niebawem Ulfarowi, miał wspaniale lśniące ostrze.

— Dziękuję — powiedział poważnym głosem Ulfar. — A teraz pomożesz?

Audun z najwyższym spokojem znowu zagarnął śnieg i cisnął nim w Ulfara, który w ostatnim momencie zrobił unik.

— Jeśli chcesz, możesz zdierać skórę czymś tępym, choćby własną gębą — stwierdził Audun.

Ulfar uśmiechnął się szeroko, odwrócił i pociągnął toporkiem wzdłuż ciała, rozcinając wprawnie brzuch jelenia.

* * *

Mina Svena warta byłego męczącego dźwigania na plecach potężnego cielska do obozu. Stary wyga stał, nie wierząc własnym oczom, i poruszał bezgłośnie ustami.

— Och, hejże, staruszkule! — odezwał się w końcu Ulfar, gdy otoczyli ich ludzie. — Nie widziałeś nigdy jelenia zabitego toporkiem?

— Niech żyją myśliwi! — krzyknął naraz ktoś w tłumie.

— Niech żyją!

Okrzyki poniosły się echem, a kilka par silnych rąk zdjęło jelenia z barków Auduna i Ulfara. Grupa podnieconych brodatych wojowników przeniosła zdobycz w radosnej procesji do ogniska. Zaraz też wysłano ludzi po więcej drewna, a nad wypatroszonym zwierzęciem błysnęły myśliwskie noże, dzielące mięso na gotowe do pieczenia kawałki.

Gdy Audun i Ulfar przyglądali się, jak stare wilki morskie tną upolowaną zwierzynę, Sven nareszcie odzyskał głos.

— Jak wam się udało? - zapytał.

— Ścieliśmy drzewo - powiedział Audun. — Chcieliśmy je przynieść na ognisko, ale kiedy opadł śnieżny puch, zobaczyliśmy zwierzę.

- Nie uciekł, gdy drzewo runęło na ziemię?

- Stał trzysta kroków dalej — wyjaśnił Ulfar. — W bezruchu. Zdawał się nie zwracać na nas uwagi.

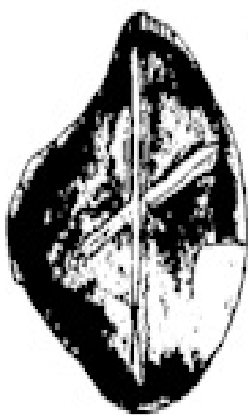
- Hm... - powiedział Sven, ściągając wargi i milcząc przez dłuższą chwilę, a w tym samym momencie dotarła do nich woń przypiekanego mięsa. - Świetnie. Idźcie się posilić, zanim ta armia brodatych łajdaków wszystko zje.

Audun i Ulfar uśmiechnęli się szeroko i ruszyli w stronę ogniska. Sven odprowadzał ich wzrokiem, a potem spojrzął w dół i przycisnął palcami skronie.

- Nie - mruknął do siebie. — To niemożliwe. Chyba wszystko jest w porządku.

Obejrzał się na ludzi oblegających jelenia w bladym świetle ognia, przepychających się i żartujących z dwójką młodych mężczyzn.

- Chyba jest w porządku — powtórzył Sven.



Rozdział 10

Trondheim, północna Norwegia, późny grudzień roku Pańskiego 996

Strażnik przeklinał pod nosem króla Olafa i jego upór, że ktoś musi stać na warcie, w środku nocy, na trzaskającym mrozie, skulony pod zawieszoną na ścianie pochodnią, która wcale nie daje ciepła, i że tym kimś musiał być dzisiaj właśnie on.

-To niesprawiedliwe, prawda? — powiedział do psa u jego nóg.

Jeszcze jedna nowa decyzja króla: na wartę mieli wychodzić z psami, ponoć dlatego, że w ciemnościach potrafią z daleka wyczuć zapach wroga. Właściwie nie miał nic przeciwko temu. Ogar to dobre towarzystwo, kawał silnego zwierza sięgającego mu w kłębie do połowy uda. Nazbyt gorliwie wyuczili go ujadania na obcych, toteż strażnik musiał okręcić sobie wokół dłoni gruby sznur, którego koniec uwiązany był do szerokiej obroży. Pies leżał teraz spokojnie, jak-by pogodzony z losem, najpewniej marząc o ciepłym ognisku i kości do ogryzania.

Strażnik oparł się plecami o narożnik długiego domu, rozcierając energicznie dłonie w rękawicach i próbując oswoić się z przenikliwym zimnem.

-Witaj! - usłyszał nagle.

Poderwał głowę. Pies podobnie. Głos dobiegał z ciemności, spomiędzy chat. Strażnik zmrużył powieki, próbując przebić wzrokiem mrok i przeklinając w duchu migającą nad sobą pochodnię. Jest! Szarawa sylwetka, ledwie widoczna na tle śniegu. Człowiek. Nie. Dwóch ludzi. Jeden za drugim.

-Witajcie! - odparł strażnik, robiąc krok naprzód i dotykając ręką topora u pasa.

Zimowy, szczypiący wiatr podrywał mu płaszcz i przynosił ostrą woń morza.

- Pokaż twarz, nieznanu wędrowcze - wezwał strażnik.

- Nie jestem nieznanu — powiedział wolno mężczyzna, głosem chrapliwym, ale istotnie brzmiącym znajomo. - Czy ty mnie - zrobił pauzę dla nabrania oddechu - nie znasz?

Mężczyzna wstąpił w blask pochodni.

- Hjalti?! Co się stało?

Przyboczny króla zdawał się wyglądać tak, jakby został siłą wyrwany ze szponów śmierci.

- Muszę się spotkać z jarłami — powiedział Hjalti i chrząknął. - My musimy się spotkać z jarłami.

Drugi człowiek wstąpił w blask światła. Był wyższy i chudszy od Hjaltiego. Stał za nim w milczeniu.

Włosy miał gładko zaczesane do tyłu, ubrany był w prosty, ale schludnie uszyty strój wędrowca. Mimo to wyglądał... jakoś dziwnie. Jak coś, co nie pasuje do tego miejsca.

- Są w śro...dku - zająknął się strażnik. — Chcesz, żebym...?

- Proszę - powiedział wysoki mężczyzna.

Uśmiechnął się, co jednak w żadnej mierze nie rozładowało napięcia.

Strażnik odwrócił się i chciał odejść, ale pies u jego nóg ani drgnął.

- Idziemy! - Strażnik szarpnął za sznur. - Co się z tobą dzieje?

Pies podniósł się z ziemi ledwie na grubość dłoni. Zaczął się wolno przesuwać z nisko spuszczonego łbem i podkulonym ogonem, nie odrywając oczu od obu przybyszów, dopóki nie skręcił za róg domu. Gdy tylko zniknął im z widoku, szarpnął raptownie, wyrwał się strażnikowi i pognął przed siebie, ciągnąc sznur po ziemi, sadząc susami przez śnieżne zasy i znikając po chwili w mroku.

Za narożnikiem pojawili się Hjalti i jego towarzysz.

- Och, a gdzie podział się pies? — zapytał chudy mężczyzna.

Strażnik poczuł, jak coś zgniata mu klatkę piersiową, gdy nieznamy uśmiechnął się w jego stronę.

- Pies... pies uciekł - wydusił z siebie.

- Interesujące - stwierdził mężczyzna.

Hjalti szedł z ponurą miną obok niego.

Ogromne, podwójne drzwi do wielkiej komnaty Haakona rozwarły się gwałtownie.

- Są w środku - powiedział strażnik.

Hjalti skinął sztywno głową.

- Dobrze.

-To ja już lepiej... - Jakiś głos w jego głowie wrzeszczał dziko: „Uciekaj! Uciekaj! Uciekaj!”, ale żaden z dwóch gości nie zwracał już na niego uwagi.

Ktoś wewnątrz krzyknął coś do nich.

Strażnik w ostatniej chwili cofnął się dwa kroki, gdy ciężkie, dębowe drzwi zawarły się nagle, równie gwałtownie, jak się otworzyły, z niezwykłą szybkością, wstrząsając framugą tak mocno, że z dachu runął śnieg.

Strażnik rzucił się do tyłu, ratując stopy przed zgnieceniem. Moment później usłyszał odgłos zasuwanego od wewnątrz masywnego rygła.

Przez chwilę leżał w śniegu, wsłuchując się w wałące serce, potem wstał z trudem, otrzepał się ze śniegu i wrócił powoli za narożnik. Stał na swoim miejscu pod pochodnią, ale bez psa czuł się jakoś nieswojo.

- Do nogi, do nogi, piesku! — zawołał, ale z ciemności odpowiedziała mu cisza.

Rozejrzał się jeszcze. Gdzie polazło to cholerne bydlę?

Nagle płomień w pochodni zamigotał i coś ruszyło się w ciemnościach.

Valgard i Hjalti weszli do środka. Najpierw uderzyła ich gorąca duchota, która biła od spoconych, ściśniętych jedno obok drugiego cielsk. Dopiero potem jazgot.

- Zamknijcie, kurwa, te zasrane drzwi!!! - krzyknął ktoś z wnętrza podpitym głosem.

Drzwi zatrzasnęły się jak na rozkaz, ku radosnej wrzawie pijackich okrzyków. Ktoś zawołał imię Hjaltiego i wieść o gościu rozniosła się po komnacie niczym fala na stawie.

Valgardowi zimny dreszcz przeszedł po plecach, gdy przypomniał sobie, jakie to było uczucie wynurzyć się na świat, jak napina się skóra na całym ciele, jaka jest wrażliwa... Natychmiast jednak pojawił się gorzki smak odwrotu i chuda szczeka zielarza się zamknęła. Tym razem nie ma Odyna, który mógłby mu przeszkodzić.

- Hjalti! — ryknął otyły mężczyzna siedzący na podwyższeniu, na krześle po lewej stronie. Valgard uśmiechnął się, widząc, że wysokie krzesło w środku stoi puste.

- Zróbcie przejście, łajdaki! - ryknął znów mężczyzna. - Hjalti, podejdź!

Ludzie naparli na siebie i w ścisłości uformował się wąski przesmyk. W połowie drogi Valgard zauważył na podwyższeniu drugiego mężczyznę.

- Ciekawe - stwierdził.

Hjalti nie odpowiedział, szedł sztywno naprzód ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed sobą, jak dziecko w objęciach snu. W miarę jak zbliżali się do podwyższenia, przed którym zrobiło się puste miejsce wielkości może czterech kroków na sześć, gwar wokół nich z wolna wygasał, zastępowany przez zjadliwe spojrzenia, a w końcu zapanowała w komnacie cisza.

„Będą chłonać każde słowo, które wypowie Hjalti” - pomyślał Valgard.

„To dobrze”.

Drugim mężczyzną siedzącym na podwyższeniu był jakiś siwobrody. Twarz zdawał się mieć przyjazną i otwartą, ale oczy mówiły coś zgoła innego.

- Hjalti! Mów, kuzynie. Gdzie król?

- Król Olaf uciekł z Trondheim — powiedział Valgard.

Otyły jarl ściągnął wargi, ledwie powściągnawszy gniew.

- Nikt, kurwa, ciebie o zdanie pyta! - wyrzucił z siebie. - Hjalti, gadaj! Co się stało?

- Doszło do potyczki. Olaf poniósł klęskę - mówił dalej Valgard.

Wyciągnięta nagle ręka siwobrodego powstrzymała otyłego jarla przed zeskoczeniem z podwyższenia, choć dosłownie w ostatniej chwili. Siwobrody odwrócił się do Hjaltiego i spojrzał na niego silnym, stanowczym wzrokiem.

- Hjalti! Mów. Powiedz, co się stało w lesie, a jeśli nie zamkniesz gęby swemu przyjacielowi, zrobi to za ciebie Storrek.

- Nie sądzę, by był do tego zdolny - odezwał się znów Valgard swobodnym tonem, patrząc z rozbawieniem, jak obaj mężczyźni usiłują ułożyć w głowach znaczenie jego słów i pojąć skalę jego bezczelności.

Na próżno.

- Rzecz w tym, jak myślę — ciągnął Valgard, wruszając lekko ramionami - że to, co należy do was, przypadnie teraz mnie. Północ. Trochę tu zimno, ale niech będzie. Pozwolę wam nawet wybrać statek, na którym stąd odpłyniecie.

Na zewnątrz coś z chrzęstem grzmotnęło o ścianę domu.

Siwobrody zignorował odgłos i wbił w przybysza mrozące krew w żyłach spojrzenie. Zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Nie wiem, obesrańcu, coś za jeden - powiedział gardłowym głosem - ale trzeba nauczyć cię dobrych manier. - Cofnął rękę i Storrek zszedł z podwyższenia.

Gruby jarl ruszył na Valgarda. Obrośnięty tłuszczem, napięty do granic, ze śmiercią w oczach. Valgard nie wytrzymał i uśmiechnął się kpiąco.

- Co cię tak bawi, pierdoło? - warknął jarl.

- Storrek, tak? - zapytał Valgard.

- Żebyś, kurwa, wiedział! - warknął znów Storrek, stając nos w nos przed chudym mężczyzną. — I nie mówisz już ani słowa więcej!

-Uhm... - powiedział Valgard. - Rozumiem. Człowiek jak ty mógłby człowieka jak ja rozerwać na strzępy, to prawda... - Storrek wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Tyle że w ucziwej walce.

Valgard przestał mówić, ale wciąż poruszał wargami.

Nagle uśmiech Storreka zeszytniał. Jego twarz wykrzywiła się nienaturalnie, a gruby jarl obrócił się na pięcie i zaczął wracać na podwyższenie niczym pies prowadzony na smyczy.

- Co robisz? - zawołał siwobrody, podnosząc się z krzesła. - Zmiażdż go, kurwa! Połam mu gnaty...

Słowa uwięzły mu w gardle. Jakaś niewidzialna siła rzuciła go i wgniotła w krzesło z prawej strony od tronu, a Storrek rzucony został na krzesło z lewej. Oczy obu wodzów zapaliły się wściekłością, ale z ich zaciśniętych ust nie padło ani jedno słowo.

Wtedy Valgard spojrział na nich, ściągnął na siebie ich wzrok i kazał im zobaczyć, kim naprawdę jest — i co potrafi zrobić.

Jak szwaczka, która przeciąga nić przez skórę, Storrek podniósł rękę i przeniósł ją płynnie na lewe biodro. Siwobrody zrobił dokładnie to samo.

Podczas gdy Valgard szedł w stronę schodów, noże wysunęły się bezgłośnie z pochew jarłów. Pierwszy stopień, drugi, już na górze...

Tron króla Olafa okazał się o wiele wygodniejszy, niż to się wydawało z daleka.

Chciało mu się śmiać, gdy popatrzył na zbitych w ciżbę wojowników Północy - na okrętach wilki morskie, na lądzie niedźwiedzie, a teraz gapili się w niego jak nieme cielaki.

Pozwolił wymknąć się z głowy jednej myśli...

...a wówczas z obu stron tronu dobiegły odgłosy noży dźgających żywe ciała, na poły mokre plaśnięcia, na poły przytłumione bicia w bęben, gdy jarlowie zaczęli zadawać sobie samym ciosy. Wkrótce po komnacie rozniósł się ostry zapach tryskającej krwi, zmieszany z odorem opróżnianych jelit, aż w końcu oba serca przestały bić i jarlowie pożegnali się ze światem.

Puścił ich teraz. Wszystkich. Hjalti zwałił się na ziemię, kaszląc zamkniętą w nim do tej pory krwią. Storrek, jakby uszło z niego po-wietrze, osiadł bezwładnie w krzesle, aby po chwili spłynąć po nim haniebnie i uderzyć twardym tyłkiem o podłogę.

Siwobrody, wyprostowany jak struna do ostatniej chwili, długo się opierał, ale w końcu również jego ciało straciło równowagę, przekręciło się i zważyło na podwyższenie.

Odgłos roztrzaskiwania się głowy o posadzkę wyrwał wojowników z odrętwienia. W komnacie zrobił się tumult, podniosła się wrzawa i wojenne okrzyki. Setka wojowników natarła z furją. Valgard widział morderstwo w ich oczach, namacalnie czuł ich pragnienie, by rozerwać go na kawałki. Jakżeby inaczej. Pogłębił ich. Pokonał. Co najgorsze, przestraszył.

Teraz pałali chęcią zemsty.

Drzwi do domu jarla Haakona zrobione były z największych dębów, jakie udało się znaleźć w promieniu dnia marszu od Trondheim. Każdy z dębów szerszy był od dorosłego człowieka, a wszystkie obwiązano grubymi sznurami i pasami z hartowanej trzykrotnie stali.

Kiedy rozłupały się na dwoje, z miejsca zabiły sześciu ludzi.

W chwili gdy Botolf i Ormslev przeszli przez wyrwę, Ormar i Jori wyważyli drzwi w tylnym pokoju.

Krew obu wodzów zbierała się wokół krzesel i sączyła przez deski podwyższenia, a Valgard siedział rozparty na tronie, rozkoszując się panującą zgrozą i lamentem wznoszonym w ostatnim tchnieniu w imię Odyna i Thora - przyzwano, kogo tylko się dało.

„Za późno” — pomyślał, gdy jego trolle weszły między najlepszych wojowników armii króla Olafa. Niektórych łamali, a niektórych, tych najbardziej zatwardziałych, tylko obalali. Większości uda się jeszcze użyć i będzie to niemała liczba.

Blask ognia połyskiwał w przybierających kałużach krwi pod jego nogami. Valgard pozwolił sobie na chwilę podziwu dla własnych działań. Sprawy miały się naprawdę dobrze.

Westchnął głęboko z zadowoleniem, wstał i dotknął sakiewki ze znakami runicznymi. Wyczuwał w niej smużki wielkiej mocy. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach.

- Strach - powiedział Valgard. - Więc tak pachnie strach.

Zatoka Stenviku, zachodnia Norwegia,

późny grudzień roku Pańskiego 996

Czarne fale pluskały cicho o dziób *Łaski Njordura*. Po lewej stronie burty wznosiły się ciemne,

stromie klify, sięgające szarej powały chmur i patrzące groźnie z góry na okręt.

Król owinął się szczelniej futrami. Sześć dni intensywnej żeglugi odbiło się na siłach ludzi, ale wiosłowali dalej, okutani każdym łańchem, jaki udało im się znaleźć, i przeklinający go w duchu, w to nie wątpił, ale również głośno, kiedy myśleli, że nie słyszy. Nie wątpił też, że wciąż słyszą w głowach straszliwe krzyki, które docierały do nich z brzegu, gdy odpływali.

Einar wychylił się zza jego pleców, żeby mieć lepszy widok.

- To już Stenvik - powiedział młody mężczyzna.

- Wiem - odparł król. - Wiem.

Modlił się nad wodą, przemawiał do nieba i błagał o... O co? Przebaczenie? Tamta noc w Trondheim ciążyła mu na sumieniu. To wydawało się jakieś nierealne — tamten las, ten jednooki człowiek, to uczucie w dłoni, gdy zatapiał miecz w pulchnym, sinym ciele... I te krzyki, które niosły się z brzegu i wisiały nad falami długo... dłużej niż powinny.

Łagodny szum spod dziobu prującego fale pomógł mu odegnąć złe myśli. Północ to po prostu nieodpowiednie miejsce dla niego. Nigdy tam by się nie zapuścił, nie o tej porze roku, gdyby nie nalegania Valgarda.

Król Olaf jeszcze raz spojrzął za siebie i przeklął się w duchu za wyprawę. Miał teraz wrażenie, że ktoś go obserwował przez całą drogę powrotną, jakby cherlawy zielarz siedział tuż obok niego, szydząc i naśmiewając się z jego błędów. Ten tchórzliwy słabeusz nawet nie uczestniczył w bitwach; wypuszczał olbrzymów, którzy za niego wykonywali robotę. Na wspomnienie walki zaboląły go popękane żebra. Nieustępujący ból w prawym boku zupełnie pozbawił króla snu. Nie był w stanie znaleźć dla siebie pozycji, w której mógłby spokojnie leżeć, i trudno było mu oddychać. Prawdziwym wyzwaniem było nie rugać żeglarzy z byle powodu, ale z drugiej strony dawno już się nauczył, że królowie siedzą na tronach, a trony są trwale związane z łądem. Kapitan okrętu powinien wykazywać większą wyrozumiałość. Olaf tłumił więc wybuchy złości i czekał cierpliwie na przystań, licząc każdą upływającą chwilę, która przybliżała *Łaskę Njordura* do brzegu.

- Dziwne — odezwał się Einar.

Młody łucznik u boku okazał się jednym z niewielu jasnych punktów podczas podróży i Olaf szybko wyczuł, że temu człowiekowi warto ufać. W jego spokojnej spolegliwości było coś, co budziło pewność i rozpraszało obawy. W przeciwieństwie do Hjaltiego... Dreszcz przeszedł mu po plecach, gdy wróciło wspomnienie noża zagłębiającego się w piersi po rękojeść. Szybko się jednak otrząsnął.

- Co jest dziwne? — zapytał nieco bardziej opryskliwie, niż zamierzał.

- Pochodnie płoną - powiedział Einar.

Słońce kryło się za chmurami, powoli już zachodząc, ale choć światło było nikłe, to zatokę było jeszcze dobrze widać.

Król zmrużył oczy. Ledwie rozróżnił drobne plamki światła wzdłuż brzegu.

- Racja. Może stary Finn zaczął się bać ciemności - powiedział. — A może Południe go rozpieściło i przemieniło w płacziwą babę — dodał, zdobywając się na uśmiech.

Trudno było się uśmiechać w taki ziąb. Zlizał z warg słony pył bryzy i czekał.

Einar dalej wpatrywał się w łąd.

- Stare miasto - powiedział w końcu.

- Co ze starym miastem? - zapytał Olaf.

Einar odwrócił do niego głowę.

- Nie ma go.

*

- Wstrzymać wiosła! — krzyknął.

Dawno już zwinęli żagle. Bardziej niż na szybkości zależało im teraz na kontroli tego, co się wokół nich dzieje. Einar stał przy królu Olafie z lekko uniesionym łukiem, ze strzałą na cięciwie, a za nim stała

połowa jego ludzi, uzbrojonych i gotowych do walki.

- Chyba jesteśmy poza zasięgiem, Einarze? - zapytał spokojnie król.

- Dla większości ludzi tak - odpowiedział młody łucznik, nie skrywając uśmiešku.

Ale król nie widział powodu do śmiechu. Stare miasto było zrównane z ziemią. Każda budowla została spalona na popiół. Kilka samotnie sterczących belek, które oparły się płomieniom, nosiło białe blizny po uderzeniach siekierami.

- Gdzie są wszyscy? - mruknął król.

- Na wałach widzę ruch — powiedział cicho Einar. - Włócznie. Całkiem sporo.

Król Olaf podjął decyzję.

- Wiosła! - krzyknął.

Wioślarze pociągnęli za wiosła w jednym rytmie i statek szarpnął naprzód w kierunku przystani.

- Miejcie oczy i uszy otwarte! — zawołał król i dodał: - Bądźcie gotowi na każdą ewentualność!

Jednak *Łaska Njordura* dobiła do portu w Stenviku bez najmniejszego problemu i nic się nie wydarzyło. W parę chwili trzydziestu uzbrojonych wojowników wyskoczyło na ląd i zaczęło lustrować brzeg, wyczekując wroga w gotowości bojowej. Nikt jednak się nie podniósł i nie natarł na nich z mokrych, spopielających zgliszcz starego miasta. Nie spadła na nich z rykiem dzika horda ani chmura strzał. Nic. Wioślarze zeszli szybko z pokładu i wzmocnili oddział na brzegu. Wokół wciąż panowała cisza.

Einar spojrzał na króla.

- Formować szyk - rozkazał król Olaf.

Wojownicy za jego plecami zajęli pozycje i ruszyli wolno, krok za krokiem, w stronę grodu.

- Jeszcze cztery kroki i będziemy w zasięgu strzał - przestrzegł spokojnym głosem Einar, który szedł po prawej stronie króla.

- Stać! - zawołał Olaf.

Z tego miejsca doskonale było widać milczących, uzbrojonych ludzi na wałach, szereg przy szeregu. Żebra go bolały, żołądek mu ciążył nieprzyjemnie w reakcji na nagły spokój niekołyszającego się lądu, wciąż czuł ogarniającą go gorączkę.

Odwrócił się i spojrzał na swoich wojowników.

- Nie ustępować pola. Mój Pan będzie mnie miał w opiece - powiedział cicho.

Potem ruszył w kierunku bramy Stenviku z wyciągniętymi przed siebie ramionami, choć na wałach wciąż nie było reakcji. Gdy był pewien, że nikt go nie widzi, zagryzł z bólu zęby i nabrał jak najgłębiej powietrza w płuca. Jego głos zabrzmiał donośnie, głośno i mocno:

- Wzywam cię, Finnie Szczerze Serce!

To wywołało poruszenie na wałach; w pięciu punktach podnieśli się łucznicy. Stanęli prosto ze strzałami na napiętych cięciwach.

- Czy tak witacie swojego króla!? — zawołał król Olaf.

- Spocznij! Otworzyć bramę! Otwierać, bo skrócę was o te obrsane głowy! - ryknął gromki głos z grodu.

Na widok chaosu, jaki zapanował nagle na wałach, król pozwolił sobie na krótki, nerwowy uśmiech. Łucznicy zniknęli, jakby ktoś ich ściął jednym machnięciem miecza. Milczący włócznie rzucili broń i natychmiast zabrali się do otwierania bramy. Parę chwil później zimną ciszę przerwał przenikliwy zgrzyt trącego o kamień łańcucha, a gdy drewniane wrota zaczęły się unosić, na wałach stanęła znajoma postać.

- Królu mój! - krzyknął Finn.

- Witaj, Finnie! - odpowiedział Olaf.

Z pewnym opóźnieniem Finn przypomniał sobie, że trzeba uklęknąć przed królem. Ledwie był widoczny na wałach, gdy pochyliwszy głowę, wyciągnął dłoń w stronę podnoszącej się wolno bramy.

- Witaj w Stenviku!

*

Długi dom nie zmienił się wiele od dnia, w którym Olaf widział go po raz ostatni, ale buzujący ogień i ciepły, krzepiący rosół zdawały się przemieniać go w najpiękniejszy pałac królewski na ziemi. Król skończył opowiadać swoją historię i sięgnął jeszcze po chochlę.

- Parszywe gnojki - warknął wściekle Finn. - Cały czas spiskowali, żeby cię zabić, panie? Nawet Hjalti? Wierzyć się nie chce, to znaczy, oczywiście wierzę. Gdybym tylko był z tobą, panie...

- Gdybyś był ze mną, wzięliby na cel również na ciebie - stwierdził racjonalnie król Olaf. - Co się stało ze starym miastem?

- Kazałem je spalić - odpowiedział Finn. - Oni... - Zamilkł na moment, przełknął ślinę i mówił dalej: - Ci dwaj nie umarli, sukinsyny, znaczy Sigurd i Sven...

- Przecież widziałem ich ciała - powiedział król.

-Wiem. Też je widziałem. Ale po tym, jak ich pochowaliśmy z Valgardem, stara straż Stenviku zaczęła znikać... najeźdźcy z *Drakkaru Zachodu*, a potem... - Twarz potężnego wojownika się zachmurzyła. - Ścigaliśmy ich w lesie, po wzgórzach, po starym mieście, wielu naszych zginęło, pojedynczo, jeden po drugim. Niektórzy utknęli na zawsze w nieprzebytych kolczastych chaszczach. Niejeden padł podczas wspinaczki, niejednego zakłuli w ciemnych zaułkach cuchnących chałup starego miasta. Więc kazałem je spalić.

Wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi.

-Jak im się udało... — zaczął król, ale przerwał mu gwałtowny kaszel, a zaraz po nim kłujący ból żeber.

Złapał ręką kant stołu i zacisnął zęby.

- Jesteś ranny, panie - powiedział zaniepokojony Finn. - Hej, ty! Biegnij po medyków!

Wojownik, którego wskazał Finn, zerwał się i zniknął w ciemności.

- Musiałem się bronić - powiedział Olaf.

Poczuł tamtą kulę śnieżną, która staczała się po zboczu, porywając go ze sobą.

- Musiałem... - Na czoło wystąpił mu kroplisty pot i po chwili spróbował jeszcze raz. - Musiałem uciekać...

-Wyleczymy cię z tego, panie - zapewnił Finn, przelewając do miski króla połowę swojego rosółu. — Wypij.

-Ja nie...

-Wypij!

Olaf spojrzał w twarz potężnego wojownika, patrzył jak przez mgłę, ale nie dostrzegł złych intencji w tym ostrym tonie, a jedynie szeroko otwarte, zaniepokojone oczy. Król pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Skoro to rozkaz, wodzu — powiedział i ubawił się tym, że Finn najwyraźniej nie zrozumiał żartu.

-Ja... ja nie chciałem, eee... musisz, panie, nabrać sił - rzekł zmieszany wojownik.

-Wiem - powiedział król.

Rosół był wyborny, z mięsem, pełen pożywnego tłuszczu. Z drugiej strony komnaty otworzyły się drzwi i do środka weszło pośpiesznie dwóch poważnych ludzi niosących skórzane sakiewki.

Król zerknął na miejsce, na którym usiadł, gdy po raz pierwszy wkroczył do Stenviku. Czy naprawdę było to ledwie parę miesięcy temu? Wciąż miał w pamięci postać klęczącego przed nim chuderlawego człowieka i ten błysk w jego oku, gdy podniósł głowę i podziękował Bogu, że ocalił króla.

- Valgard... - mruknął Olaf

Na twarzy Finna pojawiła troska.

- Właśnie. Nie widziałem go wśród was. Gdzie jest zielarz?

Ale król nie mówił więcej. Spuścił głowę i opadł bezwładnie prosto w ręce medyka, który za nim stał.

*

Piorun huknął w górze, a pod stopami króla Olafa białe grzywy fal roztrzaskiwały się o nasadę klifu.

Wiatr duł wokół niego, szarpiąc odzież, kusząc radosną lekkością upadku i podążeniem za ciemnością. Spojrzał w dół. Białe fale nie były już morzem, lecz potężnymi armiami, niosącymi zbrojnych, wyjących ludzi, schowanych za tarczami, nacierających z furją, idących do śmiertelnego boju. Wicher niósł ku górze ich krzyki. Olaf postąpił krok naprzód i spłynął w dół, niesiony jakąś niewidzialną ręką, by zająć pozycję na przedzie. Chmury się rozstały, odsłaniając na niebie czerwone, palące słońce. Czuł, jak słoneczny żar uderza w niego, jak wkuwa się w skórę i okrywa w okamgnieniu mokrym całunem potu. Gdy stanął na polu bitwy, pochwył! miecz i spojrzął w twarze setek, nie, tysięcy sinych olbrzymów. Zmrużył oczy i dostrzegł za nimi, otoczoną falami błękitnozielonego światła, chudą postać Valgarda.

Kiedy jego armia zniknęła z pola widzenia, odniósł wrażenie, jakby wyrwano mu przez nogi żołądek. Serce rwało potwornym bólem, ale wówczas w jego piersi zatętnił krzyż i król Olaf poczuł, że rośnie, naprawdę rośnie, rozciąga się aż do niebios, aby mógł poznać swego Stwórcę. Staje się większy, silniejszy i cięższy.

Pierwszy z sinych olbrzymów podniósł głowę. Spojrzał na wielką postać króla i ruszył do ataku z wyszczerzonymi zębiskami i pianą na ustach.

Król Olaf jednym uderzeniem odrąbał mu łeb.

Prąd o niezwykłej sile przeszedł jego ciało, od palców u rąk, poprzez ramiona, do głowy, do serca, do samej głębi jego trzewi, a król się uśmiechnął.

- Uczynki wasze zważone będą i zmierzone przed Panem - powiedział w twarz ryczącej armii. — I prawda ukaże, że nie są wystarczające.

Bijąc mieczem na prawo i lewo, wszedł w wir bitwy, a jednocześnie przewrócił się na bok we śnie.

*

Stary żołnierz stał nieporadnie na końcu stołu w długim domu, czekając, aż Finn podniesie głowę. W końcu chrząknął znacząco.

- Ludzi króla zakwaterowaliśmy w stajniach. Dach jest szczelny i dopilnowaliśmy, żeby mieli dużo drewna na opał. Wszyscy byli zziębnięci, przemoczeni i głodni.

- Dobrze - powiedział Finn.

- Ten młody, imieniem Einar, powiedział, że zajmie się rozdaniem narzut i futer do przykrycia. Także prosił o medyków... hm... Finnie?

Potężny wojownik jednak nie zwracał uwagi na żołnierza. Wzrok miał utkwiony w przekrzywionej postaci, która zmierzała ku niemu przez środek długiego domu. Finn wstał wolno z krzesła po prawej stronie tronu.

- Dobrze — powiedział w roztargnieniu. — Zostaw nas teraz samych.

- Słucham? - nie zrozumiał żołnierz.

- Powiedziałem: zostaw nas samych - uciął Finn.

Żołnierz oddalił się szybkim krokiem i zniknął po chwili z pola widzenia, a Finn cały czas patrzył na człowieka, którego nazywał królem.

Król Olaf leżał zgięty w pół, skłaniając się ku lewej stronie. Twarz miał ściągniętą, skórę bladą, włosy w beładzie, ale w oczach wciąż czaiła się ta sama iskra, ten szalony błysk, który dopraszał się - żądał - uwagi.

- Finnie - zaczął król bez zbędnych wstępów.

- Tak, panie? - powiedział Finn.

- Masz za dużo ludzi.

- To prawda. Ale niewiele można z tym zrobić — odpowiedział Finn. - Jeżeli części pozwolimy wrócić do gospodarstw, stracimy połowę armii. Wszyscy inni też będą chcieli odejść.

- Ale jeżeli pozwolimy pozostać, to albo zaczną walczyć między sobą, albo zbuntują się przeciwko nam, albo zaczną marnieć, chorować, a w końcu umierać.

- Tak... - odpowiedział ostrożnie Finn.

- Chcę wiedzieć wszystko na temat każdego człowieka mieszkającego w grodzie i każdego wartościowego przedmiotu. Potrzebni mi zwłaszcza rzemieślnicy i wszelkie cenne materiały.

Król zbliżył się ostrożnie do podwyższenia, wszedł po stopniach i usiadł na wysokim krześle.

Kiedy się wyprostował i podniósł głowę, Finna zatkało z wrażenia.

Król Olaf się uśmiechał.

- Zbudujesz mi okręt, Finnie.

Finn wyszedł z długiego domu. Zimny wiatr nawiewał mu w twarz śnieg. Słabe poranne światło nie przynosiło ani odrobiny ciepła i zimno przenikało go do szpiku kości. Okręt? Z opisu króla... Finn westchnął ciężko. Jakżeby inaczej, powiedział, że to robi, oczywiście, ale... wiedział, że to niemożliwe. Nie ma mowy, żeby zbudować coś takiego!

Ogarniała go coraz większa złość, a jego krok wydłużał się coraz bardziej. Dlaczego to musiało się przytrafić właśnie jemu? Po co to w ogóle? Zacisnął pięści. Zacisnął zęby. Dość ciężko było utrzymać Stenvik w ryzach. Nieprzyjaciel znał gród na wylot i wykorzystywał każdy jego słaby punkt — to przypominało utrzymywanie na sztormowym morzu dziurawego statku. Już czwartego dnia dowodzenia ciężko ranny został Gunnar i dowództwo przejął Finn. Ani na moment nie opuszczało go przekonanie, że to sprawka Sigurda i Svena, mimo że grzebał ich własnymi rękami. Jak walczyć z ludźmi, którzy nie żyją?

Szedł ze spuszczoną głową i nagle wpadł na starego kościstego człowieka, zwalając go z nóg.

- Uważaj, jak chodzisz - warknął w gniewie.

- Proszę o wybaczenie — powiedział starzec, leżąc na plecach.

Był niewysoki, wychudzony - gruzłowaty niczym stara gałąź stargana przez wichry - o długich, siwych włosach, które opadały mu na ramiona w grubych, pozlepianych solą kosmykach, okrywając połowę twarzy. Podparł się na łokciu, żeby wstać, mrugając przy tym nerwowo niczym ktoś, kto właśnie przegrał bijatykę na pięści.

Finnowi zrobiło się wstyd. Czy już tak nisko upadł? Przewraca siwowłosego starca i jeszcze go łąja? Wyciągnął dłoń i pomógł mężczyźnie stanąć na nogi.

- Nie, to ja przepraszam. Nie patrzyłem przed siebie.

- Coś cię trapi, młody człowieku?

- Może i trapi - odparł Finn bardziej gorzko, niż zamierzał.

- Hm... - Stary człowiek podrapał się po głowie. - Można wiedzieć, co się dzieje?

- Nic wielkiego. Muszę tylko w środku zimy znaleźć materiał do budowy... okrętu.

Mężczyzna wydawał się rozbawiony.

- W porcie stoi mnóstwo statków — powiedział.

- Dlaczego się uśmiechasz? - rzucił Finn.

- Och, tak bez powodu - odpowiedział starzec. - Jednak to zabawne. Musisz być człowiekiem urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą.

Finn spojrzał na człowieka spode łba, ale nie odpowiedział, gotowy pójść swoją drogą. Niepomny na urazę siwy starzec jednak ciągnął dalej:

- Musisz zbudować statek i wpadasz przypadkiem na okrętowego cieślę.

Teraz to Finn roześmiał się z niedowierzaniem.

- Jesteś cieślą okrętowym?

- Nie inaczej - odpowiedział mężczyzna. - Przypłynąłem z królem. Powinienem był się przedstawić.

Starzec uśmiechnął się przyjaźnie i Finn poczuł się dziwnie odprężony w jego obecności.

- Nazywam się Fjolnir. Kiedy zaczynamy?



Rozdział 11

Dalarna, zachodnia Szwecja, późny grudzień roku Pańskiego 996

Tego wieczoru drużyny myśliwskie powróciły później i z większą ilością upolowanej zwierzyny niż zazwyczaj, choć zdobyczami żadna nie mogła się równać z wcześniejszym trofeum Ulfara i Auduna. Ludzie siedzieli napojeni i nasyceni. Prześcigali się w opowiadaniu starych historii o przebrzmiałych zwycięstwach, nagradzając rechotem każdy nowy koloryzujący dodatek. Siedzący w ciemnym kącie Ulfar poderwał odruchowo głowę, gdy ta opadła mu sennie na piersi.

- Tak... - powiedział. - Chyba pójde już spać.
- Ja też, jak sądzę - stwierdził Audun.
- Niech żyją myśliwi! - zawołał Sven.
- Niech żyją! - poniósł się chóralny, przeciągły krzyk.

Ulfar uśmiechnął się słabo. Drzewo, jelen, powrót ze zdobyczą do obozu, wszystko to odjęło mu siły i czuł już, że biodra, nogi i dolna część pleców odmawiają mu posłuszeństwa. Przez chwilę pocieszył się myślą, że nad ranem nie będzie czuł bólu.

Dwaj myśliwi, ślaniając się z wyczerpania, przeszli do namiotów i zasnęli z chwilą, gdy padli na barłogi.

Słońce musi być gdzieś w górze, domyślił się Ulfar, choć nie miał wrażenia, że chciało tam być. Drzewa były większe, niż pamiętał. Masywne krągłe pnie w kolorze kruczych piór. To musi mieć coś wspólnego z wielką przestrzenią, którą musieli pokonać w wędrowce. Ludzie z zachodnich dolin zawsze się przechwalali wielkimi drzewami - że z jednego pnia można cały dom wybudować czy nawet statek, albo że z jednego pnia wystarczy na drwa na cały rok dla dużej rodziny, i tak dalej, i tak dalej. Tak, to musi być to: minęli wielkie jeziora i weszli już w puszcę na zachodzie, za którą rozciągała się kraina ludzi Północy. Zanim się poprawi, będzie gorzej. Jeśli wierzyć gawędom, to zanim wreszcie wyjdą w doliny, czekają ich długie dni błakania się po puszczy. Długa i niebezpieczna wędrowka, zanim będą w stanie zobaczyć dalej niż na wyciągnięcie ręki.

Pozostawało mu więc tylko stawiać nogę za nogą i iść. Lewa, prawa, lewa, prawa...

Ulfar spojrział na stopy i nagle poczuł, że coś skręca go w żołądku. Wokół łydek wiły się nienaturalnie cienkie, mgliste kosmyki, płynąc nad śniegiem i okrywając szarością biały puch. Drzewa pięły się ku

niebu, nieprawdopodobnie gładkie, nieprawdopodobnie krągłe. Nawet śnieg pod nogami wydawał się inny. Jakby był wyobrażeniem zimy w lesie, ideą, a nie realną rzeczą.

- Pokaż się - powiedział głośno.

Pierwsze pojawiły się psy: Geraz, szeroki między łopatkami, jasnowłosey, a tuż za nim Frec, potężny czarny mastif z nisko spuszczonego łbem i obnażonymi kłami. Nad nimi siadły na grubej gałęzi dwa kruki, które głośno krakały, jakby chciały wciągnąć go w rozmowę. Moment później ukazał się człowiek. Można by pomyśleć, że wszedł przez jakieś niewidzialne drzwi. Wysoki, siwy, wsparty na grubym, sękatym kosturze, krótko mówiąc, dokładnie taki, jakim Ulfar zapamiętał go z wędrówki sprzed tak wielu dni.

- To ty - powiedział Ulfar.

- Naturalnie, że ja — odpowiedział stary gospodarz. - Fjolnir. Pamiętasz mnie, prawda?

Audun pamiętał doskonale. Wciąż miał przed oczami tamtą chatę, wciąż czuł tamten wstyd, kiedy chował się pod łóżkiem i uchodził z gospodarstwa...

Starzec lustrował go z iskrą w oku.

- Masz go jeszcze? - zapytał.

-Tak - odpowiedział Audun ledwie słyszalnym głosem.

-To dobrze. Będzie ci potrzebny.

- Słabnę przez niego - powiedział Audun. - Umrę, jeśli będę musiał go użyć.

Dobrze pamiętał, gdzie schował pas. Leżał zwinięty w torbie. Ale zaraz... Chociaż nie przypominał sobie, aby go wyciągał i zakładał, wyraźnie czuł na biodrach jego ciężar.

Starzec uśmiechnął się z zadumą.

-Wszyscy umrzemy — stwierdził. - Dlatego w ogóle mamy te wszystkie problemy Ale będziesz musiał go użyć. Pamiętaj. Zresztą moje dary są naprawdę dobre. W końcu podarowałem ci jelenia!

- Jak to? - zachnął się Ulfar. — Jelenia upolowałem z Audunem.

- Najpierw stał nieruchomo, jakby był z kamienia - powiedział wysoki mężczyzna. - A potem spłoszony uciekł i wpadł wprost na oddalonego o sto kroków drugiego człowieka. Pomyśl, Ulfarze. Stać cię chyba na więcej?

Ulfar poczuł, jak ogarnia go złość.

- Zamilcz! - zawołał, ale miał wrażenie, jakby słowa spłynęły mu po brodzie - Ty jesteś... - zaczął znowu, ale nie umiał dokończyć zdania.

- Nazwij mnie, jak chcesz - powiedział siwy mężczyzna. - Jeden z moich darów już wzięłeś.

-Jaki?

- Miód skaldów - odpowiedział spokojnie starzec. - Wypiłeś go, zatem posiadasz mądrość i zdolność pojmovania, jakich nie posiada żadna inna istota ludzka. Choć przywyknięcie do tego zajmie ci trochę czasu...

Ulfar spojrzał uważniej na starego żołnierza.

-Ty...

- Tracisz czas - przerwał mu mężczyzna, odganiając słowa dłonią. - Musisz bez zwłoki ruszać na północ.

- Do Trondheim?

- Nie - powiedział stary gospodarz. - Nie ma już Trondheim. Audun podniósł brwi.

- Jak to nie ma?

- Nie ma. Umarło. Zostało starte w proch. Nie jest dla nas. Niechaj zajmą się nim królowie ludzi. -

Ostatnie słowa wycedził niemal ze wzgardą. - Nie, ty pójdziesz na Grań Szubienic.

- Dlaczego? - zapytał Audun.

*

- Ponieważ on tam zmierza - odpowiedział gospodarz.

- Kto taki? - zapytał Ulfar.

- Wiesz przecież... - Starzec wymijająco machnął ręką.
- Skąd pewność, że zrobię, o co prosisz? — zapytał Ulfar.
- Nienawidzisz mnie - rzekł siwowłosy żołnierz. - Ale jego nienawidzisz jeszcze bardziej.

Gdy Ulfar milczał, nie wdając się dalej w spór, starzec uśmiechnął się, pochylił i podrapał Geraza za uchem.

- Porozmawiasz z ludźmi i ruszycie w góry. Nic lepszego nie możesz teraz zrobić.
- A jeśli nie?

*

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Valgard przedziera się do Tęczowego Mostu i próbuje wciągnąć bogów w bitwę. Zna przepowiednię Norn, że bogowie stoczą bitwę na ziemi śmiertelników, gdy wrota Hel otworzą się na oścież. Dlatego uznał, że również odwrotność może być prawdą: założył, że aby nastąpił koniec świata, wystarczy podjąć walkę tutaj. Nagelfar rozwinie żagle. Fenrir zerwie okowy. Wyjdzie z wody Wąż Midgardu, a wraz z nim podniosą się fale. Jotunowie przemierzają ziemię, a wszystko zakończy się bólem, śmiercią i zniszczeniem. Z popiołu odrodzi się garstka zwykłych ludzi, ale już pod rozkazami nowego przywódcy. Jego.

Audun patrzył, jak w ustach starego człowieka formuje się słowo, jak przeżuwa je niczym kawałek zgniętego mięsa.

- Krótko mówiąc, Ragnarök — powiedział.

*

- Przebudźcie się! - głos Svena przeciął zimne, poranne powietrze. — Raz, dwa! Ruszać się! Chcę już dotrzeć do domu, żebym mógł się wreszcie podrapać dwa razy w jednym i tym samym miejscu!

- Na razie drapiesz ciągle w jedno i to samo miejsce! — krzyknął ktoś z pobliskiego namiotu.
- Dlatego nie podajemy ci ręki! - ryknął ktoś z przeciwnej strony.
- Nie podajecie mi ręki, bo rozpoznajecie zapach waszych matek - odciął się Sven.

Ludzie zaczęli wychodzić na czworakach z niskich namiotów, strzepując śnieg z włosów i odzienia. Niedługo potem grupa siwowłosych wojowników Sigurda stała gotowa do wymarszu. Audun i Ulfar w milczeniu pakowali namioty. Żaden nie był w nastroju do żartów.

Śnieg sypał na kolumnę, a wiatr rozwiewał go na boki. Las połknął ich od południa, a cztery dni później wypłynął na północy. Czas płynął powoli, w ciszy.

Nad ranem piątego dnia Ulfar podszedł do Svena. W lesie stary wojownik wyciął sobie długi kostur, wyższy niż on sam, i podpierał się nim teraz w czasie marszu, brnąc naprzód wytrwale, krok po kroku, zostawiając za sobą głębokie po kolana ślady w śniegu.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Ulfar.

Sven burknął coś wymijającym tonem.

- Gdzieś na zachodzie Szwecji, jak mniemam - powiedział w końcu
- Ile czasu zajmie nam wędrówka do Trondheim?

- W takim tempie? - Sven odwrócił głowę i spojrzał na sznur siwobrodych wojowników, którzy szli za nim niezamordowanie, przeważnie wspierając się na własnych kosturach. - Będziemy tam jutro.

Ulfar zawahał się. Dobry humor, który nigdy nie opuszczał starego szelmy, tym razem gdzieś wyparował.

- Nie byłoby lepiej... łatwiej... maszerować, gdybyśmy obrali kierunek na Grań Szubienic? - zapytał i dodał pośpieszenie: - Będzie mniej tych cholernych drzew.

Sven rzucił mu badawcze spojrzenie.

- Grań Szubienic, powiadasz. Chcesz iść w góry? Teraz?

- Eee... Chodzi tylko o to, że będzie się łatwiej szło... - powiedział Ulfar, czując, jak czerwieni się z każdym słowem.

-To przez ciebie, tego szaleńca z młotami i dziwne przeczucia starego niedźwiedzia znajdujemy się na zasranym końcu świata -mówił Sven, nie przerywając marszu, a śnieg skrzypiał pod ich nogami. - Jeżeli nie chcesz kończyć tej wędrówki samotnie i samotnie mierzyć się z tym, z czym masz się mierzyć, rozważ, czy nie lepiej będzie mówić mi o wszystkim. Zawsze. Począwszy od tej chwili.

Ulfar przełknął ślinę i czekał na moment śmiałości.

- Kilka dni temu, kiedy upolowaliśmy jelenia, ktoś przyszedł do mnie nocą - powiedział w końcu.

- O do kurwy cuchnącego capa! Oczywiście! - sarknął Sven. -Tak myślałem, że on maczał w tym palce. Mów.

*

Dziesiątego dnia wciąż szli na południe. Jolawer Scot na czele swojej armii, obok niego Alfgeir Björne, a tuż za nimi Karle. Nieco dalej z tyłu, nie aż tak daleko, żeby czoła nie widzieć, ale na tyle, aby nie słyszeć, człapali wolno obok siebie Thormund i Piszczątka.

- Thormundzie - powiedział Piszczątka i patrzył w oczekiwaniu, aż stary koniokrad zwróci do niego lekko głowę, dając do zrozumienia, że słucha. — Dokąd on nas prowadzi?

- W stronę wybrzeża, jak sądzę — odpowiedział Thormund.

Przez chwilę Piszczątka szedł w milczeniu. Sto kroków na lewo od nich posuwała się kolumna Swena Widłobrodego. Armia Jolawera wydawała się w porównaniu z nią niewielka, ale w tej chwili to nie miało znaczenia. Byli po tej samej stronie. Na razie.

Śnieg prószył cicho, bielutki i miękki, zasypując wszystko dookoła. Jeszcze nie taki ciężki, ale niesłabnący i niepowstrzymany. Ramiona mieli przemoczone, ich wełniane czapki błyszcząły melanzem świeżo opadłych i świeżo stopniałych płatków.

- Sypie i sypie — stwierdził Piszczątka.

- Jest zima — uciął Thormund.

- I co? - powiedział Piszczątka. - Moja wina?

Thormund fuknął tylko, jeszcze bardziej zagłębił kościstą szyję w futra i maszerował, nie zwracając uwagi na towarzysza.

- Thormundzie - odezwał się znów po dłuższej chwili Piszczątka.

- No czego? - warknął Thormund.

Piszczątka strzelił oczami w jego stronę.

- Wydra cię rano w dupę ugryzła czy co? Jesteś bardziej szorstki niż gacie Sygrydy!

Thormund prychnął.

- Po prostu nie podoba mi się, w jakim kierunku to zmierza. Powinniśmy byli zostać z Sigurdem i Svenem.

- Dlaczego?

- Ponieważ ten półgłówek ciągnie w stronę morza. Nienawidzę, kurwa, morza! — Thormund kopnął w śnieg z taką złością, że Piszczątka odruchowo zrobił pół kroku w bok. - Nic tylko statki i statki! Zawsze statki.

- Dalej, dalej! - popędził ich ktoś z tyłu.

Piszczątka spuścił ramiona i zwiesił głowę. Skupił się na marszu. Zaczął znów stawiać miarowo nogę za nogą, robiąc wszystko, by przestać gadać i się zastanawiać, ale mimowolnie zaczął myśleć o jagniętach idących na rzeź w okresie uboju.

Gdy słońce zaczęło dotykać widnokregu, Widłobrody dał sygnał do postoju. Szybko ustawiono namioty i urządzono obozowisko, zanim jeszcze niebo zmieniło przybrudzoną biel owczej wełny w szarość miecza, zaprószoną grubymi płatkami śniegu.

- Nie potrafię teraz nie myśleć o koniu - powiedział Thormund, pocierając cholewy skórzanych butów. - Mam wrażenie, jakby moje nogi starsze były od nóg mego ojca, a nie żyje on już od dwudziestu lat. Dałbym wszystko za konia, na którym mógłbym teraz jechać.

- Nawet gdybyś był Widłobrodym? - zapytał Piszczątka.

- Wszystkie królewskie skarby i ziemie ani trochę nie sprawiają, że dupę ma mniej przemoczoną i zziębniętą, prawda? - stwierdził Thormund.

Piszczątka zrobił głupią minę.

- Chcesz powiedzieć, że oddałbyś królestwo za konia?

- Tak - przyznał Thormund.

- To śmieszne - parsknął Piszczątka. - Ja...

- Zamknij się - powiedział Thormund.

-Co? Ja...

- Powiedziałem, żebyś był cicho - syknął stary koniokrad ze zniecierpliwieniem w głosie. —

Słuchaj - szepnął.

Wokół niósł się monotony pomruk zmęczonych marszem ludzi. Przyplływał i odpływał jednostajnie, przerywany sporadycznym wybuchem śmiechu lub krzykniętą obelgą, które wzbijały się w górę, by zaraz utonąć w szmerze oddechów i rozmów.

Piszczątka zerknął na Thormunda, którego twarz przedstawiała żywy obraz skupienia, jakby wyryta w płaskim kamieniu.

- Czego mam słuchać... ?

Kościasta ręka strzeliła w górę, by uciszyć towarzysza.

- Teraz ucichło — szepnął Thormund, ale nie opuszczał ręki, a po chwili jego oczy znów się zapaliły. - O, teraz. Słuchaj!

Piszczątka natężył słuch, by przesiać wszystkie płynące z obozowiska dźwięki, dobrze mu znane, ale rzeczywiście, było coś jeszcze, coś na granicy słyszalności... Kiedy zrozumiał, skąd ten głos pochodzi, westchnął żałośnie.

-To przecież krowa - powiedział. - Jedna, wiesz, może dwie...

Thormund odwrócił do niego głowę.

- Wiem, że to krowa — odpowiedział. — Jestem absolutnie pewien, że to jest krowa.

- No to po co się bać? - wyrzucił z siebie Piszczątka.

Wówczas stary koniokrad uśmiechnął się słabo i nagle przestał sprawiać wrażenie starego, bezradnego człowieka, a bardziej przypominał Sigurda czy Svena.

- Ponieważ żyję — odpowiedział. — I ponieważ cię lubię, mimo twojej krzywej buźki i mielenia jęzorem. Cos' ci powiem. Jeśli słyszysz ryczącą z bólu krowę i jest to pora cielenia, to dobry znak. Jeżeli jednak słyszysz ten sam głos w środku surowej zimy, z dała od ludzkich osad, w śniegach...

Piszczątka rozpaczliwie szukał podsumowującej puenty, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Nie rozumiem — powiedział płacząco.

Thormund, koncentrując wzrok na czymś niewidzialnym w półmroku, wyjął z za pasa nóż myśliwski, oczyścił go, przeciągnął palcem po metalowej krawędzi, żeby sprawdzić ostrość, a potem usatysfakcjonowany wsadził go z powrotem do pochwy.

- Ja też nie — powiedział, rozglądając się po obozie. - Ale coś tu się wydarzy, a wolę być wtedy we właściwym miejscu...

Po tych słowach wyjął jeszcze trzy inne noże, różnych rozmiarów i z różnych miejsc, między innymi z rękawa, oczyścił je starannie i z powrotem ukrył.

Piszczątka zacisnął dłoń na pałce, w którą go uzbrojono. Starte, gładkie drewno wydawało się w dłoni ciepłe i kojące. Przeklął się w duchu, że tak łatwo poddał się strachowi. Wędrował z największą armią, jaką Północ miała okazję oglądać, a dał się podpuścić staremu, nerwowemu koniokradowi jak dziecko. „Nie — pomyślał Piszczątka. - Jestem bezpieczny jak nigdy”. Taka świadomość uspokoiła go, w każdym razie na tyle, by otulić się futrami i zabrać do roboty, przeganiając zimno. Po nocy przyjdzie następny dzień i może to, co dzisiaj trapi Thormunda, jutro odejdzie w zapomnienie.

Zmęczony i otepiały, ogarnięty sennością, myślał o tym, jak miało wyglądać jego życie z mieczem u boku, i doszedł do przekonania, że nie tak je sobie wyobrażał.

*

- Wstawać! Do broni!!! - Za wrzaskiem Alfgeira Bjornego niósł się jakiś potężny tupot. - Atakują!!! Piszczątka obudził się z walącym sercem i skręconym żołądkiem. Wyszedł na czworakach z namiotu, w samym środku nocy, i natychmiast musiał uskokoczyć w bok, aby nie zderzyć się twarzą z kolanami biegnących mężczyzn.

- Thormund! - wrzasnął, ale nikt nie odpowiedział.

Spojrzał naprzeciw i zobaczył, że namiot starego koniokrada jest pusty. Piszczątka zerwał się na nogi. Obozowisko było morzem migotających cieni przemykających pod pochodniami, płynących w stronę południowej części nowo powstałego, namiotowego miasteczka. Krzyki niesły się z prawa do lewa i z powrotem, dowódcy biegali i nawoływali, wzywali ludzi do powstania, pochwycenia za broń, do walki na śmierć i życie. Alfgeir wykrzykiwał z oddali komendy. Mignęła biel płaszcza księcia Karlego, wpadła w blask światła, by zaraz z niego uciec.

Piszczątka rozejrzał się za kimś, kogo mógłby zapytać, co się dzieje, ale uznał, że nikt nie będzie teraz miał ochoty na udzielanie informacji. Wtedy zajaśniało mu w głowie. Pojął wreszcie, co słyszą jego uszy.

Pod skorupą panicznego strachu, szczęką stali i okrzyków tysiąca gardeł wojowników śpieszących do boju rwała rzeka jakichś nierozpoznawalnych dźwięków. Piszczątka, nagle rozbudzony, zaczął iść w tym kierunku, próbując wyłowić to, co słyszy.

Zwierzęta. Gdzieś niedaleko. Ale nie tylko one.

- Idą, idą!!! - wrzeszczał ktoś przed nim.

Im bliżej południowego krańca obozu, tym silniejsze było światło. Wojownicy króla Jolawera pośpieszenie stawiali ścianę tarcz, przodem ku stronie południowej. Piszczątka teraz dopiero zauważył, że żołnierze przywiązali pochodnie do najdłuższych włóczni, które wbili w ziemię, tworząc od frontu półkolistą kurtynę światła.

Odgłosy dobiegały gdzieś z ciemności zza świetlistego półokręgu, ale Piszczątka wciąż nie potrafił ich dobrze zidentyfikować: trzask łamanych drzew, szum morza w środku nocy, niesłabnąca fala ćmiącej, ciemnej tajemnicy.

Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnego wezwania, żadnego rozkazu, by trzymać szyk. W jednej chwili rozjaśniony pochodniami pas był pusty, a już w następnej było je widać: stado białookich krów rozbujanym krokiem wybiegających z ciemności wprost na nich. Uniosły się miecze i zaczęły opadać z furją, ale trwało to zbyt długo. Wielkie zwierzęta nie padały wystarczająco szybko i ściana tarcz, choć wytrzymała jeszcze parę chwil, runęła pod ciężarem napierającego stada. Dla Piszczątki czas spowolnił. Dojrzał lukę między tarczami i poczuł napór, gdy wojownicy cofali się na niego w beładzie, napór stada. Zrobił dwa kroki w tył i ktoś przygniótł go do ziemi.

- Wracaaa! - ryczał Alfgeir Bjorne, idąc do przodu.

Wyrwał włócznię z pochodnią i cisnął nią w jedną z konających krów. Podniosła się z sykiem para, gdy płomienie stopiły w okamgnieniu śnieg i wgryzły się w ciało, ale zwierzę jakby tego nie poczuło. Piszczątka słyszał, jak Alfgeir rzuca stek przekleństw, które zmieszały się z krzykami ludzi wepchniętych nagle w ciemność.

- Więcej światła! — ryknął stary wojownik. - Więcej ognia! I wracać! Wracać na pozycje!!!

Było jednak za późno. Wojownicy na próżno usiłowali zatamować potok otumanionych zwierząt, wrykujących światu całą swoją trwozę.

-Więcej ognia! Prędszej! - krzyczał Alfgeir.

W powietrzu niesły się potworne odgłosy, ryki bydła lawirującego między ludźmi, głuche ciosy mieczy siekających mięso i wrzask tratowanych, ginących pod racicami wojowników.

W ciemności dały się teraz rozpoznać inne jeszcze głosy: ujadających psów, beczących owiec i

ludzkich pokrzykiwań. Nieharmonijny, nieskoordynowany chór dźwięków.

- On powstał!

Słowa te, powtarzane raz po raz stłumionymi głosami, wywołały u Piszczalki gęsią skórkę. Odwrócił się, żeby uciekać, i zobaczył morze pochodni płynących w jego stronę z drugiego obozu.

Król Widłobrody.

Okrzyk wyrwał się z jego ust, zanim zdolał je zamknąć.

- Widłobrody nadciąga! Wracajcie!!!

Moment później zagrzmiął głos Alfgeira Bjornego, potężny ryk z pola bitwy:

- Cofnąć się! Ściana tarcz!!!

Żołnierze duńskiego króla runęli na stado niczym wataha wilków, mijając w pędzie ludzi Alfgeira, i nagle fala wpółoświetlonych bestii z pieklą rodem zwolniła. Piszczalka patrzył w osłupieniu, jak boczne grupy uderzyły od skrzydeł. W blasku pochodni pląsały cienie ludzi i koni, nawet jakiegoś jelenia, gdy napierali bez pamięci ku temu samemu celowi.

Ludzie Widłobrodego z zapalem zabrali się do stada, rąbiąc na prawo i lewo.

Piszczalka stał zastygły w jednym miejscu, nie widział tego w ciemności, ale wkrótce odczuł to cały obóz. Siła odgłosów się zmieniała. Beładne, wściekłe muczenie zaczynało gasnąć, krok po kroku, gardło za poderzniętym gardłem.

Trzy szyki pochodni znowu zbiegły się w jedną linię. Było po wszystkim.

- Więcej światła! - zawołał Alfgeir Bjorne, ale jego głos stracił moc.

Wokół niego pojawiły się pochodnie, oświetlając martwe i konające zwierzęta.

- Odciągnijcie je stąd! - rozkazał potężny wojownik.

Powoli i ostrożnie, jakby budząc się ze złego koszmaru, ludzie zaczęli się formować w zespoły do pracy. Piszczalka spuścił powieki pod wpływem światła i wleczonych ciał. Co za nagła zmiana nastroju.

- Nie mam tu nic do roboty - mruknął do siebie. - Nic. Przegapiłem wszystko. Przez niego przegapiłem.

Odwrócił się z natłokiem myśli w głowie, których nie potrafił uporządkować w żaden sposób, i ruszył między zwalonymi szałasami i utykającymi żołnierzami. Gdy dotarł do swojego namiotu po północnej stronie obozowiska, zobaczył, że Thormund jest u siebie i śpi.

Wszedł pod futra, ułożył się i spojrzał na starego koniokrada.

-Tchórz — burknął i zapadł w sen.

*

Obudził go smród, wszechobecny, przyprawiający o mdłości smród zepsutego mięsa. Nieba nie skrywała czerń, ale światło dnia nie wypchnęło jeszcze ciemności poza horyzont. Gdy zamrugał, próbując przywyknąć do półświatła, zaczęły do niego docierać przynoszone z wiatrem głosy. Krótkie komendy, ciche, ale stanowcze. Wraz z nimi przenikały do jego głowy obrazy minionej nocy; krew tryskająca ze złamanej nogi wojownika, topory rozłupujące bydłce karki, z których toczyła się jucha, rozpychana ściana tarcz, napływające w mroku pochodnie Widłobrodego.

Wstał, zerknął w stronę Thormunda i skrzywił się z niesmakiem. Stary koniokrad leżał na boku, nieruchomy jak zwalony posąg, jego ostrych kantów nie wyokragłał w żaden sposób pled snu. Zrażony Piszczalka odszedł bez słowa. Stary dziad powinien był pozwolić mu się bić, a nie zwałać go z nóg i czmychać. To przez Thormunda nie j mógł włączyć się do walki.

Tchórz.

Zatopiony w myślach nie dostrzegł ogromu zniszczeń, dopóki nie znalazł się niemal w ich centrum. Południowa strona obozu była jedną, ziejącą pustką raną.

W ciemnej nocy wydawało się, że atakują ich tysiące nieprzyjaciół, ale dopiero zimne światło poranka odsłaniało powoli prawdę. Stratowane namioty i ubity śnieg znaczone różowiejącymi pasmami naprowadzały wzrok ku stosowi ciał. Piszczalka z grubsza policzył, że stado nie liczyło więcej niż

pięćdziesiąt sztuk. Między ciałami wałęsały się chuderlawe psy i parę wymizerowanych owiec. Gdziekolwiek spojrzął, spozierały na niego otwarte rany, zapraszające, by spojrzął głębiej w siniejące mięso. Zobaczył leżące daleko od siebie poroża dwóch jeleni, a gdzieś między nimi potężne łopaty łosia.

W tym wszystkim było coś dziwnego. Nie widział tylu zwierząt, ilu się spodziewał. Rozejrzał się i poczuł nagle, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Ciała ludzi leżały w długich rzędach. Doliczył do siedemnastu i przestał, a nie była to nawet połowa. Czuł się nieswojo, ale nie potrafił powstrzymać ciekawości. Odrętwiały z przerażenia podszedł wolno do ciał. Jedna tylko myśl biła mu się w głowie: „To ja mogłem tutaj leżeć”. I dalej, i znowu. „To mogłem być ja”. Choć oczy były zamknięte, każda blada twarz czyniła mu wyrzut.

-Już po nich - powiedział stojący za nim Alfgeir Bjorne.

-Taaak... - wymamrotał Piszczalka z bijącym sercem.

-Już nie jest im zimno, nie dręczy ich głód, żaden nie tęskni za domem. Uczciwa zapłata za odrobinę strachu i bólu, nie powiesz?

Piszczalka odwrócił się i spojrzął na Alfgeira. Potężny wojownik wydał mu się nagle przerażająco stary. Mocno posiwiały i sędziwy. Niczym tkanina, którą zbyt wiele razy bito o kamienie w strumyku. Musiał nie spać przez całą noc, bo chciał dopilnować, aby wszyscy martwi leżeli tam, gdzie powinni leżeć. Jednak głos miał wciąż silny.

- Mnie niestraszny głód i zimno... - powiedział Piszczalka.

Potężny wojownik uśmiechnął się na te słowa.

- Dobrze. Wolę żołnierza, który chce żyć. Pozostały gatunek nie trwa zbyt długo.

Wstyd i poczucie winy uwolniły się nagle w sercu Piszczalki i uderzyły o żebra jak bestia miotająca się po klatce. Musiał zagryźć zęby, aby powstrzymać kipiejące uczucia. Ale w słowach Alfgeira nie wyczuwał osądu. Stał nieruchomo, patrząc na skutki nocnych zdarzeń.

Gdy opanował emocje, wyprostował się. Spojrzął jeszcze raz na ciała.

- Straciliśmy wielu dobrych ludzi — powiedział.

- Tak - przyznał Alfgeir.

- Padło więcej naszych niż Widłobrodego.

- Tak - powtórzył Alfgeir.

Naraz coś przykuło wzrok Piszczalki.

- Czy to... tamci? Czy nasi?

Ciała, które zauważył, wyglądały inaczej. Wojowników króla Jolawera można było poznać po łachmanach i lichym rynsztunku, natomiast ludzie Widłobrodego mieli solidną broń i wysłużoną w boju odzież. Tymczasem ci czterej byli jeszcze inni. Od stóp do głów ubrani w czerń, bez tarcz ani zbroi, choć każdy miał pas na noże.

Dopiero po chwili Piszczalka zorientował się, że długo czeka na odpowiedź. Odwrócił się i spojrzął znacząco na Alfgeira Bjornego.

- Gdzie jest Thormund? - zapytał potężny wojownik.

Poczucie ulgi nagle stężało.

- Śpi - mruknął Piszczalka.

- Kiedy się obudzi, powiedz, żeby do mnie przyszedł - polecił Alfgeir.

Wielka wzięta go pokusa, aby opowiedzieć, co zaszło. Że Thormund go powalił, że następnym razem chce stanąć i walczyć w ścianie tarcz, że to nie jego wina, a stary koniokrad jest tchórzem, że uciekł i się schował. Ale nic nie powiedział. Thormund był jego jedynym przyjacielem na świecie i niehonorowo byłoby rzucać go na pożarcie Alfgeirowi Bjornemu.

Piszczalka zmusił się do wypowiedzenia paru słów, z najwyższym przekonaniem, na jakie było go stać.

- Thormund dzielnie walczył.

-Wiem - powiedział Alfgeir, mrugnawszy okiem i skinawszy w stronę czterech ciał w czerni. — Oni też wiedzą. Sukinsyny, podeszli mnie w ciemności, mieli mnie jak na dłoni, wytrącili topór z ręki, ale potem... padali jeden po drugim jak muchy.

Piszczątka stał z otwartymi ustami.

- Czy... czy..- jąkał się.

Audun uśmiechnął się.

- Dobrze znam jego robotę. Dzisiaj to stary żołnierz, ale od dawna krążą ciekawe opowieści o Thormundzie Krojczym. Poproś go do mnie, jak się zbudzi. Muszę mu podziękować i powiedzieć o wszystkim królowi.

Kiwając głową, Piszczątka odwrócił się i odszedł. Przed oczami znów stanęły mu obrazy z nocy, ale tym razem w odwrotnej kolejności. Thormund wiedział? Dlaczego nic nie mówił? Mogli pójść razem! Ale Alfgeir Bjorne mówił do niego jak do równego sobie, jak do kogoś, kto był co najmniej tak groźny jak Thormund.

- Krojczy! - sarknął Piszczątka.

Dobre sobie. Co za głupie przezwisko! Może wyuczy się machania pałąką i też zyska sobie jakiś przydomek? Na przykład Maczuga! Krojczy i Maczuga. Będą o nich śpiewali pieśni, prawda?

Rześki, coraz jaśniejszy poranek przydał tempa w kroku, ale tym razem Piszczątka był czujniejszy. Z daleka zaczął obserwować namiot Thormunda. Stary koniokrad nie ruszył się od świtu.

*

- Thormund — powiedział cichym głosem Piszczątka. — Obudź się. Alfgeir Bjorne chce cię zobaczyć.

Mężczyzna ani drgnął. Piszczątka przewrócił zniecierpliwiony oczami. Chyba nie tak trudno ruszyć się z barłogu!

- Thormund — powiedział tym razem stanowczym głosem, ale odwrócone w jego stronę plecy ani drgnęły, a Thormund milczał. — No to chyba kopnąć trzeba... - burknął do siebie.

Podszedł bliżej i trącił leżącego czubkiem buta.

- Wstawaj, bohaterze! - powiedział głośno.

Thormund był sztywny jak kawał drewna i zimny w dotyku.

Piszczątka szukał słów, ale żadne nie przychodziło mu do głowy. Padł na kolana w śniegu i powoli, delikatnie położył dłoń na ramieniu Thormunda. Twarz starego człowieka była bladoszara.

- Thormund! Obudź się!

Ale Thormund się nie budził. Piszczątka nie chciał go ruszać. Próbował ściągnąć z niego koc, ale to się nie udało, bo koc zaplątał się w leżącego. Ogarnięty złością pociągnął z całej siły i ciało Thormunda obróciło się na moment z kocem, zatrzymało się i przy odgłosie rozdieranej, mokrej tkaniny wróciło do pierwotnej pozycji. Potem jeszcze jedno przedarcie. I jeszcze jedno.

Piszczątka stał bez słowa jak skamieniały, trzymając w ręku koc z trzema dziurami. Dopiero teraz zauważył ślady krwi prowadzące do namiotu. Thormund leżał na ziemi, a zakrwawiony koc okrywał najwyraźniej rany od ciosów nożem. Twarz starego koniokrada wyglądała osobliwie, wyrażając coś subtelnie szlachetnego w obliczu śmierci. Coś przypominającego uśmiech.

Zrozpaczony Piszczątka wstał z drżącymi kolanami i poszedł szukać Alfgeira, aby przekazać mu wiadomość.

- Powinniśmy to jeszcze przemyśleć - powiedział król Jolawer Scot.

Widłobrody wyglądał na znudzonego.

-Poczekaj... - powiedział, a gdy Jolawer Scot znów chciał się odezwać, dodał: — na resztę. Musimy porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy! - zachnął się Jolawer. -To my decydujemy, ty i ja. Moim zdaniem musimy iść na północ.

- Poczekajmy na resztę - powtórzył Widłobrody.

Jolawer Scot nie musiał czekać długo. Wkrótce zobaczył Sygrydę - brnęła przez śnieg długim krokiem, a jej sięgający ziemi futrzany płaszcz plątał się między nogami. Za nią szedł liryk Haakonsson, władca Północy, a za nim dwaj jego wodzowie. Od strony szwedzkiego obozu zmiierzali już Alfgeir Bjorne i księżę Karle, a przy nich przyboczny posłaniec, Thorkell Tyczkowaty.

-W nocy zaatakowano obóz — zaczął Widłobrody, zwracając się do wszystkich w kręgu. - Straciliśmy najlepszych wojowników. Czy ktoś kiedykolwiek widział coś takiego?

-Owszem. - Twarz Eryka Haakonssona nie zdradzała najmniejszej emocji. - Tak się dzieje od pewnego czasu jak Północ długa i szeroka. Gospodarze i ich zwierzęta wpadają w obłąd. Coraz więcej z nich przynależy do Hel.

- Zatem to Północ jest tego źródłem? - zapytał Jolawer.

Eryk Haakonsson wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem.

Jolawer Scot odwrócił się do Widłobrodego.

- Musimy ruszyć na północ. Tam coś się dzieje. Musimy iść za Svenem i Sigurdem.

Widłobrody, opanowany na twarzy, spojrzął na Jolawera, a potem na Eryka. Kolejno patrzył w oczy każdemu z otaczających go wodzów, a kiedy przemówił, odpowiedź była zwięzła i prosta:

-Nie.

-Ale....

- Jeszcze nie.

-To kiedy? — wypalił Jolawer Scot.

Widłobrody dał znak, że naradę uważa za zakończoną.

- Wkrótce - odpowiedział i odszedł.

Sygryda i Thorkell Tyczkowaty poszli zaraz za nim.

-Wierz mi, niewiele jest rzeczy, które chciałbym zrobić, zamiast wrócić tam i odbić dom ojca — powiedział liryk. - Ale musimy powstrzymać Olafa Tryggvasona. To on jest prawdziwym zagrożeniem.

Eryk odszedł ze swoimi ludźmi, nie patrząc nawet na trzech pozostałych mężczyzn.

- Nie mają racji — mruknął Jolawer Scot. — Wszyscy się mylą. Tylko Sven i Sigurd postąpili słusznie.

- Może tak — powiedział księżę Karle. — Może nie. W każdym razie z największą armią, jaką kiedykolwiek zebrano, możemy się czuć bezpieczni. Rozprawimy się z Olafem, a potem pójdziemy ratować Północ.

Jolawer Scot odwrócił wzrok od swoich doradców, spojrzął na oba obozy, na smugę kwaśnego, cuchnącego dymu rozchodzącego się od trupów.

- Jeżeli jeszcze będzie co ratować - powiedział do siebie.

*

Piszczątka szedł w niekończącym się szeregu wojowników. Ostatnie dni przemknęły przez niego jak wiatr wiejący przez las. Po odnalezieniu martwego Thormunda stał się jakiś odrętwiały. Nie czuł się ani znużony, ani uradowany, ani specjalnie głodny, ani zziębnięty. Nie chciał z nikim rozmawiać i nikt nie chciał rozmawiać z nim. Szedł po prostu naprzód, kierując się szerokimi plecami wojownika przed sobą, krok za krokiem, krok za krokiem.

- Patrzcie! - krzyknął nagle ktoś za nim, a odgłos, który potem dał się słyszeć, nie pozostawiał wątpliwości, co ten człowiek zobaczył.

Mewa. Właściwie dwie mewy, nie, trzy, wszystkie krążyły pod niebem i skrzeczały na cały głos. Jedno słowo pomknęło między ludzi lotem błyskawicy: Morze!

Piszczątka próbował się wyrwać z otępienia. To koniec marszu! Odwrócił się do Thormunda, aby mu powiedzieć, że się nie mylił... ale z tyłu nie było starego koniokrada.

-A pies ci dupę, kutasie... - syknął pod nosem.

Długi szereg maszerował pół kroku szybciej. Ludzie reagowali jak konie zbliżające się do swojej stajni. Zaczęli iść lekko pod górkę, nie aż tak, żeby mieli się mozolnie piąć, ale dość, by mocniej stawiać stopy na śniegu i czynić go jeszcze bardziej śliskim dla tych z tyłu. Idący na przedzie dotarli na brzeg wzniesienia i stanęli, ale podążający za nimi ludzie nie byli w stanie wytracić tempa, więc rozkładali się wachlarzem na boki, stając w linii nad krawędzią. Z ich gardeł wyrwał się dziki ryk radości, gdy pierwszych stu zniknęło z pola widzenia, a pięćset kroków na lewo rozległy się okrzyki i komendy armii Widłobrodego. Niepohamowana ciekawość dodała wszystkim energii i Piszczalka musiał się sprężyć, by dotrzymać kroku. Coraz wyżej i wyżej, wzniesienie przyciągało ku sobie, aż zamajaczyła krawędź.

Jeszcze kilka kroków, jeszcze jeden i...

Piszczalka zatrzymał się nad brzegiem i spojrzał w dół.



Rozdział 12

**Trondheim, północna Norwegia,
późny grudzień roku Pańskiego 996**

Poranne sionce pięło się leniwie nad horyzontem. „Uważaj, bracie, uważaj” - pomyślał z ziewnięciem Valgard, schodząc ostrożnie z tronu, na którym przysnął. Napiął się, oczekując jak zawsze bólu, ale nic go nie zabolalo. Spojrzał pod nogi. Krew z wczorajszego wieczoru wsiąkła w drewno, malując je barwą rdzawego miecza. Od zakrzepłych kałuż, od których Omar i Jori odciągnęli trupy wodzów, wiodły dwie równoległe, krwiste smugi prowadzące do stosu zakrwawionych, wygiętych nienaturalnie ciał.

Rozejrzał się dookoła z zadowoleniem. Wielka komnata jarla Haa-kona wyglądała jak strzaskana łupina. Wszystko, co dawało się zdruzgotać, zostało podczas wczorajszej orgii krwi zdruzgotane. Masywne trolle przetoczyły się po gromadzie, ciskając ludźmi na prawo i lewo, jak dziecko rzuca starą lalkę, łamiąc im kości, rozbijając czaszki. Beształ ich za to. Tych ze strzaskaną czaszką nie będzie już w stanie wykorzystać. Doświadczenie nauczyło go, że mózgi nie są im do niczego potrzebne, ponieważ z chwilą, gdy stali mu się posłuszni, słuchają wyłącznie jego. Jednak aby mogli dobrze funkcjonować, czaszki powinny pozostać nienaruszone. Sinoskóre olbrzymy słuchały jego połajaneł, ale nie łudził się, że rozumiały te słowa.

Cóż, nowy brzask, nowy dzień. Znów wiele rzeczy do zrobienia i znów paru ludzi, z którymi trzeba się spotkać.

Mrugając powiekami, ruszył przez rumowisko w stronę zwalonych drzwi, przez które wdzierało się do środka mlecznobiałe światło.

Stali w szeregu, milczący i wielcy, prowadzeni przez Botolfa, Ormsleva i Skeggiego. Wypełniali plac przed długim domem i nikli między chatami. Gdziekolwiek się obejrzał, widział siną skórę lub ludzi w trakcie powolnej, bolesnej metamorfozy. Policzył ich wczoraj, zanim poszedł spać. Teraz policzył jeszcze raz.

Dziewięćset dwunastu.

- Przed nami dużo pracy - oznajmił Valgard, a trolle wlepiły w niego bezmyślne oczy. — Nie potrzeba wam wielkiej przemowy, prawda? Jasne. Idziemy do stosu.

Wkroczył między trolle, a te rozstępowały się pośpieszenie. Idąc wśród sinoskórych wojowników, w każdym zdawał się wyczuwać cząstkę samego siebie, owo ziarno wielkiej mocy. Za każdym razem, gdy wypowiadał słowa wypowiedziane mu przez Lokiego, gdy kolejna istota ludzka przeistaczała się w

wojownika wykutego z mrozu i starej wiary, on stawał się coraz silniejszy. Ciało właściwie przestało mu dokuczać. Dawne dolegliwości i bóle stanowiły tylko mgliste wspomnienie. Przez milczącą armię trolli kroczył wyprostowany i wysoki.

Za rogiem uderzył go potworny odór. Mróz stępił najgorsze, ale było oczywiste, że sterta ciał puściła śmierć na wiatr. Kiedy dowodzone przez Botolfa i Skeggiego trolle dotarły do wioski za długim domem, większość ludzi spała. Niektórzy umierali, broniąc się dzielnie, niektórzy uciekali, niknąc w śniegach, ale najrozsądniejsi od razu puścili się biegiem do przystani, wskakiwali na okręty i odbijali od brzegu, bez zapasów żywności, bez odpowiedniej odzieży. Teraz pewnie umierają na morzu głodni, zmarznięci i przerażeni. Tyle im dała ucieczka.

Valgard rozkazał trollom zgromadzić w jednym miejscu wszystkie ciała, jakie uda im się znaleźć, ale zadanie to wypełnili z nadwyżką. Stos trupów sięgał stu stóp wysokości.

- Pomyślałem, że powinniśmy to spalić - powiedział swobodnym głosem, ale nikt nie odpowiedział. — Och, jasne, macie rację — ciągnął - nie sposób zrobić tego z taką masą ciał i w takim zimnie. -Przechadzał się przez chwilę, marszcząc czoło w namyśle. — Potrzeba nam wiele... — Zamilkł i zachichotał. — Potrzeba nam drewna na podpałkę. Botolf? — Wielki troll stał w milczeniu. — Rozbierzcie długi dom.

Począł, aż myśl wypłynęła z jego głowy i zakorzeniła się w trollach, które w jednej chwili zabrały się do rozbierania gołymi rękami domu, nie zważając na spadające z dachu bryły śniegu. Tak długo i bez chwili wytchnienia kopały w ściany, aż grube belki zaczęły się łamać, a wówczas podawały kawałki drewna z rąk do rąk. Wokół stosu wkrótce uformował się krąg drewna.

- Bardzo dobrze - powiedział Valgard i sięgnął do pasa po krzesiwo.

Wcisnął wiązkę suchego mchu między dwie cienkie szczapy i zaczął uderzać krzesiwem, aż w końcu wykrzesał deszcz iskier i rozpałił hubkę.

Płomienie natychmiast objęły obie szczapy, wgryzły się w drwa i oblały pierwsze ciało martwego wikinga. Języki ognia syczały dziko, gdy zamrożone palce zaczęły tajać, a kiedy tłuszcz w jego skórze zaczął skwierczeć i skapywać, czerwony płomień skoczył i pomknął wyżej, nabierając barwy rozpalonej bieli. Grube smugi dymu uniosły się ku niebu, a woń pieczenia zaczęła wypierać odór zgniłego mięsa. Ogień, uporczywy i wygłodniały, płynął na kolejne drwa, aż stertę ciał otoczył pierścień żaru i błyszczące złościście powietrze. Trolle tymczasem dorzucały do ognia kolejne kłocce.

„Dość”.

Krzątanina wokół Valgarda zamarła, a trolle odwróciły się w stronę płonącego stosu. Buchający od niego żar nasilał się z każdą chwilą, topiąc śnieg, paląc odzież i włosy, obracając mięso w płyn, a drewno w popiół.

W nagłej ciszy Valgard wybiegł do nich myślą. Czuł ich jak mgłę na własnej skórze - ale trzeba im było więcej.

-Jeszcze drewna! — wrzasnął, gestykulując żywo.

Niema armia rzuciła się po meble, dorzucając do ognia połamane ławy i długie stoły, krzesła i stołki, wszystko, co pozostało jeszcze w rumowisku, co pochwycić mogły żarłoczne płomienie. Ciała na stosie zmieniały barwę, skręcały się i owijały wokół siebie jak robactwo usiłujące zerwać się z haka.

„Wyglądają jak żywi - pomyślał Valgard. - No, prawie”.

Byli coraz bliżej. Ostrożni, przebiegli, głodni. Czuł, jak przyciąga ich zapach bitwy i śmierci.

- Więcej drewna!!!

Tuż za nim ryknął troll, a kiedy Valgard odwrócił gwałtownie głowę, zobaczył, jak Ormslev taszczy z trudem masywne belki, które służyły wcześniej za drzwi do wielkiej komnaty Haakona. Uniósł je wysoko nad głowę, a mięśnie jego karku napięły się do ostatniego włókna. Olbrzymi troll przepchnął się przez tłum, postawił u stóp płomieni dolną krawędź wysokich na trzech mężczyzn drzwi i pchnął. Potężny kłoc drewna uniósł się, obalił na drugą stronę i runął w płonące ciała, puszczając w powietrze wirujący obłok

sadzy i popiołu. Wtedy środek stosu zapadł się raptem, płomienie wzbily się jeszcze wyżej, otulając wielkie drzwi, a one klapnęły w głąb ognia, który zahuczał dziko.

Nie zważając na żar, który zmusił trolle do cofnięcia się o krok, Valgard spojrział w stronę grzbietu wzgórza wznoszącego się nad Trondheim.

Stał tam wilk.

„Przyjdź tutaj, przyjdź do mnie”.

„Przyjdźcie wszystkie”.

Parę chwil później zbcze pociemniało od czworonożnych sylwetek zmierzających w stronę płonącego stosu.

Kiedy płomienie wygasły, Valgard za pomocą okrętowych bosaków powyciągał z pogorzelniska resztki ciał, które miały posłużyć jako przynęta dla wilków.

— Prawdopodobnie moglibyśmy przywabić wilki gdzieś po drodze - powiedział do Botolfa. — Ale doszedłem do wniosku, że tak będzie szybciej. Poza tym takie ognisko to dobra zabawa.

Za jego plecami ostatnie promyki słońca padały na stos kości, niemal białych na tle zwęglonych ciał.

Oswojenie wilków było łatwiejsze, ale z drugiej strony trudniejsze niż stworzenie trolli. Ich umysły były prostsze, ale głód znacznie, znacznie większy. Przy każdej próbie groziło mu, że sam zostanie wciągnięty w przemianę, i kosztowało go wiele wysiłku, aby się z tego wyrwać.

- Teraz odpoczniemy - powiedział do wiecznie milczącego Botolfa. - Jutro idziemy dalej.

Jedyną odpowiedzią był szum wiatru i trzaski dopalających się żagwi w żarzącym się stosie. Valgard zasnął, zadowolony i bezpieczny.

*

Obudził go siarczysty policzek. Czyjaś silna ręka zgarnęła mu koszulę pod szyją i dźwignęła bezceremonialnie w górę. Mężczyzna był bardzo wysoki, o wiele wyższy od niego, i piekielnie silny.

„Posuwasz się za daleko, śmiertelniku”.

Głos wypełnił mu głowę i odbił się echem po całym jego jestestwie.

- Ja nie chciałem... - odpowiedział Valgard, ze wściekłością słysząc potulność w swoim głosie.

„Nie chciałem...”

Głos spływał na niego z najgłębszą pogardą i Valgard, nagle przestraszony, spojrział w twarz mężczyźnie, który trzymał go za kołnierz. Loki, Bóg Oszust o gładkiej skórze i ogolonym licu, patrzył na niego z nieskrywaną odrazą.

„Jesteś pijany władzą, śmiertelniku, a pragnienie twoje większe, niżli zdołasz wypić”.

„Gromadzisz armię?”

„A potem co?”

Trondheim wokół nich wyglądało jak odbicie w tafli jeziora.

- Możemy pójść do Bifrostu - odparł Valgard. - Sam to powiedziałeś.

„Nie waż się! - warknął Loki. - Nie waż się, gnido, wmawiać mi, co powiedziałem, a może nie powiedziałem!!!”

Ucisk pod szyją spotężniał i Valgard poczuł, że jego serce zaczyna bić trwożliwie w piersi.

„Uratowałem cię. Stworzyłem cię. Jesteś moim tworem i będziesz robił, co każę ci robić”.

- Zasłużyłem na to - zaskrzeczał Valgard.

Loki spojrział na niego i roześmiał się głośno. Potem Bóg Psoтник splunął mu w twarz.

Wszystko zasnuła czerń. Ptaki odleciały z drzew. Pełną napięcia ciszę zmąciło słabe syczenie, a na powierzchni pojawiło się kilka pęcherzyków - wówczas Valgard się uwolnił. Po raz pierwszy w życiu poczuł się pełny i silny. Szarpnął się i wyrwał na świat, cały, jego zakrzywione kły, długa szyja i włókna mięsa ułożone w potężny mięsień opinający smukłe ciało. Cztery przysadziste, mocne łapy, zakończone tnącymi pazurami, wcinały się w ziemię i pchały go naprzód. Las nikł w dali. Nagle znalazł się w Trondheim, górujący nad Lokim, bez trudu uwalniający się z jego uścisku, jakby bóg był małym

dzieckiem.

„Proszę...”

Było to ostatnie słowo wypowiedziane przez Lokiego. Szczęki Valgarda zacisnęły się w biodrach i przegryzły ciało na dwoje.

Uczucie było... dziwne.

Świat smakował jak nabrany w płuca oddech. Przez chwilę stał, na nowo stworzony, potwór na czterech nogach, z długą, muskularną szyją i smoczym łbem - a potem wlała się w niego dusza boga i Valgard stracił przytomność.

Uczta przy stole... ochryply rechot... rumieniec wstydu... słowa gniewu... smak powietrza w gaju... jakiś ślepy bóg... okrzyki grozy... uczucie zimna na łuskach... zimne okowy na rękach... ból...

Tyle bólu.

Ciało Valgarda znów zaczęło ulegać przemianie, ścieśniając się, rozpierając, ponownie przybierając kształt człowieka. Wokół znów pojawiło się Trondheim, a człowiek przed nim zwolnił powoli ucisk i opuścił ręce. Człowiek, w którym przed chwilą widział Lokiego, wcale nie wyglądał jak bóg: wciąż był bardzo wysoki, bardzo przystojny, ale nie wzbudzał już takiego strachu.

Spojrzał na Valgarda, a w jego oczach kryło się wielkie zmęczenie.

- Dziękuję - powiedział.

„Dziękuję? Za co? Dlaczego?”

Loki popatrzył na Valgarda i się uśmiechnął.

„Za co? Dlaczego?”

Gdy Valgard wyciągnął do niego rękę, Loki rozplątał się i przeciekł mu przez palce.

*

Właściwie nie było to uczucie przebudzenia, a raczej powrotu z dalekiej drogi. Pierwsze, co go uderzyło, to powiew, nie, smak powietrza. Miał w sobie wszystkiego po trochu, kosmyki i smutki ciągnące się na cały świat i wonie rodzące w nim pewność, że jest w stanie wyczuć wszystko i wszędzie, każde stworzenie, żywe czy umarłe.

Dopiero potem otworzył oczy i zobaczył.

Zobaczył trolle, niespodziewanie czujne wobec niego, cofające się przed nim jak zbite psy, poza Botolfem, który ugiął się nisko w niezdarnym pokłonie. Zobaczył też wilki, ze zwieszonymi łbami i spuszczone uszami, jeden po drugim w całej watasze.

-I słusznie - powiedział Valgard.

Jego głos zabrzmiał inaczej niż zwykle, jakby bardziej miękko, a zarazem mocniej. Rozejrzał się po zgromadzonej armii i uśmiechnął mimowolnie. Ludzie ulegali przemianie, rośli na jego oczach. Pamięć tego, czym niegdyś byli, rozciągała ich, rozszerzała, zmuszała do uniesienia i pozostania tym, czym być teraz mogli.

- Zasłużyłem na to.

Przeciągnął się, rozluźnił ramiona, kciukami dotknął koniuszków palców i przejechał dłonią po długich, połyskujących włosach. Moc go rozpierała, błagając o jakiś figiel.

- Pięknie, pięknie, nie powiem — rzucił do milczącej widowni. — myślę, że stać nas na dużo więcej.

Zamknął oczy i pomyślał o dźwięku, jaki chciałby, żeby zaistniał w świecie, i moment później setki gardeł dołączyły do chóru cych wilków.

- Looki!

Valgard uśmiechnął się i odwrócił w stronę Południa.

-Teraz już lepiej. Chodźmy.

Stenvik, zachodnia Norwegia,

późny grudzień roku Pańskiego 996

Niebo się roz pogodziło, wyszło blade słońce z ukrycia i grupy robocze zaczęły się już gromadzić na brzegu. Ludzie palili się, żeby coś robić, cokolwiek, a stary człowiek okazał się znakomitym zarządcą. Finn musiał to przyznać ze wstydem, ale był więcej niż zadowolony, że mógł zostawić króla samego, a jednocześnie nie czuł specjalnie żalu, że kierowanie budową oddał w inne ręce. Od dnia przybycia do Stenviku król chodził stałe napięty, denerwował się byle czym, wpadł w nawyk oglądania się stale za siebie, modlił się dwa razy częściej niż wcześniej. Było oczywiste, że w Trondheim coś się wydarzyło, ale nikt nie umiał powiedzieć co. Finn wiedział, jak wiele królowi Olafowi zawdzięcza, ale zaczynał odnosić wrażenie, że żyje obok zamkniętego w klatce wilka. Poza tym król czuł się coraz gorzej i niemal nie wychodził z komnaty. To zaczęło się mniej więcej od dnia, gdy Finn wpadł przypadkowo na Fjólnira, więc król nie miał jeszcze okazji poznać cieśli okrętowego.

Z punktu widokowego na wałach Finn patrzył na toczące się w dole prace. Ludzie uwijali się wokół siwowłosego starca, który ustawił warsztat tuż przy skarpie opadającej łagodnie do morza. Fjólnir krzyknął: „Tam, tam!” i wskazał coś ręką, a zwalisty najeźdźca cisnął drewnianą belę i odsunął się od linii wodnej. Potem przesunął ją parę kroków, jeszcze o kilka i jeszcze kilkanaście, w miarę jak starzec krzyczał: „Dalej! Dalej!”.

Udało im się odzyskać wiele nadpalonych desek z zabudowań starego miasta, a jedna z grup otrzymała zadanie ścięcia i ociosania pobliskich drzew. Starzec kazał im brać się do pierwszych, jakie zobaczą, przynajmniej na razie. „Stop!” - ryknął znowu, krzyknął coś jeszcze, jego głos poniósł wiatr, ale Finn nie zrozumiał słów.

Znowu krzyk. „Nie! Tyle wystarczy!” Starzec odwrócił głowę i spojrzał na wały, a Finn podniósł rękę, by potwierdzić, że wszystko idzie doskonale, chociaż z miejsca, gdzie stał, budowany szkielet wyglądał bezsensownie. Zewsząd sterczały dziwaczne rozpory, na pozór bez ładu i składu, i trudno było znaleźć coś, co miałoby łączyć je w całość.

- Skończyliśmy! - krzyknął z dołu Fjólnir. - Czas ruszyć!

Finn zbiegł po schodach i wyszedł przez południową bramę grodu. Kiedy dotarł na miejsce, Fjólnir zdążył już uformować grupy i wyposażyć ludzi w liny.

- Prosiłem Finna o najsilniejszych ludzi i dał mi całe ich dobrodziejstwo — mówił z wesołym uśmiechem do niedźwiedziowatych wojowników. — Cóż więc, będzie musiało wystarczyć nam to, drogie paniusie, co udało się wam przytaszczyć.

Mężczyźni odwzajemnili uśmiech, a Finn poczuł ukłucie zazdrości. Zwykle musiał ciężko pracować na każdą chwilę, w której wojownicy uznawali jego przywództwo, toteż widok takich ludzi jak Fjólnir, bez trudu zdobywających respekt podwładnych, wywoływał w nim szczerą złość.

- W takim razie ruszajmy. Dopóki jest jasno - zakomenderował Fjólnir.

Wyszli na północną drogę prowadzącą do lasu. Finn siłą woli musiał tłumić drżenie serca na widok każdej nadłamanej gałązki czy nacięć na drzewach. Każdy ciemny cień przywoływał w nim wspomnienie najeźdźców ze Stenviku, umykających i kluczących po dobrze sobie znanym, własnym terenie, wciągających pościg w mrok i gęstwinę. Do lasów wokół Stenviku uszło mnóstwo mężczyzn, silnych i uzbrojonych.

Nieliczni tylko wrócili do grodu.

I gdzieś w tym lesie znajdowały się groby dwóch siwowłosych wojowników. Groby, co do których miał więcej niż pewność, że zieją pustką niczym trupi oczodół.

Z każdym krokiem jednak złowieszczy las budził coraz mniejsze obawy. Idący na czele siwowłosego cieśla nie tylko zdawał się dokładnie wiedzieć, dokąd iść, ale wyglądał na człowieka, którego wędrówka do lasu cieszy.

- Uwaga, chłopcy, czas pomoczyć kostki - zawołał, podnosząc nogę z odgłosem mokrego mlaśnięcia.

Wśród ludzi poniósł się pomruk niezadowolenia, ale weszli za starcem na moczary, starając się jak

najostrożniej stapać. Wszyscy znali opowieści o nieszczęsnym wędrowcach wciąganych w ziemię po nierozważnie postawionym kroku - na niechybną śmierć.

Fjornir szedł jak gospodarz obchodzący własne pastwiska.

- Uwaga z lewej! - ostrzegł, a moment później jeden z ludzi krzyknął przerażony, gdy zapadła się pod nim ziemia.

Najbliżej idący kompani chwycili go z obu stron pod ramiona i wyciągnęli na twarde gruntu.

Wojownik był po uda umazany cuchnącym szlamem błotnym i kawałkami paproci.

-To się dzieje szybciej, niż myślicie, chłopcy - ostrzegł Fjornir.

Niedługo potem starzec podniósł rękę i zwolnił. Finn dałby głowę, że stara się wyczuć coś pod stopami.

-O... mam! — zawołał nagle Fjornir. — Wszyscy patrzeć na mnie! - Żwawo przeszedł nieco dalej. - To miejsce tutaj - wskazał na lewo - i to tutaj - parę szybkich kroków w prawo - są całkowicie bezpieczne. Chodźcie.

Zrobił stanowczy gest ręką i wojownicy, stąpając ostrożnie, ustawili się w długiej linii, oddzieleni od siebie odległością trzech ludzi.

- Tu biegnie krawędź, wycujcie ją stopami.

Finn patrzył z tyłu, jak czternastu nieustraszonych wojowników dotyka czubkiem buta powierzchni mokradła niczym dzieci sprawdzające wodę w jeziorze.

- Teraz czas zamoczyć dłonie! - powiedział starzec z nutką rozbawienia w głosie.

Pochylił się i zanurzył ręce po łokcie w bagnie, a potem podniósł głowę do stojącego obok mężczyzny.

- Chwytaj, chłopcze - rozkazał.

Zdezorientowany wojownik niepewnie wsadził ręce w bagno i Finn od razu zauważył, jak napinają się mięśnie na jego barkach; najwyraźniej na coś trafił. Fjornir tymczasem szedł już wzdłuż szeregu, odliczając kroki. Po mniej więcej piętnastu zatrzymał się i padł na kolana.

Z daleka spojrział na klęczącego z drugiej strony wojownika.

- Gotowy?

Mężczyzna przytaknął.

- W górę!

Obaj naprężyli wszystkie mięśnie i powoli, z wielkim wysiłkiem, zaczęli coś wyciągać z trzęsawiska. Ich palce oplatały się wokół grubych, pokrytych oślizgłym szlamem powoi, nie, to nie były powoje, lecz zwykłe sznury. Kiedy ciągnęli, ziemia między nimi się poruszyła i uniosła, a po chwili, wolno, ale pewnie, wydobyli parę długich, mokrych i śliskich desek.

- Proszę bardzo! — Fjornir krzyknął do Finna przez ramię. - Oto twój okręt!

Ludzie nie czekali na polecenie i zaczęli przeszukiwać rękami bagno, pokrzykując do siebie, a Finn stał z tyłu i patrzył, jak z naturalnego, ciemnego i wilgotnego magazynu wyciągają idealne, gładkie drewno. W parę chwil uformował się wąż ludzi podających sobie deski z rąk do rąk i wkrótce nad brzegiem mokradeł wzniósł się stos równo ułożonego budulca.

-Jeszcze w Trondheim rozmawiałem z cieślami Sigurda - mówił Fjornir, pokazując się nagle u boku Finna, który niemal podskoczył ze strachu, z trudem maskując zdenerwowanie. - Powiedzieli mi, że niewykorzystane drewno trzymają głęboko w mokradłach, z dala od mrozów i słońca.

- Mądrze - stwierdził Finn. - Ale czy deski nie będą za małe?

- Znajdziemy sposób, aby je rozciągnąć - stwierdził starzec z uśmiechem, podczas gdy za ich plecami rósł stos drewna.

Kilku wojowników odeszło z pierwszą partią desek i wróciło z dużą grupą ludzi pracujących przy okręcie. Finn doznał uczucia, jakby unosił się w powietrzu wpółodurzony, a Fjornir szedł na przedzie, wykrzykując komendy, rady i doskonale wyważone złośliwości pod adresem wojowników, którzy

reagowali wesołością, raz po ra wybuchając rechotem.

Wówczas wkradła się do głowy pewna myśl. „To może się udać”

*

Na plaży dźwięczały uderzenia młotów, a topory wcinały się drewno Fjolnir zdawał się być wszędzie, dyrygując i zachęcając do pracy. Pod jego bacznym okiem deski szybko zaczęły nabierać rozpoznawalnych kształtów. Starzec przyprowadził drugiego cieślę, tęgiego osiłka z potężnym młotem i gęstą czupryną na głowie, którego trzymał wyłącznie na własne potrzeby. Finn lubił na nich patrzeć z wałów, gdy uwijali się nad wodą jak mrówki.

Chwilę zadumy przerwał mu płynący z dołu głos Einara Tambarskelfa:

- Witaj, Finnie!

Młody wojownik sadził długie kroki i chwilę później stał już obok niego.

- Król chce wiedzieć, jak idą prace.

- Sam zobacz — odpowiedział Finn.

Einar spojrział w dół w stronę nabrzeża, mruknął pod nosem coś niezrozumiałego i przeżegnał się.

-To jest...

- Nie inaczej! — przerwał mu Finn. - Jest, i rośnie bardzo szybko.

Zaczął szukać oczami Fjolnira, by pokazać go Einarowi, ale siwowłósy starzec jakby się zapadł pod ziemię.

- Widzę - stwierdził z uznaniem Einar. - Król będzie zadowolony.

-Jak się miewa?

- Nie najlepiej - odpowiedział młody wojownik. - Trawi go gorączka, majaczy, ma jakieś zwidy, wciąż mówi o jakimś sinym człowieku. Mamy wszyscy nadzieję, że szybko wydobrzeje, ale, szczerze mówiąc, niewiele możemy zrobić poza tym, aby karmić go rosołem i słowami otuchy.

Finn splunął za mur.

- Bóg ma go w swojej opiece - powiedział.

- Oczywiście — odparł Einar.

Poklepał Finna po dłoni i odszedł.

- Rosół i słowa otuchy — mruknął do siebie Finn. - Tak się, kurwa, walczy o królestwo.

W dole, zza rosnącej w oczach burty okrętowej, wyszedł Fjolnir. podniósł w geście pozdrowienia rękę. Finn odwzajemnił gest.

Potem przyjrzał się uważniej. Starzec najwyraźniej dawał mu znak. Rękę trzymał wciąż uniesioną, dłoń zaciśniętą, ale trzy palce wyprostowane.

Trzy dni.

*

W długim domu cuchnęło chorobą i Finn miał ochotę rozwalić ścianę, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. Rosół i słowa otuchy zdawały się jednak przynosić dobry skutek, ponieważ samopoczucie króla zdecydowanie się poprawiało.

-Czy to prawda, Finnie? — zapytał z szeroko otwartymi oczami i uśmiechem na twarzy. — Nie mówisz mi tylko tego, co pragnęłyby usłyszeć moje uszy?

- Nie, królu — zapewnił Finn. - Ja... my... pracujemy naprawdę ciężko, na chwałę Pana naszego. - Przeżegnał się. - Wierzmy, że jutro możemy wodować okręt.

Król patrzył na niego dłuższą chwilę zadziwiony, a potem wybuchnął ochryplym śmiechem i uderzył dłonią w udo z taką siłą, że Finn aż podskoczył.

-Jutro! Finnie Szczerze Serce, jesteś oddanym żołnierzem Pana i miejsce twoje w niebiosach jest więcej niż pewne. Co z żaglem?

- Żagiel nakazałem szyć dwa dni temu. Jutro ma być gotowy.

Król podniósł brwi.

-W trzy dni? Ilu ludzi go szyje?

Tym razem to Finn mógł się uśmiechnąć.

- Dwustu - odpowiedział, a widok królewskiej miny przyprawił go niemal o śmiech. - Na własne oczy widziałem los tych, którzy cię nie zadowalali, mój królu.

Olaf się uśmiechnął.

- Jutro wyjdę na wały i będę patrzył na wodowanie - oznajmił.

A jeżeli wszystko odbędzie się tak, jak zapowiadasz, będę prosił cię o jeszcze jedną rzecz, Finnie.

*

Świt podnosił się nad drzewami od wschodniej strony, wypełniając świat szarością. Finn ziewnął przeciągle i poruszył szczęką, żeby się pozbyć nieprzyjemnego uczucia sztywności. Przeciągnął się i spojrzał w dół.

Wzdłuż brzegu Stenviku, od wschodniego krańca po zachodni, ciągnęły się łupieskie okręty wikingów, z pełnymi załogami na pokładach, gotowe do odpłynięcia. Trzydzieści dziewięć statków, na każdym sześćdziesięciu ludzi. Jedyne wolne miejsce na nabrzeżu znajdowało się zaraz na zachód od pomostu. Była to spora szczelina szerokości mniej więcej pięciu średnich statków, wyłożona kłodami leżącymi równo jedna przy drugiej, równoległe do linii brzegowej.

- Finnie! — zabrzmiał z dołu krzyk króla.

-Tutaj! - odkrzyknął potężny wojownik, patrząc z góry na twarz Olafa.

Była wychudzona i ściągnięta, ale jaśniała wewnętrznym blaskiem.

- Wchodzę na wały! - Jeśli choroba osłabiła króla, to nie dawał tego po sobie poznać; szybkimi krokami wszedł po schodach. - Okręt gotowy?

Finn spojrzał na nabrzeże.

- Gotowy.

Król Olaf zrobił jeszcze dwa kroki i stanął przy murze z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzył, jego usta rozchyliły się bezwiednie.

Król zrobił głęboki wdech. Nastąpiła długa cisza, a potem rozległo się syczenie, gdy wypuszczał z płuc powietrze.

- Piękny - szepnął.

Finn wciąż nie potrafił nazwać tej budowli okrętem. To był potwór w czystej postaci, półtora raza większy od największego drakkara, jakiego w życiu widział, i bez mała dwa razy szerszy. Każda z pięćdziesięciu sześciu ław mieściła czterech wioślarzy. Cały dzień szukali odpowiednio wiekowego drzewa na maszt. Finn zdołał opleść je ramionami, ale palce jego dłoni nie stykały się po drugiej stronie. Już sama waga drzewa zmusiła ich do wzmocnienia rozpór, gdyż pierwsza para pękła natychmiast w trzech miejscach.

Okręt był przepiękny w swym ogromie.

-Tak im pokażemy - powiedział obok król. - Tak pojmy. Dotychczas używaliśmy słów.

Podejmowaliśmy działania. Tym razem sam widok sprawi, że zrozumieją. *Długi Wąż* wszędzie będzie budził strach.

„Strach - pomyślał Finn. - To brzmi więcej niż dobrze”.

*

Ziemia pod stopami przywróciła królowi siłę i energię, a jego krokom sprężystość. Tunel zachodniej bramy pachniał zimnym powietrzem i wilgotnym kamieniem. Ta woń napełniała go życiem. Teraz była to woń siły, pełnych płuc i wiatru w żaglach. I tego się uchwycił. Światło na końcu tunelu było jak słońce wychodzące zza chmur. Za kamienną, łukową bramą czekało go wsparcie tysiąca ludzi, najpotężniejszy okręt, jaki kiedykolwiek zbudowano, i jasna misja, z którą powinien podążyć, głosząc dalej Słowo Pana. Odegnął myśl o tym, co może go czekać na Północy, i wkroczył w światło kończące tunel.

Finn patrzył, jak król wyłania się z bramy. Ryk z setek gardeł odbił się od grodu, ale ucichł szybko,

gdy ponad wszystkimi rozległ się głos króla. Finn nie musiał słuchać słów. Doskonale znał tę pieśń, wiedział, jak rozpala iskry w oczach ludzi, wiedział, jak pęcznieją z dumy za każdym razem, kiedy przenika ich żarliwość króla Olafa.

-Jest dobry, prawda? — powiedział Fjolnir.

Cieśla stał tuż za nim, mrużył oczy i patrzył na dół spod gęstych brwi.

- Na miłość boską, człowieku! - warknął Finn, wydobywszy już do połowy nóż zza pasa. - Jakim cudem ty jeszcze żyjesz, skoro tak cicho podchodzisz ludzi?

Fjolnir się uśmiechnął.

- Hałasuję tylko wtedy, gdy trzeba - odpowiedział.

- *Długi Wąż* to piękny okręt - powiedział Finn.

- Bez wątpienia - odparł Fjolnir. - Poniesie was tam, gdzie macie popłynąć.

- Co znaczy: was? - zapytał Finn.

Starzec znowu się uśmiechnął. Jego oblicze było nieustannie przekrzywione, jakby jego głowa została wykoślawiona w niegasnącym rozbawieniu.

Finna ogarnął przypływ złości. Musiał odetchnąć głęboko, aby stłumić w sobie odruch usunięcia ręką tego złośliwego uśmiešku z siwobrodej twarzy.

- Wodujemy - powiedział. - Bez zwłoki.

- Oczywiście, oczywiście - odparł Fjolnir. - Oczywiście, że wodujemy. Idź już - dodał. - Ja zaraz dołączę, mam jeszcze coś do zrobienia.

Finn rozejrzał się i nagle poczuł, że wały Stenviku wydają się wyższe. W piersi tak go rozpiezło, że miał wrażenie, jakby serce chciało się wcisnąć między żebra.

- Morze - powiedział stary człowiek. - Otwarte morze. Potrafisz sobie wyobrazić ten zachwyty? Tę wolność?

Zejsście na nabrzeże Stenviku stało się teraz dla Finna najważniejszą rzeczą w świecie. Odwrócił się i pobiegl w stronę zachodniej bramy.

- Nie spóźnij się — zawołał przez ramię do starego cieśli. - Masz niewiele czasu.

- Wiem - odpowiedział Fjolnir. - Wiem.

*

Zimny kamień tunelu zdawał się pochłaniać wszelki dźwięki z zewnątrz i Finn czuł się tak, jakby znajdował się pod wodą. Coś go odpychało od Stenviku. Nie było drogi powrotnej do grodu. Stąd mógł już tylko dojść do *Długiego Węża*. Smuga światła z zewnątrz dotknęła jego stóp, pomknęła wzdłuż ciała i moment później, jak gdyby nigdy nic, był już poza grodem, a ciężar spadł mu z piersi.

Król Olaf, stojący przy maszcie *Długiego Węża*, wydawał się maleńki. Wzdłuż brzegu tłoczyło się dwa tysiące ludzi, załogi i ich kapitanowie, rozciągniętych w pasie głębokim na pięć, sześć osób, a wszyscy wychylali głowy, wpatrzeni w króla.

- ...a oni osądzeni zostaną! - zakończył triumfalnie Olaf.

Ryk był ogłuszający, każdy rwał się do czynów, każdy chciał uciec z tego otoczonego wałami więzienia.

-Wojownicy! Na pokład!!! - krzyknął król.

Tłum na nabrzeżu ruszył do działania. Wszyscy poza jedną załogą, która pozostała na brzegu i ustawiła się przy opadającym ku wodzie rzędzie kłód.

Król odwrócił się do Finna.

-Twoja kolej - mruknął z ironicznym uśmieżkiem na twarzy.

Olaf z niezwykłą lekkością postawił nogę na jednej z rozpór, przeskoczył na drugą stronę, a stamtąd do *Długiego Węża*, niknąc na moment z pola widzenia.

Finn usłyszał w pobliżu jakiś niewyraźny pomruk, ale nie zastanawiał się nad tym. Za to odchrząknął głośno.

- Więc uwaga, leniwe, zasrane bydlaki!

Zamilkł na chwilę, żeby się uśmiechnąć. Z tysiąca ludzi sam osobiście wybrał dwustu najbardziej hardych wojowników i najsilniejszych wioślarzy, a widok muskularnych ramion i szerokich barków kazał mu wierzyć, że dokonał właściwego wyboru. Potrzebował ich wszystkich. Ze starym cieślą ocenili, że bestia waży prawie trzy razy więcej niż zwykły okręt.

- Uwaga, stanąć, jak ćwiczyliśmy! Pierwsza zmiana z lewej, druga z prawej!

Ludzie rozdzielili się na dwie równe grupy i stanęli w szeregach z obu stron okrętu. Finn rozejrzał się nerwowo. Gdzie, do cholery, jest Fjolnir? Za późno, za późno. Zdawało mu się, że zza burty czuje wielkie oczekiwanie króla Olafa.

- Zwalić tylne wsporniki! — krzyknął.

Odpowiedziały mu dwa wrzaski.

- Tylne wsporniki zwalone!

Zaraz potem usłyszał za plecami, jak dwie potężne rozpory spadają na ziemię.

- Zwalić środkowe wsporniki!

Znowu huk padających belek.

Dobiegły go okrzyki wzdłuż obu szeregów, gdy ludzie naporli na okręt, utrzymując go w równowadze na belce nie szerszej niż jego rozpostarta dłoń. Wszyscy już nie raz wodowali okręt, jednak żaden nie był takiej wielkości. Tutaj przechył na którąkolwiek za stron mógłby zmieścić całą załogę. Również Finn czuł, jak poci się na skroniach, mimo zimna.

- Zwalić przednie wsporniki!

Stęknienia i oddechy wzmogły się w jednej chwili, gdy ludzie z jeszcze większą siłą utrzymywali okręt w równowadze.

Finn wciągnął powietrze w płuca. To będzie najważniejsza komenda, jaką wydał w życiu.

- Pchać!

Z gardeł dwustu wojowników wydarł się ochrypły, narastający, niski pomruk. Nogi wbiły się w zimną ziemię, a okręt drgnął i przesunął się o długość palca.

- Pchać!!!

Pomruk przemienił się w ryk. Znowu długość palca. I znowu.

- Pchać!!!

Kil okrętu najechał na pierwszą kłodę i wzdłuż kadłuba popłynęła lekka wibracja, wyzwalając w setkach nóg nowe siły. Ludzie gardłowali do siebie, charczeli jak niedźwiedzie, klęli na czym świat stoi, aż w końcu okręt znowu się ruszył. Następna kłoda przetoczyła się nieco, zanim ciężar okrętu wcisnął ją w grunt. Wystarczyło to, aby dotknęła kolejnej kłody, a tamta znów kolejnej. Ludzie nabrali tempa i przyspieszyli kroku. Mięśnie trwały w napięciu, nie ustawał ogólny ryk. Zdawałoby się, że to jakiś jazgotliwy potwór prze naprzód i nie chce oddać ani piędzi swego terytorium. *Długi Wąż* posuwał się coraz pewniej w kierunku wody. Na oczach Finna jeden z ludzi stracił równowagę, ale wojownik obok zdążył uderzyć go łokciem w żebra z taką siłą, że ten zatoczył się w tył i upadł, umykając spod tratujących nóg i miażdżącego kila. „Można i tak ratować życie” - pomyślał Finn.

Ani się obejrzał, a pozostało tylko pięć kłód, potem trzy i nagle podniosła się wrzawa radości, gdy *Długi Wąż* po raz pierwszy musnął wodę i zaraz poszedł dalej, wcinając się w napływające na plażę fale, łapiąc balans i gubiąc ciężar, a ludzie weszli za nim do wody, wznosząc z ostatnim pchnięciem okrzyki na wiwat.

Dopiero gdy *Długi Wąż* zakołysał się na wodzie, Finn pojął skalę okrętu. Stojące w porcie Stenviku statki wikingów wyglądały przy nim jak zabawki. Przy sterze stał król Olaf, dumny jak ojciec, wyprostowany jak struna, patrzył z daleka na gród, a potem na ludzi wdrapujących się po burcie na pokład, a jego twarz pałała triumfem.

- No cóż... — mruknął Finn.

Rozejrzał się, ale Fjólnira wciąż nie było. Ostatni członkowie załogi brodzili za rufą, by wejść na okręt, z burt wyszły już pierwsze wiosła utrzymujące statek w równowadze i z dala od płyczn.

- Przynajmniej ja jestem na czas...

Przeszył go dreszcz od zimnej wody, ale szedł dalej. Po chwili jego zrogowaciałe, wielkie dłonie chwyciły świeżo pomalowaną burłę, i Finn Szczerze Serce wdrapał się na pokład *Długiego Węza*. Uświadomił sobie, że nie było mieszkańca Stenviku, który nie stałby teraz na wałach grodu i nie patrzył na okręt, a każdy z nich będzie opowiadał potomkom o tej wiekopomnej chwili. Finn stał się częścią historii.

- Ciągnąć! - krzyknął król Olaf głosem drżącym od emocji.

Finn poczuł furkot, gdy masywny żagiel powędrował w górę, a na brzegu rozległy się okrzyki na wiwat. Ogromny czarny krzyż na białym płótnie będzie widoczny z odległości wielu mil, właśnie tak, jak chciał król. „Niech widzą - mówił. - Niech widzą, niech rozmyślają, niech się zastanawiają, jak będą sądzeni”. Jego oczy zdawały się sugerować, że dla większości z nich wynik tego sądu będzie wielce podobny.

- Król chce cię widzieć — powiedział za jego ramieniem Einar. Finn zerknął w stronę dziobu, gdzie stał król Olaf. Odwrócił się w chwili, gdy żagiel został całkowicie podniesiony, a gród coraz szybciej pozostawał w oddali.

Zadziwiające było nawet przejście między rufą a dziobem. Środkowa kładka była tak szeroka, że po każdej jego stronic swobodnie mógłby iść jeszcze jeden człowiek. Wojownicy na ławach musieli się przyzwyczaić do czterech stanowisk przy jednym wiosle, ale wszyscy byli doświadczonymi wiosłarzami i szybko złapali odpowiedni rytm. Gdy Finn dotarł do króla Olafa, ten stał wychylony za burłę i patrzył, jak dziób tnie fale, wysyłając pod niebo bryzgi wody. Zimne powietrze wychwytywało mgiełki wody i nikle, słabe promienie słońca.

- Einar dużo mi opowiadał o budowie okrętu - powiedział król Olaf. - Wykonałeś kawał dobrej roboty.

- Na chwałę Pana - odparł Finn.

- Nie miałem pojęcia, że masz taki talent, Finnie - ciągnął król. - Gdzie nauczyłeś się budować statki?

- Ja... eee... to dziwne - powiedział Finn - ale kiedy wyszedłem wtedy z długiego domu, spotkałem cieśnię okrętowego. Nazywał się Fjólnir. Miał pomocnika, takiego niskiego, barczystego cieśnię z młotkiem.

Król odwrócił się i spojrzał na Finna podejrzliwie.

- Einar nic mi o nich nie wspominał.

Finnowi słowa uwięzły w krtani.

- Ale... ale... ten człowiek naprawdę...

Naraz król Olaf uśmiechnął się błogo i spojrzał na Finna, na wskroś Finna.

- Rozumiem. Nie kłopotz się, Finnie Szczerze Serce. Wiem, co próbujesz robić, i widzę, co rzeczywiście zrobiłeś. Hołub dalej swoją pokorę, a niebiosy ci to wynagrodzą. — Król, zadowolony ze swoich słów, odwrócił się i wbił wzrok w horyzont.

Oszołomiony prędkością i ogromem okrętu, Finn najwyższą siłą woli odwrócił wzrok od głowy króla. Cekał jeszcze na wyjaśnienia, ale król zignorował jego obecność, przedkładając ponad nią szum morskich fal.

Ostatecznie pozostało mu wrócić do masztu i patrzeć, jak Stenvik przemienia się w ciemny punkcik na dalekim brzegu.

Przy maszcie czekał na niego Einar.

- Ludzie powiadają wiele ciepłych słów o twoim dowództwie, Finnie - powiedział uroczyście młody żołnierz. - Nie mnie to mówić, ale ten okręt to prawdziwe чудо. A ty pokazałeś nam, jak go zbudować.

-Ale ja... — zaczął Finn, szukając w pamięci starego cieśli, ale zapamiętał jedynie ogorzałą twarz z jednym okiem kaprawym, a drugim zdrowym, mrugającym do niego wesoło.

Przed jego oczami przesuwały się kolejne obrazy: wykopywanie z mokradeł desek, dopasowywanie elementów drewna, dowodzenie ludźmi, pokrzykiwanie na nich, obrzucanie się z nimi nawzajem przekleństwami.

Finn spojrzał w górę.

Na niebie krążyły dwa kruki. Patrzyły na nich z wysoka. Gdy zobaczyły, że Finn je dostrzegł, zakrakały donośnie.

Dla Finna krakanie zabrzmiało jak drwiący śmiech.



Rozdział 13

Dałarna, zachodnia Szwecja, późny grudzień roku Pańskiego 996

Przy granicy ze Szwecją, dalej na północ, Sven przeciągnął ramiona i skrzywił się na odgłos stawów wskakujących z powrotem w miejsce, w którym były wiele, wiele lat temu.

- ...a potem powiedział, że Odyn kazał mu iść na Grań Szubienic - dokończył.

Sigurd zamknął powieki, westchnął i potarł czoło. Między nimi dopalały się z trzaskiem ostatnie, cienkie polana w ognisku.

- Wierzysz mu? — zapytał.

- Tak — odpowiedział Sven bez wahania. — To łgarz, jakich mało, ale aż tak dobrze nie potrafi kłamać.

- Kto jak kto, ale ty się na tym znasz najlepiej - powiedział Sigurd z uśmiechem.

- Phi... — Sven prychnął z udawanym rozdrażnieniem.

-W każdym razie oznacza to, że podjęliśmy słuszną decyzję -stwierdził Sigurd.

- Tak - przyznał Sven.

- Prześpimy się z tym, a potem wyznaczymy sobie dokładną drogę.

- Kierunek góry? — zapytał Sven.

-Tak.

Sven popatrzył Sigurdowi w oczy.

- Wiedziłeś, prawda?

- Nie - odparł Sigurd. - Nie wiedziałem. - Stary wódz wbił wzrok w ciemność, jakby usiłował coś sobie przypomnieć. - Ale podejrzewałem, że nie uda nam się dotrzeć do Trondheim. Zresztą kto wie. Może o tej porze roku na Grani Szubienic będzie przyjemnie.

Sven znowu prychnął.

- Akurat - powiedział, wchodząc pod stos koców w swoim szałasie. -Jutro rano?

- Jutro rano - odpowiedział Sigurd, patrząc, jak przyjaciel zasypia w okamgnieniu, jak zawsze łatwo i szybko.

Zanim Sigurd Aegisson wszedł do własnego szałasu, ostatni żar ogniska już wygasi.

„Mieszkańcy Stenviku nauczyli się żyć jak stado upartych i niebezpiecznych baranów” - pomyślał Audun. Ludzie w ich wieku nie mieli prawa przetrwać takiego marszu, takiego zimna i wilgoci, ale wojownicy Sigurda Aegissona kulili tylko ramiona i szli przed siebie.

- Jak się miewasz? - zapytał Sven, dołączając do niego.

Można było pomyśleć, że sięgający łydek śnieg w ogóle nie przeszkadza staremu wydze, który szedł, wspierając się na grubym kosturze.

- Zupełnie dobrze — odparł Audun. - Choć generalnie za tym nie przepadam, znaczy za wędrówkami pod gołym niebem.

- Szkoda dobrego kowala — przyznał Sven.

Audun przypomniał sobie swoją kuźnię w Stenviku i z trudem powstrzymał smętne westchnienie. Może nic wielkiego, ale w starej, cuchnącej ruderze było przynajmniej ciepło. Właściwie nie pamiętał już, jakie to uczucie, kiedy jest sucho i ciepło.

- Dziękuję - powiedział.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu.

- Szkoda, że Thormund postanowił zostać z królami - odezwał się w końcu Audun.

Dopiero kiedy usłyszał własne słowa, zdał sobie sprawę, jak bardzo żałuje, że tak się stało. Stary koniokrad był źródłem życia towarzyskiego w ich obozie.

- Hm... — powiedział Sven. — To nie Thormund postanowił.

- Jak to?

- To my kazaliśmy mu zostać z królami.

- Co? - zaskoczony Audun zmarszczył brwi, usiłując odgadnąć, co Sven do niego mówi. -

Dlaczego?

- Król Jolawer Scot znalazł się w niebezpieczeństwie. Alfgeir Björne ma oko na króla, a Thormund na Alfgeira Bjornego - wyjaśnił Sven. - Będę synem skundlonej suki, jeśli Widłobrody nie spróbuje dopaść starego niedźwiedzia. Gdyby udało im się przechytrzyć Thormunda i dopiąć swego, to zagarnęliby tyle Południa, ile im się spodoba. Ale możesz być pewny, że mocno im to utrudnimy.

Stary wódz ściągnął usta w determinacji, ale w jego oczach błysnęły figlarne iskry.

- Rozumiem - powiedział Audun.

- Mój imiennik z elegancko zaplecioną brodą zawsze ma jakiś ukryty plan, łądak jeden - powiedział Sven. - Ale skoro nie ma nas przy nim, abyśmy mogli mu nasikać do owsianki, będziemy musieli zrobić to z daleka.

Audun uśmiechnął się. Rozmowa ze Svenem to doskonały sposób na to, aby czas płynął szybciej.

- Dokąd więc idziemy? — zapytał Audun.

- Na Grań Szubienic - powiedział Sven.

Włókna mięśni w krtani Auduna zastygły raptem, a serce skoczyło mu w piersi. Wykrzywił lekko głowę, by spojrzeć na Svena. Na jego twarzy nie było już znać wesołości.

Przeciwnie, stary człowiek patrzył na Auduna z uwagą, studiując każdy mięsień jego twarzy.

- Przyszedł do ciebie, prawda? - zapytał spokojnie Sven.

W żyłach Auduna zapulsowała krew, z trudem powstrzymywał wybuch furii. Nie był w stanie wykrztusić słowa, więc kiwnął tylko głową.

- Ulfar próbował nas przekonać, żebyśmy tam szli, ale chłopak nie potrafi kłamać w sprawach naprawdę ważnych, i dobrze. Przycisnąłem go i wszystko powiedział.

- Mówi, że musimy. Potęga Valgarda jest coraz większa.

Sven wzruszył ramionami.

- Sami też ułomkami nie jesteśmy - stwierdził. - Ale jest się czym martwić - dodał, rzucając spojrzenie na czoło pochodu. - Sigurd powiedział, że ma ochotę uciekać, taki jest wystraszony.

Audun podniósł wysoko brwi.

- Naprawdę?

Sven przytaknął.

- Naprawdę, przysięgam... Nie, już nie potrafię - wyrzucił z siebie ze śmiechem. - Oczywiście, że to

nieprawda. Większość głązów jest mniej twarda niż Sigurd Aegisson. Idziemy na Grań Szubienic. Kiedy tam dotrzemy, będziemy głodni, przemoczeni i zmarznięci. Nie wydaje mi się, abyśmy mogli pokazać się z jak najlepszej strony temu, co tam na nas czeka. Teraz już przestań gadać i maszeruj. Szkoda tracić siły na mielenie jęzorem.

Po tych słowach Sven przyspieszył kroku i ruszył na czoło kolumny. Audun odprowadzał go wzrokiem, zastanawiając się, co rzeczywiście może ich czekać na Grani Szubienic.

*

Mijały dni, śnieg sypał, a krajobraz z wolna się zmieniał. Drzewa stały się smuklejsze i bardziej strzeliste, wzgórze coraz wyższe, a ich zbocza coraz bardziej strome. Zmieniała się też pogoda. Szare chmury odpłynęły i przez dwa dni świeciło jasne słońce, choć nie na tyle mocno, aby ogrzać zimne powietrze.

Wreszcie nad ranem czwartego dnia po zmianie decyzji o kierunku marszu Sven i Sigurd zatrzymali się na szczycie wzgórza.

- Jest - powiedział po dłuższej chwili Sigurd.

- Przed twoim okiem nic się nie ukryje — stwierdził Sven.

- Wiesz co? — rzekł Sigurd, a gdy Sven wzruszył ramionami i burknął, dodał: — Właściwie nigdy jej nie widziałem.

- Cóż, teraz widzisz.

Za ich plecami ludzie piełi się wolno po zboczach i raptem wszyscy stanęli jak na komendę. Rozmowę wodzów przygłuszyła cicha fala rzucanych pod nosem przekleństw.

Na dalekim końcu kolumny Audun trącił łokciem Ulfara.

- Hej, obudź się.

-Hm... co? — wymamrotał Ulfar, nadal poruszając nogami z opuszczoną głową.

- Patrz - szepnął Audun.

Ulfar podniósł głowę i zamrugał. Potem zacisnął powieki, zamrugał jeszcze parę razy i otworzył szeroko oczy.

- O cholera... — wyrwało mu się.

Świat przed nimi podnosił się postrzępioną granią, sięgającą chmur niczym obnażone kły wyjącej do nieba niemej bestii.

- Grań Szubienic - mruknął Audun. - Potęga.

Ulfar patrzył jak zaczarowany. Z miejsca, gdzie stali, łańcuch górski ciągnął się daleko jak okiem sięgnąć w obie strony. Ze stoku schodził zygzakiem zamarznięty strumyk, niknący na dole w leśnie, który wdzierał się w góry, choć już przerzedzony u podnóża zboczy.

- Grań! — zawołał Sven głosem, który w nieruchomym powietrzu niósł się daleko. - Tam idziemy!

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy tylko wpatrywali się w góry.

- Przyszliśmy wykonać ważne zadanie - oznajmił Sigurd. - Wykonamy je tam! - Wskazał ręką na góry. - To może być największe gówno, w jakie przyszło mi w życiu wdepnąć, a to chyba coś mówi! Jeszcze możemy zawrócić.

Wódz Stenviku po raz ostatni ogarnął wzrokiem żołnierzy, a potem odwrócił się od nich i zaczął szukać ścieżki w dół zbocza.

Ulfar spojrział na wojowników, którzy posłusznie ruszyli za wodzem przez głęboki śnieg, z zaciętymi, zawziętymi twarzami. Żaden nawet nie pomyślał o tym, że można rozważyć odwrót.

- Jeśli Valgard tam jest, czeka go ciężka przeprawa.

- A jeśli go nie ma? - zapytał Audun.

- Na razie nie myślmymy o tym - odpowiedział Ulfar, szukając butem miejsca pod kolejny krok. -

Miejmy nadzieję, że idziemy ścieżką chwały.

- Ścieżka chwały jest mokra i zimna - burknął Audun, idąc ślad w ślad za Ulfarem.

*

Grań Szubienic wyglądała tak, jakby rozgniewany bóg wyszarpnął gwałtownie z ziemi jej skały. Mniejsze góry, wąwozy, wzgórza i doliny wylewały się na równinę niczym fale na jeziorze.

- Nic dziwnego, że nikt tu się nie zapuszcza - stwierdził Ulfar. - Ta kraina nie wygląda na gościnną.
- Górale, których miałem okazję spotkać, to ani mięczaki, ani grubasy - zgodził się Sigurd. -

Wyjątkowo harde typy.

- Prawda - przytaknął Sven.

Ścieżka, którą postanowili dalej iść, biegła doliną wzdłuż zamrożonej na kamień rzeczki. Po obu jej stronach, w odległości około pięćdziesięciu kroków, zaczynał się las, który gęstniał dwieście kroków dalej, w miejscu, gdzie podchodził pod stromiznę zbocza. Grube korony drzew podnosiły się tam ostro i przesłaniały widok szczytów. Szło się dość łatwo, bo dolina osłaniała przed srogimi porywami wiatru i prowadziła pod sam łańcuch górski.

Gdy jednak zagłębili się w dolinę, w pewnej chwili Sigurd sięgnął za ramię i wolnym ruchem odpiął potężny, oburęczny topór.

- Coś nie gra - powiedział, odwracając się i szukając wzrokiem końca kolumny.

Sven również się odwrócił. Stał i spojrzał na pojedynczy szereg ludzi, ciągnący się tak daleko, że końca niemal nie było widać.

- Cholera - mruknął i ruszył za Sigurdem. - Wracać - powiedział do idącego za nim wojownika. - Miecze.

W Ulfarze zapulsowała krew. Natychmiast poczuł, że otaczający ich las jest pełen ukrytych niebezpieczeństw, choć nie potrafił wypatrzeć nic, co jego zdaniem mogłoby budzić podejrzliwość Sigurda. Wzdłuż szeregu przetoczyła się szybka fala ożywienia i wkrótce każdy wojownik trzymał w ręku broń. Sigurd przeszedł na tył kolumny formującej się teraz w dwa szeregi, a mijając wszystkich, spokojnym i silnym głosem wypowiadał nieustający potok komend. W połowie drogi Ulfar dostrzegł, że do kolumny dobiła tylna straż Auduna.

- Co jest? - zapytał kowal, kiedy się spotkali.
- Nie wiem. Sigurd ma złe przecucia. Ale nic nie widziałem i nic nie słyszałem.

Audun się rozejrzył.

- Ptaki — powiedział ponurym głosem. — W takich lasach powinny być przynajmniej stada małych ptaków, takich na jeden kęs. Tu jest pusto.

Ulfar westchnął ciężko i spojrzał w niebo.

- W porządku - powiedział. - Niech będzie. Sprowadź to na nas i miejmy to już za sobą.

Jakby w odpowiedzi po lewej stronie nad ich głowami zaszeleściła gałąź, zaraz potem druga, potem trzecia, a w niedługiej chwili szelest wśród drzew dochodził już zewsząd, przerywany jedynie trzaskiem łamanej gałęzi.

- Ściana tarcz! - krzyknął Sven. - Są na zboczach!

Wszyscy ruszyli w jednej chwili, sprawnie formując na ścieżce dwie linie po dwudziestu wojowników, odwróconych do siebie plecami i osłoniętych tarczami. Za nimi stanęli ludzie z mieczami, w dwu szeregach, gotowi ruszyć zza tarcz do natarcia.

Z walącym sercem Ulfar stanął za dwójką siwobrodych z tarczami i zacisnął palce na rękojeści miecza. Jeden z nich odwrócił głowę i mrugnął wesoło.

- My przytrzymamy, a ty dźgaj, ile wlezie.

W odpowiedzi Ulfar uśmiechnął się słabo, żałując tego, że trudno teraz znaleźć mu w sobie odwagę.

- Tam! - rzucił ktoś, wskazując na drzewa, z który posypała się kaskada śniegu, unosząc się białym obłokiem. - Schodzą zboczem!

- Trzymać pozycje! - warknął Sven. - Niech nabiorą rozpędu przed skokiem. Tak będzie ucziwie!

To wywołało wśród ludzi stłumiony śmiech.

- Stenvik! - krzyknął jeden z wojowników.

- Stenvik!!! — ryknęła reszta.

Kiedy wybrzmiało echo okrzyku, Ulfar nastawił uszu w oczekiwaniu na okrzyk wojenny nieprzyjaciela, ale nie usłyszał nic poza ciągłym odgłosem łamanych gałęzi. Linia lasu wydała się nagle potwornie blisko.

- Jak oceniasz, ilu ich może być? - szepnął do Svena, który niczym budowniczy poruszał się między obiema liniami, zatykając szczeliny między tarczami.

- Wystarczająco dużo - odparł Sven. - Przestań liczyć, chłopcze. To zły nawyk. Na pewno będzie ich mniej, jeśli kilku zabijesz. Uderzymy i upuścimy im kr...

Stary wódz urwał nagle. Ulfar podążył za jego wzrokiem ponad głowami wojowników z tarczami, w stronę oddalonych o trzydzieści kroków drzew.

Stwór, który wyłonił się z lasu, mierzył grubo ponad dwa metry. Ze zwalistego ciała zwisały strzępy odzienia człowieka normalnego wzrostu, odsłaniające fragmenty grubej, sinej skóry. Długie, mocno umięśnione ręce miał opuszczone, a w jednej trzymał maczugę grubości uda dorosłego mężczyzny.

- Mówiłeś, że człowiek gór to hardy typ, ale czegoś takiego się nie spodziewałem - powiedział Ulfar.

- To nie jest już człowiek - odpowiedział cicho Sven, nie odrywając oczu od wroga. — To troll.

W chwili gdy wypowiedział to słowo, z lasu wyszło pięć następnych trolli. Spojrzały na przywódcę, który uniósł dłoń w kierunku ściany tarcz. Potężny sinoskóry stwór rzucił się w ich stronę, wymachując maczugą. Wojownicy ze Stenviku, gdy minął pierwszy szok, powitali go rzędem podniesionych tarcz i bojowym rykiem, czekając z wycelowanymi włóczniami do chwili, gdy poczują jego woń. Wówczas, poruszając się równocześnie niczym palce jednej zabójczej dłoni, wystrzeliło w jego stronę pięć grubych włóczni. Wszystkie śmignęły jak strzała i ugrzęzły z ogromną siłą w piersi trolla.

Nawet nie spowolniły jego kroku. Moment później jeden z wojowników w ścianie tarcz zniknął w mgiełce krwi, gdy maczuga trolla spadła na niego, miażdżąc go i wgniatając w ziemię.

Sinoskóry potwór zawył dziko, objął mięsistą dłonią tkwiące w nim włócznie i wyrwał je z piersi jednym ruchem.

- Opuścić tarcze! Walczyć w ruchu! - ryknął Sigurd. - Opuścić tarcze! Ruszać się!

Ale trolle już ich dopadły i świat Ulfara przemienił się w krzyk, krew i chaos. Kątem oka dostrzegł, jak Audun szuka czegoś w torbie w chwili, gdy ktoś go odpycha go, a w miejscu gdzie stał, masywna maczuga zatacza półkole na wysokości jego głowy, na tyle szybko, by zmieścić wszystko na swojej drodze.

- Ruszaj się! - syknął mu Sven do ucha, uskakując znów na bok.

Coś błysnęło Ulfarowi w głowie, gdzieś daleko z tyłu, jakby drobna iskierka światła. Nagle przemówił do niego znajomy głos i wtedy to zauważył. Trollami rządził jeden i ten sam rytm; zamach, cofnięcie się, zamach, cofnięcie się. Wystarczyło się dostroić do rytmu i...

Niczym tancerz uskoczył lekko przed sunącą ku niemu maczugą kolejnego trolla. Wojownicy ze Stenviku zerwali szyk i prowokowali trolle do indywidualnych starć; mniej więcej dziesięciu ludzi na jednego trolla. Wokół leżały ciała, ale nie padł jeszcze żaden z trolli.

Ulfar wszedł w zasięg stwora, naprzeciwko którego stał, i wyprowadził cios mieczem, o włos mijając jego masywne kolano.

- Celuj w serce! - krzyknął walczący obok wojownik.

- Nie - syknął Ulfar przez zaciśnięte zęby, wbijając ostrze w mięsień łydki trolla i ciągnąc z całej siły.

Ostrze wcięło się w twarde mięso, a napięcie mięśnia dokonało reszty. Gdy troll zrobił krok w tył, przygotowując się do kolejnego zamachu, mięsień pękł na dwoje i stwór zwałił się na kolano.

- Leżeć, piesku! - warknął Ulfar, zbliżywszy się do trolla, co niemal kosztowało go życie, ponieważ maczuga świsnęła niespodziewanie na wysokości jego żeber, gdy troll zamierzał się do kolejnego ciosu.

- Ciąg ich! - ryknął Ulfar, gdy wojownicy ze Stenviku rzucili się na unieruchomionego stwora. - Szatkujcie im nogi!

- Wiiiilki! - ryknął naraz Sven.

W chaosie Ulfar zobaczył w oddali szare czworonogi zbiegające w ich stronę ze wznesienia.

- Och, więc tak ma to wyglądać? - burknął, ocierając zakrwawione ostrze o tunikę.

Z prawej strony rozległ się nienaturalny, zwierzęcy ryk. Ulfar zerknął w miejsce, skąd dobiegał, i zobaczył, jak wielki, opasy troll łamie się w pół i pada pod mieczami wojowników ze Stenviku. Potem nastąpiła seria głuchych, tępych uderzeń. Dziwne, ale naraz wydawało się, że najtwardsi z wikingów zaczynają się cofać. Po chwili tłum się przerzedził i Ulfar zobaczył, jak Audun podnosi się znad pulpy mięsa i kości, jeszcze przed chwilą będącej trollem, z młotami w rękach, przepasany pasem, którego Ulfar nigdy wcześniej nie widział.

Kowal zerknął na niego i pokazał jaśniejący uśmiech.

- Do mnie! - ryknął Ulfar, ruszając przez śnieg na spotkanie wilkom.

Za jego plecami Sigurd krzyknął: „Stenvik!!!”, a w odpowiedzi rozległ się ochryply, bojowy ryk wojowników.

Ulfar zerknął szybko za siebie. Z lasu wychodziły kolejne trolle. Około dwudziestu ludzi wyszło na spotkanie z nowym nieprzyjacielem - śliniącymi się, czworonożnymi bestiami ze śmiercią w ślepiach.

Audun nacierał przed nimi. Wyglądał jak mężczyzna wśród chłopców.

- Za mną!!! - wrzasnął.

Nagle uśmiech zamarł na twarzy Ulfara.

Za wilkami zauważył ruch. Ludzie. Szli szybko. Dziesięciu. Dwudziestu. Nie, więcej. Coraz trudniej było dostrzec biel śniegu między drzewami.

Wilki dotarły na równą połąć ubitego śniegu i przyśpieszyły biegu, rzucając się na żołnierzy w ślepej furii. W instynktownej reakcji Ulfar zamachnął się i zatopił miecz w umazanej błotem i krwią sierści.

Szybko odskoczył, uciekając przez obnażonymi kłami, ale wilk był równie szybki i obrócił się błyskawicznie. Ulfar poczuł rwący ból w nodze, gdy szczęki bestii zamknęły się na jego łydce. Krzycząc z bólu, okręcił się i ciął od dołu strasznym ciosem miecza, który powaliłby każde normalne zwierzę, ale furia w wilczych ślepiach jedynie przybrała na sile. Naraz z przodu zafurkotała ciemna plama i gruchnęła ciężko w wilczy łeb, dosłownie na szerokość palca od kolana Ulfara. Młot. Kleszcze zaciśnięte na łydce natychmiast zelżały, a zwierzę znieruchomiało. Stojący dziesięć kroków dalej Audun kiwnął głową w jego stronę i wrócił do walki z jednym już młotem w ręku.

Osamotniony przez moment Ulfar miał chwilę na ocenę sytuacji. Największy z trolli wciąż trzymał się na nogach, otoczony przez Sigurda, Svena i paru wojowników. Walki między ludźmi i wilkami toczyły się na całej polanie. Audun parł przez to kłębowisko i dzięki dobrodziejstwu młota, działającego bezpośrednio na wilcze łby, uwalniał zwierzęta od klątwy. Ale Audun nie mógł być wszędzie i wielu, zbyt wielu, wojowników ze Stenviku leżało nieruchomo twarzą w śniegu. Już całe zbocze zdawało się pulsować ruchem, a między drzewami mieszały się kolejne ciemne sylwetki ludzi i wilków.

- Cofnąć się do Sigurda! — krzyknął Ulfar. — Zebrać się w grupę!

- Ulfaaar!!! - wrzasnął nagle Sven uniesionym głosem.

Półobrót w stronę Svena ocalił większą część twarzy Ulfara.

Wilcze kły wpiły się w bok głowy - skalp, ucho i oko - gdy bestia skoczyła i zderzyła się z nim w powietrzu. Zachwiał się pod gorącym oddechem, ostrym zapachem i wściekłym warczeniem i usłyszał własne wycie, nieustępujące szaleństwu bestii, czując jednocześnie, jak z policzka schodzi mu skóra z mięsem. Jego ramię zdawało się należeć do kogoś innego, gdy wykręciło się nieprawdopodobnie, by przytknąć ostrze pod wilcze żebra i pociągnąć w górę miecz, z niezwykłą siłą, przez serce do mózgu, i zwierzę w jednej chwili zważyło się na niego martwe, ciągnąc bezwiednie zębami po twarzy, zdzierając to, czego wcześniej nie zdążyło zedrzyć. Gorąca krew potoczyła się gęstym strumieniem po szyi Ulfara,

krzepnąc szybko na mrozie. Odgłosy bitwy docierały do niego jak zza mgły poprzez obezwładniający ból. Ruszył chwiejnym krokiem w stronę Svena, Sigurda i trolla.

- Cofnąć się do Sigurda! — krzyknął znowu, ale jego uszu dobiegł tylko charkotliwy, niezrozumiały szept.

Połowę świata przesłaniała czerni. Wokół pojawiały się jakieś postacie. Przyjaciele.

Silne ramiona przeciągnęły go przez śnieg, ku niewielkiej grupce ludzi ze Stenviku na środku polany. Gdy osunął się na ziemię w bezpiecznym miejscu, dostrzegł Auduna, który na czele grupy wojowników wbił się taranem pomiędzy ludzi otaczających wielkiego trolla. Czas zdawał się zwolnić, gdy kowal przedarł się przez miecze kompanów i runął na sinoskórego stwora. Rozwarł szeroko ramiona i niedźwiedzim uściskiem objął go w grubym pasie.

Troll zdołał dwa razy zdzielić Auduna w plecy miażdżącymi ciosami, a potem upadł z pękniętym kręgosłupem. Ułamek chwili później wojownicy ze Stenviku opadli go z mieczami ze wszystkich stron, robiąc wszystko, co trzeba, żeby już więcej nie powstał.

Zimno na ranie. Śnieg.

- Jak się trzymasz, synu?

— Kurewsko — zaświstał Ulfar. - Jest ich coraz więcej. Dużo naszych padło?

- Za dużo - wycharczał Sigurd.

Niektórych widział, losu niektórych się domyślał. Miał wrażenie, że stracili co najmniej jednego człowieka na czterech. Dziwny odgłos... wymioty? Chłodna pamięć wróciła mu w bieg nerwów i Ulfar uniósł się na łokciu, szukając wokół wzrokiem Auduna.

Kowal stał zgięty wpół kilka kroków dalej. Kaszłał żółcią i krwią, trzymając się kurczowo palcami za pas, który zdawał się potwornie ciasno oplatać go w pasie.

— Czasami — mruknął Sven przez zaciśnięte zęby - czasami naprawdę nienawidzę swojego życia.

Odrywając oczy od Auduna, Ulfar próbował podążyć za spojrzeniem Svena.

Po obu stronach tych, którzy jeszcze ocaleli, stanęli w szerokich szykach uzbrojeni ludzie w łachmanach, co najmniej dwustu, a przy nich wilki wlepiające żółte ślepie w żołnierzy Sigurda.

W szykach utworzyły się przejścia.

Z każdej strony stanęło w nich kolejnych dziesięć trolli.



Rozdział 14

Kattegat, Dania,
późny grudzień roku Pańskiego 996

Mroźne, nocne powietrze szczypało króla Olafa w twarz i drażniło nozdrza. Woń soli zostawili na morzu, gdy z większością statków opuścili żagle do połowy i popłynęli w górę rzeki. Odwrócił się i spojrzał wzdłuż smukłego kadłuba *Długiego Węża*. Połowa załogi była przy wiosłach, ciągnąc równo i spokojnie, niemal bezgłośnie. Pracowali mozolnie, ale ciężki okręt znakomicie zachowywał raz rozwiniętą prędkość. Reszta załogi przykucnęła w ocienionych miejscach pokładu. *Długi Wąż* sunął cicho naprzeciw rzecznemu nurtowi, czarny na tle okrytych śniegiem drzew. Król patrzył, jak wojownicy uśmiechają się do siebie nawzajem, poprawiają pasy i zapięcia, sprawdzają kolczugi i hełmy, ważą w rękę broń.

Na takim okręcie spędził niemal całe życie, najeżdżając wybrzeża Brytanii, a modląc się wtedy jeszcze do starych bogów. Była to jego przeszłość i zarazem teraźniejszość. „Jednak tym razem jest inaczej — pomyślał. — Tym razem robię to dla szczytnego celu”.

Przed nimi pojawiły się niskie bryły starych chałup, mroczne i szpetne na tle bieli świeżego śniegu. Z ciemności na pokładzie wyłoniła się i podeszła do niego znajoma postać. Finn dotknął ramienia króla i zapytał niskim głosem:

- Mamy zająć nabrzeże, panie?

- Tak - odpowiedział Olaf. - Uderzymy pierwsi, za nami dziesięć następnych statków, reszta popłynie dalej i dobieje na brzegu na tamtej plaży.

Finn przytaknął i przeszedł w ciemności, niemal po omacku, do człowieka przy sterze. Parę chwil później król Olaf poczuł, jak okręt zmienia kurs i kieruje się ku brzegowi z lewej strony. Na łagodny dźwięk kapitańskiego gwizdka wiosła na lewej burcie uniosły się nad wodę.

Gdy pokonali łagodny nurt rzeki, szybko już dobili do brzegu. *Długi Wąż* połamał swoją masą przybrzeżne gałęzie i rozplaszczył dno mulistego brzegu. Nie zatrzymał się jeszcze, a już trzydziestu wojowników wyskoczyło przez burty i ruszyło biegiem w stronę najbliższych chałup. Za nimi, zgodnie z rozkazem króla, dziesięć langskipów wyladowywało na ląd swój morderczy ładunek, jeden po drugim, a następne dziesięć jednostek przepłynęło dalej, aby zrobić to samo z drugiej strony osady.

Król Olaf biegł na przedzie, Finn po jego prawej ręce, krew pulsowała mu w uszach. Choć to nastąpiło ledwie parę chwil temu, król nie pamiętał już skoku z dziobu na brzeg. W głowie miał teraz obraz z dawno minionej przeszłości, innego człowieka o tej samej twarzy, radującego się prędkością i siłą swego ciała. Spojrzał przed siebie i obrał za cel dom stojący najbliżej środka wioski. W oddali

zawył wilk, zimne ciarki przeszły mu po plecach. Oto jest, biegnie na czele własnej watahy, dopilnuje, żeby poganie słono zapłacili za swoje grzechy. Wiedział, że kiedy znajdzie się w środku, z Finnem u boku, to ludzie wybiorą sobie kolejne chałupy do ataku. Mieszkańcy tej smutnej, bezimiennej wioski nigdy nie będą wiedzieli, co na nich runęło, a ich fałszywi bogowie nie wyciągną do nich pomocnej dłoni. Gdzieś w głębi obudziła się w nim furia i wszystko się rozjaśniło, rozpalając wewnętrzny ogień: wydarzenia w Trondheim, spiskujący jarlowie, spotkanie w lesie...

Kiedy dotarł do drzwi, kopnął je z taką wściekłością, że wyleciały z zawiasów.

Kolejni wojownicy wracali do *Długiego Węza* z płonącymi pochodniami, które oświetlały obnażone w uśmiechach i połyskujące znad gęstych bród zęby.

Król Olaf wyłuskał wzrokiem Finna w tłumie i dał mu znak, aby podszedł.

- Co mamy?

- Niewiele - odpowiedział Finn. — Garść srebra. Kilka zdatnych mieczy, toporków i włócznie.

Trochę futer.

- Świetnie - powiedział król.

-Tak... - mruknął Finn.

W królu znowu rozgorzał gniew.

- Masz mi coś do powiedzenia, Finnie?

-Widziałem... - Król się nie odezwał, więc potężny wojownik ciągnął dalej: - Widziałem naszych ludzi, którzy plądrowali i brali, co chcieli. Cięli mieczami nieuzbrojonych mieszkańców, zwykłych chłopów. Niektórzy... widziałem... brali kobiety i postępowali z nimi okrutnie.

-To Szwedzi - odparł król Olaf. - I przemieszani z nimi krwią Duńczycy. Oddają cześć fałszywym bogom. Nie zasługują na nic lepszego! Taka jest wola Chrystusa. Kroczymy jedną ścieżką chwały i musimy zmieść wszystko, co staje nam na drodze. Rozumiesz?

Finn, z połową twarzy ukrytą w mroku, milczał.

- Czy ro-zu-miesz?

- Tak - odpowiedział Finn niedosłyszalnym głosem.

-To dobrze - powiedział król i się odwrócił. - Niech ludzie wchodzą na okręty. Zostawmy już tę wioskę i nieśmy słowo Boże ku następnej!

Olaf odszedł i zniknął w ciemności pod zakrzywionym dziobem.

Fale bryzgały o burty okrętu, bezsilne wobec jego natarcia. Płynący pod wiatr *Długi Wąż* zapierał dech w piersiach: maszt wręcz trzeszczał pod naporem ciągnącego ich naprzód żagla, a Finn musiał zachowywać czujność, aby nie zostawić w tyle reszty floty. Z daleka rozpoznawał krępa sylwetkę Gunnara dowodzącego *Łaską Njordura*.

Okręt, jakich mało, a mimo to nie był w stanie dotrzymać tempa *Długiemu Wężowi*. „To okręt, którym można pokonać ocean - pomyślał Finn. -1 stanąć do boju z samymi bogami”. Nie po raz pierwszy pomyślał znów o starym cieśli okrętowym, ale choć próbował na wszelkie sposoby, nie potrafił sobie przypomnieć jego twarzy. Miał ledwie słabe wrażenie obecności kogoś, kto tam był, uczył go i kierował budową. Również nikt z ludzi nie pamiętał starca. Pozostawało tylko to poczucie przynależności do tworzenia czegoś słusznego.,.

-Jesteśmy na miejscu.

Głos Einara przywołał Finna na okręt, z powrotem na wodę. Młody człowiek pojawił się niespodziewanie. Spokojnie nakładał strzałę na cięciwę łuku.

W przeciwieństwie do poprzedniej wioski ta była dużo większa. Według jednego z ludzi Gunnara stanowiła lokalny ośrodek handlu. Nad brzegiem i dalej na łagodnym zboczu stało ponad trzydzieści domów ustawionych wokół miejsca przypominającego targowisko. Tym razem nie osłaniała ich ciemność nocy i już z daleka widzieli, jak mieszkańcy biegają wzdłuż brzegu, jak jedna połowa formuje coś w rodzaju drużyn, a druga umyka na wzgórza.

— To kobiety i dzieci — powiedział Einar, wciąż nie patrząc na Finna. - Czekają nas mała bitwa.

Na pokładzie przygotowywano się do walki. Młodzi wojownicy wciągali na siebie bluzy wyściełane kawałkami grubej skóry, pozwalające na swobodne ruchy. Starsi, którzy przeżyli niejedną bitwę, nie nakładali kolczug, unikając niepotrzebnej niewygody i ciężaru.

Finn aż podskoczył, gdy obok jego głowy świsnęła cięciwa.

- Po co strzelasz!?! - zapytał, ale Einar nie odpowiedział, spokojnie nakładał kolejną strzałę.

Finn rozejrzał się w poszukiwaniu wystrzelonej strzały, ale nic nie zauważył. Nagle znów świst. Tym razem grupa chłopów na łodzi gwałtownie się rozproszyła, a w samym jej środku pozostał jeden człowiek, który runął na ziemię jak kłoda.

Po trzecim strzale Einar opuścił łuk.

— To powinno dać im do myślenia — stwierdził sucho.

- Żagle!

Komenda padła od kapitana. Za plecami Finna i Einara dwa zespoły silnych żeglarzy natychmiast pociągnęły grube liny, unosząc wolno dolną belkę. Żagiel załopotał i kłapnął na wietrze, ale naprężenie materiału szybko ustąpiło.

- Wiosła w górę!

Dwieście pięćdziesiąt kroków dalej, na łodzi, chłopcy znów zbili się w gromadę, wymachując groźnie widłami, włóczniami i różną bronią. Einar posłał w ich stronę strzałę, ale tym razem nie dali się zaskoczyć. Rozległ się krótki krzyk i gromada rozpięchła się błyskawicznie, po czym sformowała się na powrót, gdy tylko niebezpieczeństwo minęło.

Dwieście kroków.

Długi Wąż wciąż nie wytracał prędkości.

- Wiosła w dół! - ryknął kapitan. - Trzymaaaa!

Pióra wiosel wbiły się w wodę, a sześćdziesiąt par muskularnych ramion natężyło się przeciw sile rozpędu, opierając wiosła o fale z całą mocą i przemieniając *Długiego Węża* ze śliskiego gada w wystawiającego kolce jeża.

Sto pięćdziesiąt kroków.

Daleko za nimi piętnaście okrętów podniosło wiosła i dryfowało w stronę brzegu. Wśród mieszkańców wioski rozbłysły pochodnie, nienaturalnie jasne w dziennym świetle.

Sto kroków.

Dziewięćdziesiąt.

Osiemdziesiąt.

Finn poczuł naraz, jak kadłub zmienia kurs, a *Długi Wąż* kładzie się lekko na burtę i oddala od przystani, pozostawiając zdezorientowanych i podenerwowanych niespodziewaną zmianą obrońców.

Pięćdziesiąt.

Łuk Einara zagrał jeszcze trzykrotnie, a na brzegu padło trupem trzech kolejnych ludzi. Poderwani do działania chłopcy pobiegli w stronę miejsca, gdzie zaraz miał dopłynąć *Długi Wąż*. Ziemia zdawała się rozstępować pod ciężarem kadłuba, gdy największy okręt króla Olafa zarył w brzeg. Z burt zaczęły skakać wrzeszczący wojownicy, stając oko w oko z obrońcami wioski.

Szwedzi walczyli z furją, jak zapędzone w róg zwierzęta, ale nie mogli się równać z królem i zaprawionymi w bojach żołnierzami. Olaf kroczył wśród swoich ludzi, parował tarczą uderzenia i miażdżył twarze potężnymi uderzeniami miecza, dopóki nawet najbardziej zapaleni do walki Szwedzi nie zaczęli się cofać przed żadnym krwią wojownikiem w koronie, potykając się o siebie i przewracając.

*

Kiedy okręt Gunnara znalazł się na tyle blisko, by słyszeć odgłosy walki, było już po bitwie. W kręgu zachlapanych krwią wojowników klęczało sześciu mieszkańców wioski. Spokojny plusk wody mieszał się z jękami rannych.

Król Olaf wciąż czuł w ustach smak żądzы krwi. Był ranny w ramię po tym, jak jeden z chłopów szczęśliwym trafem dosięgnął go ciężką maczugą, a prawa dłoń bolała go jeszcze od zaciskania rękojeści miecza, ale nie pałał chęcią odwetu. Jedyne, czego teraz chciał, to wrócić na pokład *Długiego Węża* i popłynąć dalej.

- Co mamy robić, panie? - zapytał Finn.

- Ty? Wracaj na pokład i przygotuj *Długiego Węża* do rejsu. Ale najpierw przyślij do mnie Gunnara.

Potężny wojownik odszedł bez słowa. Jakiś czas później do króla podszedł Gunnar.

Król Olaf spojrział mu w oczy.

- Wyślij w świat wiadomość - powiedział. - Spalcie i splądrujcie wioskę.

- Co z nimi? — zapytał Gunnar, zerkając na wzrokiem w stronę klęczących chłopów.

Król wzruszył ramionami.

- Czyż innym, jako inni zamierzali czynić tobie — powiedział, podnosząc oczy ku niebu. - Przesiew dusz pozostawmy Bogu.

Z Gunnarem u boku król wszedł w krąg wojowników i patrząc na chłopów, sięgnął po miecz.

- Ciągnąć, zafajdańcy!!! — ryknął Finn do wiosłarzy.

Gdy ustał wiatr, tempo było powolne, nawet przy trzydziestu wiosłarzach z każdej strony.

Najdogodniejsza droga na Ruś wiodła przez Sund, poprzez zlepek wysp i wysepek położonych równie blisko brzegów szwedzkich co duńskich. Szybko uświadomili sobie, że jeszcze nikt nigdy nie próbował pokonać tego gardła takim okrętem jak *Długi Wąż*. Gdy tylko znaleźli się blisko lądu, wiatr zamarł całkowicie. Ciężar i stabilność okrętu zaczęły działać na ich niekorzyść.

- Ciągnąć, mówię! - ryczał dalej Finn, ale na darmo.

Kiedy zbliżyli się do pierwszej wyspy, poruszali się tempem żółwia. Zaczęły ich wyprzedzać okręty własnej floty, jeden po drugim, a Finn dałby głowę, że widzi, jak mijający ich wiosłarze wylewają siódme poty, byle tylko upokorzyć królewski okręt. Niektórzy mieli nawet czelność krzyknąć parę obelg w ich kierunku, nazywając ich syrenką w kąpeli lub wyrażając się jeszcze mniej pochlebnie.

Gdy tylko wpłynęli do cieśniny, wąskie wejście zdawało się natychmiast zamykać za rufą. Wokół Finn widział jedynie gęsto zalesione tereny i poczuł, że serce zaczyna mu bić z niepokojem. Nieodparcie przywodziło mu to na myśl tunel w wałach Stenviku, który okazał się śmiertelną pułapką.

Einar Tambarskelf zerwał się nagle z ławy wśród przekleństw miotanych przez wiosłującego obok kompana.

- Do broni! - wrzasnął.

Finn spojrział za siebie. Byli ostatnim okrętem floty, z tyłu nie dostrzegł najmniejszego zagrożenia. Najbliższy statek wyprzedzał ich w tej chwili o trzysta kroków.

- Cisza! — krzyknął król Olaf. - Siadać!

Einar zamarł.

- Panie, musimy wydostać się stąd jak najszybciej! - zawołał.

Ktoś krzyknął coś od dziobu, ale słowa uszły w powietrze.

- Siadać! - powtórzył król Olaf z drugiego końca okrętu. - Wszyscy!

Tym razem nie mogło być pomyłki. Od dziobu znowu dał się słyszeć okrzyk, a po nim chaotyczne krzyki.

Pierwszy smukły statek wypłynął z przesłoniętej drzewami zatoki, jakieś dwieście kroków przed nimi, po lewej stronie, szybki i zdeterminowany. Za nim wypłynął natychmiast drugi, a potem kolejny. Kiedy z prawej strony również pojawiły się trzy okręty, Finn obrócił się na pięcie, spojrział za rufę i zobaczył rząd okrętów, co najmniej dziesięciu, ustawionych na całej szerokości wody i blokujących wyjście z cieśniny.

Między drzewami na obu brzegach poruszyły się cienie. Z uniesionymi mieczami.

Pałapka.

- Wiosłować, zasrańce! - ryknął król Olaf. — Ile sił w ramionach! Rozpędzić się! Uderzymy w ich linię!

Daleko przed nimi, za linią nieprzyjacielskich okrętów, dał się już słyszeć pierwszy szczepek metalu, sunący po tafli niczym kaczkę puszczaną po jeziorze. Na pełznących wolno statkach nieprzyjaciela trwały gorączkowe prace. Finn, z żołądkiem podchodzącym do gardła, zauważył przerzucane ponad burtami liny, szybko i zręcznie, przez wprawne i doświadczone ręce. Nie miał już wątpliwości - ten, kto zastawił na nich pułapkę, znał się na rzeczy.

Usłyszeli tylko jedno słowo:

- Ciągnąć!

Nieprzyjacielskie statki przesunęły się naraz, gdy dziesiątki silnych rąk pociągnęły za liny i przybliżyły do siebie nawzajem burty.

- Einar! - zawołał król Olaf.

Młodzieniec się zerwał, w okamgnieniu chwytając łuk. Ruszył tak szybko, że potknął się o ławę i podparł ręką. Tylko dzięki temu uniknął strzałę, która przeszła nad nim na wysokości głowy i wbiła się głęboko w maszt.

Na dziobie środkowego okrętu wroga stał wysoki mężczyzna w bieli z imponującym, długim łukiem w ręku. Bez pośpiechu, spokojnie, nałożył drugą strzałę.

I nagle czar przysł.

- Kryć się! - ryknął król.

Szybkie ręce zaczęły chwytać zawieszane na burtach tarcze. Jeden z wojowników w ostatniej chwili uchronił się przed drugą strzałą, która ugrzęzła w jego tarczy. Mężczyzna obok stęknął tylko, gdy trzecia przeszła mu szyję. Podniósł się jeszcze, wyprostował i padł na bok jak ścięte drzewo.

Kolejna strzała świsnęła obok głowy Finna, mijając ją dosłownie o włos.

- Finnie! Na dziób!

Król gestem wskazał front, gdzie garstka wojowników z Einarem Tambarskelfem na czele zaczęła odpowiadać na ostrzał. Łucznicy kucali za tarczownikami przy dziobie. Zanim Finn zdołał do nich dotrzeć, król zdążył wyrzucić wioślarzy z pierwszych ław i zaczął rąbać je toporem.

- Co mam robić, panie? - zapytał Finn.

- Szybko, rąb ławki! Pierwsze trzy pary!

- Po co?

Król strzelił oczami w jego stronę.

- Nie pytaj, tylko rąb! - warknął. - Już!

Wykręcił szyję, aby spojrzeć na wioślarzy.

- Szybciej, łajdaki! Musimy się przez nich przebić! Zróbcie to dla naszego Pana!

Finn padł na kolana pod osłoną tarcz na dziobie i zaczął wyrwać ławy z mocowań, a król wydawał kolejne rozkazy, nieustannie coś pokrzykując i pokazując rękami. Jeden z ludzi zerwał się i chciał pobiec w stronę masztu, ale zaraz zatoczył się i upadł, popchnięty strzałą, która wbiła się w jego kręgosłup.

- Za burtę! - ryknął król.

Trzech wojowników natychmiast doskoczyło do nieszczęśnika, przeciągnęło jego ciało i wyrzuciło do wody.

- Szybciej z tymi ławami, bo nas powystrzelają! - krzyknął król.

Finn wysunął ostrożnie głowę. Nad krawędziami tarcz zobaczył maszty pozostałych okrętów. Nagle od rufy rozległ się wrzask: trafiony wioślarz zaciskał dłoń na ramieniu, w miejscu, gdzie grot zatopił się w mięsień i kość. Finn zdwoił wysiłki i uśmiechnął się pod nosem; drewno w końcu ustąpiło i udało się poluzować ławę. Po chwili oderwał ją od pokładu i rzucił czekającemu, przykucniętemu obok wioślarzowi, gotowemu do noszenia desek. Nieco bliżej dziobu król obwiązywał deski, ciągnąc z całych

sił za linę.

Odgłosy bitwy potęgowały się po dwakroć, po trzykroć, gdy ochryple krzyki mieszały się z echem pękającego drewna i szczękiem stali.

- Nie przestawać! - krzyknął król Olaf. - Więcej! Szybciej wiosłować!

Potem z ciężkim stęknieniem dźwignął ciężar, nad którym się tak pochylał. Król powiązał łąwy, tworząc największą tarczę, jaką Finn kiedykolwiek widział. Siegała do piersi, a kiedy Olaf ją postawił, zadrżały w niej niemal jednocześnie trzy puszczone przez wroga strzały,

- Potrzebna jeszcze jedna! - ryknął król.

Finn spojrzał w bok, gdzie na brzegu wolno przesuwiał się las, a potem przed siebie. Linia okrętów wroga znajdowała się nie dalej niż osiemdziesiąt kroków i mógł już rozpoznać poszczególnych wojowników. Człowiek w bieli wciąż stał w tym samym miejscu, obok niego potężny wojownik o szerokich ramionach, a z jego drugiej strony stał dla odmiany człowiek chudy jak tyczka.

- Szybko! - krzyczał król.

Nóż połyskiwał w jego dłoni, gdy szybkimi ruchami ciął linę i wiązał deski.

Finn, ukryty za ogromną tarczą, wyrwał z czterema wioślarzami następny komplet łąw. Nie widział sygnału nieprzyjaciela, ale go usłyszał: uderzenie rękojeścią miecza w umbo tarcz, roznoszące się jak fala na jeziorze, narastające, coraz donośniejsze, aż stające się nie do zniesienia.

- Cofnąć się! - krzyknął król, kończąc wiązanie ostatniej deski.

Podniósł ją i na próbę zrobił parę kroków.

- Mur tarcz!

Napierające ciężkie ciała utworzyły solidną ścianę w poprzek pokładu *Długiego Węża*, tuż przed masztem.

Trzydzieści kroków.

Finn wstał w końcu z bolącymi plecami i zdrętwiałymi kolanami, po czym spojrzał na zmniejszającą się odległość od okrętów wroga, które zostały powiązane hurtami, a na ich dziobach umocowano belki tworzące platformę do toczenia walki. Ludzie na platformie nie ustawiali w ruchu: ramiona, miecze, dzikie oczy, obnażone zęby.

W jednym tylko miejscu panował bezruch. Stał tam mężczyzna o średniej budowie ciała, spokojny, o jasnym spojrzeniu, ogarniający wzrokiem wszystkie rozgrywające się przed nim sceny, z grubą brodą zaplecioną w dwa długie warkocze.

Gdy mu się przyglądał, człowiek ten nabrał powietrze w płuca i krzyknął:

- Włócznie!

*

Piszczalka trzymał się masztu najmocniej, jak potrafił. Widłobrody podzielił ich siły na trzy grupy, wyznaczając Jolawera na dowódcę straży przedniej, a Eryka — straży tylnej. Chłopak nie potrafił pojąć, jakim cudem trafił na okręt Karlego; to na pewno ten jego straszny pech. Czekali przyczajeni i cisi jak noc, odkąd całe Południe obiegła wieść, że król Olaf łupi wioski w drodze na Ruś. Komendy nadeszły wiele dni wcześniej: uformować linie odcinające Olafa od floty, która z przodu zostanie związana walką z Jolawerem. Według rozkazów króla Widłobrodego wojownicy załadowali liny, ścięli drzewa w odległości co najmniej stu kroków od brzegu i zaczęli przygotowywać zasadzkę, czekając na właściwy moment.

Kiedy dostrzegli okręty Północy, poczuli zimny dreszcz podniecenia. Oto zbliża się największa bitwa morska, jaka pozostanie w pamięci ludzi.

Wejście do historii, jak niespodziewanie odkrył w sobie Piszczalka, bynajmniej go nie pocieszało. Nagle rozległ się donośny głos króla Widłobrodego i dwaj siedzący obok niego włócznicy wstali, chwytając w dłonie grube, zahartowane w ogniu pociski.

- Włócznie! — rozbrzmiał rozkaz króla.

W ścisku zrobiono przejście dla włóczników, którzy wbiegli na dziób i cisnęli włócznie w stronę *Długiego Węża*.

Przy monstualnym *Długim Wężu* statki króla Widłobrodego wyglądały jak zabawki. „Jest za duży” - pomyślał Piszczalka. Poczł się tak, jakby od wewnątrz oblała go zimna woda. Zgniecie ich w proch! Ktoś krzyknął, żeby się odsunął, i pchnął go na maszt. Ostry ból wyrwał go z zadumy. Piszczalka ostrożnie odsunął się od bezpiecznej strefy grubego masztowego drewna.

- Trzymać się!!!

Parę chwil później *Długi Wąż* wjechał w środek ich statku i świat zatrząsł się straszliwie. Cała flota króla Widłobrodego drgnęła i przesunęła się nieco pod wpływem siły uderzenia. Piszczalka patrzył, jak fala ludzi przetacza się przez pokład, tracąc równowagę, i pada w kotłowaninie rąk i nóg. Siłą rozpędu ogromny okręt przepchnął ich statek o połowę długości, ale potem stanął w miejscu, z ogłuszającym zgrzytem trącego o siebie drewna. Ktoś na *Długim Wężu* krzyknął. W połowie pokładu podniosły się nagle ogromne tarcze najeżone ostrzami, osłaniające wioślarzy, którzy z furią nadal usiłowali przepchnąć okręt przez kordon Widłobrodego.

Potworny jazgot wypełnił uszy Piszczalki i dopiero po dłuższej chwili zdał on sobie sprawę, że słyszy własny głos. W głębi ducha był spokojny, kiedy zatoczył się na kołyszącym pokładzie, i przeskoczył na sąsiedni statek, wykrzykując coś, czego zupełnie nie rozumiał. Wylądował na *Długim Wężu* obok Alfgeira Bjornego. Potężny wojownik zerknął na niego, trącił go łokciem pod żebra, a potem uniósł tarczę i ruszył w stronę masztu wielkiego okrętu, tak wielkiego, że Piszczalka nie umiał tego w ogóle zrozumieć. Paliki sterczące w miejscach, z których wyrwano ławy, wyglądały jak kikuty połamanych kości. Burty trzeszczały przeraźliwie w miejscach, gdzie *Długi Wąż* pozostawał szczepiony z osaczającymi go w tańcu śmierci statkami. Mimo to był majestatyczny. Prawdziwie królewski okręt.

Piszczalka wcisnął się między Alfgeira i garstkę jego wojowników, gdy ruszyli na mur tarcz. Szybko zamykali dystans, a im był bliżej tarcz, tym raptowniej tracił ochotę do walki.

Stanęli przed tarczami. Nastąpiła chwila, w której nikt się nie poruszył.

Wówczas spomiędzy tarcz wystrzeliła włócznia i błyskawicznie się cofnęła. Alfgeir Bjorne ryknął, zrobił krok naprzód i z całej siły kopnął w najbliższą tarczę podniesionym obcasem. Wojownik za tarczą wrzasnął w odpowiedzi i to wystarczyło. Bitwa się zaczęła.

Ścisk wokół Piszczalki zelżał nagle, gdy człowiek po jego lewej ręce skulił się i padł, plując krwią. Dopadł go zwierzęcy strach. Zaczął wymachiwać swoją nabitą ćwiekami maczugą, parując uderzenia mieczy i włóczni, które ku niemu zmierzały, nie otwierając oczu i wrzeszcząc nieustannie, aż w końcu uderzył w tarcze i bił dalej, wkładając w każdy cios wszystkie siły.

Obok jego uszu stał uderzała o stał i Piszczalka podniósł wreszcie w szoku powieki, a kiedy to zrobił, zobaczył, jak topór Alfgeira Bjornego sunie obok jego głowy, a pod nogi spada mu zgruchotana włócznia.

- Kurwa, miej oczy otwarte! - ryknął potężny wojownik.

Za plecami usłyszał tumult głośniejszy od odgłosów bitwy. Zawahał się. Dosłownie na moment, ale jego nos i usta już buchnęły bólem, już się cofał, natrafiając tyłem nogi na ławkę wioślarzy. Poczł jeszcze, jak jego nogi tracą styczność z pokładem, i przez moment wszystko wokół zawirowało, obracając się do góry nogami.

Potem była już tylko ciemność.

*

Finn poprawił tarczę. Strzaskana gęba to minimum, na co zasłużył sobie ten irytujący, mały zafajdaniec wymachujący pałką.

- Nadciąga Gunnar! Już uderza na tyły Widłobrodego! - krzyknął król Olaf, a ludzie utrzymujący tarcze z jeszcze większą mocą wsparli swój mur.

Dwóch atakujących już padło i po stronie Finna sytuacja miała się dobrze, ale ludzie króla Olafa zmagali się z wojownikiem wielkim jak niedźwiedź, który zamiatał wokół toporem i wprawnie osłaniał

się tarczą.

- Trzymaj! - warknął Finn do stojącego obok mężczyzny i wcisnął jego rękę w uchwyt swojej tarczy.

Potem przepchnął się do boku i chwycił wiosło. Podniósł je jak gigantyczną maczugę, wyczuł środek ciężkości i dopiero wtedy dźwignął wysoko, ponad mur tarcz. Spuścił je na wojownika, ale ten poderwał szybko tarczę i stracił wiosło. Szczwany lis nie odstąpił się przed przeciwnikiem, na co Finn liczył, ale cofnął się sprawnie dwa kroki, uchodząc z zasięgu miecza.

- Giń, robaku! - ryknął Finn.

Mężczyzna spojrział na niego i uśmiechnął się szeroko.

- Spróbuj.

Po stronie króla Olała błysnęły miecze i dwaj towarzysze wielkiego wojownika padli, pozostawiając go samego, jako ostatniego już spośród napastników na polu walki.

Finn chwycił tarczę, wyciągnął miecz i przepchnął się przez mur. Grzmotnął raz w umbo z donośnym echem na szczęście i natarł na wojownika.

- Jestem Alfgeir Bjorne, syn Asvalda, syna Eyvinda - warknął do niego wojownik. - Zabicie cię to dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Na oczach Pana uczynki twe zostaną zważone! — zawołał Finn, postępując naprzód i robiąc potężny zamach mieczem.

Metaliczny zgrzyt, który się rozległ, gdy stary wojownik w ostatniej chwili nadstawił tarczę, zagrał Finnowi w uszach jak muzyka.

Alfgeir łatwo utrzymał równowagę, zrobił krok w tył i przeszedł nad ławką wioślarzy. Finn jednak nacierał dalej.

- Na oczach Pana zostaniesz osądzony! - krzyknął na cały głos.

Ciął znowu z góry do dołu, czując wibracje w rękojeści, gdy ostrze uderzyło w tarczę. Już było w górze jego ramię z tarczą, gotowe pchnąć w lewo, tyle że ręki siwowłosego wojownika tam nie było, a Finn musiał gwałtownie się cofnąć, by uniknąć morderczego ciosu toporem, który sunął już łukiem na wysokości jego pachwin.

- Sądz Pana dowiedzie twej marności! - zaryczał Finn, waląc z góry mieczem.

Trafił ostrzem na topór i odepchnął go na prawo.

Stary wojownik spojrział mu w oczy i się uśmiechnął.

- Takie słówka szepcze ci król w łóżku?

Wówczas tarcza przesłoniła mu widok i Finn poczuł rwący, piekący ból na prawym policzku. Czerwona mgła zasnuła mu oczy. Zatoczył się i bardziej wyczuł, niż zobaczył, jak Alfgeir zbliża się ku niemu, by zadać ostateczny cios.

Ale siwowłosey wojownik stanął nagle, złapał Finna za ramiona, potem w pasie i Finn uświadomił sobie, że ktoś wciąga go z powrotem za osłonę tarcz. Alfgeir Bjorne padł bezwładnie na pokład, twarzą do dołu, z trzema strzałami zatopionymi w szerokich plecach.

Mężczyzna w bieli, widoczny na statku osiemdziesiąt kroków dalej, nakładał już kolejną strzałę. Stojący obok król Widłobrody, odwróciwszy głowę, patrzył w stronę rufy.

Po stronie Finna na pokładzie *Długiego Węża* zapanował spokój. Czoło pulsowało mu niemiłosiernie i czuł, jak z policzka spływa mu w brodę krew, krzepnąca i napinająca boleśnie skórę.

- Einar! Zdejmij ich łuczniczek! - wrzasnął król Olaf.

- Już go nie ma! - odkrzyknął Einar. - Przeszedł na drugi koniec statku.

- Odstawcie tarcze i pozbądźcie się balastu trupów! - rozkazał król.

Grupa wojowników przeskoczyła nad położonymi tarczami i zaczęła zbierać ciała.

Finn usłyszał głośnie pluski, gdy kolejne ciała wpadały do wody, a potem śpiew łuku Einara Tambarskelfa, który zagrał mu nad uchem.

- Odwrócić się! — wrzasnął młody wojownik.

- O na miłość wszystkich świętych! — mruknął król Olaf. — Wioślarze do broni! Przenieść tarcze na rufę!

Finn zebrał siły i stanął chwiejnie, próbując się zorientować, co się dzieje. Za ich rufą stały w półkolu nieprzyjacielskie statki. Potrząsnął głową, by strącić z siebie pajęczynę bólu, ale pożałował tego natychmiast.

Długi Wąż zatrzęsł się potwornie, gdy atakujący zaczęli skakać z wrzaskiem nad zimną wodą i lądować na pokładzie ich okrętu. Na czele stał wysoki wojownik, ze swobodą wymachujący długim toporem o podwójnym ostrzu.

- Finnie! - krzyknął król Olaf.

Finn odwrócił się, zacisnął powiekę ocalałego oka, by lepiej widzieć, a kiedy podniósł ją, zobaczył sunący od dziobu kolejny oddział atakujących. Na przedzie szedł chudy wojownik, co najmniej o głowę wyższy od pozostałych, trzymający przed sobą tarczę, dużo większą niż inne, i włócznię tak długą, jakiej Finn w życiu nie widział. Wojownika idącego obok trafiła właśnie strzała Einara. Rannego w ramię odciągnięto na tyły, a lukę błyskawicznie wypełnił następny wojownik.

- Einar! Zabij go! - krzyknął król Olaf.

Trzask pękającego drewna był przenikliwie ostry i bolesny.

- Co to było? - zawołał król.

- Odgłos Norwegii łamiącej się w twoich rękach - odpowiedział Einar ciężkim tonem.

Finn spojrzał na łuczника. Ręce miał opuszczone wzdłuż ciała. Łuk leżał u jego stóp. Przełamany na dwie części.

Olaf odwrócił się do Finna. Nagle wydał się stary i zmęczony, jakby w jednej chwili wygasł w nim płomień.

- Zabiją nas, jeśli wpadniemy w ich ręce, Finnie - powiedział. - jeżeli uciekniemy, nasi ludzie mają szansę przeżyć, gdy złożą broń.

Finn chciał coś powiedzieć, ale słowa nie mogły mu przejs'ć przez gardło.

- Poddajcie się!

Głos był nadzwyczaj wyraźny i niósł się wyjątkowo daleko nad wzbierającymi falami. Od strony rufy dobiegały okrzyki bólu i trzask pękającego drewna. Widłobrody szedł przez pokład *Długiego Wężu* za swoimi wojownikami jak gospodarz doglądający prac na polu.

- Poddaj się, królu Olafie, a oszczędzimy twoich ludzi. Obiecuję też, że pozwolimy chrześcijanom wyznawać swoją wiarę.

Król Olaf pochylił się i spokojnie położył na pokładzie miecz. Jednak tarczę trzymał wciąż uniesioną. Spojrzał przez długość pokładu *Długiego Węża* na króla Danii.

- Nie będzie rozejmu. Nie poddam się. Spalicie się. Ty i twoi ludzie. Spalicie się w piekle.

Po tych słowach zrobił dwa szybkie kroki i wyskoczył za burzę.

*

Król Jolawer Scot zacisnął zęby, ale nic nie powiedział. Czekał tylko, aż Widłobrody dokończy opowieść.

- Co było potem?

- Wyciągnęliśmy z wody jego przybocznego - powiedział Widłobrody.

- Po Olafie ani śladu?

- Ani śladu — stojący obok Widłobrodego Karle potrząsnął smutno głową.

Jolawer spojrzał na Eryka i jego ludzi, którzy siedzieli i spokojnie o czymś rozprawiali. Po powrocie z bitwy Widłobrody i Karle rzucili uzbrojenie koło ogniska i odciągnęli Jolawera na rozmowę.

- Jak to możliwe? - zapytał Jolawer Scot.

Widłobrody się uśmiechnął.

- Finn, jego przyboczny, zakrył tarczą głowę, aby osłonić się przed włóczniami. Ale Olaf

Tryggvason, nie w ciemną bity, inaczej wykorzystał tarczę. Wcisnął ją sobie między nogi... — Gdy Jolawer Scot podniósł brwi, Widłobrody wyjaśnił: - Żeby szybciej pójść na dno.

- Ale nie znaleźliście ciała?

- Nie - odpowiedział Widłobrody. - Mówiłem już. Tam było trzydzieści okrętów, a woda lodowata.

On nie żyje.

- Bardzo chciałbym w to wierzyć.

-Żałuję, że nie udało mi się powstrzymać Alfgeira Bjornego. Zbyt szybko rzucił się na wroga — mówił dalej Widłobrody. — Nic nie mogłem zrobić.

Karle zwiesił głowę.

Jolawer, owładnięty nagłym przypływem żalu, odwrócił wzrok i zobaczył wychodzącą z ciemności Sygrydę. Niespodziewanie zatrzymała się daleko od nich.

- Swen...? — zaczęła niepewnie.

Widłobrody zrobił w jej stronę kilka kroków.

- Co jest?

- Mamy paru wędrowców - powiedziała Sygryda. - Z Północy.

-I co z tego?

Kobieta zerknęła na Jolawera Scota, ale Widłobrody dał znak ręką, aby mówiła.

- Nie mamy przed sobą tajemnic - powiedział.

-Wygląda na to - ciągnęła niepewnym głosem - że z Północy nadciągają siły znacznie potężniejsze i większe niż armia Olafa Tryggvasona.

Widłobrody słuchał, ale nie reagował.

- Dokąd zmierzają?

- Idą na Grań Szubienic.

Cisza.

- Hm... - odezwał się w końcu Widłobrody. - To niech sobie idą.

- Co to znaczy? - zapytał Jolawer Scot podniesionym głosem.

- Nie będę zimną ryzykował życia wojowników, aby uganiać się za plotkami - odparł spokojnie

Widłobrody. - Zobaczymy, co przyniesie wiosna.

- Jesteś kłamcą i tchórzem — powiedział Jolawer Scot.

Swen Widłobrody zastygł, a potem odwrócił się i spojrzał na Jolawera.

- Wiesz co? Nudzisz mnie. Myślę, że czas zakończyć nasze przymierze. - Nagle podniósł głos: -

Cofnij te słowa!!!

Eryk i jego ludzie podnieśli się przy ognisku.

- Jak śmiesz mówić tak o naszych przyjaciółach z Północy?

W ręku Widłobrodego pojawił się nagle nóż.

- Walczysz dla Olafa, prawda?

W głosie króla zabrzmiała nuta oburzenia, ale błysk w oczach zdawał się mówić coś zgoła innego. Eryk i jego ludzie szli w stronę Jolawera, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy.

Jolawer Scot spojrzał na Karlego. Zimna nienawiść w oczach kuzyna uderzyła go jak podmuch zimowego wichru.

Wtedy, w ostatnim momencie, dostrzegł kątem oka postać idącą wolno w stronę ludzi z Północy. Światło za jej plecami nie pozwalało rozpoznać twarzy.

- Eryku Haakonsonie! - Głos był zaskakująco silny i donośny. -Zatruję żywność tych plugawych Duńczyków. Jak kazałeś, panie.

Chmura zwątpienia owionęła twarz Swena Widłobrodego.

- Na Thora, kim jesteś? — warknął Eryk. — Dlaczego wygadujesz takie bzdury?

- Jako to? Przecież powiedziałeś wczoraj, abym dodał ekstrakt z korzonków gnijącej trawy do ich

miodu i ściał ich ziarna zmielonym łajnem końskim. Nie mów, żeś o tym zapomniał.

- Co to za człowiek, Eryku? - zapytał ostro Widłobrody.
- W życiu go nie widziałem! - krzyknął Eryk Haakonsson.
- Owszem, widziałeś! - odparł przybysz. - Chyba nie będziesz nazywał mnie kłamcą?

Aby przejść do ludzi Północy, człowiek ten musiał minąć Jolawera Scota. Kiedy był blisko, Jolawer zobaczył zniekształconą szczękę i pośpiesznie obandażowaną głowę.

-To Karle zabił Alfgeira. Byłem na statku. Widziałem - szepnął przybysz kącikiem ust. - Skłóć ich. Uciekaj.

Jolawer zamrugnął i potrząsnął głową. Zauważył, że dłoń człowieka przesuwana się wolno w stronę wiszącej u pasa, wysłużonej maczugi.

Gdy szwedzki król minął Jolawera, napotkał spojrzenie Karlego. Książę patrzył spode łba, z zawiścią w oczach.

- Niech żyje król Widłobrody! - krzyknął naraz tajemniczy mężczyzna i rzucił się na Erika Haakonssona, wymachując dziko maczugą.

- Zabić go! — ryknął Widłobrody. — On nie ma ze mną nic wspólnego!

Maczuga grzmotnęła raz w czyjeś ramię, potem w czyjąś czaszkę, a potem nagle zawisła w powietrzu, gdy topór Eryka Haakonssona zatopił się w głowie wojownika zwanego za życia Piszczalką.

- Tylko tyle masz do powiedzenia, Widłobrody? — sarknął Eryk, wyciągając z czaszki topór.

- Nie mam z tym nic wspólnego, Eryku! - zapewnił Widłobrody. - Nic! Przysięgam. Widziałem, jak walczysz. Gdybym rzeczywiście chciał cię zabić, nasłałabym na ciebie kilku żołnierzy z tych tysięcy, które czekają na moje rozkazy.

Eryk Haakonsson zmierzył króla Widłobrodego podejrzliwym spojrzeniem i już się nie odezwał, wycierając powoli, bardzo powoli, ostrze topora.

- Uciekł, łotr! — syknął Karle.

Widłobrody odwrócił głowę i spojrzał w miejsce, gdzie niedawno jeszcze stał Jolawer Scot, ale młodego króla już tam nie było.



Rozdział 15

Góry Północy, późny grudzień roku Pańskiego 996

Ulfar czuł, jak w rozerwanej skórze, gdzie wilcze kły rozszarpały mu twarz, krzepnie szybko krew. „Powiniennem wyc z bólu - pomyślał. — Nie. Powiniennem nie żyć”. Tymczasem doskwierało mu jedynie tępe pulsowanie w resztkach policzka i wyżej, w rozerwanym oku. Nie zważał już na to, spojrzał na Auduna. Kowal leżał pod jego nogami w śniegu, zgięty wpół, a zabarwione krwią plwociny przymarzały w gęstej brodzie. U boku spoczywał szeroki pas.

Ulfar podniósł oczy i od razu tego pożałował.

Ocalałych ludzi ze Stenviku otaczał ciasny krąg wpatrzonych w nich oczu. Bynajmniej żadna armia, zwykłe chłopstwo w łachach, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, zaciskający kurczowo różnego rodzaju broń. Mieli jednak pewną cechę wspólną. Wszyscy. Wspólną i złe wróżącą. Sposób, w jaki stali. Sposób, w jaki się poruszali: w ich oczach nie było iskry.

»Nie ma w nich nic ludzkiego — pomyślał Ulfar. — Wyglądają, jakby byli puści”. Puści i sztywni, niczym figury pośpiesznie ulepiono z gliny i było ich dużo, bardzo dużo. Ulfar oszacował ich liczbę na dwieście pięćdziesiąt, a może więcej. Należało do tego dodać po jednym wilku na pięciu ludzi i oczywiście trolle: dwadzieścia jeden stworów, kilka większych od reszty, ale wszystkie wyższe i szersze w barkach od najpotężniejszych wojowników ze Stenviku.

Ulfar spojrzał na swoich kompanów w wędrowce i towarzyszy broni. Niektórzy ranni, niektórzy martwi; starzy i wyczerpani. Jego wzrok napotkał spojrzenie Svena.

- Cóż, synu — powiedział swobodnym głosem siwobrody. - Długo żeglowaliśmy, bardzo długo, a Je wygląda na to, że oto dobiliśmy do ostatniej przystani.

Stojący za nim Sigurd Aegisson się uśmiechnął.

- Sven, przyjacielu, nigdy ci tego nie mówiłem, ale... - Ręka siwego wodza uniosła się szybko, powstrzymując słowa Svena. - Nie trzeba, czasem zrzedzisz jak stara baba.

Sigurd dźwignął topór, odwrócił się w kierunku trolli i zrobił krok naprzód.

- Który ma ochotę? - warknął ochryple.

Żaden się nie ruszył, za to wilki zaczęły węszyć, uniósłszy łby.

- Pytam, który... - zaczął znowu Sigurd, ale jego głos zawisł w powietrzu, gdy otaczający ich ciasno krąg przerwał się cicho i niespodziewanie.

Trolle razem przeszły po martwych i rannych wojownikach Stenviku, nawet na nich nie patrząc, i ustawiły się w jednym rzędzie z wilkami i ludźmi w łąkach, twarzą na południe.

Ludzie ze Stenviku spojrzeli po sobie zdziwieni.

- Nowa taktyka? — zastanawiał się stojący za Svenem Oskarł. - Mamy uciekać?

- Zamknij się - syknął Sven. - Niech pomyślę. Musimy...

Nagle zadźwięczał nad nimi mocny, nieprawdopodobnie donośny głos kobiety, nie pozwalając Svenowi dokończyć myśli.

- Dalej, jebaki starej wiedźmy, sinoskóre, obfajdane capie ryje!!! Pokażcie, co macie w gaciach!!!

Trolle uformowały szereg. Za nimi bezwiednie ruszyli ludzie o martwych oczach i wilki.

- Wygląda na to, żeś przestraszył ich swoim żelastwem - powiedział Sven do Sigurda.

Sigurd miał wciąż zaskoczoną minę. Spojrzał na topór.

- Pierwszy raz widzę coś takiego...

- Las! — krzyknął nagle Oskarł. — Patrzcie! — Wyciągnął rękę.

Wszyscy obrócili się równocześnie i zobaczyli, że z lasu od południowej strony wyszedł wojownik.

Po chwili spomiędzy drzew wynurzyły się dwie postacie i stanęły obok niego. Wzrostem sięgały mu do ramion, a w karku zdawały się być o połowę węższe, ale biła z nich jakaś niewysłowiona groza.

Wkrótce wyłoniła się grupa wojowników, którzy zajęli stanowiska za nimi, bez pośpiechu, w wyćwiczony sposób, rozciągając w odległości dwustu kroków długi szyk bojowy.

Sven się rozejrzał.

- Co to, do kutasa, jest? Znamy tych ludzi?

- Zaraz... - powiedział Sigurd. — To jest... Nie...

-Co?

- Nie, nic... Przez chwilę myślałem, że...

W tym momencie trolle ruszyły naprzód, nacierając falą zniszczenia i śmierci na nowego wroga, wsparte zastępem ludzkich postaci i wyjących wilków.

- Teraz jest dobry moment, musimy ruszać, natychmiast! — powiedział Sven i odwrócił się do zmęczonych ludzi. — Bierzcie, co może się przydać, mamy trochę czasu, żeby przejść na wzgórze. Pomóżcie rannym! — Podbiegł do leżącego najbliżej wojownika i spróbował go podnieść. — Wstawaj! Dasz radę!

- Sven.

Sigurd powiedział to spokojnym głosem. Nie ruszał się z miejsca.

Stary wojownik nie słuchał, dalej krzychał:

- Co się z wami dzieje?! Ruszać się!!!

- Sven! — zawołał głośniejszym głosem Sigurd.

- Co? - warknął wściekle Sven.

- Nie musimy uciekać przed trollami - stwierdził Sigurd.

Te słowa wyhamowały Svena.

- Dlaczego?

Sigurd wskazał łąkę.

- Bo nie żyją.

Ulfar miał świadomość, że usta Svena się poruszają, ale nie słyszał ani jednego słowa. Nie mógł oderwać oczu od nowych wojowników, poruszali się jak woda, płynęli naprzód, zalali trolle, obrzynając im kończyny z taką łatwością, jakby łamali suche gałązki obumarłych drzew. Bitwa, jeśli można było to nazwać bitwą, zakończyła się w parę chwil. Ulfar dostrzegł, że trollom udało się powalić pięciu wojowników, z których trzech natychmiast wstało. Jeden pozostał na ziemi w bezruchu, zapewne dlatego, że znikła połowa jego czaszki. Pozostali wojownicy gonili i ścinali z nóg chłopstwo, co z miejsca, w którym stał Ulfar, wydawało się dziecięcą igraszka. Wilki uciekły.

- Bystre szczeniaki - mruknął Ulfar.

- Widzisz to? - odezwał się Sigurd. — Jedna tylko armia tak wojuje... - Zawiesił głos.

Sven wreszcie zdołał wydobyć z siebie słowa.

- Posuń mnie sosnowym pniem, jeśli się mylisz - mruknął pod nosem. - Nie wiem tylko, czy mamy się uważać za ocalonych, czy za martwych.

- Co robimy? — zapytał Ulfar.

-To chyba jasne - odparł Sven, zerkając na Sigurda. - Nie możemy uciekać, więc powitamy ich wodza i będziemy żyć nadzieją, że o niczym nie wie.

- O czym nie wie? - zapytał Ulfar.

- O tym, że zabiłem jego ojca - wyjaśnił spokojnym głosem Sigurd.

- Z wami dwoma nigdy nie może być zbyt łatwo, co?

- Raczej nie — zgodził się Sven.

- Jasne... - Ulfar westchnął. - Cóż, spróbujmy postawić na nogi naszych żołnierzy. - Pochylił się i włożył Audunowi ramię pod pachę. -Wstawaj, wielkoludzie. Już! - W nogach i ramionach poczuł ogromny ciężar kowala i wydał mimowolny jęk. - Musisz mniej żreć. Jesteś ciężki jak wół.

Audun wymamrotał coś niezrozumiale.

-Co?

- ...krew...

Czoło i policzek zapulsowały znowu Ulfarowi przy próbie dźwignięcia przyjaciela.

-Tak, wiem. Bestia odgryzła mi pół gęby. Powinienem był prosić ją, żeby lepiej odgryzła tobie pół tyłka. Łatwiej byłoby cię unieść.

-Może... — Gwałtowny, ochryply kaszel wstrząsnął kowalem, gdy próbował podwinąć pod siebie nogę.

Ulfar podniósł brwi.

- Śmiejesz się?

- ...obiecałeś, że się z nią ożenisz?

- Pierdol się... — odparł Ulfar z uśmiechem.

Znowu kaszel, a za nim kąśliwy uśmiech, gdy Audun już wstawał, trzymając się lewą ręką za brzuch.

- Uch - jęknął.

- Jest tak źle? - zapytał Ulfar.

- Pas pruje mi wnętrzości - mruknął Audun. - Kiedy mam go na sobie, mogę przenosić góry, ale to cholerstwo mnie zabija.

- Chociaż przez jakiś czas postaraj się wyglądać groźnie, w każdym razie nie na takiego, co umiera, dobrze? Mam wrażenie, że to byłoby bardzo korzystne dla naszej przyszłości i zdrowia. — Ostatnie słowa Ulfar prawie wyszeptał. — Mamy gości.

Audun podniósł głowę i spojrzał poprzez zamarznąłą rzekę na zbliżającą się do nich armię wojowników.

Zacisnął na chwilę powieki, a potem je podniósł.

- Tam jest... Helga - wymamrotał.

- Kto? - syknął Ulfar.

-Kobieta, u której pomieszkowałem? Pamiętasz? Na gospodarstwie? Ona tam jest.

Ulfar wziął głęboki oddech. Odepchnął lawinę pytań w głowie i raz jeszcze spojrzał na podchodzący do nich oddział. Nie było wątpliwości, kto nim dowodzi - człowiek w środku niósł topór, którego Ulfar, o czym był przekonany, nie byłby w stanie podnieść z ziemi, a cóż dopiero zrobić nim zamach. Po jego prawej ręce szła niska, koścista kobieta z krótko przyciętymi włosami, o mocnym i srogim spojrzeniu. Po lewej ręce chłopak, w wieku może trzynastu lat, o uderzającym podobieństwie do dowódcy, mający za pasem zdobiony miecz, typowy dla wysoko urodzonych. Tuż za nimi szła kobieta ubrana jak biedny

wędrowiec, ale poruszająca się z wdziękiem, pewnością siebie i królewską wyniosłością. Srebrzyste kosmyki wplecione w warkocz jej kruczoczarnych włosów połyskiwały blado w słabym świetle. Wokół niej i za jej plecami kroczyła grupa najbardziej hardych wojowników, jakich Ulfar w życiu widział.

- Mam nadzieję, że mówisz o tej niższej - powiedział Ulfar. Audun trącił go łokciem w żebro w chwili, gdy Sven i Sigurd wystąpili parę kroków przed grupę ludzi ze Stenviku. W porównaniu z przybyszami z lasu żołnierze Sigurda Aegissona wyglądali na takich, jakimi rzeczywiście byli: starzy, siwi i kompletnie wycieńczeni.

— Witaj, Skadvaldzie, synu Skargrima — powiedział Sigurd. -Witaj, Sigurdzie Aegissonie - odpowiedział wielki mężczyzna.

— Uratowałeś nam życie — powiedział Sigurd.

Skadvald rozejrzał się dookoła.

- Prawda - przyznał.

- I zapewne wiesz, że to ja odpowiadam za śmierć twojego ojca -stwierdził Sigurd.

Ulfar poderwał głowę z przerażeniem. Sigurd rzucił to po prostu tak, jakby poprosił o jedną kurę więcej na targowisku po tym, jak kupił już trzy. Wszystkie dłonie wokół niego powędrowały w stronę mieczy, gotowe bronić się do ostatniej kropli krwi, w nadziei, że może uda się zabrać ze sobą do Walhalli jednego czy dwóch przeciwników.

- Mój ojciec powinien był zostawić łupieskie wyprawy młodszym — odpowiedział Skadvald bez cienia emocji w głosie.

— I słuchać rad lepszych zauszników — sucho rzuciła stojąca przy nim kobieta. - Nie był to żaden dyshonor, Sigurdzie Aegissonie. Ale jeśli ta suka wpadnie kiedyś w moje ręce...

— Tamta kobieta na statku?

Ulfar poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, gdy uzmysłowił sobie, że słowa, które usłyszał, padły z jego własnych ust. Wyczuł na sobie wzrok wszystkich ludzi z obu stron i pożałował, że choćby ten jeden raz nie potrafił się powstrzymać od gadania, nawet na krótką chwilę.

Niska kobieta miała taką minę, jakby kilka najbliższych chwil chciała spędzić na zabijaniu tego, który się odezwał.

-Wiesz coś o niej?

- Zabiliśmy ją - powiedział Ulfar.

- Naprawdę? — Twarz kobiety rozjaśnił promienny uśmiech.

- Musieliśmy — ciągnął Ulfar, udając, że nie widzi gniewnego spojrzenia Svena. - Używała mocy Lokiego.

Uśmiech znikł z twarzy kobiety tak szybko, jak się pojawił, a jej usta zacisnęły się w milczeniu.

-Właśnie dlatego musimy porozmawiać - odezwał się znów Skadvald. - Słyszałem, że krążą tu ciemne moce. Musimy działać wspólnymi siłami.

-Jak? - zapytał Sigurd. - Nie jesteśmy w stanie dać z siebie połowy tego, co wy przed chwilą pokazaliście.

Chłopak stojący obok dowódcy uśmiechnął się ironicznie. Energia w nim buzowała.

- Wierzę, że coś z siebie wykrzesacie — odparł dowódca. — Najpierw jednak musimy opatrzeć rannych i wyczyścić miecze.

- Rozpalcie ognisko - powiedział Sven do swoich ludzi.

- Nie! - szybko zawołał wielki dowódca. — Żadnego ognia!

Kątem oka Ulfar dostrzegł, że kruczoczarna kobieta próbuje ukryć wesoły uśmiech.

*

Ludzie Skadvalda pomogli odciągnąć na bok posiekane trupy trolli. Jak zliczył Sigurd, stwory zgładziły czwartą część jego ludzi. Poległych należało przygotować do pochówku i pożegnać.

Oskarł stał przy Ulfarze i przyglądał się, jak Sven klęczy przy ciałach. Stary wojownik poruszał się

powoli, przechodził na kolanach od jednego do drugiego, a nad każdym pochylał się i szeptał kilka słów - ważne sprawy, które należało zachować i zabrać do Walhalli.

- Przykre zajęcie - powiedział wojownik ze Wschodu.
- Przykre - przyznał Ulfar.
- Śmiem przypuszczać, że nie raz się powtórzy, zanim dokończymy dzieła.
- Zapewne.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, aż Oskarł znowu pierwszy się odezwał:

- Jak się ma twój przyjaciel?
- Po pojawieniu się nowych towarzyszy szybko wraca do zdrowia - odpowiedział Ulfar, nie

umiejąc ukryć zgryźliwego uśmiechu.

- Dobrze. To twarde, jakich mało.

Ulfar zarechotał.

- Z czego się śmiejesz? Będzie nam potrzebny ze swoimi młotami.
- Och, z niczego - odparł Ulfar, uśmiechając się szeroko, na ile pozwalał opatrunek. - Oczywiście masz rację.

Rytuał niebawem się skończył. Wybrana grupa zaczęła toporami kruszyć zmarzniętą skorupę ziemi i kopać groby. Sven dał znak Oskarłowi, Ulfarowi i Audunowi.

- Sigurd czeka. - Wódz Stenviku siedział na pniu zwalonego drzewa. - Mamy tam się spotkać ze Skadvaldem. Posłuchamy, co ma nam do powiedzenia. Wiecie, co będziecie robić?
- Stać z tyłu i ubezpieczać - pośpieszył z odpowiedzią Audun.
- Dobra odpowiedź - stwierdził Sven. - Zrobię z was jeszcze ludzi, szczeniaki. No, idziemy!

Powłóczący nogami Ulfar przyjrzał się z daleka Sigurdowi Aegissonowi. Stary wódz wyglądał tak, jakby nie pozostało w nim nic. Jedynie skóra, kości i upór. Siedział zamyślony głęboko, ze swoim długim toporem położonym w poprzek nóg. Sven podszedł i bez słowa usiadł po jego prawej ręce. Oskarł, Ulfar i Audun przeszli nad pniem i ustawili się za ich plecami.

Skadvald nie kazał im długo czekać. Podszedł do pnia w towarzystwie chłopaka i obu kobiet. Usiadł przed nimi na śniegu, nie przejmując się zimnem ani wilgocią.

- To jest Thora — powiedział, spoglądając na kobietę z krótko przyciętymi włosami. — Żeglowała po morzach z moim ojcem. — Sigurd i Sven pozdrowili ją gestem wojowników, a ona uśmiechnęła się wzgardliwie.

„Niewyszczerzenie zębów to chyba szczyt jej kurtuazji” - pomyślał Ulfar.

-To mój syn, Ognvald - mówił dalej Skadvald.

Ognvald spojrział w stronę mężczyzn siedzących na pniu i pokazał słaby uśmiech na powitanie. Ulfar zapamiętał sobie, aby przy okazji następnej rzezi trzymać się albo za plecami młodzieńca, albo z dala od niego.

- To natomiast jest Helga — zakończył prezentację Skadvald.

Wysoka kobieta skłoniła głowę, a kiedy ją podnosiła, rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku Auduna. Ulfar to zauważył i mimowolnie skrzywił kącik warg w uśmiechu. W tym momencie kowal zdawał się przypominać nerwowego gołowąsa, a nie nieustraszonego wojownika.

- Obawiam się, niestety, że mogę potwierdzić to, co wy zdajecie się tylko wyczuwać - powiedziała Helga. - Jest tutaj Valgard.

- Jakże ma zamiary?
- Zmierza do Bifröstu.
- Co? - Sigurd otworzył usta, a Sven wydawał się nie mniej zaskoczony. — Czy on... ?

- Tak, chce odnaleźć most do Walhalli - przytaknęła Helga. -Gorzej. Myślę, że niebawem go znajdzie.
- W jaki sposób? - zapytał Sven.
- Loki mu pokaże - odezwał się Ulfar.

- Przecież Loki nie jest bogiem! — zachnął się Sigurd. — Tylko bogowie są władni przywołać Tęczowy Most.

- Myślę, że znajdzie na to radę - powiedziała Helga. — Loki zmusi bogów, aby sami przyszli do niego i wydali mu bitwę, a wiecie, co się dzieje, gdy bogowie przelewają krew na ziemi, prawda? Na wschodzie wyłoni się Jormungand. Na zachodzie zejdzie na ziemię Fenrir.

- Ragnarök - mruknął Sven. - Koniec takiego świata, jaki znamy.

- Jak go powstrzymać? - zapytał Audun ochryplym, ale zdeterminowanym głosem.

- Cieszę się, że o to pytasz - powiedziała Thora z uśmiechem, który bynajmniej nie dodawał otuchy.

Skadvald podwinął rękaw tuniki. Na przedramieniu miał wycięty długi rząd znaków runicznych, równo i ładnie, z wielką precyzją. Były za małe, aby Ulfar mógł je z daleka odczytać, ale czuł moc bijącą z tych symboli.

- Helga wytnie wam znaki, które spotęgują wasze siły - powiedział wielki wiking. - Wcześniej zrobiła to nam.

- Zastrana magia - powiedziała Thora. - Ale, jak widzę, działa...

- Oni oszukują, więc dlaczego my nie mielibyśmy? - przerwał jej Sven.

- Właśnie — prychnęła Thora.

Zaległa cisza.

- Zatem niech będzie — powiedział w końcu Sigurd. — Jak wyglądają wasze zapasy?

- Są wystarczające - odparła Thora.

- Świetnie. — Sigurd odwrócił się do Helgi. — Ile czasu zajmie ci wycinanie znaków na moich obwisłych, starych capach?

-To zależy. Na pewno dłużej, jeśli będą wierzgać.

Na twarzach ludzi w tym małym kręgu zaczęły się pojawiać uśmiechy.

- Postaramy się przypilnować, żebyś nie dostała dwóch durniów z rzędu - obiecał Sigurd i odwrócił się do Skadvalda. — Odpoczynek, znaki, wymarsz?

- Dobry plan - odpowiedział wielki wiking.

*

Trudno było się otrząsnąć z woni przypalanego ciała. Helga siedziała wyprostowana na tym samym pniu drzewa, przy którym Sigurd i Sven prowadzili naradę. Naprzeciw niej siedział wojownik ze Stenviku, jedną rękę miał wyciągniętą przed siebie, w drugiej zaciskał kurczowo włócznię. Kiedy rozgrzane do czerwoności ostrze dotknęło jego skóry, zatrzymał powietrze w płucach i zacisnął palce na włóczni, ale nie wydał z siebie głosu. Thjodolf był jednym z najstarszych wojowników wędrownej armii, wychudzony i przygarbiony, lecz zdecydowany przejść bezgłośnie chwilę próby.

Następny w kolejce był Ulfar, który starał się nie myśleć o tym, jak taki zabieg się odczuwa. Z bólem w ferworze walki zwykle sobie radził. Ale dobrowolnie czekać w kolejce po to, żeby dać się przypalać? To nie jest łatwe.

- Już. To wszystko - oznajmiła Helga.

Thjodolf spojrzał na nią. Zamrugnął, by wycisnąć kilka łez bólu, i otarł oczy pomarszczoną, suchą dłonią.

- Ale... nic specjalnego nie czuję, że jestem inny - stwierdził wojownik.

Helga się uśmiechnęła.

- Poczekaj. Poczujesz.

- Co znaczy „poczekaj”? Poparzyłaś mi, kobieto, rękę rozgrzanym metalem, rwie mnie teraz jak cholera, nie mam zamiaru siedzieć i czekać na jakieś... - Nagle Thjodolf zamilkł i siedział z rozwartymi ustami. - Och... - westchnął po chwili.

Potem wyciągnął lewe ramię, spojrzał na nie, jakby dopiero je odkrył, i rozciągnął ostrożnie kręgi szyjne. Czekał, aż odezwą się bóle i dolegliwości starego człowieka, każąc mu zaprzestać tak beztrudnych

ćwiczeń.

Ale się nie odezwały.

Promienny uśmiech rozjaśnił starą twarz. Thjodolf spojrzął na Helgę, potem na rękę i znowu na Helgę. W jego oczach pojawił się błysk i podniósł wysoko brwi.

Helga się roześmiała.

- Dalej, starcze. Zmykaj. Idź i narób kłopotów.

Thjodolf wyszczerzył zęby w uśmiechu i zerwał się z pnia lekkim ruchem. Ukłonił się na pożegnanie i odszedł.

- Następny! — zawołała Helga.

Ulfar ruszył w stronę zwałonego drzewa, czując narastające w piersi napięcie. Usiadł naprzeciwko Helgi i patrzył, jak czyści nóż, a potem przykłada go do płomieni niewielkiego ogniska; największego, na jakie przyzwolił Skadvald, i tylko pod warunkiem, że Helga nie będzie od niego odstępowała. Ulfar przyglądał się, jak pracują jej dłonie, pewne w każdym ruchu, budzące zaufanie. Ona i Audun?

Tak, mógł to sobie wyobrazić - jego przyjaciel musiał wykonać kawał dobrej roboty. Ulfar był tak zamyślony, że kiedy Helga podniosła wzrok, gapił się na nią jak cielę na malowane wrota.

Pomimo mrozu oblał się gorącym rumieńcem.

- Eee... witaj... - wyjąkał.

- Witaj - odpowiedziała. - To ty nim jesteś?

- Nim? Jak większość ludzi, znaczy mężczyzn... - odparł Ulfar. - Kobiety, rzecz jasna, są nią.

Helga się uśmiechnęła.

- Nazywasz się Ulfar?

- Tak.

- W takim razie - włożyła nóż z powrotem do ognia - nie mogę ci pomóc. - Zdziwiony Ulfar zmarszczył brwi, ale ona spokojnie patrzyła mu prosto w oczy. - Twoja ścieżka jest inna.

- Słucham? Więc... nie będziesz...

Ulfar szukał słów, ale nic mądrego nie przychodziło mu do głowy.

- Nie - odpowiedziała Helga.

- Och, zatem... Do widzenia — powiedział Ulfar.

- Do widzenia, Ulfarze Thormodssonie.

- Czy ja...? Czy Audun powiedział ci, jak się nazywam? - zapytał Ulfar.

Helga jednak koncentrowała się już na płomieniach, a zwrócone w jego stronę plecy zdawały się sugerować, że nie będzie miała ochoty na dalszą konwersację na ten temat.

Wstał niezdarnie, czując klucie w ranie, i odszedł. Za plecami usłyszał jeszcze głos Helgi:

- Następny!

*

Thora pochylała się nad tobołkiem podróżnym, zaciągając paski, gdy pojawił się przy niej Sven.

- Czego chcesz? — rzuciła, nie oglądając się na niego.

- Nic — odpowiedział Sven.

- To dobrze — odparła Thora, wściekle dociągając sznurek.

- A to dlaczego?

- Bo nie mam nic, co mogłabym ci dać.

Sven zachichotał.

- Jeśli walczysz choć w połowie tak dobrze, jak gadasz, to — naraz jego lewa ręka strzeliła w dół, ostrza ich noży spotkały się z metalicznym zgrzytem tuż przy tętnicy w kroczu Svena — nie będzie źle.

Szybki ruch nadgarstkiem i nóż smukłej kobiety zniknął w rękawie tuniki.

- Lubię cię nawet, Włochaczu - rzuciła Thora, prostując się i podnosząc toboł.

- Skąd ten zaszczyt? — zapytał z uśmiechem Sven.

- Bo jesteś starym, bezczelnym łajdakiem, ani trochę tak przyjaznym, jak to przed wszystkimi udajesz.

Sven szczerze się roześmiał.

- Sama jesteś zimną i dwa razy za szybką suką.

Thora uśmiechnęła się.

- Lepiej, żeby twój siwy łeb dobrze o tym pamiętał, a teraz spieprzaj mi z drogi. Musimy ukatrupić parę istot.

Po tych słowach Thora odeszła energicznym krokiem od Svena, który uśmiechał się i drapał po głowie.

- „Stary, bezczelny łajdak”. W zasadzie niewiele się pomyliła — mruknął do siebie i odszedł w stronę ludzi ze Stenviku, rozcierając wycięte na przedramieniu znaki runiczne.

*

- Powiedziała, że nie wytnie mi znaków.

- Naprawdę? - powiedział Audun, obracając w rękę miecz i zaczynając ostrzyć drugą stronę krawędzi. - Dlaczego?

- Twierdziła, że nic mi to nie pomoże. Moja ścieżka jest inna. - Audun na chwilę zwolnił tempo, ale nie odezwał się słowem. — Powiedziałaś o tym, co nas spotkało?

- Nie pamiętam... - odpowiedział Audun.

O, nie wierzę - stwierdził Ullar. - Tak się bzykaliście, że nie było czasu na rozmowę?

Kowal podniósł oczy znad miecza i Ulfar mimowolnie zrobił pół kroku w tył.

- Przepraszam. Nie chciałem - powiedział szybko.

Audun zmusił się do oddechu. Rozluźnił zaciśnięte szczęki i odwrócił od Ulfara wzrok. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili

- Nie robiliśmy tego.

- Naprawdę? - Ullar był zaskoczony.

- Naprawdę.

- Ani razu?

- Ani razu.

- Człowieku! Na twoim miejscu... - Audun znów podniósł oczy. - Dobrze, dobrze. Nic mi do tego. Rozumiem. Ale... - Ulfar wydał z siebie westchnienie pełne żalu. - Właściwie to nie rozumiem. Idź i porozmawiaj z nią!

Audun przestał ostrzyć miecz, wziął głęboki oddech i wstał. Spojrzał Ulfarowi prosto w oczy.

- Pójdę. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim warunkiem?

- Od czasu do czasu postarasz się nie mleć tyle jęzorem.

Ulfar uśmiechnął się i klepnął kowala w ramię.

- Wybacz, przyjacielu, ale muszę ci to otwarcie powiedzieć: sam dobrze wiesz, że to niemożliwe. Zresztą stanowisz tak wspianiały cel.

- Być może. Byle to gadanie nie odbiło ci się czkawką - powiedział Audun i odszedł.

Kiedy dotarł do zwałonego drzewa, na którym siedziała Helga, w kolejce czekało trzech wojowników. Audun skorzystał z okazji, aby przyjrzeć się jej z daleka.

Na wspomnienie utraty wspólnie spędzonych dni ból uderzył go z taką siłą, że musiał zacisnąć oczy i pięści, by się uspokoić. Musiał sobie przypomnieć, że przecież nie miał wyboru i że była to jedyna słuszna decyzja. Choć postanowił wówczas, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Więc jakim cudem tutaj jest?

Następny!

Kiedy otworzył oczy, odniósł wrażenie, że Helga szybko odwraca od niego wzrok, i serce zabiło mu

gwałtownie, a na policzkach poczuł ciepło rumieńców. „Śnieg - pomyślał. — Mokry, nieprzyjemny śnieg. Breja śniegu. Kawałki lodu. Nic ciepłego, nic dobrego. Och, Fenrirze. pożryj to wszystko”.

- Następny!

Audun przełknął ślinę. Próbował odnaleźć spokój, patrząc, jak ostrze noża Helgi tnie gładko skórę muskularnej ręki, ale jego spojrzenie mimowolnie powędrowało ku jej dłoni, a potem wyżej, ku ramieniu, i jeszcze wyżej, ku jej gładkiej szyi, srebrzystości jej białej cery, widocznej spod kruczoczarnych włosów.

„Dosyć!” Niemal uderzył się ze złości.

- Następny!

Stojący przed nim mężczyzna przeszedł do Helgi. Nagle zaczęła ich dzielić niewielka odległość. Zwalisty siwobrody wojownik imieniem Askell usiadł i podciągnął wysoko rękaw, obnażając potężne, obrośnięte tłuszczem przedramię. Helga uśmiechnęła się i podała mu do drugiej ręki gałąź grubości nadgarstka. Wymienili parę słów i Helga po raz kolejny wyjęła z ognia nóż. Askell ani drgnął, gdy rozżarzony metal dotknął jego skóry, i Audun patrzył jak zauroczony na błyszczące ostrze, które z cichym skwierczeniem tańcowało po przedramieniu wojownika. Kiedy się wreszcie oderwało, powietrze między jego czubkiem a skórą Askella jasno połyskiwało. Wojownik siedział przez chwilę nieruchomy jak kamień, a potem przymknął powieki i zmiażdżył palcami gałąź, którą wciąż trzymał w dłoni.

- Do diaska - powiedziała Helga. - Musiałeś mieć krzepkie ręce w dniach młodości.

Askell otworzył oczy.

- Wciąż są krzepkie! - zagrzmiał. - Dzięki! - dodał ciszej i wstał.

- Następny!

Audun wziął głęboki oddech, podszedł i usiadł na pniu.

Helga spojrzała na niego i przez chwilę istnieli tylko dwoje na całym świecie.

- Witaj — powiedziała w końcu.

- Sądziłem, że nigdy cię nie zobaczę - powiedział Audun.

- Dlaczego odszedłeś?

- Musiałem. Kłopoty zawsze mnie szukają, a nie chciałem, by znalazły także ciebie.

Helga uśmiechnęła się.

- Cóż, teraz oboje mamy kłopoty.

Audun nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Masz rację.

- Nie wytnę ci znaków runicznych. Ani tobie, ani Ulfarowi. Nie wiem, co mogłoby się stać, ale czuję, że nie mogę tego zrobić.

- Wiem. Obaj jesteśmy... inni, jak sądzę.

Helga przytaknęła. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego przedramienia.

- Nie mam pojęcia, co się stanie, gdy napotkamy Valgarda i armię, którą może teraz władać, ale wiem, że nie będzie to spotkanie radosne.

- Domyślam się - stwierdził Audun. - Kłopoty zawsze mnie szukają.

- Może jest odwrotnie?

Nagle rozległ się głos Thory:

- Na nogi, sfajdane pierdoły! Ruszamy!

Audun położył rękę na dłoni Helgi i ścisnął ją delikatnie, bez jednego słowa. Potem wstał, odwrócił się i ruszył w stronę ludzi ze Sten-viku, nie oglądając się za siebie ani razu.

Helga odprowadzała go spojrzeniem, szybko oddychając. Po chwili zaczęła bezwiednie wycinać drzazgi z pnia, na którym siedziała, zacisnąwszy zęby w bezsilnej złości.

*

- Muszę przyznać - powiedział Ulfar, świszcząc przez usta - że te stare nasze dziady wyglądają mniej

staro.

- Musieli tak wyglądać ze czterdzieści lat temu — powiedział Audun.

Przed nimi, nie oszczędzając się w marszu, szli wojownicy ze Stenviku i grupa Skadvalda. Zostawili łąkę za sobą i weszli w dolinę, która po jakimś czasie zaczęła się piąć ostrym podejściem. Jeszcze wczoraj Sigurd i Sven wyglądali na wyczerpanych i osłabionych. Dziś stromizna nie stanowiła dla nich najmniejszego problemu. Las się przerzedzał, a strzeliste sosny coraz bardziej ustępowały małym, wiotkim drzewkom.

Przed nimi wyłoniła się Grań Szubienic. Pomnik nieprawdopodobieństwa.

- Mimo to wyglądają na szczęśliwych — powiedział Ulfar.

- Nie mylisz się - stęknął Audun, potykając się o przykryty śniegiem piarg.

Po wycięciu przez Helgę znaków runicznych ludzie bezsprzecznie się zmienili, a kilku trzeba było przywołać do porządku, gdy zaczęli ryczeć hałaśliwą pieśń marszową.

- Idzie nam coraz lepiej - stwierdził Audun.

-Och... - powiedział Ulfar. - Nie wiem, czy nie powiedziałaś tego w złej chwili.

Daleko przed nimi, na szczycie wzniesienia, uformował się długi szereg: najeźdźcy ze Stenviku i ich nowo poznani towarzysze stali w bezruchu i patrzyli.

- Prędko! - powiedział Ulfar, wspinając się na wzniesienie najszybciej, jak potrafił.

Z góry witała ich cisza, brzemienna ciężarem rozpacz.

Kiedy dotarli na szczyt, przepchali się między wojownikami i spojrzeli w dolinę po drugiej stronie grzbietu.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

W końcu Sven odwrócił się do Helgi.

- Będziemy potrzebować więcej znaków runicznych.



Rozdział 16

Góry Północy, Szwecja, późny grudzień roku Pańskiego 996

Trzy kroki dalej ośnieżony teren opadał stromo, otwierając przed nimi rozległą panoramę. Zalesione doliny i łagodne zbocza wzgórz ciągnęły się po mglisty horyzont. Ulfar i Audun patrzyli w dół i próbowali pojąć umysłem to, co jawiło się przed ich oczami.

- Co to za jedni? — zapytał Skadvald po długiej chwili milczenia.

- Liczni - odpowiedział z tyłu Oskarl.

- Kto? — warknął wielki wiking.

- Liczni. Bardzo liczni - odparł wojownik ze Wschodu, nie zważając na ponure spojrzenia, które nań zewsząd padły. — Mówię tylko, że jest ich dużo — dodał.

- Nie myli się ani trochę — odezwał się Sigurd. — Myślę, że spotkamy się z Valgardem wcześniej, niż mielibyśmy na to ochotę.

Morze postaci spływających falami od północy pokrywało już całą szerokość doliny i sięgało w głąb trzy razy dalej. Ogromna kolumna była nieregularna, ale nawet z daleka było widać, że nieprzerwanie przesuwa się do przodu. Małe grupki odrywały się raz po raz od masy, aby rozpoznać teren, a inne dołączały, spływając nieustannie z przyległych dolinek.

-To wszystko trolle? - zapytał Ognvald, starając się ukryć drżenie głosu.

- Nie - odpowiedział Sven, patrząc w dal spod przymrużonych powiek. - Wydaje się, że trolle są tylko z przodu i w środku. Na flankach poruszają się jakieś zwinne, mniejsze postacie... Wilki? Nie wiem - stwierdził Sven. - Stąd nie widać, są za daleko. Będzie z dziesięć mil, jeśli nie więcej.

- Obesrani obsrańcy! - rzuciła Thora do nikogo konkretnego.

Ulfar wziął głęboki oddech, czując, że zatyka mu piersi. Zamigotały mu gwiazdy w głowie. Na końcu języka poczuł metaliczny smak chłodu i naraz doznał wrażenia, jakby coś naparło mu na plecy, coś w rodzaju nieznośnego nacisku.

- Musimy dotrzeć do podstawy Bifröstu - powiedział. - Natychmiast. Musimy tam dojść przed nimi. Ruszajmy od razu.

- Nikt z nas nie wie, gdzie to jest - powiedział Sigurd.

- Ty wiesz, prawda? - zapytała Helga.

Wokół zapadła cisza i Ulfar poczuł, że wszystkie spojrzenia kierują się na niego.

- Tak. Myślę, że tak... - Słowa uchodziły z niego wolno jak kapiące krople.

- Myślisz? - zaczął Ognvald, ale Ulfar odwrócił się ku zachodniej stronie i zaczął już iść przed siebie. — Hej, capie! Może powiesz coś więcej? - krzyczał za nim chłopak, ale bez rezultatu.

Audun rzucił okiem na zbitych w ciasną grupę najeźdźców, a potem ruszył za Ulfarem.

- Och, do suki nędzy! - ryknęła nagle Thora i poszła za oboma wojownikami.

Skadvald obrócił się, by pójść w jej ślady, ale Helga położyła mu dłoń na ramieniu.

- Uważaj - przestrzegła wielkiego wikinga.

- Na co? - warknął Skadvald.

- Słyszałam o tych górach niejedną opowieść — powiedziała Helga.

Skadvald patrzył na nią, jakby nieco zaintrygowany.

- Czy opowieść może uczynić mi coś złego?

Kilka chwil później wszyscy najeźdźcy szli na zachód, pomiędzy górskie szczyty.

* * *

Mroczna armia zniknęła im z pola widzenia, gdy wspięli się na następne wzgórze. Przed nimi ciągnęło się wrzosowisko, niezmierzone połącze bieli upstrzone czarnymi głazami wielkości człowieka. Ulfar znalazł w sobie energię, aby dotrzymać kroku starym wojownikom, i zbliżał się teraz wolno do czoła kolumny, z Sigurdem i Svenem po bokach. Za nim brnęli przez śniegi uzbrojeni wikingowie, milczący, ale zdeterminowani.

- Dokąd teraz? — zapytał Skadvald.

Ulfar zamknął oczy. Wyczuwał przyciąganie mostu.

-Tędy - powiedział, wskazując ręką na lewo, w stronę przysypanej śniegiem doliny.

- Nie idziemy na szczyty? — zapytał Ognvald. — Nie masz pojęcia, dokąd idziesz, prawda?

Bogowie mieszkają przecież nad nami. Każdy to wie.

- Mimo wszystko tędy — powtórzył Ulfar.

Nie potrafił spojrzeć Ognvaldowi prosto w oczy, ponieważ chłopak miał rację. Ulfar nie wiedział, dokąd iść. Nie był pewien na tyle, by ująć to w słowa. Ale coś podpowiadało mu, żeby pójść w lewo, więc poszedł w lewo.

Dolina, wzniesienie, kolejne wrzosowisko...

Audun czuł, że atmosfera gęstnieje. Ludzie musieli czymś się zająć, musieli wyładować złość.

Najgorzej znosił marsz Ognvald. Chłopakowi toczyła się z ust spieniona ślina, stałe wyskakiwał z szeregu, tupał w śnieg, kopał zasy, prychał ze wściekłości. Ojciec pokrzykiwał do niego, ale to nie pomagało. Chłopak zachowywał się jak rozjuszony byk.

Wiatr bił niemiłosiernie, miejscami widać było nawet lico gołej ziemi. Suche łodygi żółtawej trawy wczepiały się w glebę w naiwnej przekorze, targane żywiołem na wszystkie strony, a postrzępione brzegi skał cięły ziemię niczym pływak wypływający na powierzchnię dla złapania oddechu.

Nie mając nic lepszego do roboty, Audun szedł krok w krok za Ulfarem. Nie odważył się spojrzeć na Helgę. Potrafił już zapanować nad morderczymi wybuchami złości, ale nie był pewien, czy równie dobrze panowałby nad innymi emocjami. Odkąd dostrzegli nadciągającą od północy mroczną armię, nie mieli już czasu na nic. Cel był jeden: odnaleźć Tęczowy Most. Tak powiedział Ulfar. I tak musi być.

Idący na przedzie Ognvald podniósł z ziemi kamień wielkości pięści i rzucił w wielki poszarpany głaz sto kroków dalej.

- Pudło! - powiedział ze śmiechem mężczyzna o płowych włosach.

- Wal się, Ygval! - odparł młodzieniec. — Za twoją mamuszkę trafiłem, co?

- Nie tęsknię za nią - odparł Ygval. - Była pół niedźwiedzicą i pół wilczycą. - Na moment zamilkł.

- Twoja była dużo lepsza.

- Kłamca! - wrzasnął z frontu Skadvald. — Była pełną niedźwiedzicą i jednocześnie pełną wilczycą. Do dzisiaj mam ślady po zadrapaniach od pasa w dół!

Rechot wśród wojowników jedynie rozjuszzył chłopaka. Rzucił spojrzeniem na boki i dostrzegł wielki

kamień. Ryknął i doskoczył do niego. Sprawdził, czy Ygval patrzy, a potem dźwignął go i z dzikim wrzaskiem cisnął w jakąś skałę w śniegu.

Zdawało się, że kamień leci całe wieki.

W końcu trafił w skałę i czas jeszcze bardziej zwolnił biegu.

Kamień roztrzaskał się na pięć kawałków, ale... skała się pokruszyła. Ekspłodowała drobnymi odłamkami, których chmura wzbijała się w powietrze.

- Draugr!!! - wrzasnął Ygval. - Do broni!

- Co zrobiłeś?! - krzyknęła Helga.

Ognvald nie odpowiedział. Patrzył w dal na coś, co tylko on widział, z twarzą zastygłą w niemym, bezradnym przerażeniu.

Zimny wiatr, nabrawszy siły i prędkości, chłostał ich po plecach, podnosząc z ziemi tumany śniegu. Teraz również Audun coś zobaczył. Jakieś formy w powietrzu, sunące prosto na nich.

- Strzeżcie swoich myśli! - krzyknęła Helga. - W nic nie wierzcie! W nic!

kochał cię

Głos przenikał do głowy Auduna niczym woda przesączająca się przez dziurawy dach.

kochał cię, a ty go zabiłeś

- Zaniknij się - warknął Audun przez zaciśnięte zęby.

Próbował znaleźć wzrokiem resztę grupy, ale wszyscy jakby zniknęli za dziwną mlecznobiałą mgłą.

twój ojciec cię kochał, a ty go zabiłeś z powodu dziwki matki

Plecy Auduna drgnęły w krótkim spazmie i wygięły się w łuk, gdy to coś na wietrze go dotknęło.

ona też cię miłowała, a ty odrzuciłeś miłość, bo nic nie jesteś wart, gorzej, wyrządzasz krzywdę

innym

Nagle ustało nieznośne uczucie przenikania, jakby natrętne myśli napotkały coś, czego już nie były w stanie spenetrować: coś w samym jego rdzeniu.

- Nie jestem nic niewart — powiedział. - Oni zasłużyli na śmierć.

ty na nią zasługujesz

- Być może - odparł Audun. — Może zasługuję, za to ty umarłeś już dawno temu, a kiedy ja odejdę, nie utknę na wieczność w jamie jak ty.

Wyczuł w powietrzu smak wściekłości, gdy draugr nie ustawał w próbach wniknięcia do jego wnętrza.

twój gniew cię zniszczy

-Tak, zniszczy — odparł Audun i ze zdumieniem zauważył, że mówi to najzupełniej szczerze. — Nie obchodzi mnie to.

Draugr zawył w furii, a jego głos przeszedł ze zgrzytem po kręgosłupie Auduna.

wpuść mnie wpuść mnie wpuść mnie wpuść mnie

Audun patrzył na kłębiący się w śniegu nierozpoznawalny kształt.

- Nie.

on wszystkich was zabije, nawet ciebie, nawet tego drugiego, będziesz cierpieć, będziesz cierpieć...

Na samym środku draugra pojawiła się smużka światła. Płomyk rozprzestrzenił się kolistnie, paląc wzdłuż i wszerz, rysując kontury rozciągniętej i rozdartej postaci płonącego człowieka.

W głowie Auduna potoczyło się echo obłąkańczego chichotu.

cierpieć cierpieć cierpieć cierpieć cierpieć

Spowijająca go mleczna mgła rozstała się nagle i uświadomił sobie, że patrzy w oczy Helgi.

Chciał coś powiedzieć, gdy Helga pochwyciła jego głowę w obie dłonie, przyciągnęła do siebie i pocałowała mocno, zanurzając palce w jego włosach. Gorąco oblało mu twarz i z zaskakującą prędkością przenikło wzdłuż reszty ciała.

Gdy oderwała usta, parę chwil i parę wieków później, oboje zaczęli łapać gwałtownie powietrze,

jakby wypłynęli z morskiej toni. Tylko przez moment. Potem znów spotkali się wzrokiem. Oczy im błyszczały, a usta Helgi wykrzywiły się w powstrzymywanym z trudem uśmiechu.

— Musiałam sprawdzić, czy żyjesz - powiedziała.

— Mmm... — odpowiedział Audun, niezdolny wydobyć z siebie słowa.

— Weź — powiedziała Helga, przyciągając jego rękę i kładąc mu w dłoń dwie małe, ostre szczapy drewna. - Uważaj, szybko się nagrzewają. Znajdź draugra i wbij je w niego.

Na szczapach lśniły delikatnie znaki runiczne.

Audun się rozejrzył. Zobaczył Svena, po czym zerwał się i ruszył w jego stronę.

Stary wojownik trzymał w ręku odłamek skalny, skierowany ostrą krawędzią w stronę twarzy.

Przedzierając się przez zamęt, Audun skoczył i złapał Svena za łokieć. Pociągnął go do siebie z całej siły i zaczął się mocować ze Svenem, który z determinacją próbował uderzyć się odłamkiem w głowę. Audun zacisnął dłoń wokół szczap i uderzył w kształt połyskujący przed wojownikiem ze Stenviku.

Gdy drewno uderzyło w draugra, skwierczenie na dłoni stało się tak bolesne, że Audun o mały włos wypuścił broń z ręki. W miejscu, gdzie szczapa dotknęła kształtu, strzelił w powietrzu płomień i nagle złocisty, migoczący krąg rozlał się błyskawicznie, wypełniając formę ludzką postacią. Przeszywający krzyk draugra boleśnie dotknął Auduna, który jednak trzymał płonący kawałek drewna, zaciskając zęby, gdy płomień osmałiły mu włosy i skórę na wierzchu dłoni.

Sven wyszedł z transu i zaczął raptownie kaszleć.

- Łajdak! - syknął. — Łajdak!

Po twarzy starego wikinga toczyły się łzy.

Nie umiejąc znaleźć słów, Audun przygarnął go do siebie mocno, a potem pobiegł pomóc następnemu wojownikowi.

*

- Siedmiu - powiedział Sigurd.

- Dziewięciu moich - dodał Skadvald.

Stali z boku i przypatrywali się, jak ludzie na zmianę skuwali skorupę, wydobywając grudami zmarzniętą ziemię, by pochować martwych kompanów. Niektórzy zakłuli się nożem czy mieczem, inni po prostu wyzionęli ducha.

- Co z Ognvaldem? — zapytał Sigurd.

Skadvald zamilkł na chwilę.

- Ognvald jest... niespokojny — powiedział w końcu. — Na razie zabrałem mu miecz.

Sigurd spojrzał Skadvaldowi prosto w oczy.

- Wolałbym walczyć z wrogiem, którego widzę.

Skadvald nie odpowiedział. Nie musiał.

Trzydzieści kroków dalej Helga chodziła wolno między ciałami.

- Kiedyś stoczono tutaj bitwę - szepnęła.

-To prawda — powiedział idący obok niej Sven. - To musiało być dawno temu. Siłą rzeczy zauważyłem, że...

- ...że nie każdy draugr był tych samych rozmiarów.

-Właśnie.

Helga stanęła i spojrzała na Svena.

- Nie przejmuj się tak bardzo. To były stare dusze. To, co je spotkało, minęło bezpowrotnie. Dawno temu. A teraz muszę cię prosić, abyś odszedł.

- Dlaczego? - Sven podniósł głowę. - Och!

Przed nimi siedziała w śniegu zgięta wpół Thora. Wydawała się taka mała. Drżała na całym ciele, jej usta poruszały się bezgłośnie, kołysała się w tył i do przodu.

Palce Helgi wyszukały grubego sznur, którym była opasana. Przebiegły zgrabnie wzdłuż niego, aż

natrafiły na sakiewkę. Wkrótce uniosła do ust szczyptę ziół. Przeżuwaszając i krzywiąc się na twarzy, ugniotła je językiem, a chwilę potem kręciła w palcach podłużną, krągłą, zieloną bryłkę.

— Nie będziesz mnie za to lubić, siostrze - powiedziała.

Skoczyła na leżącą twarzą do ziemi kobietę i przygwoździła jej ręce własnymi kolanami. Na początku szok, a potem Thora zaczęła krzyczeć i wierzgać nogami, ale było za późno. Wolną ręką Helga nagarnęła jej śnieg na twarz, wyszukała nos i zacisnęła go palcami. Gdy usta Thory się rozwarły, by wydać znowu krzyk, Helga wrzuciła do nich bryłkę i wepchnęła za nią pół garści śniegu. Wreszcie się otrząsnęła, wstała czerwona z wysiłku, a Thora zaczęła kaszleć.

Na ramieniu Helgi wylądowała ciężka dłoń i obróciła ją w drugą stronę.

— Co jej zrobiłaś? - zapytał Skadvald. - Odczyń te cuda. Natychmiast. Bo zabiję.

— Zostaw ją - powiedział Audun, robiąc krok w ich stronę.

— Cofnij się — warknął Skadvald i silniej zacisnął palce na ramieniu Helgi.

— Nie — odparł spokojnie Audun i odpiął z pasa młot.

Helga delikatnie położyła rękę na dłoni Skadvalda, wzięła głęboki wdech, a potem docisnęła kciuk. Mocno. Wielki najeźdźca ryknął z bólu, a jego dłoń, zmuszona do podążania za ciałem, osunęła się z ramienia kobiety.

Helga okręciła się i nagle Skadvald znalazł się na ziemi.

Śmiertelną ciszę przerwał ochryply śmiech. Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd dobiegał, i zobaczyli Thorę. Siedziała na śniegu, wyprostowana jak młoda sosna, z dzikim błyskiem w oczach.

— Żyjesz - zawołał Skadvald.

Thora nie zwróciła na niego uwagi. Patrzyła na Helgę. Powoli zebrała się na nogi.

- Nikt nigdy nie zrobił mi czegoś takiego i pozostał przy życiu.

Helga uśmiechnęła się szeroko.

- Nigdy nie miałaś starszej siostry?

- Powinam cię zabić. Dobrze wiesz — powiedziała Thora.

- Powinnaś - przyznała Helga. - Ale najpierw napijmy się bulionu.

Thora wyszczerzyła w uśmiechu zęby.

Kobiety odwróciły się i odeszły, a oniemiał Skadvald i Audun stali jak dwa barany, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, patrząc na siebie nawzajem i próbując zrozumieć, co się stało.

*

Równina z wolna przechodziła we wzgórze, a wzgórze w górskie zbocze. Najeźdźcy wokół Ulfara pokonywali stromiznę z różnego pokroju galanterią.

- Mogliby wyruchać tę górę kłębem dzikiej świni - warknął Oskarl. — I to nie takim ładnym i gładkim.

- Przestań zrędzić, duża dziewczynko - powiedział idący z przodu Sven. - Wy na Wschodzie potraficie tylko jęczeć i biadolić.

- Lubimy opisywać świat takim, jaki naprawdę jest - odparł Oskarl. - W ten sposób mało kto czuje się rozzarowany.

- Dziwne, że nie zabijacie się przez cały czas - powiedział Ulfar.

- Czasami się zabijamy — odpowiedział Oskarl.

W dole za nimi krajobraz ciągnął się daleko, aż barwy zlewały się w łagodne, białawe krągłości na szarości i bieli. Ulfar widział, jak większość ludzi rzuca jeszcze za siebie spojrzenie na ostatni fragment przebytej wspinaczki, a potem z niezachwianą siłą patrzy w przód.

Była tam mroczna armia. Z każdą chwilą coraz bliżej. Wcześniej mignęła im tu i ówdzie, ale teraz zaczęli odczuwać jej obecność niczym gromadzące się przed burzą czarne chmury.

- Uwaga!

Okrzyk był dziki, gwałtowny, niespodziewany. Ulfar odruchowo padł na ziemię. Poczł podmuch i

usłyszał świst przelatującego nad nim masywnego głazu. Głuchy odgłos miażdżenia i idący za nim nieludzki wrzask kazały mu się domyślać, że ktoś dalej nie miał tyle szczęścia co on.

- Olbrzyymy!!!

Ulfar podniósł w górę wzrok i zaklął: na tle szarobiałego nieba rysowały się dwie ogromne postacie, a jedna z nich trzymała w rękach głaz wielkości konia. Parę chwil później lecąca skała przesłoniła im sylwetki olbrzymów. Ulfar przycisnął głowę do zimnej ziemi i zacisnął powieki, czując potężny wstrząs.

Gdy znów podniósł głowę i spojrzał swoim jednym dobrym okiem, zobaczył trzy postacie w ruchu, mknące pod górę w stronę olbrzymów. Ich wrzask, przeraźliwie wysoki i nieludzki, płynął kaskadą w dół, ku skulonym w strachu najeźdźcom.

Sven.

Thora.

Ognvald.

Jeden z olbrzymów zaryczał gardłowo i niezrozumiale, chwycił ramię towarzysza i wskazał ręką w dół. Chwilę później obie monstrualne postacie zniknęły znad krawędzi.

Thora pierwsza dotarła na szczyt i rzuciła się za nimi w pogoń. Nagle nad miejscem, w którym przed momentem była, poszybował głaz szerokości jej torsu, minął o włos głowę Svena, gdy ten wszedł razem z Ognvaldem na szczyt, i zniknął w dole za ich plecami.

Na chwilę zapanowała cisza, a potem ostry północny wiatr poniósł z dołu donośny ryk Sigurda.

- Naprzód!!!

Zbocze zaroiło się od najeźdźców, którzy zerwali się na nogi i ruszyli za trójką.

Najpierw przykuł ich uwagę zapach. Zwierzęcy, piźmowy odór, tyle że dziesięć razy intensywniejszy. Potem dostrzegli krew.

Dużo krwi.

Później zadartą w górę stopę olbrzyma leżącego bezwładnie na plecach.

Skadvald ryknął i puścił się biegiem naprzód, mijając stopę, która sięgała mu niemal do piersi.

Nikt za nim nie ruszył.

Żaden z wojowników nie widział wcześniej olbrzyma, za to wszyscy widzieli trupy tych, którzy padli z jego ręki. Tymczasem tu olbrzym sam leżał trupem.

Dwadzieścia kroków dalej zobaczyli zwłoki drugiego olbrzyma. Skadvald stanął w odcisku jego stopy i nie mógł oderwać od niego oczu.

Ognvald, Thora i Sven zatrzymali się przy trupie, dysząc ciężko i uśmiechając się do siebie z dziką iskrą w oczach. Thora i Ognvald trzymali w ręku sztylety. Sven miał dwa, w każdej dłoni jeden. Thora chciała coś powiedzieć, ale zdołała wydobyć z siebie jedynie krótki, zduszony śmiech.

Najeźdźcy stanęli przy nich w półkolu. Nikomu nie przychodziło do głowy, by zbliżyć się bardziej, niż było to rzeczywiście konieczne. Mazista krew olbrzyma krzepła wolno, rozkładając się wielką kałużą wokół stóp dyszącej trójki.

Dopiero po chwili Thora odzyskała głos.

-Tego było mi trzeba — powiedziała.

- Uhm - przytaknął Sven.

Ognvald uśmiechnął się tylko. Potem odwrócił się do ojca.

- Chciałbym z powrotem mój miecz - powiedział.

Skadvald spojrzał na obryzganego krwią syna, który stał przy olbrzymich zwłokach z nożem w ręku, mającym pierwotnie służyć do patroszenia zwierzyny. Sięgnął do pasa, odpiął bez słowa miecz i podał go synowi rękojęcią do przodu.

- Dziękuję - rzucił młodzieniec, a potem, spojrzawszy na wszystkich, jakby widział ich pierwszy raz w życiu, powiedział: - No to jak? Idziemy dalej na górę czy co?

Bez wielkich słów grupa zaczęła się piąć na szczyt. Kiedy mijali Martwe olbrzymy, Audun pociągnął

Ulfara za rękaw.

- Patrz - szepnął.

Trupy wielkich stworów pokryte były ranami zadanymi przez nóż, kłutymi, ciętymi, rwanymi. Oba miały podcięte ścięgna w kolanie, a jeden olbrzym, który za życia najpewniej był osobnikiem męskim, już nim nie był.

Oczy Ulfara otworzyły się szeroko, gdy pojął dziką furie rzezi.

- Można byłoby pomyśleć, że dopadło je stado rosomaków -mruknął.

Audun podniósł głowę i spojrzał na oddalające się sylwetki Svena, Thory i Ognvalda.

- Nie sądzę, abym postawił na stado rosomaków w starciu z tą trójką - stwierdził. - Przypomnij mi, że mam walczyć po ich stronie, gdy nadejdzie burza.

- Myślę, że na to nie będziesz musiał czekać zbyt długo - powiedział Ulfar.

Szli dalej w milczeniu, zostawiając za sobą dwa martwe olbrzymy, otoczone ciemną aureolą zakrzepłej krwi.

*

To nastąpiło w jednej chwili.

Podejście na szczyt przechodziło ze stromizny w pionową niemal ścianę, a potem znowu w stromiznę, ale nieustannie prowadziło pod górę. Kiedy otworzyła się za nimi daleka perspektywa w stronę, z której przyszli, zobaczyli, że las, którego drzewa były sześć razy wyższe od człowieka i który pokonywali z mazołem przez cały dzień, teraz wydawał się tylko plamą na białym tle. Ulfar szedł pierwszy, potykając się o występy i szczeliny, które tworzyły swego rodzaju ścieżkę, prowadzącą nieprzerwanie w górę, aż nagle teren się wyrównał i wyszli na płaski, niemal okrągły płaskowyż o średnicy może czterystu kroków.

Wówczas, w tej jednej chwili, to sobie uświadomił.

- To tutaj - powiedział do Sigurda.

Stary najeźdźca stanął i rozejrzał się dookoła w chwili, gdy mijali ich Skadvald.

- Tutaj? - zapytał.

- Tutaj - powiedział Ulfar.

Sven spojrzał na przykryte kapeluszem śniegu, sinoczarne kamienie.

- Mniej tu kolorów, niż to sobie wcześniej wyobrażałem — powiedział.

- O czym mówicie? — zapytał Skadvald, odwracając się od przeciwległej krawędzi szczytu i ruszając w ich stronę.

- Ulfar twierdzi, że tu jest Tęczowy Most — powiedział Sigurd. -To by się nawet zgadzało - stwierdził Skadvald.

- Naprawdę? — zdziwił się Sigurd.

- Cóż... — odpowiedział Skadvald, z uśmiechem odpinając zawieszony na plecach topór. — Oni zdają się tak uważać.

Rzucił wzrokiem w kierunku przeciwległej krawędzi, a Sigurd i Sven spojrzeli po sobie zaniepokojeni.

- Ty idź pierwszy - powiedział Sven.

Sigurd przewrócił oczami i podszedł na skraj szczytu. Stał tam przez dłuższą chwilę, a potem wrócił do Skadvalda i odpiął wolno topór, rozciągając szyję i ramiona.

- No dobra... — mruknął Sven. — Sam sprawdzę.

W miarę jak szedł, zza krawędzi wynurzał się krajobraz. Przed jego oczami wyrastały ciągnące się w jego stronę, odległe doliny, wzgórza i niższe góry.

W końcu, niemal pod nogami, zobaczył głęboką dolinę i pnące się na ich płaskowyż zbocze.

Na nim masę postaci idących pod górę, ludzi i trolli.

- Kurwa — zaklął Sven.

*

Najeżdźcy Stenviku i ludzie Skadvalda przygotowywali się do bitwy tak, jak robili to przez całe życie: rozciągali dłonie i ramiona, sprawdzali zapięcia zbroi, wzmacniali skórzane paski na rękojeściach mieczy i upychali w hełmy wyściółkę. Niektórzy żartowali, inni próbowali się skupić i milczeli.

Ulfar patrzył, jak stary Thjodolf podczołgał się na brzeg przepaści i spojrział w dół. Wydawało się, jakby coś mierzył, stykając kciuk z palcem wskazującym. Potem wrócił do tobołów, rozwiązał sporych rozmiarów pęk włóczni i zaczął je układać według grubości, a potem wbijać w ziemię w linii prowadzącej od krawędzi do środka szczytu. Włócznia na końcu była dłuższa i grubsza niż wszystkie pozostałe.

Sven rozmawiał z Askellem, zwałistym i silnym mężczyzną, pokazując mu rozsiane po szczycie głązy wielkości beczki. Za szerokimi plecami Askella wskazówek starego Svena słuchało kilku innych wojowników podobnej postury.

Zatopiony we własnym świetle Sigurd robił dwa kroki w tył i dwa kroki w przód, kreśląc w powietrzu potężnym toporem wyjątkowo szerokie łuki. Z każdym zamachem z barków wodza spadał kolejny rok.

-To tutaj, prawda?

Ulfar najwyższym wysiłkiem woli nie podskoczył wystraszony, gdy nagle usłyszał nad uchem głos Helgi.

- Tak. Tak mi się wydaje - odpowiedział.

- Jak rana?

- Wciąż nie widzę kątem oka - odparł. - Ale nic nie boli, za co pewnie powinienem być wdzięczny. Szybko się zagoiło. Jednak w walce do niczego się nie przydam.

- Och, nie powiedziałałabym - odparła Helga i zamyśliła się na chwilę. - Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że wciąż nie wiem, dlaczego tu jestem?

- Uwierzę. Sam nie wiem.

Helga dotknęła jego ramienia.

- Myślę, że wiesz więcej, niż ci się wydaje.

Po tych słowach odeszła w stronę Skadvalda.

- Jestem pewien, że nie wiem - mruknął do siebie Ulfar. - Nie wiem nawet, gdzie...

Naraz usta mu się zamknęły i poczuł, jak po kręgosłupie płynie mu w górę i w dół dreszcz niczym palący płomień.

Wiedział. Oczywiście, że wiedział, gdzie powinni się znaleźć.

Kiedy otworzył znów oczy, był rozluźniony.

- Sven. Gdzie jest Sven?

Rozgarniając na boki wojowników, znalazł siwowłosego wojownika obok Sigurda.

- Musimy obrócić pozycje wojowników w lewą stronę.

Sven odwrócił się i spojrział na niego.

- Dlaczego? - zapytał.

Ulfar zacisnął powieki i przyłożył dłoń do czoła, starając się uspokoić myśli.

-To będzie... bardzo ważne — powiedział.

Kiedy podniósł powieki, zobaczył, jak Sven wymienia spojrzenia ze swoim wodzem. Sigurd wzruszył ramionami.

- W porządku. Pójdę powiedzieć Skadvaldowi.

- Dziękuję - odrzekł Ulfar. - Ja...

Dalsze słowa Ulfara zagłuszył krzyk.

- Idą!!! Pożegnajcie się ze swoimi obsiuranymi kutasami, wy zasyfiałe buźki niedające spokoju zdechłej kozie! Do broni!

- Kamienie! — ryknął Sven.

Stojący za nim Skadvald wykrzykiwał rozkazy do swoich ludzi, którzy pod wpływem wskazówek Ulfara zmieniali planowane wcześniej pozycje bitewne.

Askell i sześciu innych muskularnych drągali przydźwigali kamienie i spuścili je poza krawędź. Wiatr podniósł z dołu wściekłe ryki. Ulfar zobaczył, że Sigurd podchodzi nad skraj i zerka w dół, a potem patrzy znacząco na Svena.

- Włóczniecy! - wrzasnął Skadvald.

Dziesięciu jego ludzi i dziesięciu najeźdźców ze Stenviku, pod wodzą starego Thjodolfa, podbiegło nad krawędź i cisnęło włócznie w niewidoczną armię.

- Toporki i włócznie! - krzyknął Sigurd, cofając się znad krawędzi. - Miejcie oczy i uszy otwarte!

Grupa wojowników z wyciętymi na rękach znakami runicznymi, uzbrojona w tarcze i toporki, zajęła pozycje w luźnym półkołu przodem do krawędzi. Za nimi stanęli włóczniecy, z bronią w każdej ręce, gotowi zadawać ciosy zza pierwszej linii. Gdy pierwszy wilk pokonał stromiznę, Sigurd krzyknął:

- Środek na bok!

Wojownicy rozstąpili się i utworzyli w środku lukę szeroką na trzy wozy. W tym samym czasie Sven i niewielka grupa wybranych przez niego ludzi zaczęła wyć i walić mieczami w tarcze. Wilki, o szarej sierści i wyszczerzonych, ostrych kłach, przemknęły przez lukę i wbiegły na środek płaskiego szczytu, atakując źródło potwornego jazgotu.

- Zamknąć środek!

Gdy tylko przeszedł ostatni wilk, wojownicy zamknęli koło. Na szczyt wdarły się pierwsze trolle i natychmiast ruszyły na najbliższych ludzi. Były to cztery szpetne bestie wymachujące maczugami i konarami oderwanymi z drzew.

Ulfar patrzył, jak ruchliwi wojownicy rozdzielają się błyskawicznie, po dwóch na jednego trolla, stając się dla nich trudnymi do uchwycenia celami, podczas gdy włóczniecy dźgają je w kolana i biodra. Trolle ryknęły, a potem w mgnieniu oka ścisnęły się w jakby bojowy szyk.

Na szczyt wlażyły trzy kolejne trolle, a za nimi grupka uzbrojonych w dzidy ludzi w łachach.

- Najpierw na ludzi! - wrzasnął Skadvald.

Włóczniecy zaczęli bezlitośnie wykonywać rozkaz. Niebawem gardła zostały poderżnięte i wnętrzności wyprute, gdy grube, precyzyjnie mierzone groty zatapiały się z ogromną siłą w ciałach napastników. Trup padał gęsto. Ulfar zobaczył, że jeden z trolli kopie wściekłe w ciało, które leżało mu na drodze. Rozlana krew wnikała w śnieg, a jej kolor mieszał się z szarością wilków, tracących rozpoznawalne kształty, skręconych lub złamanych wpół w wyniku dzikiego ataku prowadzonego pod wodzą Svena i młodego Ognvalda.

— Źle wybrałyście żer, pieski - mruknął Ulfar.

Wrogowie jednak napływali nieustannie, pokonując stromiznę i wchodząc na płaski szczyt. O ile wcześniej nadeszły cztery trolle, teraz było ich już osiem, a otaczało ich co najmniej dwudziestu ludzi w łachach. Zbita grupa powoli posuwała się naprzód, a nad krawędzią pojawiały się kolejne postacie.

- Cofnąć się! - krzyknął Skadvald, a wojownicy z toporami z radością zdawali się wykonywać ten rozkaz.

Stary Thjodolf cofał się szybko, pewnie stawiając kroki. Po chwili wyrwał z ziemi przygotowaną wcześniej włócznie, cisnął nią we wrogów z potworną siłą i zanim jeszcze dosięgła ona celu, był już przy następnej. Okrzyki radości podniosły się wokół, gdy pierwsza włócznieca trafiła jednego z trolli w oko, miażdżąc mu czaszkę i twarz. Jednak mnóstwo dłoni natychmiast pochwyciło wielkiego trupa i odrzuciło go na bok.

Miejsce, w którym stromizna łagodnie przechodziła w płaski szczyt, zniknęło naraz pod masą trolli i ludzi, ciągnącą się czterdzieści kroków w każdą stronę. Na szczycie było ponad trzydzieści trolli, które ruszyły do natarcia zbitą, równo ustawioną formacją, krok w krok, niczym jeden twór.

W odpowiedzi najeźdźcy uformowali własną linię, stając twarzą do mrocznej armii. Dzieliło ich

może pięćdziesiąt kroków, ale przestrzeń szybko się zamykała.

Ulfar zobaczył, jak z frontu Sigurd odwraca do niego głowę, rzuca mu spojrzenie, a potem nabiera głęboko powietrza w płuca.

- W odpowiednim momencie cofać się w stronę Ulfara! - zawołał wódz Stenviku, a potem odwrócił się z powrotem do trolli, zacisnął palce wokół rękojeści topora i wydał z siebie straszny wojenny ryk.

- Porządny z niego człowiek, z tego Sigurda Aegissona.

Ulfar obrócił się tak gwałtownie, że niemal się przewrócił. Zanim sobie uświadomił, że sięga po miecz, dojrzał go w swojej dłoni. Kiedy złapał równowagę i skoncentrował wzrok na miejscu, skąd dobiegł głos, zdał sobie sprawę, że obok niego stoi również Audun, a wokół ich łydek krąży obłok bielutkiej, drobnej mgły.

Tutaj, w wysokich górach, w miejscu położonym tak wysoko, że nikt nie mógł teraz znajdować się wyżej, wydawał się jakby jeszcze bardziej znaczący.

Stał przed nimi Odyn. Wysoki i dumny. Siwy i biały jak góra. Przy nim muskularny mężczyzna, nieco niższy, ale niemal namacalnie wyczuwało się w nim masę: szerokie barki, długie ramiona, mocne ręce kowala. Za pasem wielki młot.

Thor.

- Jest pewien problem - odezwał się Odyn.

- Czyżby? - sarknął Ulfar, rzucając wzrokiem za siebie, gdzie kłębili się walczący wojownicy. -

Faktycznie jesteś wszechwiedzący.

Nozdrza Thora drgnęły, ale bóg zachował spokój, choć nie bez wysiłku woli.

- Zamknij się - powiedział.

- Loki wyznaczył na swoje miejsce Valgarda - ciągnął Odyn. - I robi wszystko, by zniszczyć świat.

Ulfar spojrzał na Auduna, potem z powrotem na Odyna.

- Nie wiem, co chcesz nam powiedzieć, ale mógłbyś się streszczać? Musimy dziś zabić jeszcze kilka trolli.

- Nie. Nie musicie - odpowiedział Odyn.

Ulfar westchnął ciężko.

- Świetnie. Nie musimy. Gdzie był ten błysk geniuszu, który umknął mojej uwadze?

- Twoi przyjaciele są silni i mocni. Z radością widzę, że przyłożyła do tego rękę Helga Finnsdottir.

Ulfar uśmiechnął się zgryźliwie do Auduna, a ten spojrzał na niego spode łba.

- Ale nawet jeśli wybijecie trolle, Valgard bez trudu zabije was wszystkich.

Ulfar szukał w myślach błyskotliwej odpowiedzi, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Co możemy zrobić?

- Wiara to potęga — stwierdził Odyn. — Czy słyszeliście, by wojownicy wzywali moje imię, gdy ruszali do boju?

- Hm. - Audun się zamyślił. - Nie za bardzo.

- Moje moce gasną - powiedział Odyn. - Nie wierzą we mnie, ponieważ nie czują, że powinni, a ponieważ nie czują, że powinni, tym bardziej nie będą we mnie wierzyć.

- Więc co nam pozostaje? - zapytał Ulfar. - Jesteśmy już tylko karmą dla trolli?

- Trolle nie jedzą - rzucił Thor. - Nie bądź głupi.

Zaszokowany znajomym głosem Ulfar spojrzał na kowala. Potem na stojącego obok Auduna.

Wówczas zrozumiał, co musi się teraz stać.

- Och - zdołał wydusić z siebie.

Odyn popatrzył wówczas na niego z błyskiem w oczach. Podniósł palec. Ulfar natężył się przeciw tej sile, ale jego miecz się uniósł, jakby miał własną wolę. Wszechojciec przyłożył stalowe ostrze do swojego serca. I zrobił krok naprzód.

Ulfar krzyknął i znieruchomiał, patrząc z przerażeniem na rękojeść miecza, dotykającą mostka

Wszechojca.

Odyn zakaszłał i szepnął.

- Nie walczcie z nim na ziemi. Gdy bogowie prowadzą walkę w królestwie człowieka, otwierają się bramy Hel, a to będzie ponad wasze siły.

Ulfar oderwał na moment wzrok od oczu Odyna. Obok Thor wręczał Audunowi młot, rękojeścią naprzód. Kowal z Północy chwycił go mocno i się zamachnął.

*

Kiedy Ulfar otworzył oczy, świat runął mu na spotkanie.

Wokół wrzała bitwa. Na placu boju pozostało stu dwunastu wojowników, w tym Sigurd i Sven. Ale już nadciągało sto siedemdziesiąt trolli, a za nimi kolejne: morze potworów.

- Za dużo — powiedział Ulfar. — Trzeba wyrównać siły.

Odwrócił się do najbliższego wojownika. Byli już za blisko. Najeźdźcy ze Stenviku oderwali się od wroga i cofnęli, zostawiając między obiema armiami mnóstwo trupów ludzi i trolli.

- Włócznia — powiedział.

Siwy wojownik spojrzał na Ulfara i bez słowa pobiegł gorączkowo szukać włóczni.

Audun tymczasem szukał czegoś w torbie.

- O, jest! - krzyknął.

Wyciągnął szeroki skórzany pas.

Ulfar spojrzał na przyjaciela. U jego bioder nie było już starego młota. Nowy robił za to olśniewające wrażenie. Kwadratowy obuch, inkrustowany runicznymi znakami, osadzony był na trzonku wzmocnionym dla lepszego chwytu skórzanym paskiem.

- Ładny młoteczek — powiedział Ulfar.

- Dzięki — odparł Audun.

Kowal wziął oddech i jednym ruchem zapiął szeroki pas nad biodrami. Zdawało się, jakby ktoś go nagle nadmuchał. Zrobił się masywniejszy niż ktokolwiek w otoczeniu.

Przy Ulfarze pojawił się siwy najeźdźca, który w milczeniu podał mu włócznię. Słowa pojawiły się same, szeptane zaklęcia, które przenikały w głąb drewna. Potem Ulfar odciągnął daleko ramię i raptownie cisnął włócznię.

Pocisk przeleciał łukiem nad walczącymi wojownikami i minął głowy nadbiegających trolli.

- Chybiłeś — powiedział Audun.

Ulfar tylko się uśmiechnął.

Ludzie Skadvalda i najeźdźcy ze Stenviku krzyknęli ze zdumienia, gdy śnieg zadrżał pod ich stopami. Wzdłuż linii lotu włóczni zaczęły powstawać z ziemi postacie, spychając na boki zarówno trolle, jak i ludzi.

- Einherjerzy? - zapytał Audun.

- A co, skoro on może oszukiwać, to ja też — odpowiedział Ulfar.

Gdy tylko pierwsi wojownicy stanęli na nogach, potężni, uzbrojeni i opancerzeni, niemal wielkości trolli, natychmiast przypuścili atak na najbliższych żołnierzy mrocznej armii. Nowi przybysze byli różnych rozmiarów - niektórzy odziani jak najemnicy, a inni w wielkich futrach z ciężkimi maczugami w rękach - ale mieli jedną cechę wspólną: wszyscy zostali niegdyś wysłani do Walhalli za dowody męstwa na polu bitwy. Trup wokół nich padał gęsto. Jednak w miejscu każdego powalonego nieprzyjaciela pojawiała się dwóch kolejnych.

Ulfar zerknął w stronę przeciwległej krawędzi. Już niemal połowę szczytu wypełniały ciemne postacie wroga, zwrócone ku środkowi placu, w stronę einherjerów ściągających na siebie uwagę, napierające na nich, dławiące swą liczebnością. Wojownicy ze Stenviku, nie odrywając oczu od spektaklu, ostrożnie, krok po kroku, cofali się na pozycję koło Auduna i Ulfara.

- Nareszcie się pojawiliście. Najwyższa pora — powiedział Sven.

Ulfar spojrział na starego wojownika. Wydawał się wyczerpany walką, ale w oczach miał ciągle błysk.

-Cóż mam powiedzieć? Orientacja w sytuacji wymaga niekiedy czasu.

Sigurd prychnął.

- No to chyba już jesteś zorientowany.

Podeszli Skadvald, Ognvald i Thora.

- Co robimy dalej? - zapytał wielki kapitan wikińskich okrętów.

Popatrzyli na wojowników swoich armii, których na placu boju pozostało mniej niż setka. Gdy spojrzeli na szereg trolli i ludzi o martwych oczach, żołnierze mrocznej armii odwrócili się i popatrzyli na nich. Wolno ruszyli w ich stronę.

Audun spojrział na Ulfara i odpiął z pasa młot. Obaj postąpili naprzód, stając między wodzami i trollami.

- My idziemy w tym kierunku — powiedział Ulfar do wodzów, wskazując kciukiem za siebie, w stronę zbliżających się oddziałów. — Jeśli nie dołączycie, to cóż, cała zabawa przypadnie wyłącznie nam.

Po tych słowach ruszyli. W biegu Ulfar wydobył miecz i w tej samej chwili poczuł powiew przy uchu. Coś przeleciało mu obok głowy i przemieniło w miazgę pierś pierwszego trolla. Gdy młot wracał do ręki Auduna, wydawał się niewyraźną plamą.

- Nieźle! - krzyknął Ulfar.

Ulfar zamachnął się na mięsistą nogę nieprzyjaciela. Miecz przeszedł miękko przez staw kolanowy i troll zwałił się na ziemię.

Za nimi rozległo się wycie radości z wielu gardeł. Ulfar nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że Sven i Sigurd ruszyli do ataku.

Za nimi biegła Thora, szczerząc w dzikim uśmiechu zęby.

Po jej bokach Skadvald i Ognvald, ojciec i syn, uzbrojeni w topór i miecz.

Wtedy trolle ruszyły z impetem. Z bliska wydawały się jeszcze większe. Najmniejszy z nich był o głowę wyższy od Ulfara. Ten spojrział na ich potężne mięśnie, na ich zachlapanę krwią maczugi, i poczuł dziwny brak strachu.

„To jest jak taniec” - pomyślał. Schylił się przed uderzeniem i podszedł tak blisko trolla, że wyczuwał jego zapach, gdy ciął z dołu pod pachą, jednym machnięciem przecinając kości i ścięgna uruchamiające mocarne ramię. Bestia zawyła, ale jedno potężne kopnięcie złamało jej kolano i bezsilny troll runął na ziemię.

Ulfar nie stał w miejscu. Chwycił za grot pchniętą w jego stronę włócznię, przyciągnął ją do siebie i od razu poczuł tę przyjemną zmianę punktu ciężkości, kiedy przeciwnik stracił w śniegu równowagę. Uderzenie kolanem w nos wepchnęło odpryski kości w mózg i w ułamku chwili zakończyło życie trolla. Ulfar swobodnym ruchem obrócił włócznię grotem do przodu, pochylił się lekko na bok, niemal leniwie, i potężnym pchnięciem wcisnął włócznię pod brodę nacierającemu trollowi.

„Prawie jak taniec” - znów pomyślał. Spojrział w bok i uśmiechnął się mimowolnie. „W każdym razie dla mnie”.

Po prawej Audun opierał rozwartą lewą dłoń o pierś jednego z trolli, wydobywając pięść z jego zgruchotanej klatki piersiowej. Wyrwał ją w samą porę, by zdążyć jeszcze złapać wracającego do niego, mokrego od krwi Mjöllnira. Za kowalem ciągnęło się proste pasmo trupów o zmiażdżonych stawach i roztrzaskanej broni, co kazało się domyślać, że przyjęta wcześniej taktyka uskoków i uników zaczęła Audunowi doskwierać.

Na flankach Sigurd i Sven walczyli jak współpracująca para, podnosząc wokół siebie wirującą chmurę ostrzy, przesuając się w harmonijnej zgodzie i siekąc każde żywe ciało, które znalazło się zbyt blisko. Skadvald działał bez pośpiechu, mierzając uważnie i zadając każdy cios dokładnie w miejscu, w

którym powinien paść. Po jego bokach Thora i Ognvald cięli wszystko, co podeszło im pod stalowe ostrza, poruszając się z taką szybkością, że dla ludzkiego oka stawali się niemal niewidoczni.

„Ale czy jestem człowiekiem?”

Głowicą rękojeści Ulfar strzaskał nasadę nosa nadbiegającemu napastnikowi.

„Czy po Stenviku byłem jeszcze człowiekiem?”

Napastnik zwałił się na ziemię jak ścięte drzewo i zaraz został wciśnięty w śnieg przez masywną stopę wypełniającego lukę trolla.

„Czy kiedykolwiek byłem człowiekiem?”

Powoli, pomalutku, linia armii Valgarda cofała się krok po kroku, próbując odpierać wściekłe ataki nieprzyjaciela.

- Nie takie łajno brałem na miecz! - ryknął Ognvald pełną piersią, oplatając nogami trolla i dźgając go nożami w kark w poszukiwaniu, o jest!, kręgosłupa.

Pod trollem ugięły się kolana, a Ognvald odepchnął się, zeskoczył na ziemię i stanął pewnie.

- Nie mówiłem? Nic nie jest w stanie...

Ulfar wyczuł zapach śmierci parę chwil przed tym, nim poczuł na szyi zimny powiew i usłyszał trzepot skrzydeł. Oderwał się od przeciwnika błyskawicznym cięciem i zaczął się cofać, lawirując między powalonymi ciałami.

Trolle niemal równocześnie przestały walczyć i zrobiły krok w tył, formując szereg ponurych, pogrążonych w milczeniu oczu.

Twarz Ognvalda oblał powiększający się odcień czerwieni. Opadający za jego plecami ciemny kształt kruka przeobraził się w locie, przybrał ludzką postać i wylądował łagodnie na płaskim szczycie. Skadvald zgruchotał czaszkę stojącego najbliżej niego trolla i podbiegł do chłopca, który runął na ziemię, krwawiąc z nosa.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować - rzucił Valgard, strząsając niewidoczny pyłek z bogato zdobionego, purpurowego płaszcza. - Twój syn nie żyje. Tylko jeszcze o tym nie wie.

Prędko jak grom obrócił się i złapał za nadgarstek Thore, która trzymała w ręku nóż. Podeszła go bezgłośnie i szybko - choć nie dość szybko.

- Lubię cię nawet - powiedział z uśmiechem.

Stali blisko siebie, niemal się dotykając, niczym nieśmiali kochankowie.

- Jesteś bardzo zaradna - ciągnął Valgard. - Obawiam się jednak, że masz pewne — Thora krzyknęła z bólu, gdy niewidocznym ruchem złamał jej kości nadgarstka — problemy.

Krzyk Thory urwał się nagle. Wolna ręka Valgarda zatoczyła szeroki łuk, a on obrócił ją pchnięciem tak, że runęła na ziemię twarzą do dołu. Z rozciętego gardła Thory trysnęła struga krwi, malując na śniegu czerwoną linię spływającą pod jej ciało. Valgard wprawnym ruchem wsunął drewnianą szczapę z powrotem między fałdy płaszcza.

Wokół zapadła cisza.

Mroczna armia Valgarda stała w złowróżbnym bezruchu, zapełniając ponad połowę szczytu. Garstka pobitych i poturbowanych żołnierzy zbiła się w gromadę na przeciwległym skraju, patrząc w oniemiaeniu na stojącą na środku grupę ludzi.

Sven zrobił krok w stronę Valgarda.

- Zabij mnie - powiedział.

Przez krótką chwilę Valgard wydawał się skonsternowany.

- Trzymaj się od tego z dala, starcze - syknął w końcu.

- Zamknij się, młokosie, i rób, co mówię. Musisz mnie zabić.

Sven powiedział to chłodnym głosem. Patrząc Valgardowi prosto w oczy, przyjął wyzywającą postawę.

- Powiedziałem, żebyś...

- Musisz, bo dwadzieścia pięć lat temu popełniłem błąd i zamierzam go naprawić.

Słowa zawisły w powietrzu między nimi. Potem Sven ruszył.

Za szybko, by Ulfar zdołał to zauważyć, poderwał rękę i wypuścił z dłoni nóż, który pofrunął prosto w twarz Valgarda. Jeszcze gdy nóż był w locie i w zasięgu wzroku, Sven natarł, skacząc naprzód jak dziki kot, celując w brzuch nieprzyjaciela.

Valgard, niczym drzewo kołysane wiatrem w burzy, uchylił się przed nadlatującym ostrzem. Jego ręka wystrzeliła w górę i pochwyciła w powietrzu rękojeść noża. Błyskawiczny krok uchronił go przed atakiem Svena, a moment później Valgard zatopił ostrze tuż pod jego karkiem w kręgosłupie. Sven siłą rozpędu napierał jeszcze, a kiedy padł na ziemię, był już martwy.

- Łajdak — syknął Ulfar.

- Mogłem sprawić, by cierpiał duuużo dłużej! - krzyknął Valgard, patrząc na Svena.

Dopiero po dłuższej chwili, z ogromnym wysiłkiem, zapanował nad sobą.

- Przykro to mówić, ale gdybym zadał mu jedynie cząstkę cierpień, jakich zaznałem w dzieciństwie, wyłby z bólu przez miesiąc.

Popatrzył na Skadvalda i Sigurda.

— Jeśli dotknięcie mieczy, również zginiecie. To, co sobie zaplanowałem, będzie dla wszystkich zabawniejsze, jeśli pozostaniecie z nami. Jestem tutaj tylko dla nich. - Odwrócił się, by spojrzeć na Ulfara i Auduna. — A oni nie będą mieli wyboru i...

Sam ciężar barku Oskarla, który zwałił się w pierś Valgarda, zaparł mu dech w piersi. Potężna, masywna ręka Szweda wystrzeliła w górę i złapała za włosy upadającego wysokiego człowieka.

— Gadasz - zacharczał Oskarł, waląc czołem w twarz Valgarda - o wiele — znowu cios, z nosa poszła krew — o wiele — chrzęst zgrucho-tanej kości - za dużo...

Przycisnął Valgarda do ziemi, poderwał głowę i poszukał wzrokiem Auduna i Ulfara, którzy patrzyli na niego z otwartymi ustami.

— Uciekajcie!

Ulfar wstrzymał oddech. Tak musiało być. Spojrzał w niebo. Chmury odpłynęły.

Nie śmiał nawet myśleć, co się może stać, jeśli to się nie uda.

Na szczyt padły promienie południowego słońca.

Oskarł wrzasnął z bólu, gdy palce Valgarda wpiły się w jego ciało, rozrywając mięśnie, ale wytrzymał, nie zwalniał uścisku i bił głową Valgarda, o co tylko się dało.

Nagle wielobarwne światło oblało wszystkich wojowników, gdy w miejscu, gdzie stali Ulfar i Audun, dotknęła ziemi tęczą.

Stojący za nimi trolle cofnęli się jeszcze dalej.

Audun spojrział na Ulfara.

- Czy my jesteśmy... ?

~ Tak — odpowiedział Ulfar. — Jesteśmy. Tylko bogowie mogą przywoływać Bifröst.

Ostatni wrzask Oskarla przemienił się w ryk, a potem zrobiło się cicho.

Valgard wstał ze śniegu. Wyglądał na jeszcze bardziej odprężonego. Niczym zwierzę, które zrzuca starą skórę.

Ulfar wszedł w blask światła. Wydawało się dziwnie twarde pod stopami. Patrzył, jak Audun odchodzi na bok i wyciąga rękę do Helgi.

Coś przemknęło szybko między nimi.

Potem wszedł na tęczę, a Helga ruszyła za nim. Zrobił parę pierwszych kroków, ostrożnych, ale zaraz zaczął iść pewniej.

Nagły krzyk Helgi przeszył go do szpiku kości. Odwrócił się i zobaczył, że kobieta stoi przed Tęczowym Mostem, z jedną nogą jeszcze na ziemi, drugą uniesioną. Ich spojrzenia się spotkały i Helga jeszcze raz spróbowała postawić stopę na świetlnym pomoście. Tym razem Audun usłyszał skwierczenie.

Twarz Helgi ściągnęła się w agonii. Krzyknęła znowu, zdejmując nogę z tęczy. Wypowiedziała coś do niego bezgłośnie, krótkie zdanie, i potrząsnęła głową.

Zanim się odwróciła i odeszła, kulejąc, dostrzegli w jej oczach rozpaczliwy smutek.

Audun spojrział na Ulfara.

- Przykro mi, przyjacielu — powiedział Ulfar.

Audun wziął głęboki wdech i powoli wypuścił z płuc powietrze, zaciskając wściekle pięści i idąc coraz wyżej kolorowym mostem, coraz bliżej Ulfara.

Valgard, z błyszczącymi oczyma, podszedł do tęczy szybkim krokiem i spojrział na nich z dołu.

- Co wam to da? Chcecie przede mną uciec?

Ulfar uśmiechnął się i spojrział za siebie, nie przestając iść naprzód.

- My? Uciec? Och, w żadnym wypadku. Tak zachowuje się tylko - odwrócił głowę, delektując się szyderstwem, które rzucił w Valgarda z całą mocą jadu, jaki potrafił w sobie odnaleźć - tchórz.

Valgard puścił się z rykiem w ich stronę. Wbiegł na tęczę, pewnie stawiając nogi, zbliżył się błyskawicznie i nagle nadział się na pięść Auduna, która trafiła go prosto w szczękę. Zachwiał się i zatoczył do tyłu jak nowo narodzone jagnię. W końcu upadł ciężko.

Leżąc na plecach na Tęczowym Moście, uśmiechnął się zjadliwie i wierzchem dłoni otarł z warg błękitną krew.

- Teraz dostaniecie za swoje - warknął.

Jakaś myśl przeszła mu przez głowę, rozjaśniając na moment twarz. W tym samym momencie armia trolli zaczęła się posuwać wolno w stronę tęczy.

- Przelaliście krew — powiedział. - Zmiażdżymy was tam, gdzie stoicie, a śmieszne królestwo człowieka zostanie starte w proch przez zastępy chwalebnych bestii Hel.

Audun i Ulfar wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie z ironią.

Rozjuszony Valgard wsparł się na łokciach.

- Podniesie się Wąż Midgardu! — mówił uniesionym, przyprawiającym o dreszcz głosem. — Zerwie okowy Fenrir! — Podniósł się i stanął twarzą w twarz z Audunem i Ulfarem. - A wy... Wy zginiecie!

Za jego plecami tęcza zaczęła się wypełniać na całej szerokości żołnierzami różnego wzrostu i kształtu.

- Może chcesz, żebyśmy zrobili parę kroków w tył? — zapytał z uśmiechem Ulfar, cofając się wolno w górę tęczy. - Będziesz miał więcej miejsca.

- To bez znaczenia - odparł Valgard z jaśniejącymi oczami. — Strącimy was w przepaść, tam gdzie was dopadniemy.

Audun również się uśmiechnął.

- A co potem?

- Ragnarök!!! - wrzasnął Valgard, a mroczna armia ryknęła zgodnym chórem.

- Bo...? - zapytał Ulfar

Przez twarz Valgarda przebiegł cień zwątpienia.

- Ty... Ty mnie uderzyłeś! Upuściłeś moją krew!

- No i...?

Trolle za Valgardem przepychały się jeden przez drugiego. Jeden z nich, chudy i wysoki, stracił równowagę i spadł z tęczy.

Ulfar patrzył, jak troll leci.

- Raz... dwa... trzy...

Troll gruchnął głucho o ziemię.

— Gdy bogowie krwawią w królestwie człowieka, wówczas otwierają się wrota Hel - powiedział beznamytnie Valgard.

Ulfar poruszył niezgrabnie ramionami, jakby chciał wypróbować nową broń. Z jego twarzy nie zniknął uśmiech, szeroki i jak najbardziej szczery.

— Ogólnie rzecz biorąc, jest to oczywiście prawda. Tyle że nie przebywamy już w królestwie człowieka, co oznacza, że możemy robić, co nam się podoba, mój synu. A w tej chwili jedna tylko rzecz bardzo nas ucieszy.

Wydobył miecz.

Poszybował młot.

Rozpoczęła się bitwa.

Epilog

Konstantynopol, Cesarstwo Bizantyńskie, roku Pańskiego 1034

Na schodach do pałacu cesarskiego, wciąż ciepłych od popołudniowego słońca, stało dwóch gwardzistów. Obaj byli młodzi i z daleka można było ich wziąć za braci — wysocy, jasnowłosi i brodaci, szerocy w ramionach i chudzi w talii. Za pasem mieli topory, bardzo groźnie wyglądające, o długich trzonkach i znaczonych korbami ostrzach. Należeli do Gwardii Cesarskiej, formacji najlepszych i najwierniejszych wojowników, budzących strach i nienawiść Warezgów.

Obaj byli też śmiertelnie zmęczeni.

Ufrith, wyższy o grubość palca i starszy o dwie wiosny, odwrócił się do Bjarkiego.

- Był tam mój dziadek, wiesz?

- Wiem - odpowiedział Bjarki.

-Walczył w ich szeregach - ciągnął Ufrith. - Widział, jak starli się śmiertelnie z armiami Lokiego i Hel. Nazywali się wtedy Ulfar i Audun, ale każdy wiedział, że to są oni.

-A potem...

Ufrith mówił dalej, nie zwracając uwagi na słowa towarzysza:

- Kiedy sami ruszyli na Lokiego i jego trolle, po tęczy zbiegli z Walhalli wszyscy wojownicy. Przez pół dnia toczyli walki na moście, mówił dziadek, a przez następne cztery dni zrzucali ze szczytu góry trupy.

Po schodach wchodził jakiś starzec w łachmanach. Utykał wyraźnie, ale plecy trzymał wyprostowane. Nie patrząc nawet na niego, Ufrith zrobił krok naprzód i zagroził drogę do pałacowych drzwi.

— Ocalili świat od Ragnaróku, który wyniosłby Lokiego ponad wszystkich bogów.

— Wiem... — rzekł Bjarki.

— W ten sposób ocalona została Północ. Dzięki Odynowi i Thorowi.

— Nie będziesz czcił bogów fałszywych... — burknął starzec, szukając w łachmanach miecza, którego od dawna tam nie było.

— Co mówisz, starcze? - Ufrith dopiero teraz spojrzał na przybysza.

— Nic, nic - odpowiedział starzec i zawrócił.

Na jego ramiona spływały długie, siwe włosy, poprzecinane tu i ówdzie rzadkimi kosmykami blond. Twarz jednak miał czystą i ogoloną.

Końcami palców Olaf Tryggvason dotknął drewnianego krucyfiks ukrytego w fałdach odzienia i zniknął w ciemnościach.

KONIEC

Podziękowania

A w końcu powstały trzy.

Mógłbym powiedzieć, że tak to zaplanowałem. Mógłbym powiedzieć, że nigdy nie było wątpliwości, a stąd byłby już tylko jeden krok do tego, aby się pozalić, jak trudno być pisarzem i wykonywać taką wielką pracę samemu.

Ale nie powiem tak, ponieważ wszystko to w zasadzie mijałoby się z prawdą.

Wielkie podziękowania dla wspaniałej Jo Fletcher, dla Nicoli Budd i Andrew Turnera za ich nieustrudzone dążenie do doskonałości na wszystkich frontach. Książki wyglądają cudownie i dzięki pracy tych ludzi są o 35 procent lepsze, a ponieważ mowa jest o procentach, mamy do czynienia z nauką i faktem.

Dziękuję Nickowi Bainowi. Nie będę tutaj opisywał, ile mnie nauczył i jak niezmordowanie kopie wciąż różne części mojego ciała, gdy ważę się przedstawić mu słabsze partie tekstu.

Dziękuję gronu pedagogicznemu, uczniom oraz ich rodzinom z Międzynarodowej Szkoły Southbank. Dzięki za wszystkie płynące ku mnie fale, zwłaszcza fale wsparcia, słów zachęty i pokładanej we mnie wiary. Kocham was i będzie mi was brakowało.

Kolejne słowa podziękowania kieruję do nieustrudzonej Jane Magnet, mojej niewyczerpanej krynicy dobrego słowa. Pani, jesteś moim natchnieniem.

Cokolwiek robię, największe uznanie i najbardziej zasłużone podziękowania należą się zawsze mojej rodzinie. Mamo, tato i Arni -jesteście moją opoką. Dziękuję również mojej przybranej cioci Geraldine.

I w końcu Morag, moja żona. Bez niej nie byłbym grasującym wikingiem, a grubasem i dziwakiem dryfującym w beczce po bezmiarach wód. Jestem z ciebie dumny, bardzo dumny.